wolnelektury.pl

E. T. A. Hoffmann
(tłum. Antoni Lange, Józef Pracki)

Powieści fantastyczne

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

E. T. A. HOFFMANN

Powieści fantastyczne

TŁUM. ANTONI LANGE, JÓZEF PRACKI

ANTONI LANGE

Przedmowa

Do najmniej uprawianych u nas w literaturze dziedzin należy fantastyczność. Henryk Rewuski w pewnej serii traktuje historie o duchach, ale po prostu jako bajki dla starych dzieci; Jan Potocki swą bardzo bujną opowieść *Rękopis znaleziony w Saragossie*, pełną dziwnych przygód, zakrojonych na arabski sposób, kończy racjonalistycznym wykładem, który wszystkie czarnoksięstwa opowiadania tłumaczy w sposób naturalny; Bohdan Dziekoński, najbardziej skłonny do fantastyczności, występuje jako okultysta, nie zaś jako marzyciel i wizjoner, odczuwający tajemnicze analogie zjawisk — niezależnie od doktryny.

Stworzyć świat nowy, barwniejszy od rzeczywistości, a jednak rzeczywisty jako marzenie, jako wizja, jako opętanie duszy — oto jest motyw istotny literatury fantastycznej. Nie jest ona ani dydaktyczna, ani symboliczna, ani alegoryczna: to kraina odmienna, choć styczna do czystej fantasmagorii[1]. W świecie wyobraźni jest pewna prawda o kolorycie specjalnym — prawda psychologiczna. Czasami, jak u Edgara Allana Poe, fantastyczność przybiera cechy, rzekłbyś, matematyki; czasami kaprys nieskończony, bezustanne poszukiwanie rozmaitości, samoironia, wreszcie wprost igraszka — kieruje fantastą; rzeczywistość go nie zadowala, na tle rzeczywistości codziennej tworzy on inną, niekoniecznie doskonalszą i wyższą, ale odmienną, szczególną, barwniejszą; w tragiczności — tragiczniejszą, w radości — radośniejszą; prawa natury są przestawione albo raczej ulegają jakimś wyższym, poza naturą bytującym, prawom: bezład pozorny zdarzeń, które się ukazują oku fantastyka, ma w sobie utajoną logikę, że tak powiemy, innej płaszczyzny.

Takim fantastykiem był Ernest Teodor Amadeusz[2] Hoffmann (1776–1822), pisarz niemiecki, największy fantasta z fantastów; nawet w owym okresie romantycznym, kiedy to w Niemczech żyli i pisali: Jean Paul, Tieck, Novalis i inni tego typu autorzy — odznaczał się najbujniejszą pomysłowością i kolorowością fantazji.

E. T. A. Hoffmann urodził się w Królewcu w roku 1776 dnia 24 stycznia. Ojciec jego był sądownikiem i niezbyt dobrze żył ze swą żoną, córką Doerfera, kobietą chorą, choć nader zacną. Rodzice rychło się rozeszli, zwłaszcza gdy ojciec otrzymał stanowisko w Insterburgu (Instruciu) i przeniósł się do tego miasta. Matka z dzieckiem pozostała w Królewcu. Brat jej, również sądownik, mieszkał z nią razem i pierwszy zajmował się wychowaniem dziecka. Był to pedantyczny dziwak, który niemało tyranizował chłopca, ale za to uczył go początków muzyki, co bardzo wpłynęło na rozwój jego talentu. Pociechą dość smutnych pierwszych lat życia Hoffmanna była jego ciotka, osoba stosunkowo młoda, pełna dobrego humoru — oraz brat jego babki, stary justycjariusz[3] Vötöry,

[1] *fantasmagoria* — iluzja, fantastyczne obrazy, wizje, również wymieszanie jawy i snu. [przypis edytorski]

[2] *Ernest Teodor Amadeusz* — właściwie trzecie imię Hoffmanna brzmiało Wilhelm, ale w późniejszych latach przybrał on sobie, ku czci Mozarta, imię Amadeusz. [przypis tłumacza]

[3] *justycjariusz* (daw.) — oprawca, urzędnik powołany do ścigania, przeprowadzenia śledztwa i sądzenia zawodowych złodziei oraz rabujących na drogach. [przypis edytorski]

którego Hoffmann później odmalował w powieści *Majorat*. Dziad ten był, jak to widać z nazwiska, pochodzenia węgierskiego — i w ten sposób Hoffmann, jak większość ludzi wybitnych, nie był czystej krwi jednorasowej: był pół-Niemcem, pół-Węgrem.

W ósmym roku życia zaczął chodzić do szkoły, której rektorem był Wannowski, mąż uczony, a którego Immanuel Kant zaszczycał swą przyjaźnią. Hoffmann początkowo nie należał do najlepszych uczniów, zwłaszcza łacina i greka szły mu nieszczególnie; chętnie natomiast oddawał się muzyce, której go uczył organista Podbielski oraz malarstwu, w czym mistrzował mu niezgorszy malarz królewiecki Seeman. Tu w szkole znalazł również przyjaciela: był to nieco starszy młodzieniec, Teodor Hippel, który później został towarzyszem ministra von Hardenberga i nieraz w ciężkich okazjach ratował Hoffmanna. Jeszcze w szkole będąc, dopomagał Ernestowi w nauce języków klasycznych. Z innych kolegów godni uwagi: Faber — muzyk oraz malarz, Matuszewski, później emigrant w Paryżu.

Filozof

W roku 1793 wstąpił Hoffmann za poradą rodziny na fakultet prawny, co go straszliwie nudziło; słuchał też Kanta, ale wyznawał, że nic go nie rozumie. Próbował pisać powieści, romanse awanturnicze, jak *Cornaro* (w 3 tomach) lub *Der Geheimnissvolle*, które zaginęły. Na te czasy przypadła pierwsza jego miłość — do zamężnej uczennicy swej, Kory Hatt, co stanowiło dramat jego życia aż do małżeństwa w roku 1802.

Te wspomnienia rodzinnego miasta znajdujemy później w jego opowieściach, na przykład miłość do Kory w *Nocy Św. Sylwestra* itd. — Jako tzw. auskultator sądowy[4] pojechał do drugiego brata swej matki, Doerfera w Głogowie, na praktykę sądowniczą. Dom tego urzędnika w małym, cichym mieście stanowił oazę życia umysłowego i artystycznego: zamiłowanie literatury i muzyki kwitło tu w pełni; — tu Hoffmann miał okazję rozwinąć zwłaszcza swój talent muzyczny i nawet zaczął układać pierwsze kompozycje. Jednocześnie dużo pracował nad malarstwem; ponieważ miał w sobie pewien zmysł ironii — nęciła go karykatura na wzór Hogartha lub znów fantasmagorie Jakuba Callota. Ten ostatni rysownik oddziałał bardzo silnie na wyobraźnię Hoffmanna i pierwsze swoje utwory literackie Hoffman określał jako *Fantasiestücke in Callot's Manier*.

W czasie swego pobytu w Głogowie młody jurysta odbył podróż do Drezna i do Pyrmont, gdzie w domu gry stracił znaczną sumę; w opowiadaniu *Szczęście w grze* zachowało się wspomnienie tej podróży. W roku 1798 pierwszy raz był w Berlinie, gdzie zdał egzamin asesorski i gdzie się spotkał z Hippelem. — Po czym wyznaczono go do służby w nowo nabytych terytoriach pruskich, mianowicie w Poznaniu. Tu Hoffmann, dzięki swoim talentom i dowcipowi, stał się ulubieńcem towarzystwa. Miał też niemało stosunków w domach polskich; zwłaszcza zbliżył się z rodziną Trzcińskich. W roku 1802, w kwietniu poślubił Marię Teklę Michalinę Trzcińska, której nazwisko przełożył na niemiecki: Rörer; i krewni jej też się przezwali Rörer-Trzynsky. Z opowiadań żony swej ułożył nowelę: *Das Gelübde* (Ślub).

Na balu maskowym w roku 1803 Hoffmann wypuścił cały szereg bardzo zabawnych karykatur, ośmieszających różne osobistości miasta Poznania, między innymi zaś ówczesnego gubernatora, generała von Zastrow. Ponieważ tajemnica autorstwa tych karykatur rychło się wydała — rząd miejscowy postanowił ukarać Hoffmanna i przeniósł go na gorsze stanowisko, do Płocka. Brak towarzystwa całkiem dobrze oddziałał na młodego artystę, który jeszcze nie wybrał sobie zawodu.

W Płocku Hoffmann głównie uprawiał muzykę; mianowicie dla sąsiedniego opactwa (w Czerwińsku?) komponował msze, oratoria, sonaty. Dzieła te są dziś nieznane; ponieważ jednak archiwum opactwa Czerwińskiego znajduje się w bibliotece Zamoyskich w Warszawie, możliwym jest, że te dzieła muzyczne spoczywają tam pośród innych pamiątek i byłoby to wdzięczne zadanie dla którego z naszych artystów–muzyków wydobyć te utwory z pyłu zapomnienia.

W roku 1804, z tytułem radcy Hoffmann z żoną i małą córeczką oraz dwunastoletnią kuzynką z Poznania (później żoną Łęczyckiego?) przybył do Warszawy, przydzielony do komisji rządowej. Warszawa uczyniła na Hoffmannie kolosalne wrażenie, jako pełne ruchu i ożywienia, piękne i bogate miasto stołeczne. Referendarz komisji rządowej, zwierzchnik Hoffmanna, Hitzig, okazał się dla niego bardzo życzliwy: otworzył mu swoją bibliotekę

[4] *auskultator sądowy* — praktykant sądowy. [przypis edytorski]

i popierał różne jego dążenia, głównie zaś zamiar stworzenia w Warszawie Towarzystwa Muzycznego. Początkowo mieściło się w pałacu Ogińskich, później jednakże przeniesiono je do pałacu Mniszków, gdzie Hoffmann sam ornamentował sale *al fresco*[5]. Dnia 3 sierpnia roku 1806 Warszawa, dzięki Hoffmannowi, pierwszy raz usłyszała dzieła Glucka, Mozarta, Haydna, Cherubiniego.

Niedługo jednakże trwało panowanie pruskie w Warszawie. Wkrótce po bitwie pod Jeną wkroczyła do Warszawy armia francuska, z księciem Józefem i Wybickim na czele. Imieniem cesarza Napoleona rząd pruski został rozwiązany. Założono Księstwo Warszawskie. Sądy oddane zostały w ręce polskie. Urzędnicy pruscy musieli kraj opuścić. Hoffmann jednakże tak polubił Warszawę, że jeszcze w niej pozostał; póki miał pieniądze (z indemnizacji[6] francuskiej), siedział w stolicy: oglądał rewie napoleońskie, śpiewał u Bernardynów, dalej pracował nad Towarzystwem Muzycznym.

W końcu jednak doszedł do ostatecznej nędzy — skorzystał więc z okazji, że Francuzi wysyłali pod eskortą swego wojska pruski skarb i wraz z tą ekspedycją udał się do Poznania, a potem do Berlina.

Rodzina jego przedtem już była w Poznaniu, ale zwolniony z etatu Hoffmann nie miał środków utrzymania. Okres berliński z roku 1807 był najbardziej nieszczęśliwy w jego życiu.

Raz nawet zmuszony był przyjąć pięć talarów zapomogi w towarzystwie „dla królewskich urzędników rządowych w Poznaniu i Warszawie". Nadto ówczesny *Allgemeiner Anzeiger der Deutschen* (urzędowy) ogłosił liryczne *Wezwanie do przyjaciół ludzkości z powodu surowego położenia urzędników niemieckich w Warszawie*.

Ostatecznie Hoffmann znalazł posadę dyrektora orkiestry w teatrze w Bydgoszczy. Pensji miał 30 florenów miesięcznie, ale i tę wypłacano mu nieregularnie. Wówczas jednak po raz pierwszy zaczął drukować swoje utwory muzyczne; nadto wydał album kolorowy pod tytułem *Wojsko polskie*. Uzyskał w mieście liczne lekcje śpiewu. Skomponował *Requiem* i *Miserere*. Pisywał do *Leipziger Musik-Zeitung* oraz do *Elegante Welt*. W roku 1810 umarła mu córka, a prawie jednocześnie umarł jego wuj, Otto Doerfer z Królewca, po którym otrzymał 500 talarów. Na roku 1812 przypada początek jego działalności literackiej. Były to głównie studia muzyczne lub opowiadania na tle muzycznym (*Kawaler Gluck, Don Juan, Kreisleriana* itd.). Rzeczy te wraz z innemi wyszły później pod ogólnym tytułem: *Fantasiestűcke in Callot's Manier. Blatter aus dem Tagebuche eines reisenden Enthusiasten* — z przedmową Jean Paula Richtera.

Odtąd, ciągle jeszcze pracując jako dyrektor muzyki i kompozytor[7], przeważnie jednak poświęcał się literaturze. Do dzieł muzycznych bardzo ważnych Hoffmanna należy opera *Undine* według poematu de la Motte Fouque; opera ta miała średnie powodzenie, ale kilka lat temu wznowiona — obudziła wielkie zainteresowanie: Hoffmann okazał się tu niezrozumianym poprzednikiem Ryszarda Wagnera. Opuściwszy Bydgoszcz, Hoffman przeniósł się do Drezna i Lipska, które miały wspólny teatr pod dyrekcją Secondy. Z owych czasów pochodzi ciekawy opis oblężenia Drezna przez armię francuską.

Tu były napisane *Złoty garnek, Magnetyzer, Automaty, Prinzessin Blandina* i inne nowele — wreszcie pierwsza większa powieść: *Eliksiry diabelskie.*

Opuściwszy Saksonię, Hoffmann przeniósł się do Berlina (1814), gdzie Hitzig otworzył księgarnię. Tu — na przemiany już to zamożny, już w nędzy — Hoffmann zaczął się oddawać pijaństwu; alkohol z wolna go przeżerał. Otrzymał zresztą posadę rządową, jednakże wieczory i noce przepędzał głównie po szynkowniach i winiarniach. W Berlinie stworzył sobie Hoffmann kółko przyjaciół, do którego należał księgarz Hitzig, de la Motte Fouque, Chamisso, Contessa, Tieck, aktor Devrient i inni. Tu powstawały różne projekty literackie, jak na przykład wydanie zbiorowej książki dla dzieci, którą ułożyli razem de la Motte Fouque, Contessa i Hoffmann. Ten ostatni dał tu śliczną powiastkę

[5]*al fresco* — technika malarstwa polegająca na nanoszeniu farby na wciąż wilgotny tynk; fresk. [przypis edytorski]

[6]*indemnizacja* — tu: odszkodowanie. [przypis edytorski]

[7]*pracując jako dyrektor muzyki i kompozytor* — Griesebach zaznacza, że w ciągu maja, czerwca i lipca 1808 r. Hoffmann ułożył *Canzoni per quatro voci alla capella*, a mianowicie 1) *Ave maris Stella* w F dur, 2) *De profundis clamavi* w E moll, 3) *Gloria patri* w C dur, 4) *Salve redemptor* w A moll, 5)*O Sanctissima* w F dur, 6) *Salve regina* w D moll. [przypis tłumacza]

pod tytułem *Mysi król i dziadek do orzechów*, którą Aleksander Dumas (ojciec) przerobił na francuski. Ponieważ kółko to zebrało się po raz pierwszy w winiarni u zbiegu Charlottenstrasse i Französischestrasse (Lutter i Wegener) dnia 14 listopada, w dzień św. Serapiona — członkowie klubu nazwali się *Serapionsbrüder*. Mieli oni za obowiązek opowiadać sobie rozmaite historie. Nadto Hoffmann malował i z kartonu wycinał różne figurki, występujące w tych opowiadaniach.

Zaznaczę tu mimochodem, że Hoffmann, jak w ogóle romantycy niemieccy, był zupełnie obojętny w rzeczach politycznych. Mimo to w roku 1815 wypuścił broszurę bezimienną pod tytułem *Der Dey von Elba in Paris*, o ucieczce Napoleona z Elby; broszura ta jednak zaginęła tak, że dotąd jej nie odnaleziono i nie przedrukowano.

W winiarni Luttera i Wegenera powstał cały szereg opowiadań, znanych pod ogólnym tytułem: *Serapionsbrüder*. Tu należą tzw. *Nachtstücke, Majorat, Ślub, Człowiek z Piasku, Meister Floh, Prinzessin Brambilla, Klein Zaches*, wreszcie długa powieść *Kater Murr* itd.

W roku 1821 Hoffmann był pełny najlepszych nadziei, ale w 1822 rozchorował się śmiertelnie; skutkiem życia bezładnego i nadużyć alkoholicznych nastąpiło wycieńczenie organizmu i paraliż niemal całkowity.

Jakiś czas jeszcze humor i fantazja mu dopisywały: dyktując, ułożył kilka ostatnich fragmentów, jak *Narożne okno, Wyzdrowienie* oraz krótki urywek *Naiwność*. Kilka opowiadań, jak *Neueste Schicksale eines abenteuerlichen Mannes* oraz *Der Feind* — pozostało niewykończonych.

Umarł w Berlinie dnia 25 czerwca 1822 roku.

Na grobowcu jego, który mu wystawili przyjaciele, zaznaczono, że był znakomity jako pisarz, jako muzyk, jako malarz.

Istotnie we wszystkich tych trzech kierunkach wykazał Hoffman talent niepospolity, ale najświetniejszy był w opowiadaniu fantastycznym; chociaż miał w tym rodzaju poprzedników, to jednak sam w tym typie stworzył własny odcień fantasmagorii, która słusznie zowie się hoffmannowską.

Francuzi, bardzo wrażliwi na piękno literackie, pierwsi wcześniej niż sami Niemcy ocenili wartość Hoffmanna, który należy do tak zwanych *auteurs francisés*, to jest choć cudzoziemców, zaliczonych jednak do literatury francuskiej. — Zachwycał się nim Alfred de Musset, G. de Nerval, Teofil Gautier, Honoré Balzac, George Sand, Baudelaire i inni. Tłumaczyli go różni, a między innymi Aleksander Dumas (ojciec) przerobił jego *Dziadka do orzechów*. Również bardzo upowszechniony jest Hoffmann we Włoszech, a na język angielski tłumaczył go nie byle kto, bo Thomas Carlyle.

Po polsku Hoffmann mało jest znany dotychczas; brak zmysłu fantastyczności sprawił, że pierwszy zbiór tłumaczeń tego autora, wydany pod tytułem *Powieści E. T. A. Hoffmanna, tłum. z oryg. M Er. Wereszczyński, Warszawa, nakład H. Natansona, 1859* — zawiera właśnie te utwory, w których, mimo piękność, istota hoffmannowskiego talentu — fantastyczność — występuje słabiej. (*Dola graczy, Fermata, Signor Formica, Doża i Dogaressa*). Dopiero w *Kłosach* (1867) drukuje Józef Pracki przekład *Majoratu*, a Felicjan Faleński przekład noweli *Sandmann* pod tytułem *Człowiek w piasku*. Przed kilku laty wyszły w Bibliotece Dzieł Wyborowych *Diable Eliksiry*, a w Bibliotece Złoczowskiej tomik zawierający *Pannę de Scudery* oraz *Kopalnie Faluńskie*. Wreszcie wydany został *Złoty Garnek* w przekładzie J. Kleczyńskiego (1907). Kilkakrotnie też wychodziła *Historia Dziadka do orzechów* jako arcydzieło literatury dla dzieci.

W niniejszym zbiorku korzystamy z niektórych dawnych tłumaczeń; pozostałe są naszego pióra.

Antoni Lange

Don Juan

Z dziennika podróżującego entuzjasty

Teatr

Dźwięczny a mocny głos wołający: „Widowisko się zaczyna!" zbudził mnie ze słodkiego snu, w jakim byłem pogrążony. Basy brzęczą, jedne przez drugie — uderzenie bębna —

huk trąby — jasne *A* wydobyte z obojów — preludium skrzypcowe: oczy sobie przecieram, czy diabeł drwi sobie ze mnie?... Nie, jestem w pokoju hotelu, dokąd przybyłem pod wieczór, znużony i zmęczony. W pobliżu mam sznurek dzwonka, ciągnę, zjawia się posługacz.

— W imię Boga, cóż to za pomieszana muzyka, co tu dzwoni koło mnie? Czy tu koncert odbywa się w domu?

— Ekscelencja — (piłem przy obiedzie szampana) — nie wie być może, że ten hotel styka się z teatrem. Te drzwi tapetą osłonięte otwierają się na korytarzyk prowadzący do numeru 23, loży cudzoziemców.

— Jak to? Teatr! Loża cudzoziemców!

— Tak jest, mała loża na dwie lub trzy osoby najwyżej, to dla gości bardzo dostojnych. Ma okno ze sztachetą, obicie zielone i mieści się w pobliżu sceny. Czy wasza ekscelencja nie raczyłaby? Dają dziś *Don Juana*[8] sławnego Mozarta. Miejsce kosztuje półtora skuda[9]; umieścimy w rachunku.

Ostatnie słowa mówił, otwierając drzwi loży; gdyż, usłyszawszy to imię Don Juan — szybko rzuciłem się w korytarz.

Sala była obszerna, ozdobiona ze smakiem i dobrze oświetlona; loże i parter pełne słuchaczy. Pierwsze akordy orkiestry dały mi wyborne pojęcie o orkiestrze i jeżeli śpiewacy jej dorównają, to będę się rozkoszował należycie arcydziełem wielkiego mistrza. W *andante*[10] zgroza straszliwego podziemnego *regno all pianto*[11] — przepełniła mi ducha dreszczem przerażenia. Radosna fanfara siódmego taktu *allegra*[12] zabrzmiała jak oszałamiający wykrzyknik zbrodni; zdawało mi się, że wychodzą z mroku duchy ogniste o płomiennych szponach; potem ludzie, co tańczą jak opętani nad brzegiem przepaści. Walka natury ludzkiej z nieznanymi potęgami, co dążą ku jej unicestwieniu, ukazała się memu duchowi. Na koniec burza cichnie, zasłona się podnosi. Muzyka

Drżąc z zimna w swoim płaszczu, ze smutną twarzą, zbliża się Leporello[13], pośrodku nocy, przed pawilonem, i szepce: *Notte e giorno faticar*[14]. — A, więc po włosku — tu, w Niemczech, po włosku: *ach, che piacere*! Usłyszę więc wszystkie recytatywy, jak je wielki mistrz zrozumiał i nam pozostawił.

Don Juan wchodzi na scenę, a za nim Dona Anna[15], trzymając winowajcę za płaszcz. Co za widok! Mogłaby być większą, smuklejszą, bardziej majestatyczną w ruchu; ale co za głowa! Oczy, z których wybłyska niby snop iskier elektrycznych, niby ogień grecki[16], którego nic nie zdoła ugasić, gniew, miłość, nienawiść, rozpacz; warkocze włosów czarnych snują się po szyi. Biała suknia osłania i zdradza jednocześnie wdzięki, których nigdy się nie ogląda bez niebezpieczeństwa. Serce jej, poruszone działaniem okrutnym, uderza gwałtownie. A teraz co za głos! *Non sperar se non m'uccidi*!

Wśród wrzawy instrumentów głos jej wybucha jak błyskawica. Na próżno Don Juan chce się wyzwolić. Czyż rzeczywiście chce? Czemuż nie odpycha tej słabej kobiety swoją mocną ręką? Czemu nie uchodzi? Czyż zbrodnia odebrała mu siłę, albo może walka miłości i nienawiści pozbawiła go mocy postanowienia?

Stary ojciec[17] życiem zapłacił za swe szaleństwo, że chciał po ciemku walczyć z tym strasznym nieprzyjacielem. Don Juan i Leporello występują naprzód i tu na pierwszym planie sceny rozmawiają. Don Juan odrzuca płaszcz i ukazuje się we wspaniałym kostiumie z aksamitu haftowanego srebrem, szlachetną ma postawę, męskie oblicze, oczy prze- Uroda

[8] *Don Juan — Don Giovanni*, opera Wolfganga Amadeusza Mozarta, libretto napisał Lorenzo da Ponte na podstawie sztuki Moliera *Don Juan*. [przypis edytorski]

[9] *skud* (wł. *scudo*, z łac. *scutum*: tarcza) — daw. złota lub srebrna moneta używana we Włoszech. [przypis edytorski]

[10] *andante* (muz., wł.: idąc) — tempo wykonania utworu muzycznego: z prędkością spokojnego kroku. [przypis edytorski]

[11] *regno all pianto* (wł. królestwo płaczu a. czas, kiedy panuje lament) — termin stworzony przez autora na określenie atmosfery fragmentu utworu. [przypis edytorski]

[12] *allegro* (muz., wł.: radośnie) — tempo wykonywania utworu w muzyce: wesoło, żywo. [przypis edytorski]

[13] *Leporello* — sługa Don Juana, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

[14] *Notte e giorno faticar* (wł.: trudzić się nocą i dniem) — aria Leporella, wstęp do aktu pierwszego Don Juana. [przypis edytorski]

[15] *Dona Anna* — córka Komandora, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

[16] *ogień grecki* — łatwopalna mieszanina, nie dająca się ugasić wodą. [przypis edytorski]

[17] *stary ojciec* — Komandor, ojciec Dony Anny, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

nikające, wargi miękko zarysowane. Ruch brwi nadaje chwilami jego fizjonomii wyraz diabelski, budzący mimowolną trwogę, choć nie narusza piękności jego rysów. Rzekłbyś wywierać musi czarodziejskie złowrogie zachwycenie, tak, że kobiety, na które patrzy, nie mogą się od niego oddalić i muszą ulec tej sile tajemniczej, co je prowadzi ku przepaści.

Sługa

Długi i chudy, przybrany suknią w pasy białe i czerwone i małym płaszczem czerwonym, w kapeluszu białym z czerwonem piórem na głowie, Leporello krąży dokoła swego pana. W twarzy jego widać osobliwą mieszaninę poczciwości, podstępu, ironii i zuchwalstwa. Znać, że ten stary łotr godzien być usłużnym pokojowcem Don Juana. Szczęśliwie uszli, przeskoczywszy mury... Pochodnie... Ukazuje się Dona Anna i Don Octavio[18]; ten ostatni mały człowieczek, wystrojony, wycackany, lalkowaty, najwyżej dwadzieścia i jeden lat liczący. I jako narzeczony Anny, mieszkał zapewne w jej domu, aby mógł być tak szybko wezwany. Na pierwszą usłyszaną wrzawę mógł był pośpieszyć i może ojca uratować; ale musiał przedtem przystroić się i w odpowiedniej wystąpić toalecie, a zresztą nie lubi zapędzać się w ciemności: *ma qual mai s'offre, o Dei, spetta colo funesto agli occhi miei!* W rozdzierających tonach tego okropnego duetu i recytatywu[19] — jest więcej niż rozpacz. Nie tylko zamach Don Juana, nie tylko śmierć starca — mogą wywołać takie akcenty: raczej jakaś walka wewnętrzna, walka przerażająca.

Wysoka i szczupła Dona Elwira[20], która jeszcze ma na twarzy ślady nadzwyczajnej piękności, ale piękności nieco zwiędłej, skarży się na przewrotnego Don Juana, a złośliwy Leporello bardzo słusznie zaznacza, że ona mówi jakby z książki: *Parla come un libro stampato*.

Rozczarowanie

W tej chwili zdawało mi się, że usłyszałem kogoś poza sobą. Z łatwością można było otworzyć drzwi w głębi i wślizgnąć się do loży. Było to dla mnie przykre odkrycie. Czułem się tak szczęśliwy, będąc w loży sam jeden, rozkoszując się bez podziału arcy-operą Mozarta, oddając się w całości swoim wrażeniom: jedno słowo, wulgarne słowo rozproszyłoby boleśnie cały mój entuzjazm poetyczny i muzyczny, jakiego doznawałem. Postanowiłem nie zwracać najmniejszej uwagi na mego sąsiada, unikać wszelkiego słowa, wszelkiego spojrzenia i pogrążyć się w czarach tego przedstawienia. Wsparłszy głowę na dłoni, tyłem odwrócony do przybysza, spoglądałem dalej: sztuka się rozwijała w pełnym *ensemble'u*[21]. Mała Zerlina[22], figlarna i rozkochana, pocieszała czarownymi pieśniami biednego, naiwnego Mazetta[23]. Don Juan wypowiedział pomieszanie swej duszy oraz pogardę, jaką czuł dla bliźnich, którzy byli dla niego jedynie przedmiotem jego przyjemności, i żywo akcentował tę dziką melodię: *Fin ch'han dal vino*[24]. Gra mięśni była żwawsza. Ukazały się maski. Ich *trio* była to modlitwa, w akordach unosząca się ku niebu. Po czym oto głąb teatru się otwiera, radość rozbrzmiewa, kielichy dzwonią jedne o drugie; wieśniacy i zamaskowani różnego rodzaju krążą wesoło, ściągnięci festynem Don Juana; po czym trzej zamaskowani, którzy zaprzysięgli zemstę, zbliżają się powoli. Wszystko przybiera charakter uroczysty, aż zaczynają się tańce. Zerlina jest ocalona, a Don Juan idzie śmiało, z mieczem obnażonym, przeciw wrogom. Wytrąca miecz z ręki swego rywala i przebija sobie drogę poprzez tłum przerażony i bezładny.

Spotkanie, Tajemnica

Kilkakrotnie już czułem poza sobą czysty i gorący oddech; słyszałem, zda się, szelest sukni jedwabnej. Sądziłem, że jest tu jakaś kobieta; ale cały pogrążony w świecie poetyckim, nie chciałem żadnych roztargnień. Gdy zasłona opadła, obróciłem się ku mojej sąsiadce...

Nie, żadne słowo nie wypowie mego zdumienia: ujrzałem Donę Annę, odzianą tak, jak właśnie widziałem ją na scenie. Spoglądała na mnie wzrokiem płomiennym i pełnym wyrazu. Oniemiałem, patrząc na nią — a na twarzy jej błądził lekki, ironiczny uśmiech, w którym rzekłbyś odbijała się moja głupia fizjonomia. Czułem konieczność przemó-

[18] *Don Octavio* — narzeczony Dony Anny, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

[19] *recytatyw* (muz.) — melodeklamacja na tle muzycznym, element opery. [przypis edytorski]

[20] *Dona Elwira* — porzucona kochanka Don Juana, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

[21] *ensemble* (fr.) — daw. scena zbiorowa w sztuce teatralnej a. w operze. [przypis edytorski]

[22] *Zerlina* — panna młoda, narzeczona Mazetta, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

[23] *Mazetto* — pan młody, narzeczony Zerliny, postać z opery *Don Giovanni* (Don Juan). [przypis edytorski]

[24] *Fin ch'han dal vino* (wł. "póki od wina") — aria Don Juana z końca I aktu, nazywana arią szampańską. [przypis edytorski]

wienia paru słów, ale zdziwienie albo, lepiej mówiąc, przestrach paraliżował mi język. Wreszcie, niejako mimo woli, szepnąłem:

— Pani tu? Czy to możliwe?

Odpowiedziała mi najczystszym językiem toskańskim tak, że gdybym nie mówił po włosku, to nie mogłaby rozmawiać ze mną, gdyż jedynie ten język rozumiała. Słowa jej brzmiały jak śpiew harmonijny, spojrzenia jej były coraz wymowniejsze, a błyskawica lśniąca spoza jej długich rzęs zapaliła w mym sercu nagły ogień i wywołała żywsze bicie wszystkich moich żył. Była to — niewątpliwie Dona Anna we własnej osobie. Nie uderzała mnie zupełnie kwestia, jakim sposobem mogła ona być jednocześnie na scenie i w mojej loży. Podobnie jak szczęśliwe marzenie łączy największe niemożliwości, i jak gorąca wiara unosi się do krain nadprzyrodzonych i panuje nad codziennymi zdarzeniami życia: tak właśnie wobec tej kobiety znajdowałem się w stanie półlunatyzmu, iż gdybym ją w tej samej chwili zobaczył na scenie, nie byłbym tym wcale zdziwiony. Jakże opowiedzieć moją rozmowę z Doną Anną? Gdybym chciał ją wyłożyć, to każde słowo zdawałoby mi się bladym i zimnym, a każde zdanie zbyt brutalnym dla wyrażenia wdzięku i lekkości narzecza toskańskiego.

Muzyka

Gdy mówiła mi o swej roli i o Don Juanie, zdawało mi się, że genialność tego arcydzieła objawiła mi się po raz pierwszy i że po raz pierwszy przeniknąłem do cudownych dziedzin jakiegoś obcego świata. Mówiła mi, że muzyka jest całym jej życiem i że nieraz, śpiewając, czuła w sobie przebudzenie jakichś wzruszeń nieznanych, których żadne słowo nie byłoby w stanie odmalować.

— Tak — zawołała głosem pełnym entuzjazmu i z okiem pełnym błyskawic — rozumiem wtedy wszystko; ale wszystko jest zimne i bezduszne dokoła mnie, i gdy mi biją oklaski za jakąś trudną ruladę[25], zdaje mi się, że ręce żelazne ściskają mi gorejące serce. Ale ty, ty mnie rozumiesz, bo ja wiem, że przed tobą otwarte jest owo królestwo cudowne, ów świat romantyczny, gdzie dzwonią czarodziejskie harmonie.

— Jak to, zachwycająca kobieto, ty mnie znasz?

Zaczęła mówić o jednej z moich oper i wymieniła moje nazwisko. Dał się słyszeć dzwonek teatralny. Bladość nagła pokryła twarz Dony Anny. Położyła rękę na sercu, jakby odczuła ból niespodziany i osłabionym głosem szeptała:

— Nieszczęsna Anno, oto chwila najokropniejsza! — Rzekłszy te słowa, zniknęła.

Pierwszy akt mnie zachwycił; ale po tym dziwnym zjawieniu, muzyka wywarła na mnie wpływ niewypowiedziany. Było to niby długo oczekiwane urzeczywistnienie moich najpiękniejszych marzeń, jakby wszystkie przeczucia mojej duszy otworzyły się w harmonijnych akordach. W scenie Dony Anny czułem się niemal uniesiony w gorącą atmosferę rozkoszy; oczy zamknąłem mimo woli i czułem na ustach wrażenie płomiennego pocałunku; ale pocałunek był szybki i leciuchny jak dźwięk melodyjny.

Słyszę, jak brzmi wesoło bezładny finał: *Già la mensa è preparata*! Don Juan, siedząc pomiędzy dwojgiem dziewcząt, zaleca się już do jednej, już do drugiej i żywo wyciąga pękające korki z butelek, by wyzwolić duchy ogniste, zamknięte w krysztale. Było to w ciasnym pokoju, w którego głębi, poprzez wielkie okno gotyckie, dostrzegałeś cienie nocy. Gdy Elwira przypominała niewiernemu wszystkie jego przysięgi — naraz zalśniła krwawa błyskawica i słychać było głuche ryczenie, zapowiadające burzę, co lada chwila ma wybuchnąć. Wreszcie, pukają do drzwi gwałtownie; Elwira i dziewczęta uciekają i wśród przeraźliwej symfonii duchów podziemnych kolos marmurowy zbliża się i staje oko w oko z Don Juanem, który przy nim wygląda wprost niby karzeł. Ziemia drży pod stopami olbrzyma.

Wśród huku burzy, wśród błysku piorunów i krzyku demonów, Don Juan wymawia swe straszliwe imię. Godzina fatalna uderzyła; posąg znika; gęsta para zalewa salę; z tej pary wychodzą straszliwe postaci. Widać tylko od czasu do czasu, jak Don Juan walczy z szatanami.

Naraz słychać huk wybuchu; Don Juan oraz duchy piekielne znikły nie wiadomo jak; Leporello bez przytomności leży w kącie sali. Jakże miło wówczas widzieć inne osoby, szukające na próżno Don Juana! Zdaje się, że ci ludzie ocaleli od pościgu straszliwej sfory demonów. Dona Anna znów się ukazała; ale jakże zmieniona! Śmiertelna bladość pokry-

[25]*rulada* (fr. *roulade*: toczenie się; koloratura) — energiczny pasaż w muzyce wokalnej. [przypis edytorski]

wa jej twarz, oczy zagasły, głos jej drży, nierówny z trwogi i wzruszenia; ale tym bardziej zachwycający był efekt jej małego duetu z miłym narzeczonym, który chce natychmiast odprawić gody weselne, szczęśliwy, że został wyzwolony od groźnego obowiązku zemsty.

Chór doskonale zakończył dzieło. Pobiegłem, by ukryć w swym pokoju zachwyt i uniesienie, wywołane sztuką. Służący wezwał mnie na kolację; poszedłem za nim machinalnie. Towarzystwo było liczne, a przedstawienie *Don Juana* zajmowało wszystkich. Wszyscy jednogłośnie chwalili śpiew Włochów oraz ich umiejętność gry. Ale kilka drobnych uwag, rzuconych tu i ówdzie ze złośliwą miną, dowiodły mi, że nikt nie zrozumiał i nie podejrzewał głębokiej treści tego arcydzieła operowego. Don Octavio podobał się bardzo, Dona Anna zdawała się nieco zbyt namiętną. „Należało — mówił jeden z gości — umieć się miarkować na scenie i nie wyrażać wzruszeń zbyt gwałtownie". Czyniąc tę uwagę, krytyk wciągnął w nos niuch tabaki i z miną inteligentną i zadowoloną spojrzał na swego sąsiada, który oświadczył, że zresztą Włoszka była śliczną kobietą, tylko bardzo niedbałą co do toalety, gdyż w czasie najważniejszej sceny pukiel włosów osunął się jej na twarz. Inny zaczął po cichu nucić *Fin ch'han dal vino*, a pewna dama twierdziła, że Don Juan sam nie był zadowalający; zdawał się jej zbyt ponury i nie umiał nadać sobie miny lekkiej i filuternej. Zresztą chwalono bardzo wybuch ostateczny.

Znużony tą gadaniną, uciekłem do swego pokoju.

W LOŻY CUDZOZIEMCÓW NR. 23

Ciasno mi tu było i niesłychanie gorąco. O północy zdało mi się, jakby ktoś poza drzwiczkami z obiciem wymawiał moje imię. „Któż mi przeszkadza — mówiłem — raz jeszcze odwiedzić miejsce, w którym mi się zdarzyła ta szczególna przygoda? Może zobaczę raz jeszcze tę, co zajmuje moje myśli. Łatwo mi zanieść tam stolik, dwa świeczniki, przyrząd do pisania. Posługacz przyniósł mi zażądany przeze mnie poncz[26]. Znajduję pokój pusty, drzwi tajne otwarte; idzie za mną do loży i rzuca na mnie dwuznaczne spojrzenie. Milcząco daję mu znak, chłopiec stawia poncz na stole i oddala się, patrząc jeszcze na mnie, z zapytaniem na ustach. Opieram się o brzeg loży i oglądam tę pustą salę, której architektura, oświetlona bardzo słabo światłem moich dwóch pochodni, odbija się w dziwacznych refleksach i fantastycznych cieniach. Wiatr porusza zasłonę na scenie. O, gdyby się podniosła — mówię do siebie — gdyby mi Dona Anna ukazała się raz jeszcze w straszliwym wzburzeniu! Dono Anno!... Krzyk mój przepada w zagłębiach sali; ale budzi instrumenty w orkiestrze; niewyraźny dźwięk z nich wybiega; zdaje mi się, że słyszę to drogie imię wyszeptane w mroku. Nie mogę się obronić jakiejś tajemniczej trwodze; ale wywiera ona na mnie bardzo miłe wrażenie.

Opanowuję się w końcu, i oto, drogi Teodorze, skłonny jestem wykazać ci przynajmniej to, co przypuszczam, że ujmuję w arcydziele mistrza i jego głębokiej koncepcji. Tylko poeta rozumie poetę; tylko dusza idealna przenika idealną naturę; duch poetycki, który poświęcony został w świątyni, sam tylko zrozumie tony entuzjazmu. Jeżeli rozważać będziemy poemat o Don Juanie, nie szukając w nim głębszego znaczenia; jeżeli baczymy tylko na romans, będący jego motywem: to zaledwie można pojąć, jak Mozart mógł wymarzyć i skomponować podobną muzykę.

Hulaka, który nadmiernie lubi wino i dziewczęta, który umyślnie zaprasza do swego stołu kamienny posąg starca, zabitego przez siebie w obronie własnego życia: istotnie, nie ma w tym nic bardzo poetycznego, i szczerze mówiąc, taki człowiek wcale nie zasługuje na to, żeby potęgi piekielne trudziły się i szukały go w czasie pijaństwa; nie zasługuje na to, aby posąg kamienny nabrał życia i ruchu, aby zszedł z konia i wzywał grzesznika do pokuty i aby diabeł spędzał swoje najlepsze sługi dla przeniesienia go na tamten świat.

Kondycja ludzka

Możesz mi wierzyć, Teodorze, natura traktowała Don Juana, jako jedno ze swych dzieci uprzywilejowanych; dała mu wszystko, co podnosi człowieka ponad tłum, ponad trudy, ponad bezmyślne obliczenia, i postawiła go w pobliżu esencji bożej; przeznaczyła go do zwycięstw i panowania; dała mu postawę silną i majestatyczną, twarz ożywiła mu iskrą niebieskiego ognia, dała mu duszę głęboką, inteligencję żywą i sprężystą. Ale jest to jeden z wyników grzechu pierworodnego, że szatan zachowuje moc łudzenia człowieka za pomocą wysiłków, jakie ten czyni, by osiągnąć nieskończoność; by mu zastawić fatalne

[26] *poncz* — słodki napój z soku owocowego, wody i alkoholu. [przypis edytorski]

zasadzki w samym jego poczuciu swej natury boskiej. Ta walka pierwiastka niebieskiego i pierwiastka boskiego budzi namiętność ziemską, i właśnie zwycięstwo w tej walce prowadzi do życia nadprzyrodzonego. Organizacja fizyczna i moralna Don Juana rozpaliła jego ambicję, a żądza nienasycona, wywołana żarem jego krwi, popchnęła go ku poszukiwaniu wszelkich rozkoszy przemijających, w których na próżno oczekiwał całkowitego zaspokojenia.

Konflikt wewnętrzny

Nic na świecie nie doprowadza człowieka do takiej egzaltacji jak miłość. Miłość to — przez tajemniczy a potężny wpływ — oświeca i wzburza pierwiastki naszej natury. Czyż może to dziwić, że Don Juan roił sobie, że mógłby za pomocą miłości zaspokoić poruszające nim pożądania, i że diabeł użył tego środka, by go pociągnąć w swe sieci? On to Don Juanowi podsunął myśl, że przez miłość, przez rozkosz pocałunków kobiecych, znajdzie człowiek tu na ziemi urzeczywistnienie obietnic niebieskich, jakie nosimy w swej duszy, i osiągnie cel tej tęsknoty nieskończonej, co łączy nas bezpośrednio z krainami wyższymi. Nieustannie przelatując od piękności do piękności, rozkoszując się ich czarem aż do upojenia i do przesytu; sądząc się zawsze omylonym w swym wyborze i zawsze spodziewając się, że dosięgnie ideału szczęścia — Don Juan w końcu musiał się czuć znużony życiem rzeczywistym, a ponieważ gardził ludźmi, rozgniewał się wreszcie przeciw wszystkim tym widziadłom, które wywoływał, a których stał się w końcu pustą igraszką. Każda kobieta, jaką posiadał, nie była już dla niego przedmiotem rozkoszy zmysłowej, ale bezwzględną obelgą dla natury ludzkiej i dla jej stwórcy. Gorzka pogarda zwyczajnych sposobów rozumienia życia, ponad które czuł się wyniesiony, szyderstwo, jakie budziło w nim szczęście w pojmowaniu mieszczańskim, doprowadziły go do tego, że stworzył sobie okrutną zabawę kosztem słodkich a łzawych stworzeń i że zabierał sobie bez litości wszystko, z czego szydził. Za każdym razem, gdy łamał przemocą szczęście dwojga kochanków, odnosił wielki triumf nad tą potęgą nieprzyjazną, co go unosiła poza ciasne granice życia zwykłego, nad naturą i jej stworzycielem. Chciał dalej jeszcze się przedrzeć poza te granice i tym razem musiał runąć w otchłań. Porwanie Dony Anny, w okolicznościach, które się z nim wiązały, było najwyższą próbą, jaką podjął.

Miłość

Okrucieństwo

Dona Anna, dzięki najświetniejszym darom swej natury, stoi jako przeciwieństwo wobec Don Juana. Jak Don Juan jest pierwotnie człowiekiem piękności i siły cudownej, tak Dona Anna jest kobietą boską, której czysta dusza wymyka się spod potęgi diabła. Demony mogły dotknąć jedynie jego życia ziemskiego i gdy jego zagłada jest już dokonana, zemsta niebios ma się dopełnić.

Don Juan szyderczo wzywa na swą wesołą ucztę starca, którego zamordował, i starzec nie gardzi wezwaniem, przybywa do niego zza świata, przypominając mu obowiązek pokuty. Ale już serce Don Juana jest tak zatracone, że błogosławieństwo niebios nie może mu dać promienia nadziei ani uczucia lepszego żywota.

Jak ci już mówiłem, Dona Anna postawiona jest jako przeciwieństwo wobec Don Juana. Przeznaczeniem jej było otworzyć oczy Don Juana, aby poznał potęgę natury boskiej i wyrwać go z rozpaczy bezowocnych wysiłków. Ujrzał ją za późno, ujrzał ją w godzinie zbrodni, i ma tylko jedną wobec niej diabelską myśl jej zguby. Lecz i ona się załamuje. Kiedy on się zjawił, zbrodnia zostaje dokonana; Anna odczuła w sercu ogień zmysłowości, żary piekła i wszelki opór był dla niej niemożliwy. Don Juan sam mógł w niej obudzić ten szał rozkoszy, z jakim ona rzuca się w jego objęcia i ulega zasadzkom demonów. Gdy zaś on odchodzi, ona odczuwa wszystkie zgryzoty swego upadku. Śmierć ojca zabitego przez Don Juana; związek jej z zimnym i pospolitym Don Octaviem, którego sądziła, że kocha; ogień namiętności, co ją pożera, potem wybuch gwałtowny nienawiści: wszystko to się łączy ku jej udręczeniu. Rozumie ona, że tylko strata Don Juana może jej dać jakiś spokój; ale dla niej ten spokój to będzie śmierć. Pobudza wciąż swego niezdarnego narzeczonego do zemsty; sama ściga niewiernego, a gdy widzi, że go uniosły moce piekielne, nabiera nieco spokoju; nie może tylko ustąpić niecierpliwemu pożądaniu swego małżonka; mówi mu: *Lascia, o caro, un anno ancora, allo sfogo del cor mio*! Nie przeżyje tego roku. Nigdy Don Octavio nie przyciśnie do łona tej, którą pobożna myśl wybawiła ze szponów szatana.

Kondycja ludzka, Zbawienie, Zbrodnia, Pożądanie

Ach, jak żywo czułem w głębi duszy wszystkie wzruszenia, płynące z rozdzierających akordów pierwszego recytatywu i z opowieści o nocnej napaści. Nawet scena Dony Anny

w drugim akcie: *Crudele*[27], która, powierzchownie sądząc, dotyczy jeno Octavia, przedstawia w tajemniczych akordach, w cudownych wybuchach całe wstrząśnienie jej duszy. Co za myśl porywająca w tych słowach, które napisał poeta, może sam nie rozumiejąc ich wagi:

forse un giorno ancora sentirà pietà di me!

Bije godzina druga po północy, jakiś podmuch elektryczny ślizga się po mnie; czuję zapach perfum włoskich, które mi wczoraj kazały rozpoznać obecność mojej sąsiadki. Doznaję uczucia szczęśliwości, którą mógłbym wyrazić tylko za pomocą dźwięków harmonijnych. Wiatr mocniej szumi w sali, struny fortepianu w orkiestrze szemrzą. Boże, zdaje mi się, że słyszę głos Anny, unoszony na skrzydłach jakiejś orkiestry powietrznej. Zdaje mi się, że słyszę: *Non mi dir', bell' idol mio*[28]! Otwórz się, kraino daleka i nieznana, królestwo dusz, raju świetlany, gdzie boleść niebiańska a niewymowna, niby radość nieskończona, spełnia oczarowanym sercom wszystkie obietnice tego świata! Pozwól mi wejść w kolisko twoich podniosłych zjawień! Oby sny, które człowiekowi posyłasz, już to jako przedmioty zgrozy, już to jako gońców pokoju, obyż te sny poprowadziły mego ducha ku regionom eterycznym, gdy sen ciało me trzyma na uwięzi łańcuchów z ołowiu.

NAZAJUTRZ ROZMOWA PRZY STOLE

Człowiek rozsądny, uderzając w wieko swej tabakiery: Szkoda jednak, że teraz już długo nie usłyszymy opery dobrze wykonanej. Płynie to z tej fatalnej przesady.

Człowiek o twarzy Mulata: Tak, tak, mówiłem to nieraz. Rola Dony Anny zbyt żywo ją wczoraj przejmowała; była niby opętana. Przez cały antrakt[29] leżała bez przytomności, a w scenie drugiego aktu miała atak nerwowy.

Jegomość bez znaczenia: Ach, co pan mówi!

Człowiek o twarzy Mulata: Ależ tak! Atak nerwowy — i nie można jej było wynieść z teatru.

Ja: Na łaskę Nieba! Sądzę, że te ataki nie są niebezpieczne. Toć usłyszymy znów Signorę?

Człowiek rozsądny, zażywając tabakę: Trudno to będzie, gdyż Signora umarła tej nocy, ściśle o godzinie drugiej.

Kawaler Gluck[30]

Wspomnienie z roku 1809

Schyłek jesieni w Berlinie ma zazwyczaj jeszcze kilka pięknych dni. Słońce przyjaźnie wypływa z obłoków i szybko w parę przetwarza wilgoć w półciepłym powietrzu, wiejącym przez ulice. Wtedy widzimy długi szereg pstro przemieszanych elegantów, mieszczan, duchownych, Żydówek, referendarzy[31], gryzetek[32], profesorów, modniarek[33], tancerzy, oficerów itd. w Alei pod Lipami: wszyscy mniej więcej dążą do Ogrodu Zoologicznego[34]. Wkrótce też wszystkie miejsca u Klausa i Webera są zajęte; kawa z cykorią paruje; eleganci kurzą swe *cigarros*, ludzie gadają, spory prowadzą o wojnę i pokój, o trzewiki panny Bethman, czy były szare, czy zielone, rozważają sprawę protekcyjnej granicy handlu w państwie, braku gotówki itd., aż w końcu wszystko się spływa w arii z *Fanchon*, przy tym rozstrojona harfa, nienastrojone skrzypce, suchotniczy flet i spazmatyczny fagot rozżalają się nad sobą i nad słuchaczami. Tuż u parkanu, oddzielającego kawiarnię Webera od ul. Wojskowej, stoją liczne okrągłe stoliki i krzesła ogrodowe; tu oddychasz

Kawiarnia

[27] *crudele* (wł.) — okrutny. [przypis edytorski]

[28] *Non mi dir', bell' idol mio* — recitativo accompagnato, akt drugi Don Juana. [przypis edytorski]

[29] *antrakt* — przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edytorski]

[30] *Christoph Willibald Ritter von Gluck* (1714–1787) — niemiecki kompozytor okresu klasycyzmu. [przypis edytorski]

[31] *referendarz* (daw.) — urzędnik średniej rangi. [przypis edytorski]

[32] *gryzetka* (daw.) — młoda pracownica domu mody. [przypis edytorski]

[33] *modniarka* — osoba wyrabiająca damskie kapelusze. [przypis edytorski]

[34] *Ogród Zoologiczny* — tu: Tiergarten, park w śródmieściu Berlina. [przypis edytorski]

świeżym powietrzem, tu obserwujesz, kto wchodzi i kto wychodzi, tu jesteś daleko od kakofonicznego jęku przeklętej orkiestry; tu ja siaduję zazwyczaj, oddając się swawolnemu igrzysku swej fantazji, co mi sprowadza oblicza miłych ludzi, z którymi rozmawiam o nauce, o sztuce, o tym wszystkim, co dla ludzi powinno być najdroższe. Coraz jaskrawiej toczy się przede mną tłum spacerujących, ale nic mnie nie wytrąca z równowagi, nic nie rozpędzi mego fantastycznego towarzystwa. Tylko jakieś przeklęte trio nikczemnego walca wydziera mnie z krainy marzeń: słyszę jedynie skrzeczący głos górny wiolinu i fletu i grzechotliwy bas fagotu; razem unoszą się i opadają, zatrzymując się na rozzgrzytanych oktawach i mimo woli, jak ktoś opanowany gorącym bólem, wołam: Muzyka

— Ach, co za straszna muzyka! Co za wstrętne oktawy!

Około siebie słyszę szept:

— Przeklęty los! Znów jakiś pogromca oktaw!

Spoglądam i dopiero teraz widzę, że, niedostrzeżony przeze mnie, przy tym samym stole zajął miejsce człowiek, który nieruchomym wzrokiem patrzy na mnie i od którego oko moje teraz już się oderwać nie może.

Nigdy nie widziałem głowy, nigdy nie widziałem postaci, co by tak nagle uczyniła na mnie tak głębokie wrażenie. Łagodnie zgięty nos opierał się o szerokie, otwarte czoło, z wyraźnymi wypukłościami nad krzaczastą, półsiwą brwią; oczy jego błyszczały prawie dzikim, młodzieńczym ogniem (człowiek mógł mieć ponad pięćdziesiąt lat). Miękko sformowana broda była w osobliwym przeciwieństwie z zamkniętymi ustami, a przelotny uśmiech, wywołany szczególną grą mięśni w zapadłych policzkach, zdawał się buntować przeciw głębokiej, melancholicznej powadze, spoczywającej na czole. Kilka jedynie siwych loków leżało z tyłu wielkich, odstających od głowy uszu. Wysoka, chuda postać nieznajomego obwinięta była szerokim nowoczesnym płaszczem. Gdy wzrok mój utkwiłem w jego osobie, opuścił twarz i dalej spełniał swoją robotę, którą mu zapewne przerwał mój okrzyk. Mianowicie z wyraźną przyjemnością z różnych małych tutek przesypywał tabakę do wielkiej tabakiery i zwilżał ją czerwonym winem z ćwierci flaszki.

Muzyka zamilkła; czułem konieczność przemówienia do niego.

— Dobrze, że już muzyka grać przestała — rzekłem — nie można było wytrzymać.

Stary rzucił na mnie szybkie spojrzenie i przesypał ostatnią tutkę.

— Byłoby lepiej, gdyby tu wcale nie grano — powiedziałem raz jeszcze. — Czy nie jest pan tego mniemania?

— Nie mam żadnego mniemania. — rzekł — Pan jest muzyk i zna swoją sztukę…

— Myli się pan; nie jestem ani tym, ani owym. Uczyłem się niegdyś gry na fortepianie i jenerałbasie[35], jako rzeczy należącej do dobrego wychowania, a ponieważ między innymi mówiono mi, że nic tak złego nie daje efektu, jak kiedy bas z głosem górnym idzie naprzód w oktawy: przyjąłem tę opinię niegdyś ze słów autorytetów i nieraz później stwierdziłem jej prawdę.

— Istotnie? — powiedział mi, po czym wstał i powoli w zamyśleniu ruszył do muzykantów, często podnosząc wzrok ku górze i uderzając się w czoło dłonią, niby ktoś, co chciałby sobie w myśli obudzić pewne przypomnienie. Widziałem, jak rozmawiał z muzykantami, traktując ich rzekłbyś z rozkazodawczą godnością. Powrócił — i zaledwie usiadł, zaczęto grać uwerturę[36] z *Ifigenii w Aulidzie*[37] Glucka. Muzyka

Oczy przymrużył, ręce złożywszy na krzyż, oparł je o stół — i słuchał *andante*[38]; lewą nogę lekko poruszając, oznaczał zmiany głosów; teraz podniósł głowę — szybko potoczył wzrokiem dokoła — lewa ręka, której palce rozstawił szeroko, spoczywała na stole, jakby chwytając akord w locie; prawą — podniósł do góry; był to jakby kapelmistrz[39], który orkiestrze wskazuje moment innego tempa — prawa ręka opada i zaczyna się *alle-*

[35] *jenerałbas*, dziś *generałbas* (muz.) — *basso continuo*; tu: instrument grający akompaniament w niskiej tonacji. [przypis edytorski]

[36] *uwertura* (muz., fr. *ouverture*: otwarcie) — instrumentalny utwór rozpoczynający operę lub koncert. [przypis edytorski]

[37] *Ifigenia w Aulidzie* — opera Christopha Willibalda Glucka, o libretcie inspirowanym tragedią Eurypidesa w V w. p.n.e. [przypis edytorski]

[38] *andante* (muz., wł.: idąc) — tempo wykonania utworu muzycznego: z prędkością spokojnego kroku. [przypis edytorski]

[39] *kapelmistrz* — dyrygent. [przypis edytorski]

gro[40]. Płomiennie czerwone stały się jego blade policzki; brwi schodzą się razem na pomarszczonym czole, wewnętrzny gniew rozpala dzikie spojrzenie ogniem, którym coraz bardziej rozprasza się uśmieszek, co jeszcze się unosi na półotwartych ustach. Teraz przechyla się w tył, brwi idą do góry, gra mięśni na policzku powraca, oczy błyskają, głęboki, wewnętrzny ból rozpływa się w rozkosz, co wszystkie fibry[41] porywa i kurczowo nimi wstrząsa — głęboko z piersi oddycha, krople mu występują na czole; zaznacza wyjście *tutti*[42] i inne główne miejsca; prawa ręka nieustannie takt wybija, lewą wydobywa chustkę i twarz sobie przeciera. Tak ciałem i barwą ożywił szkielet, jaki dawała z uwertury owa para skrzypiec. Słyszałem łagodną, rozrzewniającą skargę, która się wzbija z fletem, kiedy przegrzmiała burza skrzypiec i basów i zamilkł grom bębnów; słyszałem lekko uderzające tony wiolonczeli, fagotów, które przepełniają serce bezimienną tęsknotą; powraca *tutti*, jak olbrzym wielkie występuje *unisono*[43], głucha skarga zamiera pod jego miażdżącym krokiem. Uwertura się skończyła.

Nieznajomy opuścił ręce i siedział z zamkniętymi oczami, niby ktoś, co omdlał z nadmiernego wysiłku. Butelka jego była próżna; napełniłem mu szklankę burgundem, który tymczasem kazałem przynieść. Głęboko wzdychał, rzekłbyś — ze snu się budzi. Zmusiłem go do picia; uczynił to bez ceremonii i jednym łykiem wypiwszy całą szklankę, zawołał:

— Jestem zadowolony z wykonania! Orkiestra trzymała się dzielnie.

— A jednak — powiedziałem — był to tylko słaby zarys arcydzieła wykonanego żywymi farbami. Czyż nie sądzę słusznie?

— Pan nie jest berlińczykiem.

— Istotnie. Tylko dla odmiany się tu zatrzymałem.

— Burgund jest dobry. Ale zaczyna być zimno.

— Więc chodźmy do izby i tam wychylmy flaszkę wina.

— Dobry projekt. — Nie znam pana, ale też i pan mnie nie zna. Możemy się nie pytać o nazwiska; nazwisko często jest ciężarem. Piję wino burgundzkie; nic mnie to nie kosztuje, czujemy się ze sobą przyjemnie i to jest dobrze.

Mówił to wszystko z dobrotliwą serdecznością. Weszliśmy do salonu kawiarni; usiadłszy, rozpiął płaszcz i ze zdziwieniem zauważyłem, że pod płaszczem miał na sobie haftowany surdut o długich połach, czarne aksamitne rajtuzy i małą srebrną szpadkę. Starannie znów zapiął płaszcz.

— Czemuż to pan mnie pytał, czy jestem berlińczykiem?

— Bo w takim razie musiałbym pana w tej chwili opuścić.

— To brzmi zagadkowo.

— Bynajmniej, skoro tylko panu powiem, że ja — no, że ja jestem kompozytorem.

— Wciąż jeszcze nie odgaduję znaczenia słów pańskich.

— A więc proszę mi wybaczyć mój poprzedni okrzyk. Widzę, że się pan nic nie rozumie na Berlinie i berlińczykach.

Powstał i kilkakrotnie żywo przeszedł się po pokoju tam i z powrotem; po czym się przybliżył do okna i ledwie dosłyszalnie zaczął śpiewać chór kapłanek z *Ifigenii w Taurydzie*[44], przy tym uderzał w szybę przy wyjściu *tutti*. W zdumieniu uważałem, że w pewien zgoła swoisty sposób oddawał niektóre melodie, co mnie uderzały tu siłą i nowością. Nie przeszkadzałem mu wcale; skończył i wrócił na swoje krzesło. Opanowany szczególnym zachowaniem się tego człowieka i fantastycznością objawów zewnętrznych nadzwyczajnego talentu muzycznego, milczałem. Po chwili zapytał mnie:

— Czy pan nigdy nie komponował?

— Owszem, próbowałem tej sztuki, ale wszystko, co napisałem, jak mi się roiło chwilowo, w natchnieniu, zdało mi się potem próżne i jałowe; więc zarzuciłem te próby.

---

[40] *allegro* (muz., wł.: radośnie) — tempo wykonywania utworu w muzyce: wesoło, żywo. [przypis edytorski]

[41] *fibry* (daw.) — włókna, nerwy. [przypis edytorski]

[42] *tutti* (muz., wł.: wszyscy) — fragment utworu, gdzie grają jednocześnie wszystkie instrumenty. [przypis edytorski]

[43] *unisono* (muz., wł.: jednym dźwiękiem) — moment w utworze, kiedy wszystkie instrumenty grają ten sam dźwięk. [przypis edytorski]

[44] *Ifigenia w Taurydzie* — opera Christopha Willibalda Glucka. [przypis edytorski]

— Zrobił pan niesłusznie. Bo już to, że pan próbował, jest niezgorszym świadectwem pewnego talentu. Uczymy się muzyki w latach chłopięcych, bo tak życzy sobie papa i mama; przeto brząka się i gędzi[45], a niedostrzeżony bywa zmysł głębszego przejęcia się melodią. Może to jakiś pół zapomniany motyw piosenki, którą inaczej śpiewano, pierwsza własna myśl, a ten embrion, z trudem ożywiany siłą cudzą, dorósł do miary olbrzyma, który wszystko dokoła siebie pochłonął i przemienił w swój szpik i swoją krew. Ha, jakże to możliwe wyjaśnić tysiączne formy, przy pomocy których dochodzi się do kompozycji! Jest to szeroka ulica Wojskowa, tu gromadzą się wszyscy, krzyczą, wołają: „My jesteśmy poświęceni! Jesteśmy u celu!" Poprzez wrota z Kości Słoniowej przechodzi się do krainy Marzeń: niewielu dostrzega te wrota raz jeden, jeszcze mniej przestąpić je zdoła. Wszystko tu wydaje się przygodą. Szalone postaci unoszą się tu i ówdzie, ale wszystkie mają własny charakter, jedne mniej, drugie więcej. Nie widać ich na ulicy Wojskowej: tylko poza wrotami z Kości Słoniowej je znajdziesz. Trudno jest z naszych nizin wejść do tego królestwa: niby przed twierdzą Alcyny[46] potwory przecinają drogę, kłębi się tam, wiruje; niejeden przemarzy marzenie w krainie marzenia, rozpływa się w marzeniu, już tam cienia swego niejeden nie rzuca, bo gdyby nawet znalazł się w cieniu, to zawsze krąży w światłości, co przenika to królestwo; ale tylko bardzo nieliczni, z marzeń przebudzeni, unoszą się wzwyż i przepłynąwszy królestwo Marzeń, dochodzą do Prawdy; jest to moment najwyższy: zetknięcie z tym, co Wieczyste, co Niewypowiedziane. Spójrz na słońce — to Trójdźwięk[47], z którego, niby gwiazdy, płyną akordy, by cię oprząść ognistymi nićmi. Niby poczwarka leżysz w ogniu, aż Psyche[48] się uniesie ku słońcu.

Przy ostatnich słowach podskoczył, wzrok podniósł do góry, rękę ku niebu wytężył. Po czym siadł znowu i szybko opróżnił ofiarowaną sobie szklankę. Nastała cisza, której nie śmiałem przerwać, aby nie wytrącić z linii tego niezwykłego człowieka. W końcu spokojniej zaczął mówić dalej.

Otchłań

Muzyka

— Kiedy byłem w królestwie Marzenia, dręczyły mnie tysiączne bóle i trwogi. Była noc i przerażały mnie szczerzące zęby larwy[49] potworów, które waliły się na mnie i już to mnie strącały w otchłań morza, już to unosiły wysoko w powietrze. Oto szły promienie światła poprzez noc, a te promienie były to dźwięki, które mnie ośpiewywały miłą jasnością. Przebudziłem się z bólu i ujrzałem wielkie, jasne Oko, które spoglądało w organy — a pod jego spojrzeniem z organów wydobywały się tony i migały, i obejmowały się w uroczystych akordach, jakich nigdy nie przeczuwałem. Melodie lały się strumieniem w górę i na dół, a ja płynąłem w tym strumieniu i o mało co nie utonąłem; wówczas spojrzało na mnie Oko i utrzymało mnie na powierzchni, nad spienionymi falami. Znowu nastała noc — i oto wyszły ku mnie dwa kolosy w śmiertelnych pancerzach: Ton Główny[50] i Kwinta[51]. Porwały mnie, ale Oko się uśmiechało: wiem, co przepełnia tęsknotą twe piersi; łagodny, słodki młodzian, Tercja[52], pod kolosami wyjdzie ku tobie; usłyszysz jego słodki głos, ujrzysz mnie znowu, a moje melodie będą twoimi.

Zatrzymał się.

— I znów widziałeś to Oko?

— Widziałem, widziałem znowu! Długie lata wzdychałem w krainie marzeń — tam — tam! Przebywałem w czarownej dolinie i przysłuchiwałem się, jak śpiewały między sobą kwiaty. Tylko słonecznik milczał i chylił zamknięty kielich ku ziemi. Niewidzialne węzły ciągnęły mnie ku niemu — podniósł głowę — kielich rozwarł — i z niego błysło mi Oko. Teraz, niby promienie, potoczyły się tony z głowy mej ku kwiatom, które chciwie je sączyły. Coraz większe stawały się liście słonecznika — promienie tryskały z jego wnętrza — otoczyły mnie dokoła — Oko, a z nim i ja — zniknęliśmy w kielichu.

---

[45] *gędzić* (daw.) — grać. [przypis edytorski]

[46] *Alcyna* — czarownica, królowa wyspy z opery Georga Friedricha Händla. [przypis edytorski]

[47] *trójdźwięk* (muz.) — prosty, melodyjny akord, składający się z trzech dźwięków odległych o siebie o tercję. [przypis edytorski]

[48] *Psyche* (mit. gr.) — personifikacja duszy ludzkiej. [przypis edytorski]

[49] *larwa* (daw.) — maska, zjawa, upiór. [przypis edytorski]

[50] *ton główny* (muz.) — pierwszy stopień gamy. [przypis edytorski]

[51] *kwinta* — interwał prosty zawarty między pięcioma kolejnymi stopniami skali muzycznej; kwinta czysta liczy siedem półtonów. [przypis edytorski]

[52] *tercja* — interwał prosty liczący 3 lub 4 półtony. [przypis edytorski]

Przy ostatnich słowach podskoczył i szybkim, młodzieńczym krokiem pośpiesznie wybiegł z pokoju. Na próżno czekałem na jego powrót: postanowiłem tedy wrócić do miasta.

Byłem już w pobliżu Bramy Brandenburskiej[53], gdy ujrzałem nadchodzącą w mroku długą postać — i wnet rozpoznałem swego dziwaka.

— Czemuż to mnie pan tak nagle opuścił?

— Było zbyt gorąco — i już dzwonił Eufon.

— Nie rozumiem pana.

— Tym lepiej.

— Tym gorzej, gdyż chciałbym wielce rozumieć pana w całości.

— Czy pan nic nie słyszy?

— Nic.

— To już przeszło. — Idźmy dalej. W gruncie niezbyt lubię towarzystwo. Ale — pan nie jest kompozytorem — pan nie jest berlińczykiem.

— Nie mogę zrozumieć, co pan czuje przeciw berlińczykom. Tu, gdzie sztuka takiej czci doznaje i w tak wysokiej mierze jest uprawiana, dobrze czuć by się powinien człowiek pańskiego ducha artystycznego.

— Myli się pan. Ku udręce swej skazany tu jestem, jako duch wyosobniony, błądzić w próżni!

— W próżni — tu — w Berlinie?

— Tak, czuję się tu jak w próżni, gdyż żaden duch pokrewny nie wyjdzie tu na moje spotkanie. Jestem sam.

— Ależ artyści — kompozytorzy?

— Precz z nimi! Ci krytykują, krytykują i rozcieńczają wszystko do najbardziej rozcieńczonej miary; ryją wszystko na wskroś, aby tylko jaką ubożuchną myśl znaleźć; wciąż ględząc niedorzeczności o sztuce, o zmyśle artystycznym i Bóg wie o czym — nie są zdolni nic stworzyć, i gdy im coś tak zjawi się w duchu, jakby kilka idei miało im zaświtać, wtedy z okropnej ich lodowatości poznasz, jak są dalecy od słońca: to lapońska robota.

— Sąd pański wydaje mi się zbyt surowy. W każdym razie muszą pana zadowalać wspaniałe przedstawienia w teatrze.

— Raz się przemogłem, aby znów pójść do teatru i usłyszeć operę mego młodego przyjaciela, jakże się ona zowie? — Ach, cały świat jest w tej operze! Poprzez pstry zgiełk barwnie przybranych ludzi ciągną duchy Orkusowe[54], wszystko ma tu głos i wszechmocny dźwięk — do licha! — myślę o *Don Juanie*[55]. Ale nie mogłem wytrzymać nawet uwertury, co była wykonana *prestissimo*[56], bez sensu i zrozumienia; a przecież przygotowałem się do tej sprawy modlitwą i postem, gdyż wiem, że Eufon zanadto jest od tych mas poruszany i staje się nieczysty.

— Gdybym nawet i ja przystał, że arcydzieła Mozarta[57] bywają tu wykonywane w sposób bardzo niedbały, to jednak opery Glucka cieszyć się mogą wcale godnym wystawieniem.

— Tak pan sądzi? — Chciałem raz słyszeć *Ifigenię w Taurydzie*. Wchodząc do teatru słyszę, że grają uwerturę *Ifigenii w Aulidzie*. Hm — sądzę, to omyłka; więc dają tę *Ifigenię*! Dziwię się bardzo, gdy oto brzmi *andante*, którym się rozpoczyna *Ifigenia w Taurydzie*, po czym następuje burza. Dwadzieścia lat dzieli jedno od drugiego. Całe wrażenie, cała gorliwie obmyślana ekspozycja tragedii przepadła! Ciche morze — burza — Grecy na ląd wyrzuceni — opera skończona. Jak to? Czy kompozytor dla igraszki napisał uwerturę, że ją, niby sztuczkę na trąby, można pakować, gdzie i jak się komu podoba?

— Przyznaję, że to nieporozumienie. Jednak — czyni się przecież wszystko, by posiadać dzieła Glucka.

---

[53] *Brama Brandenburska* — zabytkowa budowla w Berlinie, jeden z charakterystycznych punktów miasta. [przypis edytorski]

[54] *Orkus* (mit. rzym.) — demon śmierci. [przypis edytorski]

[55] *Don Juan — Don Giovanni*, opera Wolfganga Amadeusza Mozarta na podstawie sztuki Moliera *Don Juan*. [przypis edytorski]

[56] *prestissimo* (muz., wł.) — tempo w muzyce: bardzo szybko. [przypis edytorski]

[57] *Wolfgang Amadeusz Mozart* — austriacki kompozytor, żył w latach 1756–1791. [przypis edytorski]

— Ejże! — powiedział krótko i uśmiechał się gorzko i coraz bardziej gorzko. Nagle odszedł i nie mogłem go zatrzymać. W jednej chwili jakby zniknął i przez parę dni kolejno szukałem go w Parku Zoologicznym na próżno.

*

Minęło parę miesięcy, gdy w pewien dżdżysty, zimny wieczór — zapóźniony szedłem w oddalonej części miasta i śpieszyłem do swego domu na Friedrichstrasse[58]. Musiałem przechodzić koło teatru; huczna muzyka, trąby i kotły przypominały mi, że właśnie grano *Armidę*[59] Glucka i nawet chciałem wejść na przedstawienie, gdy naraz pobudził moją uwagę szczególny monolog tuż pod oknem, gdzie słychać prawie każdy ton orkiestry.

— Teraz wychodzi król — grają marsza — bębnić, jeno bębnić — jest właśnie rześki — jedenaście razy musicie to dziś robić — pochód nie jest dość pochodowy — Ha, ha! — *maestoso*[60] — wleczcie się, dzieci! — Patrzcie, tam figurant ma rozplecione sznurowadło — Dobrze, po raz dwunasty — i zawsze uderzać na dominantę[61] — O wszechmocne bogi, to się nigdy nie skończy — Teraz wyśpiewuje on swój komplement — Armida dziękuje z pokorą — Jeszcze raz? Oczywiście, brak jeszcze dwóch żołnierzy. — Teraz łomocze się *recitativo*[62]. — Jakiż zły duch mnie tu przypędził!

— Klątwa jest rozwiązana — krzyknąłem. — Pójdź.

Ująłem silnie pod rękę mego dziwaka z Tiergartenu[63] — gdyż on to był, co gadał sam do siebie — i pociągnąłem go z sobą. Zdawał się oszołomiony i, milcząc, szedł ze mną. Byliśmy już na Friedrichstrasse, gdy naraz się zatrzymał.

— Znam cię — powiedział. — Byłeś w Tiergartenie — rozmawialiśmy dużo, piłem wino, rozgrzałem się, potem przez dwa dni całe dźwięczał Eufon — wiele wycierpiałem — ale to już minęło.

— Cieszy mnie, że przypadek znów mnie z panem zetknął. Pozwól pan, że się bliżej zapoznamy. Mieszkam tu niedaleko. Gdyby pan...

— Nie mogę i nie powinienem odwiedzać nikogo.

— Nie, już mi pan nie ujdzie; idę z panem.

— A więc przejdziemy się jeszcze paręset kroków. Ale pan chciał iść do teatru.

— Chciałem usłyszeć *Armidę*, ale teraz...

— Teraz usłyszysz *Armidę*! Pójdź ze mną...

Milcząc, ruszyliśmy w górę ulicy Frydrychowskiej; gwałtownie skręcił w ulicę Poprzeczną (*Querstr.*) — a biegł tak szybko ulicą, że zaledwie byłem w stanie iść za nim: aż na koniec zatrzymał się przed jakimś niepozornym domkiem. Dość długo pukał, aż mu wreszcie otworzono. Po omacku stąpając, dostaliśmy się na górne piętro do izby, której drzwi mój przewodnik zamknął bardzo starannie. Słyszałem, jak się otwarły jeszcze jedne drzwi; wkrótce wszedł do drugiego pokoju z zapalonym światłem i widok osobliwie wysztafirowanego mieszkania zdziwił mnie niemało. Staromodne, bogato przyozdobione krzesła; zegar ścienny w złoconej szafie i szerokie ciężkie zwierciadło nadawały wszystkiemu posępny wygląd zamierzchłego zbytku. Pośrodku stał mały fortepian, na nim wielki porcelanowy kałamarz, tuż zaś obok kilka arkuszy papieru liniowanego do pisania nut. Bliższe wejrzenie na te narzędzia kompozytorskie przekonało mnie jednak, że od dłuższego już czasu chyba nic tu nie pisano; papier był zupełnie pożółkły — a gęsta pajęczyna osnuła kałamarz. Nieznajomy podszedł do szafy w kącie pokoju, której dotąd nie zauważyłem, a gdy odchylił zasłonę, ujrzałem szereg pięknie oprawionych ksiąg ze złotymi napisami: *Orfeo*[64], *Armida*, *Alcesta*[65], *Ifigenia* itd., słowem wszystkie arcydzieła Glucka.

— Pan posiada wszystkie utwory Glucka? — zawołałem.

---

[58] *Friedrichstrasse* — ulica w centrum Berlina. [przypis edytorski]

[59] *Armida* — opera Christopha Willibalda Glucka z 1777 roku. [przypis edytorski]

[60] *maestoso* (muz., wł.) — tempo w muzyce: majestatycznie. [przypis edytorski]

[61] *dominanta* (muz.) — piąty stopień gamy. [przypis edytorski]

[62] *recitativo* (muz., wł.) — recytatyw, melodeklamacja na tle muzycznym, element opery. [przypis edytorski]

[63] *Tiergarten* — jeden z sześciu okręgów Mitte, pierwszej dzielnicy Berlina; także: park miejski w tej dzielnicy. [przypis edytorski]

[64] *Orfeo* — *Orfeusz i Eurydyka*, opera Christopha Willibalda Glucka z 1762 roku. [przypis edytorski]

[65] *Alcesta* — opera Christopha Willibalda Glucka z 1767 roku. [przypis edytorski]

Nie odpowiedział nic, ale usta jego skurczyły się w spazmatyczny uśmiech, a gra mięśni w zapadłych policzkach w jednej chwili przeżarła twarz w okropną maskę. Odrętwiały skierował na mnie posępne wejrzenie, ujął jeden z tomów — była to *Armida* — i uroczyście ruszył w stronę klawikordu[66]. Szybko to otworzyłem i rozwinąłem spleciony pulpit; z przyjemnością patrzył na moją gorliwość. Otworzył księgę i, któż wyrazi moje zdumienie! ujrzałem poliniowane stronice, ale nie zapisane ani jedną nutą. Artysta

Zaczął:

— Teraz zagram uwerturę. Odwracaj stronice, tylko w czasie właściwym. Muzyka

Zapowiedziałem, że to zrobię — i oto nieznajomy grać zaczął wspaniale i po mistrzowsku, w pełnych akordach, majestatyczne *tempo di marcia*[67], którym się zaczyna uwertura, prawie zupełnie zgodnie z oryginałem; ale znów *Allegro* było tylko przeplecione głównymi pomysłami Glucka. Tyle nowych genialnych odmianek tu wtrącił, że moje zdumienie rosło nieustannie. Uderzające były zwłaszcza jego modulacje, niezbyt przy tym jaskrawe — i umiał prostą myśl główną przybrać w szereg tak melodyjnych melizmatów[68], że te w coraz nowszym, odmłodzonym powracały kształcie. Twarz mu promieniała; już to ściągały mu się brwi i długo powstrzymywany gniew, rzekłbyś, pragnął gwałtownie wybuchnąć; już to oko mu się rozpływało we łzach tęsknoty. Chwilami, gdy ręce wykonywały kunsztowne melizmaty, nucił temat przyjemnym głosem tenorowym; to znowu w zupełnie osobliwy sposób umiał naśladować głosem głuchy ton uderzeń bębna. Gorliwie odwracałem stronice, śledząc wskazania jego spojrzeń. Uwertura była skończona i, znużony, z zamkniętym okiem, padł znowu na fotel. Wkrótce jednak porwał się znów przebudzony i żywo odwróciwszy liczne puste arkusze księgi, rzekł posępnym głosem: Sztuka

— Wszystko to, mój panie, napisałem, gdym wyszedł z krainy marzeń. Ale zdradziłem rzeczy święte nieświętym i lodowata ręka przeniknęła w to gorejące serce. Serce mimo to nie pękło i byłem skazany błądzić wśród nieświętych, jako duch umarły, bezkształtny, aby mnie nikt nie rozpoznał, aż mnie w końcu słonecznik znów ku Wiekuistemu uniesie! Ha, teraz zagrajmy scenę *Armidy*.

Teraz zagrał scenę ostatnią *Armidy* z wyrazem, co mnie przeniknął do rdzenia. I tu wyraźnie odchylił się od właściwego oryginału: ale ta wariacja muzyczna była to tożsama scena Glucka niby podniesiona do najwyższej potęgi. Wszystko, co nienawiść, miłość, zwątpienie, szał może wyrazić w najsilniejszych rysach, z mocą wielką ujął w tony. Głos jego zdawał się głosem młodzieńca, który z głębokiej smętnicy wydobył się do wyżyn przenikającej mocy. Wszystkie moje fibry drżały, utraciłem władzę nad sobą. Gdy skończył, rzuciłem mu się w ramiona i głosem ściśniętym pytam:

— Co to? Kto ty jesteś?

Powstał i mierzył we mnie poważnym, przenikającym wzrokiem; gdy jednak znów go chciałem pytać, nagle wraz ze światłem umknął przez drzwi i pozostawił mnie w mroku. Trwało to jakiś kwadrans; zwątpiłem, czy go jeszcze raz zobaczę i, orientując się według położenia klawikordu, chciałem drzwi otworzyć, gdy naraz[69] wszedł w starodawnym ubraniu galowym, w bogatej kamizelce, ze szpadą u boku, ze światłem w ręku.

Osłupiałem. Uroczyście zbliżył się ku mnie, łagodnie ujął mnie za rękę i ze szczególnym uśmiechem tak mi powiada:

— Jestem kawaler Gluck[70].

Majorat[71]

Niedaleko od brzegów morza Bałtyckiego — stoi zamek dziedziczny rodziny Her.... , Zamek

[66] *klawikord* — klawiszowy instrument strunowy. [przypis edytorski]

[67] *tempo di marcia* (muz., wł) — w tempie marsza. [przypis edytorski]

[68] *melizmat* — figura muzyczna, polegająca na graniu lub śpiewaniu kilku nut na jednej sylabie tekstu. [przypis edytorski]

[69] *naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

[70] *Jestem kawaler Gluck* — Gluck żył w latach 1714–1787 [podczas gdy niniejsze opowiadanie nosi podtytuł *Wspomnienie z roku 1809*; Red. WL]. [przypis tłumacza]

[71] *majorat* — sposób dziedziczenia własności ziemskiej polegający na przejmowaniu majątku zmarłego przez najstarszego syna lub najbliższego krewnego bądź majątek tak odziedziczony. [przypis edytorski]

który zowią Her... burg. Okolica jest surowa i pustynna. Zaledwie tu i ówdzie na piaszczystym gruncie dostrzeżesz garści trawy. Zamiast tych ogrodów, jakie zazwyczaj zdobią siedziby pańskie, ponad gołym murem widać tylko jakiś nędzny gaj sosnowy, którego żałoba ponura i nieustanna zda się lekceważyć uśmiechniętą szatę wiosny. W tym lasku, zamiast wesołego świergotu ptasząt, słychać tylko monotonne krakanie kruków albo świst mew — zapowiedź burzy.

W pewnej odległości przecież natura zupełnie inną tu przybiera postać. Jesteś przeniesiony, niby pod działaniem laski czarnoksięskiej — pomiędzy kwitnące pola i żyzne doliny. Ujrzysz tu obszerną, bogatą wieś, nad którą góruje wielki dom zarządzającego tym dominium[72]. Na końcu miłego gaju grabowego — znajdują się fundamenty wielkiego pałacu, który zamierzał zbudować jeden z dawniejszych właścicieli tej posiadłości. Jego spadkobiercy, wyjechawszy do swych dóbr w Kurlandii[73], nie dokończyli budowy tego gmachu, a baron Roderyk von Her.... , który powrócił, by się osiedlić w rodowym gnieździe swych ojców, wolał, przy swoim usposobieniu ponurym i mizantropijnym[74], mieszkać w starym zamku samotnym, niźli dokończyć tego, który zaczął niegdyś. Rozkazał odrestaurować, o ile to było możliwe, zrujnowaną siedzibę swych przodków i zamknął się w niej wraz z oburkliwym intendentem i małą liczbą służebników. Rzadko jeno pokazywał się we wsi. Natomiast często błądził konno tu i ówdzie brzegiem morza — i jak ludzie powiadali, wydawało się z daleka, że baron rozmawia z morzem, że słucha łoskotu i szumu fal, rzekłbyś — rozumiał się dobrze z tajemniczym duchem morza. Na najwyższej wieży zamku kazał zbudować swą pracownię i umieścił w niej wielką lunetę oraz całkowity zbiór narzędzi astronomicznych.

Codziennie, zwróciwszy oczy ku morzu, obserwował okręty rysujące się na dalekim widnokręgu, niby mewy o białych, rozpostartych skrzydłach. W noce gwiaździste oddawał się tu, wraz ze swym starym rządcą — pracom astronomicznym albo, jak go podejrzewano — astrologicznym. W ogóle przypuszczali ludzie, że baron Roderyk poświęcał się naukom tajemnym, inaczej mówiąc, czarnej magii — i że skutkiem pewnej nieudanej operacji, która urażała jeden z domów panujących, zmuszony był opuścić Kurlandię. Najlżejsze wspomnienie dni, które przepędził w tej prowincji, budziło w nim uczucie zgrozy i wszystkie nieszczęścia swego życia przypisywał winie przodków, jaką popełnili, opuszczając zamek pradziadowski.

By związać przyszłość rodziny z tym zamkiem, postanowił z niego zrobić majorat. Panujący książę przystał na projekt tej fundacji tym chętniej, że w ten sposób utrwalała się w okolicy familia znakomita, mająca już rozgałęzienia w prowincjach zagranicznych. Jednakowoż ani syn barona, ani posiadacz majoratu, który jak dziad nosił imię Roderyka — nie mogli w zamku pozostać. Obaj mieszkali w Kurlandii. Mając usposobienie lekkie i wesołe, zda się — niedowierzali tej ponurej siedzibie, obranej przez Roderyka. Ten miał dwie biedne ciotki, stare panny, którym ofiarował w swych dobrach mieszkanie oraz środki egzystencji. Mieszkały one wraz ze staruszką służącą w ciepłym apartamencie bocznego skrzydła zamku, a prócz nich i starego kucharza, który zajmował wielką izbę podziemną w pobliżu kuchni, nie było w obszernych salach budynku nikogo więcej, jedynie tylko żył tam stary gajowy, który zarazem spełniał urząd odźwiernego. Inne osoby ze służby dworskiej mieszkały na wsi, u zarządzającego majętnością.

Na schyłku jesieni, kiedy już pierwsze śniegi zaczynały padać, kiedy nadchodził czas polowania na wilki i dziki — milczący i opuszczony zamek ożywiał się na nowo. Przybywał wówczas z Kurlandii baron Roderyk z żoną, z ciżbą[75] krewnych i przyjaciół, na pojazdach stosownych do polowania. Szlachta z okolicy i lubownicy[76] igrzysk myśliwskich z sąsiedniego miasta przybywali jednocześnie — i zamek ledwie mógł pomieścić przybyłych gości. We wszystkich piecach i kominach ogień płonął od rana do wieczora, kucharze pracowali bez wytchnienia, a wesoła gromada panów i służby krążyła po schodach. Tu słychać było brzęk szklanic, śpiewy myśliwskie, tam melodie taneczne, wszędzie

[72] *dominium* — wielkie posiadłości ziemskie lub leśne. [przypis edytorski]

[73] *Kurlandia* — południowa część dawnych Inflant, położona nad Bałtykiem i Zatoką Ryską. Od r. 1918 wchodzi w skład Łotwy. [przypis edytorski]

[74] *mizantropijny* — niechętny ludziom, zgorzkniały. [przypis edytorski]

[75] *ciżba* — banda, tłum, gromada. [przypis edytorski]

[76] *lubownik* (daw.) — miłośnik. [przypis edytorski]

hałaśliwe śmiechy i krzyki radości. W ciągu pięciu lub sześciu tygodni zamek stawał się raczej wspaniałą gospodą, leżącą nad ludnym gościńcem, niźli pańską rezydencją.

Baron Roderyk poświęcał, ile możności, te parę tygodni sprawom poważnym. Usunąwszy się od wrzawy swych gości, wypełniał obowiązki pana majoratu. Nie tylko kazał sobie zdawać ścisły rachunek ze swych dochodów, ale badał jeszcze każdy projekt udoskonaleń gospodarczych, słuchał najdrobniejszych skarg swoich poddanych — i starał się wszystko uporządkować, wyrównać wszelką krzywdę i niesprawiedliwość. Uczciwie mu w tych wysiłkach pomagał stary adwokat V.... , jak niegdyś jego ojciec, plenipotent[77] interesów domu Her.... , justycjariusz[78] dóbr, jakie rodzina miała w tej prowincji. Na osiem dni przed przybyciem barona, adwokat zazwyczaj udawał się do zamku.

W r. 179. nadszedł moment, gdy wierny V... miał, podług zwyczaju, udać się do siedziby barona. Miał on wówczas lat 70 i jakkolwiek niemało zachował świeżości i energii, sądził jednak, że byłby mu użyteczny w jego pracy jaki młody pomocnik. Pewnego razu rzekł mi ze śmiechem: „Bratanku mój (jestem właściwie jego wnukiem stryjecznym i noszę jego nazwisko), sądzę, że byłoby dobre dla ciebie posłuchać szumu wiatrów morskich i pojechać ze mną do Her... Możesz mi być zresztą bardzo pomocny w trudnych zajęciach, i napisawszy rano jaki przyjemny akt sprawozdawczy, mógłbyś potem spróbować życia myśliwskiego, ćwiczyć się w sztuce spotykania oko w oko z szarym wilkiem albo głodnym dzikiem i celnym wystrzałem spotkane bydlę położyć".

Polowanie

Zbyt wiele słyszałem o wrzawnych polowaniach w Her... Byłem zbyt przywiązany do swego szanownego a doskonałego dziada stryjecznego, by nie przyjąć skwapliwie[79] tej propozycji. Wprawny już poniekąd w rodzaj zajęć, jakie stryj prowadził, obiecywałem sobie ułatwić mu swą gorliwością część jego trudów. Nazajutrz, obwinąwszy się w ciężkie futra, toczyliśmy się do zamku Her... wśród zamieci śnieżnej, zapowiadającej zimę.

Po drodze stryj mi opowiadał różne dziwne historie o baronie Roderyku, założycielu majoratu, który pomimo że mój stryj był jeszcze wówczas bardzo młody, wybrał go za swego plenipotenta[80] i wykonawcę testamentu. Mówił mi o surowej i dzikiej naturze barona, którą, zdaje się, ten przekazał w spadku całej rodzinie, a która coraz bardziej budziła się w baronie obecnym, choć ten w pierwszych latach zapowiadał się jako charakter łagodny i słaby. Mówił mi, że powinienem się pokazać człowiekiem stanowczym i śmiałym, aby znaczenia nabrać w oczach pana. W końcu opisał mi mieszkanie, jakie sobie raz na zawsze wybrał w zamku: ciepłe, wygodne i tak oddalone od innych, że możemy do woli usunąć się całkowicie od wrzawy towarzystwa. Mieszkanie składało się z dwóch małych izb, pokrytych gustownym obiciem, pomieszczonych w pobliżu sali sądowej, naprzeciw mieszkania dwóch starych panien.

Po szybkiej, choć uciążliwej podróży, ciemną nocą przybyliśmy do Her... Przejeżdżamy wieś. Była niedziela. Dom zarządzającego jaśniał oświetlony od góry do dołu, słychać było melodię walca, dźwięki wesołych pieśni — a ten widok i te śpiewy sprawiły, że jeszcze smutniejszy i pustszy wydawał się nam budynek, w którym mieliśmy się zatrzymać.

Wiatr morski jęczał ponuro i głucho — a smutne sosny, zbudzone ze swej drzemki, odpowiadały mu żałosną skargą. Ponad otchłanią śniegu — unosiły się nagie, czarne ściany zamku. Wrota były zamknięte. Krzyk, trzaskanie z bicza, uderzenia młotka — nic nam nie mogło tych drzwi otworzyć. Żadnego światła byś nie dojrzał. Można by rzec, że wszystko zamarło.

Stary mój stryj krzyknął głosem surowym i groźnym:

— Franciszku, Franciszku! Gdzież ty jesteś? Do stu diabłów, ruszże się. Marzniemy tu na dworze. Śnieg nam twarz ścina. Do pioruna! Czy przychodzisz? Jakiś pies podwórzowy zaczął wyć, ukazało się chwiejne światełko, słyszeć się dało dzwonienie kluczy — i ciężkie wrota zazgrzytały na rdzawych zawiasach.

— Ach, pozdrowieni bądźcie, pozdrowieni bądźcie, panie plenipotencie. Co za brzydki czas!

Sługa

Tymi słowy witał nas Franciszek, wysoko podnosząc latarnię, tak że całe jej światło padło mu na pomarszczoną twarz, jeszcze wykrzywioną w tej chwili w sposób szczególny

[77] *plenipotent* — osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu; pełnomocnik. [przypis edytorski]
[78] *justycjariusz* — w dawnej Polsce — urzędnik sądowo-policyjny. [przypis edytorski]
[79] *skwapliwie* — chętnie i szybko. [przypis edytorski]
[80] *plenipotent* — osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu; pełnomocnik. [przypis edytorski]

życzliwym uśmiechem. Powóz wjechał na dziedziniec, zeszliśmy na ziemię — i wtedy mogłem widzieć jako całość osobliwą starego sługę, przybranego w odwieczną liberię[81] dworską z galonami[82]. Na szerokie, blade czoło opadały mu dwa loki siwych włosów, dolna część twarzy miała silne kolory, właściwe myśliwcom, i pomimo wydatnych mięśni, które jego fizjonomii nadawały pozór szczególnej maski, w jego oczach i w kroju ust był wyraz poczciwości nieco mazgajowatej.

— A zatem, mój stary Franciszku — rzekł stryj, strząsając w przedpokoju śnieg ze swego futra — czy wszystko gotowe? Dywany w moim pokoju wytrzepane? Łóżka przygotowane? Palono w piecu ogień wczoraj i dzisiaj?

— Nie — odparł Franciszek bardzo spokojnie. — Nie, panie sędzio, nic z tego nie przygotowano.

— Ależ, na miły Bóg — zawołał stryj. — Toć pisałem dość w czas[83], przybywam ściśle w dniu oznaczonym. Co za niedbalstwo! Izby moje są pewnie zimne jak lodownie.

— Pewno, panie sędzio — odparł Franciszek, obrywając starannie szczypcami ogarek, na knocie świeczki i depcząc go nogami. — Widzi pan, po co to mielibyśmy zapalać ogień? Wiatr i śnieg przenikają do tych izb przez potłuczone szyby i...

— Jak to? — zawołał stryj, przerywając Franciszkowi i odrzuciwszy poły[84] swego płaszcza, skrzyżował ramiona. Jak to? Szyby potłuczone, i ty, strażnik domu, nie wprawiłeś ich na nowo?

— Nie, panie sędzio — odrzekł stary sługa z tym samym spokojem. — Niełatwo wejść do waszego mieszkania z powodu masy kamieni i cegieł, co je zapełnia.

— Do stu diabłów! Skądże w moim mieszkaniu kamienie i cegła? Sługa

— Spełnienia życzeń, młody paniczu! — rzekł teraz Franciszek do mnie z grzecznym ukłonem, w chwili, gdym kichnął.

Po czym dodał: — Te kamienie i tynki pochodzą z muru, który tu runął podczas wielkiego rozwalenia się domu.

— Czy mieliście tu trzęsienie ziemi? — zawołał stryj gwałtownie.

— Nie, panie sędzio — odparł z uśmiechniętą twarzą Franciszek. — Ale trzy dni temu ciężkie sklepienie sali audiencjalnej runęło z wielkim hałasem.

— Co za piekło! — Stryj, człowiek prędki i gwałtowny z natury, już chciał zakląć potężnie, ale podnosząc prawą rękę do góry, a lewą zdejmując z głowy swą czapkę z lisiego futra, zatrzymał się — i zwrócił się do mnie z żywym wybuchem śmiechu:

— Prawdziwie, mój bratanku, nie należy o nic pytać, gdyż dowiemy się jeszcze, że cały zamek zapadł się pod ziemię.

— A czemuż — dodał, zwracając się do Franciszka — nie przyszło wam do głowy oczyścić i ogrzać inny pokój? Czyż nie mogliście przygotować naprędce sali audiencjalnej w głównym budynku?

— Tak właśnie zrobiliśmy — rzekł stary Franciszek, ukazując schody z miną zadowoloną i powoli wchodził na stopnie.

— Patrzcież tego dziwaka! — rzekł stryj, idąc za nim. Ruszyliśmy poprzez długie, sklepione korytarze, których mrok w tajemniczy sposób oświetlała latarnia w rękach Franciszka. Kolumny, kapitele[85], arkady zdawały się w naszych oczach krążyć po powietrzu. Obok nas sunęły olbrzymie cienie, snując się wzdłuż murów po szczególnych portretach, które zdawały się poruszać, drgać, migotać. Tajemnicze głosy — rzekłbyś — szemrały w odgłosie naszych kroków: „Nie budźcie nas, nie budźcie nas! Nas, co tu śpimy snem zaklętym, zawieszeni na tych starych kamieniach". W końcu, przeprowadziwszy nas przez długi szereg izb ciemnych i zimnych, Franciszek otworzył nam salę, w której żywy ogień kominka powitał nas, iskrząc się wesoło. Czułem się doskonale z chwilą, gdyśmy weszli do tego pokoju. Co do stryja, ten zatrzymał się pośrodku sali, obejrzał ją dokoła i głosem poważnym, niemal uroczystym, rzekł: Zamek

[81] *liberia* — rodzaj ubioru, uniformu, noszonego przez służbę. [przypis edytorski]

[82] *galon* — tu : tkana lub pleciona taśma wykonana całkowicie lub z dodatkiem metalowych nitek, przymocowana do ubrania. [przypis edytorski]

[83] *dość w czas* (daw.) — wystarczająco wcześnie. [przypis edytorski]

[84] *poła* — dolna część jednej połowy ubioru rozpinającego się z przodu, takiego jak marynarka czy frak. [przypis edytorski]

[85] *kapitele* — górna część kolumny, bezpośrednio wspierająca łuk lub sklepienie. [przypis edytorski]

— Tu będzie izba sądowa.

Franciszek, podnosząc światło tak, żeśmy na ścianie zobaczyli plamę szeroką jak drzwi, odpowiedział żałośnie:

— Tu już był sąd!

— Cóż to ci przychodzi do głowy? — rzekł stryj, zdejmując futro i przybliżając się do komina.

— Tak mi się przypomina — odparł Franciszek. Zapalił świece i otworzył salę sąsiednią, która była przygotowana dla nas. Po chwili stół obficie nakryty stał przy kominku. Stary sługa przyniósł dobrze przyrządzone potrawy, rzecz nader miła dla stryja i dla mnie, oraz wielką wazę ponczu[86], przyrządzoną na sposób północny. Znużony podróżą, stryj mój udał się do swej sypialni natychmiast po wieczerzy. Nowość i osobliwość tej wyprawy, smak ponczu — cały szereg wrażeń zbyt silnie oddziałały na mnie, abym mógł pomyśleć o spaniu. Franciszek zabrał stół, podsycił ogień i pożegnał mnie przyjaznym ukłonem.

Księżyc

Siedziałem sam w wysokiej, obszernej sali rycerskiej. Śnieżyca ustała, wicher ucichł, niebo się wypogodziło i jasny księżyc w pełni spłynął przez duże, okrągłe okno, magicznym pokrywając blaskiem wszystkie ciemne tego osobliwego gmachu zaułki, których skąpe światło świecy i komina dosięgnąć nie mogło. Jak się to jeszcze trafia w starożytnych zamkach, ściany i sufit sali ozdobione były w szczególny sposób: pierwsze pokryte ciężkimi drewnianymi taflami, drugie zaś fantastycznymi obrazami i snycerską robotą[87] pozłacaną lub na szaro pomalowaną. Z wielkich obrazów, po większej części przedstawiających dzikie sceny polowania na niedźwiedzie i wilki, wyskakiwały rżnięte z drzewa głowy ludzi i zwierząt, przyprawione do malowanego ciała tak, iż zwłaszcza przy migotliwym i drżącym blasku od ognia i księżyca całość straszliwą ożywiała się prawdą. Między tymi obrazami były wizerunki naturalnej wielkości, postacie w myśliwskim stroju kroczących rycerzy, zapewne przodków pana domu. Malowidła i rzeźby, szarawą pokryte farbą, wyraźnie nosiły piętno swej długowieczności, tym bardziej więc raziło jaśniejsze i puste miejsce na ścianie, w której było dwoje drzwi prowadzących do przyległych komnat. Przekonałem się zaraz, że i tam drzwi być musiały, które później zamurowane zostały i dlatego właśnie nowy mur tak się różnił od innych ścian dawniej pomalowanych i rzeźbą ozdobionych.

Młodość, Strach

Któż tego nie wie, jak pobyt w miejscach niezwykłych zdolny jest tajemniczą siłą opanować naszego ducha, jak najleniwsza nawet wyobraźnia budzi się wśród tej doliny otoczonej dziwacznymi skałami lub w ponurych murach kościoła i przeczuwa rzeczy nigdy wprzód niewidziane? Dodać jeszcze muszę, żem miał lat dwadzieścia i wypiłem kilka szklanek mocnego ponczu, a łatwo pojąć, jak dziwnie mi się zrobiło na sercu w owej sali rycerskiej. Wyobraźmy sobie ciszę nocy, wśród której słychać tylko szum morza i osobliwsze świsty nocnego wiatru, niby tony potężnych organów poruszanych ręką duchów, przelatujące chmury, niby jasne, świecące olbrzymy zdawały się ciekawie zaglądać przez drżące szyby sklepionych okien. W samej rzeczy, z przestrachu, który mną wstrząsał, przeczuwałem, że teraz rozpoczynają się widocznie obce rządy. Uczucie to podobne było do zimnego dreszczu, jakiego z przyjemnością doznajemy, gdy nam kto opowiada żywo i obrazowo jaką powieść o strachach. Nadto przyszło mi na myśl, że nigdy w lepszym usposobieniu nie można czytać książki, którą wówczas, jak każdy hołdujący romantyzmowi, miałem w kieszeni. Był to Schillera[88] „Duchowidz" (*Geisterseher*)[89]. Czytałem i czytałem, i coraz bardziej rozpalała się moja wyobraźnia. Stanąłem na przecudnym opisie ślubnych godów u hrabiego B. i właśnie ukazała się krwawa postać Hieronima..., gdy — ze strasznym łoskotem rozwarły się drzwi prowadzące do przedsionka. Przerażony skoczyłem do góry, książka mi z rąk wypadła, ale w tej chwili wszystko ucichło i zawstydziłem się mojego dziecinnego strachu. Być może, iż przeciągiem powietrza lub innym jakim sposobem drzwi się otworzyły, a podrażniona moja fantazja w naturalnym wypadku dopatrzyła czegoś strasznego.

[86] *poncz* — gorący napój alkoholowy na bazie herbaty i rumu. [przypis edytorski]

[87] *snycerska robota* — rzeźby w drewnie. [przypis edytorski]

[88] *Johann Christoph Friedrich von Schiller* (1759–1805) — niemiecki poeta i filozof okresu romantyzmu, autor m. in. *Ody do radości*. [przypis edytorski]

[89] *„Duchowidz" (Geisterseher)* — tytuł polskiego tłumaczenia brzmi *Spirytualista*. [przypis edytorski]

Uspokoiwszy się, podnoszę książkę z ziemi i rzucam się znowu w poręczowe krzesło. Wtem... idzie coś z cicha, z wolna, mierzonym krokiem, idzie w poprzek sali, a idąc wzdycha i jęczy. W tych westchnieniach i jękach wyrażało się najgłębsze ludzkie cierpienie, boleść niepocieszona. — Ha, pomyślałem, to zapewne jakie biedne, chore stworzenie, zamknięte gdzieś na dole, a w nocy, wiadomo, jakie powstają złudzenia akustyczne, gdy najodleglejszy szmer zwiększa się i zdaje się bliskim. Któż by się takimi rzeczami trwożył! Tak, uspokajam się na nowo, ale teraz... coś drapie się o nowy ten mur, wydając coraz głośniejsze i boleśniejsze jęki, które tylko w strasznej chwili konania słyszeć można. — Tak, to jakieś biedne, zamknięte zwierzę... Stuknę tylko mocno w podłogę i wszystko umilknie albo też zwierz z dołu wyraźniej, w naturalnym swym głosie da się słyszeć! Tak myślałem, ale krew zakrzepła mi w żyłach, zimny pot oblał mi czoło. Zdrętwiały siedziałem w fotelu, nie mogąc ani wstać, ani wydać głosu. Straszliwe drapanie ustało, kroki na nowo słyszeć się dały. Wtedy oprzytomniałem, życie wstąpiło we mnie. Podniosłem się szybko i parę kroków postąpiłem przed siebie, lecz lodowy ciąg powietrza przeszedł po sali i w tej samej chwili jasne światło księżyca padło na wizerunek jakiegoś poważnego, strasznie znakomitego męża, a z ust jego słyszałem wyraźnie, wśród odgłosu fal morskich i poświstów wichru północnego głos ostrzegający: — Ani kroku dalej, jeśli nie chcesz popaść w straszną otchłań świata duchów! Znów się drzwi z tym samym co wprzód łoskotem rozwarły i zdało mi się, że słyszę kroki w przedsionku. Ktoś schodził na dół. Główne drzwi zamkowe zaskrzypiały straszliwie i znów się zamknęły. Potem zdało mi się, jak gdyby ktoś konia wyprowadził ze stajni i po niejakim czasie znów go do stajni odprowadził... Potem wszystko ucichło. W tej chwili posłyszałem, jak mój dziadek stryjeczny wzdychał i jęczał w przyległym pokoju, to mi przywróciło przytomność, wziąłem świecę i poszedłem do niego. Staruszkowi widocznie śniło się coś strasznego. — Zbudźcie się, zbudźcie, zawołałem głośno, ścisnąwszy go za rękę i skierowawszy światło na twarz. Dziadek podniósł się z głuchym jękiem, spojrzał na mnie życzliwie i rzekł:

Duch

— Dobrze zrobiłeś, kuzynku, żeś mnie obudził. Ej, szkaradny miałem sen, a temu winne te pokoje i sala, bo musiałem zamyślić się o czasie upłynionym i o tym, co się tu działo. Ale teraz możemy już spać na dobre. Potem okrył się kołdrą i zdało się, że zasnął. Kiedy świecę zgasiłem i udałem się do łóżka, usłyszałem, że stary modlił się po cichu.

Nazajutrz wzięliśmy się do roboty. Rządca przyszedł z rachunkami, ludzie zgłaszali się z prośbą o załatwianie sporu lub innego jakiego interesu. W południe udał się ze mną dziadek do bocznego pawilonu, aby starym baronównom z wszelką atencją[90] złożyć uszanowanie. Franciszek nas zameldował, aleśmy dobrze wyczekać musieli, zanim wprowadziła nas do samego przybytku jakaś sześćdziesięcioletnia, zgarbiona, w pstre jedwabie wystrojona mateczka, która się przedstawiła jako nadworna panna ich wielmożności. Stare damy, przybrane w suknie zeszłowiecznej mody, przyjęły nas z komicznym ceremoniałem. Byłem dla nich przedmiotem wielkiego podziwienia, gdy dziadek z żartobliwą powagą przedstawił mnie jako młodego, pomagającego mu prawnika. Po ich minie widziałem, iż uważały dobro poddanych majoratu narażone na pewne niebezpieczeństwo z powodu mej młodości. Całe przyjęcie u starych dam było tak komiczne, iż nieco ochłodłem z przestrachu minionej nocy, czułem jednak w duszy, jakby mnie opanowała nieznana siła albo raczej, jakbym dotknął koła, w którym dość kroku postąpić, aby bez ratunku być zgubionym. I trzeba było mi wezwać na pomoc wszystkie siły wewnętrzne, aby się oprzeć grozie, po której chyba nieuleczalna wariacja następuje. To też nawet stare baronówny ze swymi dziwacznymi, wysoko napiętrzonymi fryzurami, ze swymi cudackimi sukniami, przystrojonymi w pióra i kolorowe wstęgi, nie wydały mi się śmiesznymi, ale raczej posępnymi i strasznymi. W ich starych, pożółkłych twarzach, w ich zmrużonych oczach chciałem wyczytać, w ich niegodziwej francuszczyźnie chciałem usłyszeć, jakim sposobem pogodziły się z niemiłymi, w zamku straszącymi istotami, a nawet potrafiły pozbyć się obawy i strachu. Dziadek, w wesołym będąc usposobieniu, swoją ironią wplątał je w tak niedorzeczną gadaninę, iż w innym humorze nie potrafiłbym się wstrzymać od głośnego śmiechu, ale jak powiedziałem, baronówny, pomimo swego paplania pozostały dla mnie strasznym widziadłem. Dziadek, co myślał, że mi sprawi przyjemność,

Młodość

[90] *atencja* — szacunek, respekt, poważanie. [przypis edytorski]

spojrzał na mnie wielce zdziwiony. Dlatego po obiedzie, gdyśmy zostali sami w swoim pokoju, nie mógł dłużej milczeć i zawołał:

— Ależ kuzynku, na miłość Boga, co ci jest? Nie śmiejesz się, nie mówisz, nie pijesz. Czyś chory, czy ci brakuje czego?

Teraz nic już nie taiłem, ale mu dokładnie opowiedziałem cały przestrach przeszłej nocy. Niczego nie zamilczałem, szczególniej też, że wypiłem wiele ponczu i czytałem „Duchowidza" Schillerowskiego. Dodałem jeszcze: — Przyznaję, że najprawdopodobniej podrażniona i wybujała wyobraźnia moja potworzyła wszystkie te zjawiska, które tylko w moim mózgu istniały. Spodziewałem się, że stryjeczny dziadek nielitościwie mnie wyśmieje za to widzenie duchów, tymczasem był bardzo poważny, wlepił oczy w podłogę, a potem szybko podniósłszy głowę, rzekł:

Sen, Upiór

— Nie znam twej książki, kuzynku, ale to pewna, że owego zjawienia duchów nie zawdzięczasz ani swej wyobraźni, ani działaniu ponczu. Wiedz, że to samo widziałem we śnie, czegoś ty doświadczył na jawie. Siedziałem sobie tak samo, jak i ty, w fotelu przy kominie, tak mi się jakoś zwidziało, ale co tobie objawiło się w odgłosach, ja to oglądałem okiem wewnętrznym, pojmując to doskonale. Tak, ujrzałem strasznego upiora, jak wszedł i bezsilny przyczołgał się do zamurowanych drzwi, jak w rozpaczy drapał się na mur, tak że krew tryskała mu z palców, jak zstąpił na dół, wyprowadził konia ze stajni i na powrót go odprowadził. Czyś słyszał, jak zapiał kogut w odległej chałupie? Wtedyś mnie obudził i wkrótce uspokoiłem się po tym diabelskim dziele niegodziwego człowieka, który zdoła zamącić spokojne życie.

Stary umilkł; nie chciałem stawiać dalszych pytań, pewny będąc, że mi wszystko wyjaśni, jeśli to uzna za właściwe. Jakoż po niejakiej chwili, nadumawszy się długo, mówił dalej:

— Teraz kiedy wiesz, co się tu święci, będziesz miał odwagę dotrzymać placu tym strachom, ale razem ze mną?

— Naturalnie — oświadczyłem — iż jestem gotów.

Duch, Odwaga, Wiara

— W takim razie — mówił staruszek dalej — na przyszłą noc będziemy czuwali. Wewnętrzny głos mi mówi, że nieczysta siła ustąpić musi, nie tak przed moją władzą duchową, jak raczej przed odwagą, polegającą na głębokim przekonaniu, że to nie jest z mej strony żaden zuchwały postępek, ale czyn śmiały i pobożny, gdy życie i ciało narażam na to, aby odpędzić potępieńca, który synów oddala od siedziby przodków. A więc nie ma co mówić o niebezpieczeństwie, ponieważ w tak silnym i zacnym przedsięwzięciu, w tak pobożnej wierze, jaką jestem przejęty, można być tylko zwycięskim bohaterem. Z tym wszystkim, niech się dzieje wola Boża i gdyby nieczysta siła pokonać mnie zdołała, to winieneś kuzynku oznajmić, żem poległ w świętej, chrześcijańskiej walce z duchem piekielnym, który tu swoje harce wyprawia. Ty zaś trzymaj się z dala. Tobie się nic nie stanie.

Wśród różnych drobnych zajęć nadszedł wieczór. Franciszek, jak w dniu wczorajszym, zastawił wieczerzę i przyniósł nam ponczu. Księżyc w pełni przyświecał pośród jasnych obłoków, morskie fale szumiały, a wiatr północny wył i potrząsał trzeszczącymi szybami w oknach. Pomimo wewnętrznego wzruszenia przymuszaliśmy się do obojętnej rozmowy. Stary położył swój zegarek na stole. Wybiła na nim dwunasta godzina. Nagle z wielkim łoskotem drzwi się otworzyły i jak wczoraj, coś wolnym i cichym krokiem sunęło przez salę, wydając głośne jęki i westchnienia. Staruszek pobladł, ale jego oczy błyszczały niezwykłym ogniem, podniósł się z fotelu i jak był wysokiego wzrostu, wyprostował się cały, a wsparłszy się lewą ręką, prawą wysunął ku środkowi sali i tu się zatrzymał. Wyglądał jak wódz dający rozkazy. Coraz głośniejsze dały się słyszeć westchnienia i jęki, i straszniej jak wczoraj zaczęło drapać się po ścianie. Wtedy stary postąpił naprzód krokiem silnym, że aż drżała podłoga i zmierzał wprost ku zamurowanym drzwiom. Stanął tuż w miejscu, gdzie coraz wściekliej drapało i zawołał podniesionym, uroczystym głosem, jakiego nigdy dawniej u niego nie słyszałem:

— Danielu, Danielu! Co tu robisz o tej godzinie?

Wtedy zadrapało jeszcze straszniej i okropniej, i dało się słyszeć głuche uderzenie, jakby coś upadło na ziemię.

— Szukaj łaski i przebaczenia przed tronem Najwyższego, tam jest twoje miejsce. Wynoś się ze świata, do którego już nigdy należyć nie możesz!

Tak mówił stary z większą niż pierwej mocą. I stało się. Jakby powietrzem przeciągnął płacz stłumiony i zmieszał się z odgłosem burzy, która właśnie srożyć się zaczęła. Wtedy starzec postąpił ku drzwiom i zatrzasnął je tak silnie, że aż się rozległo w pustym przedsionku. W jego głosie, ruchach i postawie było coś nadludzkiego, co mnie głęboką bojaźnią przejęło. Kiedy usiadł w fotelu, wzrok miał osobliwie rozjaśniony, złożył ręce i modlił się po cichu. Zaledwie kilka minut upłynęło, zapytał mnie głosem tkliwym, za serce chwytającym, który jemu tak był właściwy:

— No i cóż, kuzynku?!

Przestrachem, grozą, trwogą i świeżą bojaźnią przejęty, padłem na kolana i gorącymi zrosiłem łzami podaną mi rękę. Starzec objął mnie w ramiona i przyciskając do serca, czułym rzekł głosem:

— No, teraz możemy spać swobodnie, kochany kuzynku!

Tak się też stało i gdy następnych nocy nie wydarzyło się nam nic nieprzyjemnego, odzyskaliśmy dawną wesołość, tylko stare baronówny na tym straciły, bo zawsze pozostały trochę strasznymi ze swoim dziwacznym charakterem. Były to wszakże rozweselające straszydła, które stary umiał rozruszać w najkomiczniejszy sposób.

Na koniec, w kilka dni później, przybył baron z małżonką i licznym orszakiem myśliwych. Zjechali się zaproszeni goście i w nagle ożywionym zamku rozpoczęła się dzika wrzawa, jak wyżej było opisane. Gdy baron, zaraz po swoim przybyciu, wszedł do naszej sali, zdziwił się mocno z powodu zmienionego naszego mieszkania, rzucił posępne spojrzenie na drzwi zamurowane i szybko się odwracając, powiódł ręką po czole, jakby stamtąd chciał odegnać niemiłe wspomnienie. Dziadek mówił o spustoszeniu sali sądowej i zawalonych pokojach. Baron zganił Franciszka, że nas lepiej nie pomieścił i prosił starego bardzo uprzejmie, aby tylko rozkazał, jeśli mu w nowym mieszkaniu, które daleko jest gorsze, zbywa w czymkolwiek na wygodach, do jakich dawniej przywykł. W ogóle postępowanie barona z dziadkiem było nie tylko serdeczne, ale połączone z pewnym uszanowaniem synowskim, jak gdyby baron zostawał ze starym w pewnym stosunku pokrewieństwa. Była to jedyna rzecz, która pod pewnym względem godziła mnie z szorstkim i rozkazującym charakterem barona, a który z każdym dniem coraz więcej się uwydatniał. Na mnie albo nic, albo bardzo mało pan baron zważał. Widział we mnie zwyczajnego tylko pisarza[91]. Zaraz w początkach, gdy się zajął jakąś sprawą, chciał znaleźć niedokładność co do formy. Krew uderzała mi do głowy, już miałem się ostro odciąć, gdy dziadek się odezwał, upewniając, że ja właśnie wszystko według jego wskazania robię i że ono tylko może mieć prawne znaczenie. Gdyśmy sami zostali, gorzko się uskarżałem na barona, że coraz więcej jest mi nieprzychylny.

Szlachcic

— Wierz mi, kuzynku — odrzekł starzec — że baron, mimo swego szorstkiego usposobienia, jest najlepszym i najzacniejszym człowiekiem na świecie. I tego usposobienia, jak ci już mówiłem, nabył dopiero od czasu, gdy został posiadaczem majoratu, wprzód zaś był łagodnym i skromnym młodzieńcem. Zresztą co do niego, to wielce przesadzasz, a chciałbym wiedzieć, dlaczego ci się wydaje tak nieprzyjemnym?

Miłość

Mówiąc te słowo stary uśmiechał się szyderczo. Krew jak ukrop gorąca na twarz mi wybiła. Musiałem niezbyt jasno czytać we własnym sercu, skoro nie poznałem, że owa dziwna nienawiść zrodziła się z miłości albo raczej z ukochania istoty, która wydała mi się najmilszą i najwspanialszą, jaka kiedykolwiek ukazała się na ziemi. Tą istotą był nie kto inny, tylko sama baronowa. Gdy tylko przyjechała i szła przez pokoje w sobolowym futrze[92], które dokładnie odznaczało jej cudne kształty, mając głowę zakrytą bogatą zasłoną, zjawieniem swoim wywarła na mnie urok potężny, niczym nieprzeparty. Do tego przyczyniła się i ta okoliczność, że stare ciotki w sukniach i fontaziach[93] bardziej cudacznych niż dotąd, widziałem, dreptały koło niej z obydwu stron, szczebiocząc swoje powitania francuskie, gdy ona, baronowa, z nieopisanym wdziękiem wkoło siebie spoglądała, kłaniając się mile już temu, już owemu. A gdy jeszcze wkrótce przemówiła czystym dialektem niemieckim, to wszystko razem utworzyło tak odmienny obraz, iż fantazja mimowolnie stawiła obok niego straszne widziadło nocne. Wtedy baronowa wydała mi

[91] *pisarza* — tu: notariusz bądź kopista, osoba przepisująca dokumenty. [przypis edytorski]

[92] *sobolowe futro* — drogie futro wykonane z sobola, drapieżnego ssaka z rodziny łasicowatych . [przypis edytorski]

[93] *fontaż* — ozdoba fryzury kobiecej z koronek i wstążek upiętych wysoko nad czołem. [przypis edytorski]

się prawdziwym aniołem światła, przed którym ustępują siły piekielne. Cudnie piękna ta kobieta bardzo silne uczyniła na mnie wrażenie. Mogła mieć wówczas najwyżej lat dziewiętnaście. Niewielkiego wzrostu, prześlicznej twarzy, w której odbijała się dobroć anielska. Szczególniej też był urok nieopisany w spojrzeniu jej ciemnych oczu. Jak blady promień księżyca przemykała w nich rzewna tęsknota, a w miłym uśmiechu całe niebo marzeń i zachwytu. Można by sądzić, że jakiś ciężki smutek wtedy jej dolega, chociaż mnie się wydało, że to tylko bolesne przeczucie nieszczęśliwej przyszłości. Nie mogąc sobie wytłumaczyć tego jej usposobienia, w dziwny sposób powiązałem go z nocnym widziadłem, ukazującym się w zamku. Kobieta

Nazajutrz po przybyciu barona zebrało się towarzystwo na śniadanie. Dziadek przedstawił mnie baronowej i jak się zwykle dzieje w podobnych razach, byłem pomieszany, dawałem najniedorzeczniejsze odpowiedzi na proste pytania uprzejmej gospodyni domu, jak mi się podoba w zamku itp., tak dalece, że stare ciotki przypisując moje zakłopotanie jedynie głębokiemu uszanowaniu, jakim byłem przejęty dla pani zamku, łaskawie ujęły się za mną, wychwalając mnie po francusku, jako grzecznego i miłego młodzieńca, *un joli garçon*[94]. To mnie tak obeszło, iż oprzytomniałem i popisałem się konceptem, powiedzianym w daleko poprawniejszej francuszczyźnie, niż parlowanie[95] starych dam. Spojrzały też na mnie zdziwione i skryły swoje spiczaste nosy w tabakierkach[96]. Z pierwszego wejrzenia, jakie baronowa rzuciła na mnie, zwracając się do innej damy, poznałem, żem musiał powiedzieć jakieś wielkie głupstwo. To mnie jeszcze bardziej rozdrażniło, dlatego życzyłem starym damom, aby się gdzie w piekło zapadły.

Pasterskie[97] wzdychania i romansowe cierpienia od dawna już dziadek wybił mi z głowy, wyśmiewając je jako dziecinne niedorzeczności. Teraz jednak uczułem, że baronowa głębiej i silniej mój umysł i serce zajęła, niż jaka bądź inna kobieta. Patrzyłem na nią tylko i jej tylko głos słyszałem, chociaż czułem dobrze, iż sama myśl o jakim romansie byłaby niedarowanym szaleństwem, a niepodobna[98] było wielbić i podziwiać z daleka, jak zakochany młodzieniaszek, którego bym sam musiał się wstydzić. Zbliżyć się do tej ślicznej kobiety, nie dając jej poznać mych uczuć, pić słodką truciznę jej spojrzeń i słów. Potem z dala od niej długo, a może na zawsze mieć ją w sercu. To mogłem, to mi wolno było uczynić. Gdy ta romantyczna, prawdziwie rycerska miłość rozmarzyła mnie w nocy bezsennej, byłem do tego stopnia dziecinny, że sam do siebie mówić zacząłem, a wreszcie wzdychać żałośnie: Miłość niespełniona

— Ach, Serafino! Serafino!

Dziadek zbudził się i odezwał do mnie:

— Kuzynku, kuzynku, zdaje mi się, że marzysz za głośno! Jeśli ci się podoba, rób to we dnie, ale w nocy pozwól mi spać spokojnie.

Obeszło mnie wielce, że dziadek, który już w czasie samego przyjazdu baronowej zauważył moje wzruszenie, teraz usłyszał jej imię. Spodziewałem się, że obsypie mnie swymi sarkastycznymi żartami, ale ku wielkiemu mojemu zdziwieniu nic więcej nie powiedział, tylko nazajutrz, gdyśmy wchodzili do sali sądowej, rzekł: — Daj Boże każdemu zdrowy rozsądek i staranie, aby go w dobrym trzymał zamknięciu. Bieda to, gdy komu, ni stąd ni zowąd przyjdzie ochota wystrychnąć się na głupca.

Potem zasiadł przy dużym stole i dodał:

— Pisz, kuzynku, pięknie i wyraźnie, abym łatwo mógł czytać twoje pismo.

Uszanowanie, a nawet cześć głęboka, jaką baron okazywał mojemu stryjecznemu dziadkowi, przebijały się we wszystkim. Dlatego też musiał przy stole zajmować miejsce, którego mu niejeden zazdrościł — miejsce koło baronowej. Mnie zaś los rzucał tu i ówdzie, zwykle jednak dwóch oficerów z pobliskiego miasta brało mnie między siebie, aby mi opowiedzieć wszystkie nowinki i ucieszne miejskie wydarzenia, a przy tym wesoło wysączyć niejeden kieliszek wina. Tym sposobem przez kilka dni z rzędu siedziałem z dala od baronowej, na drugim końcu stołu, przypadek dopiero zbliżył mnie do niej.

[94] *un joli garçon* (fr.) — ładny chłopiec. [przypis edytorski]
[95] *parlowanie* — z ft. *parler*: mówić (po francusku). [przypis edytorski]
[96] *tabakierka* — pojemnik do przechowywania tabaki. [przypis edytorski]
[97] *pasterskie* — tu: sielankowe. [przypis edytorski]
[98] *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

Nim dla zebranego towarzystwa otworzono salę jadalną, rozpoczęła ze mną rozmowę i zdaje się, znalazła w niej upodobanie towarzyszka baronowej, osoba młoda, a prócz tego nie bez dowcipu. Stosownie do przyjętego zwyczaju, gdy wyruszono do stołu, wypadało mi podać jej rękę. Niemało się ucieszyłem, gdy zajęła miejsce opodal baronowej, która ją powitała wdzięcznym skłonieniem głowy. Łatwo się można domyśleć, że wszystkie moje słowa skierowane były już nie tylko do mojej towarzyszki, ale głównie do baronowej. Być może, wewnętrzne usposobienie nadawało wszystkiemu, co mówiłem, szczególniejszą podniosłość, bo moja towarzyszka coraz uważniej mnie słuchała, a w końcu dała się pociągnąć w fantastyczny świat złudzeń, który przed nią roztaczałem. Była ona, jak się powiedziało, nie bez dowcipu, toteż nasza rozmowa wkrótce się ożywiła i odłączyła od ogólnej. Goście rozmawiali o tym i o owym, nasza zaś pogadanka żyła na własną rękę i rzucała niekiedy błyskawice tam, gdzie chciałem, aby padały. Zauważyłem, że moja sąsiadka rzuciła na baronową porozumiewawcze spojrzenie i ta raczyła nam się przysłuchiwać. Szczególniej działo się tak, gdy rozmowa skierowała się na muzykę, gdym mówił z zapałem o tej uroczej i świętej sztuce, nie tając bynajmniej, iż pomimo tego, żem się oddał suchemu i nudnemu prawnictwu, nieźle gram na fortepianie, śpiewam, a nawet ułożyłem kilka pieśni.

Gdy wstano od stołu, aby przejść do pobliskich pokojów na likier i kawę, nie wiem sam jakim sposobem stanąłem przed baronową, która rozmawiała z moją sąsiadką. Zaczęła więc mówić i ze mną, ale już tym życzliwym tonem, jakiego się używa z dobrymi znajomymi. Powtórzyła dawniej zadane mi pytanie, jak mi się w zamku podoba itp. Odpowiedziałem, iż samotność miejsca, a nawet sam starożytny zamek w szczególniejszy sposób pierwszych mianowicie dni na mnie oddziałały, ale i w tych wrażeniach wiele doznałem przyjemności, tak iż teraz życzyłbym sobie tylko, abym się mógł uwolnić od owych dzikich łowów, do których nie jestem przyzwyczajony. Baronowa uśmiechnęła się i rzekła:

— Wyobrażam to sobie, że panu w naszych posępnych lasach sosnowych nie bardzo musi być przyjemnie. Pan jesteś muzykiem i jeśli się nie mylę, jesteś także poetą. Namiętnie lubię obydwie te sztuki. Gram nawet trochę na harfie, bez której teraz w K. muszę się obywać, gdyż mąż mój nie chciał, abym brała z sobą instrument, którego łagodne tony dziwnie by brzmiały wśród dzikiej wrzawy i nieustannego odgłosu rogów myśliwskich, jakie tu tylko słyszeć można. Ach, mój Boże, jakżebym rada[99] posłuchać muzyki. Muzyka

Zapewniłem ją, że wszelkich dołożę starań, aby to jej życzenie spełnić się mogło, gdyż bez wątpienia znajduje się w zamku jaki, choćby stary fortepian. Na te słowa głośno roześmiała się panna Adelajda (tak się nazywała towarzyszka baronowej) i zapytała mnie, czy nie wiem o tym, że od niepamiętnych czasów w zamku tutejszym rozlegają się tylko wrzaskliwe trąby, płaczące na znak radości rogi myśliwskie, skrzeczące skrzypce, rozstrojone basy i beczące oboje przechodnich muzykantów. Baronowa przecież nie odstępowała od swego życzenia, chciała posłuchać muzyki, a i mnie przy tym. Dlatego wraz z Adelajdą gubiły się w pomysłach, skąd by jaki fortepian wydobyć. W tej właśnie chwili stary Franciszek kroczył poważnie przez salę. Muzyka

— Oto człowiek, jakiego nam potrzeba: on na wszystko znajdzie radę, nawet na rzeczy niemożliwe.

Mówiąc te słowa, panna Adelajda wezwała go i gdy mu tłumaczyła, o co rzecz idzie, baronowa przysłuchiwała się z założonymi rękami i główką naprzód pochyloną, patrząc z miłym uśmiechem staremu w oczy. Prześlicznie wtedy wyglądała, podobna do pięknego dziecka, które by rade[100] jak najprędzej mieć w ręku upatrzoną zabawkę.

Franciszek swoim zwyczajem długo się namyślał, wyliczając mnóstwo przyczyn, że to prawie niepodobieństwo[101], aby naprędce wystarać się o instrument tak rzadki, wreszcie przymilająco pogłaskawszy się po brodzie, rzekł:

[99] *rad* (daw.) — chętny. [przypis edytorski]
[100] *rad* (daw.) — chętny. [przypis edytorski]
[101] *niepodobieństwo* (daw.) — coś niemożliwego. [przypis edytorski]

— Ależ pani rządczyni, tam na wsi, wybija wcale niepospolicie na klawicymbałach[102] czy też, jak je tam z cudzoziemska inaczej nazywają — ten instrument, co to przy nim śpiewają także tak żałośnie i czule, że oczy się z płaczu czerwienią niby od cebuli, a przy tym chciałoby się skakać na obydwie nogi...

— To ona ma fortepian? — przerwała mu panna Adelajda.

— A jużci, mówił stary, prosto z Drezna sprowadzony, jakiś...

— Pysznie, wybornie! — zawołała baronowa.

— Jakiś piękny instrument — ciągnął stary dalej — ale to bieda, że trochę za słaby, bo jak organista śpiewał:

„We wszystkich czynach moich…" uderzył tak silnie, że...

— Ach, mój Boże! — zawołała baronowa i panna Adelajda, że...

— Że wszystko trzeba było z wielkim kosztem do miasta odstawić do reperacji...

— Ale już od reperacji sprowadzono? — zapytała niecierpliwie panna Adelajda.

— A jużci, wielmożna panienko, i pani radczyni będzie sobie uważała za zaszczyt...

W tej chwili przechodził baron. Zdziwił się widząc nas razem i szepnął baronowej z szyderskim uśmiechem: Sługa

— Czy Franciszek znów dobrych rad udziela?...

Baronowa zarumieniła się i spuściła oczy, a Franciszek, przestraszony, umilkł i stał jak żołnierz wyprostowany ze spuszczonymi na dół rękami. Nadciągnęły stare ciotki w swych jedwabnych sukniach i uprowadziły baronową ze sobą. Za nimi poszła i panna Adelajda. Zostałem, jak oczarowany. Nie posiadałem się z radości, że zbliżę się do niej, do mojej ubóstwianej, co zawładła całą moją istotą, złościłem się tylko na barona, który mi się wydał dzikim despotą. Bo czyż nie był taki? Czemuż stary, osiwiały sługa tak niewolniczo musiał się zachowywać?

— Słuchaj no! Spojrzyj przecie na mnie — zawołał stryjeczny dziadek, trącając mnie po ramieniu. Poszliśmy na górę do swoich pokojów.

— Nie ciśnij się tak bardzo do baronowej — rzekł do mnie, gdyśmy byli sami. — Po co ci? Zostaw to młodym fircykom[103], tak chętnym do nadskakiwania, a na nich nie zbywa!

Opowiedziałem dziadkowi, co zaszło i zapytuję, czy zasługuję na jego wymówki? Nic na to nie odpowiedział, tylko: „hm, hm", włożył na siebie szlafrok, zapalił fajkę i usadowiwszy się wygodnie w fotelu, najspokojniej mówił o wczorajszych wypadkach na polowaniu, żartując sobie ze mnie, żem tyle razy spudłował.

W zamku nastała cisza: panowie i panie zajęci byli strojami. Owi muzykanci z rzępolącymi skrzypcami, rozstrojonymi basami i wrzaskliwymi obojami, o których mówiła panna Adelajda, przybyli właśnie i w nocy miał być, ni mniej, ni więcej, tylko bal najformalniejszy. Mój staruszek wolał spoczynek niż zabawę, pozostał więc w swoim pokoju. Ja zaś przeciwnie, wybrałem się na bal. Byłem właśnie już gotów, kiedy z cicha zapukano do drzwi i wszedł Franciszek. Oświadczył mi z uśmiechem, że tylko co sprowadzono na saniach klawicymbały[104] od pani rządczyni i wniesiono do pokoju jaśnie wielmożnej baronowej. Panna Adelajda kazała mnie prosić, abym tam zaraz przyszedł. Można sobie wyobrazić, jak mi pulsa[105] biły, z jakim wzruszeniem otwierałem pokój, w którym ją znalazłem. Panna Adelajda życzliwie mnie powitała. Baronowa, zupełnie na bal ubrana, siedziała zamyślona przed tajemniczym pudłem, w którym drzemały tony, które ja dopiero zbudzić miałem. Powstała, a piękność jej takim zajaśniała blaskiem, iż długo patrzyłem na nią, nie mogąc słowa wymówić.

— A teraz, Teodorze (według przyjętego na północy zwyczaju, który również i na odległym południu spotykamy, nazywała każdego po imieniu), instrument już mamy — rzekła do mnie uprzejmie. — Daj Boże, aby się okazał godnym pańskiego talentu.

---

[102]*klawicymbał* — dawny instrument muzyczny, klawiszowy, strunowy, w kształcie fortepianu, w którym dźwięk wydobywał się poprzez naciśnięcie klawisza, który powodował szarpnięcie struny piórkiem. [przypis edytorski]

[103]*fircyk* —lekkoduch, modniś, elegant. [przypis edytorski]

[104]*klawicymbał* — dawny instrument muzyczny, klawiszowy, strunowy, w kształcie fortepianu, w którym dźwięk wydobywał się poprzez naciśnięcie klawisza, który powodował szarpnięcie struny piórkiem. [przypis edytorski]

[105]*pulsa* (daw.) — tętno. [przypis edytorski]

Skorom tylko pokrywę otworzył, zachropotało mnóstwo strun pozrywanych, a gdym uderzył akord, dały się słyszeć jakieś niesforne, straszliwe głosy. Struny, które pozostały, były rozstrojone.

— Znowu widać organista ze swymi delikatnymi rączkami — zawołała, śmiejąc się, panna Adelajda. Baronowa zaś rzekła ze smutkiem:

— Ach, to prawdziwe nieszczęście! Ja tu widać najmniejszej przyjemności znaleźć nie mogę!

Przepatrzyłem[106] schowanka instrumentu i szczęśliwym trafem znalazłem kilka zwitków strun, ale klucza nigdzie odszukać nie było można. Nowe żale! A kiedy powiedziałem, że każdy klucz zwyczajny może się tu przydać, byle jego ząb przystawał[107] do kołeczków, wtedy baronowa i panna Adelajda, ucieszone, zaczęły biegać tu i ówdzie, tak że w niedługim czasie naznosiły mi cały stos różnych stalowych kluczyków.

Teraz zabrałem się pilnie do roboty: panna Adelajda, a nawet baronowa szczerze mi pomagały, próbując każdego klucza. Jeden z nich zaczął nieźle naciągać. Obie głośno objawiły swą radość. Wtem zasyczała struna i pękła, przestraszone cofnęły się.

Baronowa swymi delikatnymi rączkami przerzuca ostre druciane struny i podaje mi numery, jakich potrzebuję. Gorliwie trzyma rolki, które ja rozwijam, ale te znów się zwijają. Baronowa się niecierpliwi, panna Adelajda się śmieje, a ja tymczasem idę za rozwijającym się kłębkiem w kąt pokoju i wszyscy razem staramy się całą strunę wydobyć, ale i ta, wyciągnięta, zrywa się. Na koniec, po wielu niemałych trudach, właściwe struny się dobrały i z bezładnego brzęczenia wydobywały się czyste i dźwięczne akordy.

— Wybornie, wybornie — zawołała baronowa, spoglądając na mnie z miłym uśmiechem. — Fortepian się dostraja.

Wspólne te zabiegi i trudy razem podjęte szybko rozpędziły chłodną powściągliwość, jakiej etykieta wymaga. Powzięliśmy ku sobie wzajemną ufność, która jak iskra elektryczna wstrząsnęła mną i skruszyła ten straszny przymus, co jak kamień ciążył mi na piersiach. Ów szczególny patos, który zwykle ukazuje się w podobnym do mojego zakochaniu, zupełnie mnie opuścił, toteż gdy fortepian został jako tako nastrojony, zamiast w fantazji wyrazić moje uczucia, jak to sobie wprzód ułożyłem, zacząłem grać owe miłe canzonetty[108], które do nas z południa się dostały. A kiedym śpiewał: *Senza di te… Sentimi idol mio…*[109] Albo też: *Almen se non poss'io*[110] i po raz setny: *Morrirmi sento*[111]… a jeszcze: *Adio*[112]… i *Oh dio*[113]… wzrok Serafiny stawał się coraz jaśniejszy. Siadła tuż przy mnie, Miłość
około fortepianu. Oddech jej dotykał mojej twarzy. Kiedy oparła rękę na poręczy mego krzesła, biała wstążka, która się odczepiła od balowego stroju, spadła na moje ramiona i poruszana tonami muzyki i westchnieniami Serafiny przelatywała ode mnie do niej, niby wierny poseł miłości! Dziwna rzecz, że nie postradałem zmysłów. Gdy namyślając się nad nową piosenką, dobierałem akordy, powstała panna Adelajda, która sobie w kącie pokoju siedziała, przybiegła do baronowej, uklękła przed nią, a ujmując obie dwie jej ręce i przyciskając do piersi, zawołała:

— Kochana baronowo, Serafinko droga! Teraz ty musisz zaśpiewać.

Baronowa na to:

— Co też ty mówisz, Adelajdo, jakże bym śmiała występować z moim biednym głosem obok naszego wirtuoza?

Jakże cudnie wyglądała, podobna do miłego, wstydzącego się dziecka, gdy ze wzrokiem spuszczonym, zarumieniona, walczyła między ochotą a obawą. Łatwo się domyśleć, Śpiew
jak ją błagałem i gdy wspomniała o ludowych piosenkach kurlandzkich, dopóty prosiłem, aż zaczęła dobierać tony na fortepianie, szukając niby przygrywki. Chciałem jej miejsca ustąpić przy fortepianie, ale nie pozwoliła, upewniając mnie, że ani jednego akordu wziąć

[106] *przepatrzyć* —tu: przeszukać. [przypis edytorski]
[107] *przystawać* — tu: pasować. [przypis edytorski]
[108] *canzonetta* — krótka, popularna forma muzyczna z XVI i XVII w.; wywodzi się z Włoch. [przypis edytorski]
[109] *Senza di te… Sentimi idol mio…* (wł.) — bez ciebie... usłysz mnie, moja kochana. [przypis edytorski]
[110] *Almen se non poss'io* (wł.) — Jeśli nie mogę, przynajmniej..., kompozycja Vincenza Belliniego do anonimowych słów. [przypis edytorski]
[111] *Morrirmi sento* (wł.) — czuję, że umieramy. [przypis edytorski]
[112] *Adio* (wł.) — żegnaj. [przypis edytorski]
[113] *Oh dio* (wł.) — Och, Boże. [przypis edytorski]

nie potrafi, dlatego też lęka się, że głos jej bez akompaniamentu wyda się słaby i niepewny. I zaczęła miłym, wdzięcznym głosem śpiewać jakąś piosenkę, której prosta melodia, tak właściwa owym pieśniom ludowym, co tak z głębi serca płyną, iż w jasnym ich blasku, który nas olśniewa, uznać musimy wyższą poetyczną naszą naturę. Jakiś tajemniczy urok zawiera się w prostych wyrazach, które zmieniają się w niewysłowione hieroglify i serce nam wypełniają. Któż nie przypomina sobie owej hiszpańskiej piosenki, której treść wyrażona w słowach jest mniej więcej taka: „Z moją dzieweczką płynę po morzu, a potem burza powstaje. A moja dzieweczka, przelękła, słania się to w tę, to w ową stronę! Nie, już nie popłynę po morzu z moją dzieweczką! Toż samo i piosnka baronowej nie więcej mówiła: „Niedawno tańczyłam na weselu z moim narzeczonym i wypadł mi kwiatek z włosów, on go podniósł, a oddając mi, powiedział: Kiedyż, o moja dziewczyno, będziem znów na weselu?" Kiedy przy drugiej zwrotce tej piosenki dobrałem akordy i w zapale, który mnie ogarnął, schwyciłem z ust baronowej melodię następnej, to wydałem się jej i pannie Adelajdzie tak wielkim artystą, że zasypały mnie pochwałami.

Pozapalane światła w sali balowej, leżącej w bocznym pawilonie, wniknęły i do pokoju baronowej, a wrzaskliwe odgłosy trąb i rogów zapowiadały, że już czas udać się na bal.

— Ach, muszę już tam iść — rzekła smutnie baronowa.

Powstałem od fortepianu.

— Panu zawdzięczam tę przecudną godzinkę, którą zaliczę do najmilszych chwil, jakie w K. przeżyłam. — Mówiąc to, baronowa podała mi rękę, gdy ją w najwyższym zachwycie do ust przyciskałem, czułem, jak przyśpieszone tętna uderzały w jej palcach. Nie wiem już potem, jak się dostałem do pokoju dziadka, a następnie poszedłem na bal.

Żył niegdyś Gaskończyk[114], który lękał się walki, bo każda rana miała być dla niego śmiertelną, gdyż cały był sercem. Do niego mogłem się i ja, i każdy w moim usposobieniu porównać, bo tu każde wzruszenie staje się śmiertelnym. Ręka baronowej, jej pałające palce, dotknęły mnie jak zatrute strzały. Krew wrzała mi w żyłach.

Dziadek, chociaż wcale się mnie nie wypytywał, zaraz nazajutrz wystąpił z historią wieczora, który z baronową przepędziłem. Dotknęło mnie to wielce, ale opowiadał wesoło, śmiejąc się. Nagle spoważniał i rzekł:

Miłość, Muzyka

— Proszę cię, kuzynku, przestań tej niedorzeczności, która cię tak silnie opanowała. Wiedz o tym, że twoje postępowanie, jakkolwiek zdaje się być niewinne, może mieć nieprzyjemne następstwa. Stanąłeś w niebacznym[115] szale na cienkim lodzie, który załamie się pod tobą i ani się spostrzeżesz, jak wpadniesz do wody. Nie będę cię wstrzymywał za połę, bo wiem, że byś znów dostał zawrotu głowy i na śmierć się rozchorował. Trochę kataru można dostać we śnie, ale złośliwa gorączka, skoro się uczepi twego życia, to i lata przeminą, a nie przyjdziesz do siebie. Niech diabli porwą twoją muzykę, jeśli nie potrafisz lepszego z niej zrobić użytku, jak zamącać spokój wrażliwym i delikatnym kobietom.

— Ależ — przerwałem dziadkowi — nigdy mi na myśl nie przyszło zakochać się w baronowej!

— Błaźnie! — krzyknął stary — Gdybym się o tym dowiedział, to bym cię oknem wyrzucił.

Baron przerwał nam nieprzyjemną rozmowę, a rozpoczęta jakaś sprawa oderwała mnie od miłosnych wrażeń, w których Serafinę tylko widziałem i o niej marzyłem. W towarzystwie kiedy niekiedy rzuciła mi kilka uprzejmych słów, ale nie minął żaden wieczór, żeby nie przyszedł do mnie tajemny poseł od panny Adelajdy, który mnie wzywał do Serafiny. Tak się już potem złożyło, że rozmowa przeplatała muzykę. Panna Adelajda nie była już zbyt młodziutka, aby się okazywać tak naiwną i roztargnioną. Wyrywała się zwykle z jakim wesołym konceptem wtedy właśnie, kiedyśmy się z Serafiną zagłębiali w sentymentalne przeczucia i nieokreślone marzenia. Z wielu szczegółów mogłem poznać, że baronową trapi jakiś wewnętrzny niepokój, który zauważyłem w jej usposobieniu, gdy ją po raz pierwszy zobaczyłem. Teraz wpływ zamkowego upiora nagle mi się wyjaśnił. Ileż to razy chciałem Serafinie powiedzieć, jak mnie przeraził niewidzialny wróg, jak go dziadek mój wypędził zapewne na zawsze, ale krępował mnie samego jakiś przestrach, ile razy chciałem otworzyć usta.

[114] *Gaskończyk* —mieszkaniec lub ktoś pochodzący z Gaskonii, historycznej dzielnicy Francji. [przypis edytorski]

[115] *niebaczny* — nieostrożny. [przypis edytorski]

Pewnego dnia nie było baronowej przy stole na obiedzie. Mówiono, że jest chora i z pokoju wychodzić nie może. Z troskliwością pytano barona, czy choroba jest niebezpieczna. Ten uśmiechnął się ponuro, jakby z szyderstwem, i rzekł:

— Nic strasznego, nabawił ją lekkiego kataru wiatr morski, który widocznie nie może tu znosić żadnego słodkiego głosiku, żadnych innych tonów, prócz chrapliwego hallo myśliwskiego.

Mówiąc te słowa baron, a właśnie siedziałem naprzeciwko niego, rzucił na mnie przeszywające spojrzenie. Do mnie więc mówił, nie do sąsiada. Obok mnie była panna Adelajda, ta zarumieniła się cała, wlepiła oczy w talerz przed nią stojący, a bawiąc się i stukając widelcem, szepnęła mi:

— Jeszcze dziś zobaczysz Serafinę, jeszcze dziś słodkie twe piosenki uspokoją chore jej serce.

Gdy Adelajda wymówiła te słowa, naraz[116] zdało mi się, jakobym zostawał z hrabiną w nieczystych, zakazanych stosunkach miłosnych, które strasznie może zbrodnią skończyć się mogły. Ostrzeżenie dziadka zaciężyło mi na sercu. Cóż teraz miałem czynić? Nie widzieć jej więcej? Dopóki w zamku zostawałem, było to niepodobieństwem, a gdybym chciał opuścić zamek i wrócić do miasta — także nie mogłem. Ach, zbyt mocno czułem, abym nie miał dość siły zbudzić się z marzenia, które mnie kołysało fantastycznym szczęściem miłości. Adelajda wydała mi się jak zwyczajna stręczycielka, chciałem nią wzgardzić.... a przecież, namyśliwszy się, zawstydziłem się swojego głupstwa. Czyliż w naszych błogosławionych godzinach wieczornych, w tych poufnych stosunkach z Serafiną zaszło co takiego, na co zwyczaj i przyzwoitość nie pozwala? Jakże mogłem przypuszczać, że baronowa żywi dla mnie jakie uczucie? A jednak byłem przeświadczony o niebezpieczeństwie mojego położenia.

Wcześnie wstawano od stołu, gdyż jeszcze miało być polowanie na wilki, które pokazały się tuż pod samym zamkiem. Polowanie to przypadło mi na rękę, powiedziałem więc dziadkowi o moim zamiarze. Uśmiechnął się zadowolony i rzekł do mnie:

— To dobrze, że się raz rozruszasz, ja w domu zostaję. Możesz wziąć moją fuzję. Przypasz także kordelas[117], w niebezpieczeństwie jest to dobra i pewna broń, jeżeli się tylko przytomność zachowa.

Polowanie

Część lasu, w której wilki miały swoje legowisko, otoczyli strzelcy. Było strasznie zimno, wiatr łomotał drzewami, a śnieg bił nie żartem w oczy tak, iż przy zapadającym zmroku zaledwie na sześć kroków przed sobą widziałem. Zziębły porzuciłem stanowisko i schroniłem się w głąb lasu. Wziąwszy fuzję pod pachę, oparłem się o jakieś drzewo i zapomniałem o polowaniu. Myśl poniosła mnie do Serafiny, do jej ustronnego pokoju. Wtem z daleka padły strzały i w tej samej chwili coś poruszyło się w zaroślach trzcinowych, i na jakieś dziesięć kroków od siebie ujrzałem ogromnego wilka, który chciał koło mnie przebiec. Zmierzyłem, wystrzeliłem... i chybiłem, byłbym więc zgubiony, gdybym nie miał tyle przytomności, iż wydobyłem kordelas i bestii, która mnie rozszarpać chciała, wpakowałem go w gardło, krew trysnęła i obryzgała mi rękę i ramię. Jeden ze strzelców barona, który stał niedaleko ode mnie, nadbiegł przerażony. Na powtórzony sygnał myśliwski wszyscy koło nas się zebrali. Przystąpił do mnie baron.

Niebezpieczeństwo

— Na miłość Boską, pan we krwi broczysz? Czyś raniony?

Upewniłem go, że nic mi się nie stało. Wtedy napadł na strzelca, który był przy mnie i wyrzucał mu, że nie wystrzelił, kiedy ja chybiłem. A chociaż ten usprawiedliwiał się, że to było niemożliwe, ponieważ wilk w tej samej chwili rzucił się na mnie, tak iż strzał mógł mnie dosięgnąć, baron przecież przy swoim obstawał utrzymując, że powinien był czuwać nade mną, jako nad mniej doświadczonym myśliwym. Tymczasem strzelcy podnieśli wilka. Był to ogromny zwierz, jakiego od dawna nie widziano. Dziwili się wszyscy mojej odwadze i stanowczości, chociaż mój postępek wydał mi się bardzo naturalny, bo nie pomyślałem nawet o niebezpieczeństwie, na jakie się narażam. Szczególniej baron okazywał mi swoje współczucie, nie przestał mnie wypytywać, czy wilk mnie nie skaleczył i czy nie lękam się złych skutków z przestrachu?

---

[116]*naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

[117]*kordelas* —broń biała, długi prosty lub zakrzywiony nóż myśliwski do skłuwania i patroszenia upolowanej zwierzyny. [przypis edytorski]

Powrócono do zamku, baron wziął mnie pod rękę jak najlepszego swego przyjaciela, strzelbę poniósł strzelec. Mówił wciąż o moim bohaterskim czynie, tak że w końcu ja sam uwierzyłem w swoje bohaterstwo. Pozbyłem się nieśmiałości i uczułem, że stanąłem na równi z baronem, jako człowiek odważny i przytomny. Student szczęśliwie złożył egzamin. Nie było już studenta. Wszelkie nieprzyjemności nowicjuszowstwa zniknęły. Zdało mi się, że nabyłem prawa starać się o względy baronowej. Któż nie wie, do jak niestatecznych marzeń zdolna jest fantazja zakochanego młodzieńca? Na zamku, przed kominem, przy dymiącej wazie ponczu, zastałem bohatera dnia tego, gdyż oprócz mnie tylko baron jeden powalił ogromnego wilka, inni zaś, zwalając swoje pudła na niepogodę i ciemność, poprzestali na opowiedzeniu strasznych historii o doświadczonym niegdyś na polowaniu szczęściu lub przebytych niebezpieczeństwach. Spodziewałem się, że dziadek mnie pochwali i podziwiać będzie. W tej nadziei opowiedziałem mu cały wypadek dosyć szeroko, nie zapomniawszy jaskrawymi odmalować barwami krwiożerczego spojrzenia dzikiej bestii. Staruszek tymczasem roześmiał mi się w nos i rzekł:

— Bóg potężny czuwa nad słabymi.

Znużony piciem i towarzystwem, gdy sunąłem przez korytarz do sali sądowej, ujrzałem przed sobą jakąś postać, która przemknęła ze światłem w ręku. Wszedłszy do sali, poznałem, że to była panna Adelajda.

— A to jak duch jaki lub upiór trzeba się włóczyć, aby cię odszukać, mój panie, pogromco wilków.

Słowa duch — upiór, wymówione w tych miejscach, niemiłe uczyniły na mnie wrażenie. Naraz stanęły mi przytomnie w umyśle owe straszliwe zjawiska nocne. Wówczas dął wiatr morski w potężne organy, szyby w oknach przeraźliwie brzęczały, księżyc rzucał bladawe światło na ową tajemniczą ścianę, na której dało się słyszeć drapanie. Zdało mi się, że dostrzegam na niej krwawe ślady. Panna Adelajda, która mnie ciągle za rękę trzymała, musiała poczuć te zimne dreszcze, które mnie przejmowały, bo zawołała z cicha:

— Co panu jest? Kostniejesz cały. Potrafię cię ożywić. A wiesz pan, że baronowa wcale się nie spodziewa ujrzeć pana? Nie chce dać wiary, że w istocie wilk pana nie rozszarpał. Dręczy się okropnie. Ach, mój przyjacielu, cóż żeś to z Serafinki uczynił? Jeszcze jej nigdy w podobnym usposobieniu nie widziałam. A... jak teraz szybko puls bije! Otóż zmarły jegomość nagle zmartwychwstał. No chodźże pan, tylko po cichu...

I milcząc, dałem się prowadzić. Sposób, w jaki mówiła Adelajda o baronowej, zdał mi się niegodnym, a szczególnie wzmianka o naszym porozumieniu się. Kiedy wszedłem z Adelajdą do pokoju, ciche: „ach" wyrwało się Serafinie. Postąpiła ku mnie trzy czy cztery kroki, potem jakby opamiętawszy się, stanęła na środku pokoju. Odważyłem się ująć jej rękę i do ust przycisnąć. Baronowa nie cofając ręki, mówiła:

— Mój Boże, czy to pańskie powołanie mierzyć się z wilkami? Czy pan nie wiesz o tym, że bajeczne czasy Orfeuszów[118], Amfionów[119] już dawno minęły? Dzikie bestie nie znają dziś najmniejszego uszanowania dla najznakomitszego artysty!

Ten piękny zwrot, którym baronowa pokryła żywe współczucie dla mnie i opaczne jego tłumaczenie, przywrócił mi przytomność umysłu, zapanowałem nad sobą. Sam już nie wiem, jak się to stało, że nie usiadłem, jak zwykle, przy fortepianie, ale zająłem miejsce na kanapie obok baronowej. Słowami: „I jakże się pan wydobył z niebezpieczeństwa?" — zawiązała się jakby umowa, że na dziś nie muzyką, ale rozmową się zajmiemy. Gdy opowiedziałem mój wypadek w lesie i wspomniałem o serdecznej dla mnie życzliwości barona, jakiej się po nim nie spodziewałem, baronowa odrzekła miękkim, prawie smutnym głosem:

Przeczucie

— Jakkolwiek wydaje się on panu porywczym i szorstkim, wierzaj mi pan, że takim w istocie nie jest. Zmienia swój charakter, a przynajmniej sposób postępowania, skoro tylko przybędzie w te posępne mury... Najwięcej go rozstraja myśl ciągle prześladująca, że tu stanie się coś strasznego, jakieś wielkie nieszczęście. Dlatego pański wypadek na polowaniu, który, dzięki Bogu, żadnych złych nie pociągnął skutków, silnie go wstrząsnąć musiał. Na najmniejsze niebezpieczeństwo nie chce narazić najlichszego sługi swego, a cóż dopiero miłego, niedawno pozyskanego przyjaciela. Jestem też pewna, że Gotlib,

Polowanie, Hańba

[118] *Orfeusz* (mit. gr.)—tracki śpiewak i poeta. Według legendy jego muzyka potrafiła skłonić do słuchania nawet dzikie zwierzęta. [przypis edytorski]

[119] *Amfion* (mit. gr.) — syn Zeusa i królewny tebańskiej Antiope, król Teb, muzyk i poeta. [przypis edytorski]

któremu przypisuje winę pańskiego przypadku, ukarany będzie jeśli nie więzieniem, to wstydem, gdyż bez fuzji, a tylko z pałką będzie mu wolno przyłączyć się do orszaku myśliwych. Już to, że podobne polowania nigdy bez wypadku obejść się nie mogą, już to, że sam baron, chociaż się lęka jakiego nieszczęścia, ciągle kusi jednak złego ducha, rozkosz w tym znajdując. Dość, że to wszystko sprawia pewien przewrót w jego życiu, który i na mnie przykro oddziaływa. Opowiadają dziwne rzeczy o przodku barona, który majorat ustanowił, a wiem dobrze, że jakaś tajemnica rodzinna w tych murach się ukrywa, jakaś straszna przeszkoda wypędza stąd właścicieli, dozwalając im tu przebywać przez krótki zaledwie czas i to wśród dzikiej, głośnej wrzawy. Ale ja jakże samotna jestem wśród tych hałasów! Posępność wiejąca tu ze wszystkich ścian przenika mnie do głębi duszy. Pan, drogi przyjacielu, swoim talentem dał mi pierwsze pogodne chwile, jakich tu zaznałam. Jakżem ci za to serdecznie wdzięczna!

Ucałowałem podaną mi rękę i powiedziałem, że i ja pierwszego dnia, albo raczej pierwszej nocy, doświadczyłem w tych murach przykrego, prawie strasznego wzruszenia. Baronowa nie spuszczała ze mnie oka, gdy wstrząśnięcie całego zamku, a szczególnie rujnacji w sali sądowej przypisywałem ciągle wiejącym wiatrom morskim. Być może, iż w moim głosie było coś takiego, co kazało się domyślać czegoś więcej, niż powiedziałem — dość, że kiedym umilkł, baronowa pośpiesznie zawołała:

— Nie, nie! Musiało się panu wydarzyć coś innego jeszcze w tej sali, do której nigdy bez pewnej trwogi nie wchodzę. Zaklinam pana, powiedz mi wszystko.

Z bladej twarzy Serafiny, podobniejszej do martwej niż żywej, zmiarkowałem, że lepiej będzie opowiedzieć jej dokładnie całe wydarzenie, aniżeli dozwolić wzburzonej wyobraźni przedstawić ową przeszkodę, z nieznanych mi powodów daleko straszniejszą niż w istocie. Słuchała mnie uważnie i przerażenie jej zwiększało się coraz bardziej. A kiedy mówiłem o owym drapaniu się po ścianie, wykrzyknęła:

— Ależ to okropne! Tak, w tym murze ukrywa się jakaś straszna tajemnica.

Gdy potem opisałem, jak dziadek siłą swego ducha pokonał moc nieczystą, odetchnęła głęboko, jakby wielki ciężar spadł jej z piersi. Nachyliła się i w dłoniach ukryła twarz swoją. Teraz dopiero spostrzegłem, że Adelajda wyszła i nas samych zostawiła. Dawno skończyłem opowiadanie, a Serafina wciąż milczała. Wstałem więc po cichu, usiadłem przy fortepianie i dźwięcznymi akordami usiłowałem wywołać weselsze myśli, które by ją wywiodły z ciemnych otchłani, w jakie ją pogrążyły moje słowa. Zanuciłem potem, jak mogłem najrzewniej śliczną canzonę[120] opata Stefaniego. Owe pełne tęsknoty słowa: *Occhi perche piangete*[121] zbudziły Serafinę ze smutnej zadumy. Zaczęła mnie słuchać z miłym uśmiechem, chociaż łzy w oczach miała. A potem... jak to się stało — nie pamiętam, padłem przed nią na kolana, ona się do mnie skłoniła, objąłem ją w ramiona i długi, gorący pocałunek spłonął na moich ustach... Jak to się stało, że zmysłów nie postradałem, gdym uczuł, gdy mnie lekko do siebie przycisnęła? Nie wiem, jak wypuściłem ją z moich objęć i szybko powstawszy, wróciłem do fortepianu. Odwróciła głowę ode mnie i kilka kroków postąpiła do okna, nagle przybrawszy postawę dumną, jakiej wprzód nigdy u niej nie widziałem, zbliżyła się do mnie, a przenikająco spojrzawszy mi w oczy, rzekła:

Pocałunek

— Dziadek pański jest bardzo zacny starzec, prawdziwy to anioł naszej rodziny. Oby zechciał nie zapominać o mnie w swej pobożnej modlitwie.

Nie byłem zdolny wyrzec ani jednego słowa. Zgubna trucizna, którą wyssałem z owych pocałunków, budziła się i wrzała we wszystkich tętnach, we wszystkich moich nerwach. Panna Adelajda weszła. Wściekłość wewnętrznej walki spłynęła we łzach gorących, których powstrzymać nie byłem w stanie. Adelajda zdziwiona spojrzała na mnie i uśmiechnęła się dwuznacznie. Byłbym ją udusił ze złości. Baronowa podała mi rękę i rzekła z nieopisaną dobrocią:

— Żegnam cię, drogi przyjacielu. Pamiętaj pan, że nikt lepiej nie rozumiał pańskiej muzyki ode mnie.

Ach, te słowa będą długo, długo dźwięczały w mej duszy.

Wyjąkałem kilka, bez związku, niedorzecznych wyrazów i pobiegłem do mieszkania. Dziadek już spoczywał. Zatrzymałem się w sali, padłem na kolana i głośno płakać

[120] *canzona* (wł.) — pieśń liryczna, zwł. włoska. [przypis edytorski]

[121] *Occhi perche piangete* (wł.) — oczy, dlaczego płaczecie? [przypis edytorski]

zacząłem, wzywając imienia ukochanej, jednym słowem, oddałem się wszystkim niedorzecznościom miłosnego szału. Dopiero wezwanie dziadka, który się zbudził, opamiętało mnie.

— Kuzynku, ja myślę, żeś albo zwariował, albo znów potykasz się z wilkiem. Ruszaj mi zaraz do łóżka, jeżeliś łaskaw!

Wezwanie to poskutkowało. Udałem się na spoczynek, postanowiwszy sobie marzyć o Serafinie.

Mogło już być około północy, a jeszcze nie spałem. Zdało mi się, że słyszę oddalone głosy, jakieś przebieganie tam i na powrót, otwieranie i zamykanie drzwi. Zacząłem nadstawiać ucha i usłyszałem przez korytarz zbliżające się kroki. Drzwi od sali otworzyły się i zapukano do naszego pokoju.

— Kto tam? — zawołałem głośno. Z zewnątrz dało się słyszeć:

— Panie justycjariuszu, panie justycjariuszu, obudź się pan.

Poznałem głos Franciszka i gdy zapytałem, czy się pali — już dziadek obudził się i zawołał:

— Gdzie się pali? Czy piekielne sztuczki już się rozpoczynają?

— Ach, wstań pan, panie justycjariuszu — mówił Franciszek — pan baron prosi pana do siebie.

— Czego pan baron chce ode mnie w nocy? — pytał dziadek dalej — Czy pan baron nie wie, że justycjariat wraz z justycjariuszem śpią w łóżku? Prawnik

— Ach — przerwał Franciszek smutnie. — Jaśnie pani baronowa umiera. Zerwałem się z łóżka z przerażającym krzykiem.

— Otwórz drzwi Franciszkowi — zawołał na mnie dziadek.

Bezprzytomny słaniałem się po pokoju, nie mogąc ani drzwi, ani zamku znaleść. Dziadek musiał mi pomóc. Wszedł Franciszek blady i pomieszany i zapalił świece. Zaledwieśmy się trochę przyodzieli, usłyszeliśmy samego barona odzywającego się z sali.

— Czy mogę z tobą pomówić, kochany panie V...?

— Po coś ty się ubrał kuzynie, wszak baron mnie tylko potrzebuje — pytał mnie dziadek, domyślając się mojego zamiaru.

— Pójdę tam, muszę ją zobaczyć, a potem umrę! — rzekłem głucho, zgnębiony straszną boleścią.

— A... to tak... masz słuszność, kuzynku. Powiedziawszy te słowa, stary trzasnął mi drzwiami przed nosem, że aż ściany zadrżały i na klucz je zamknął.

W pierwszej chwili, oburzony tym gwałtem, chciałem drzwi wysadzić, ale pomyślawszy, jak fatalne mogłoby to pociągnąć za sobą skutki, postanowiłem czekać na dziadka i wtedy, bądź co bądź, wydobyć się spod jego przemocy. Każda chwila stawała się dla mnie śmiertelna. Wreszcie usłyszałem, jak po barona przyszedł posługacz i ten natychmiast udał się za nim. Dziadek wrócił do pokoju.

— Ona umiera — zawołałem, biegnąc naprzeciwko niego.

— A tyś zwariował — odparł spokojnie. Schwycił mnie i posadził na krześle.

— Ja pójdę tam — krzyczałem. — Muszę ją zobaczyć, choćby mnie to życie kosztować miało.

— Zrób to, kochany kuzynku. — rzekł dziadek, zamykając drzwi na klucz i chowając go do kieszeni.

Wtedy ogarnęła mnie wściekłość, porwałem za broń nabitą i zawołałem:

— W twoich oczach, dziadku, w łeb sobie wypalę, jeśli mi zaraz drzwi nie otworzysz.

Dziadek stanął tuż przy mnie i rzekł, patrząc mi w oczy, jakby mnie chciał przeniknąć swym wzrokiem:

— Czy ty myślisz, chłopcze, że mnie zastraszysz swoją nędzną pogróżką? Czy ty myślisz, że twoje życie wiele znaczy u mnie, kiedy je pragniesz dla dziecinnego głupstwa porzucić jak nieużyteczną zabawkę? Co ty możesz mieć do czynienia z żoną barona? Kto ci dał prawo, abyś jak fircyk jaki wciskał się tam, gdzie nie powinieneś i gdzie nic sobie z ciebie nie robią? Czy chcesz odgrywać rolę zakochanego pasterza w uroczystej chwili śmierci? Samobójstwo Kochanek romantyczny

Zgnębiony padłem na krzesło. Po niejakiej chwili mówił dalej dziadek, już nieco łagodniejszym głosem:

— A przy tym dowiedz się, że prawdopodobnie baronowej żadne nie grozi niebez- Choroba

pieczeństwo, tylko panna Adelajda wszystko przesadza. Jeśli jej kropelka wody na nos spadnie, to zaraz użala się na straszną niepogodę. Na dobitkę wrzawa ta, jakby wśród pożaru, doszła uszu starych ciotek. Te z płaczem przybiegły, opatrzone całym arsenałem rzeźwiących kropli, eliksirów długiego życia i Bóg wie czego. A tu zwykły napad mdłości...

Dziadek zatrzymał się. Widział jak walczyłem ze sobą. Przeszedł się kilka razy po pokoju, stanął znów przede mną, roześmiał się serdecznie i rzekł:

— Kuzynku, kuzynku, cóż ty za głupstwa wyprawiasz? No — to widać nic innego, tylko diabeł w różny sposób swoje sztuczki płata. Samochcąc wpadłeś mu w pazury, teraz harce z tobą wyprawia.

Znów przeszedł kilka kroków i mówił dalej:

— Sen już przepadł, cóż robić? Może by nieźle było wypalić fajkę i tak spędzić parę godzin, nim zadnieje.

Powiedziawszy to, zdjął ogromną fajkę ze ściennej szafy, nałożył ją z wolna, nucąc sobie po cichu jakąś piosenkę, potem wyszukał między papierami ćwiartkę papieru, rozdarł ją, zrobił fidibus[122] i zapalił. Wypuszczając gęste kłęby dymu, rzekł od niechcenia:

— No, kuzynku, jakże to było z tymi wilkami?

Nie umiem wypowiedzieć, jak ta jego spokojność w dziwny sposób oddziałała na mnie. Zdało mi się, jakbym wcale nie był w K. Baronowa była ode mnie tak daleko, że ledwie myśl skrzydlata mogła za nią pogonić. Ostatnie przecież słowa rozdrażniły mnie wielce:

— Czyliż i moja przygoda na polowaniu jest tak zabawna, iż zasługuje na szyderskie żarciki?

Pycha, Pojedynek

— Ależ bynajmniej, panie kuzynku — odrzekł dziadek. — Tylko nie uwierzysz, jak to komicznie wygląda, gdy taki młokos, jak ty, śmiesznie się nadyma, iż Bóg dobrotliwy w szczególniejszej swej łasce wydobył go z nieszczęśliwego wypadku. Miałem towarzysza na uniwersytecie. Był to człowiek łagodny i rozsądny. Otóż przypadkiem zaplątał się w jakąś sprawę honorową i chociaż go wszyscy bursze[123] mieli za wielkiego tchórza, postąpił sobie z taką stanowczością i odwagą, iż powszechne wzbudził uwielbienie. Ale od tego czasu zupełnie się odmienił. Z pilnego i spokojnego młodzieńca stał się przechwalcą i nieznośnym zawadiaką. Bawił się, hulał i bił o lada drobnostkę, aż wreszcie senior jednego ze stowarzyszeń uniwersyteckich, które publicznie obraził, wyzwał go na pojedynek i zabił. Opowiadam ci to kuzynku, ot tak sobie. Możesz myśleć, co ci się podoba. Wracając znów do choroby baronowej...

W tej chwili dało się słyszeć ciche stąpanie po sali i zdało mi się, że żałosne westchnienie rozeszło się w powietrzu.

— Ona tam jest!

Jakaś myśl straszliwa błysnęła mi w głowie.

Dziadek nagle powstał i zawołał głośno:

— Franciszku, czy to ty jesteś?

— Tak, łaskawy panie justycjariuszu — odpowiedział stary za drzwiami.

— Franciszku — mówił dalej dziadek — zapalcie trochę ognia na kominie i jeśli można, przygotujcie parę filiżanek dobrej herbaty. Diabelnie zimno — zwrócił do mnie mowę — a przy kominku wybornie możemy sobie pogawędzić.

Dziadek drzwi otworzył, poszedłem za nim machinalnie.

— Co tam się dzieje na dole? — zapytał znowu.

— E — odpowiedział Franciszek — nic ważnego nie było, jaśnie pani baronowa znów jest zdrowiuteńka. Miała jakiś sen nieprzyjemny, od którego dostała lekkiego napadu mdłości.

Byłbym wykrzyknął z radości, gdyby mnie nie powstrzymał surowy wzrok dziadka.

— Tak — mówił stary dalej — w gruncie rzeczy byłoby lepiej, gdybyśmy jeszcze parę godzinek przespali.

— Bądźcie tylko tak dobrzy Franciszku, nie zapomnijcie o herbacie.

---

[122] *fidibus* — złożony kawałek papieru, niekiedy nawoskowany, służący do zapalania fajki. [przypis edytorski]

[123] *bursz* (z niem.) — członek korporacji studenckiej. [przypis edytorski]

— Rozkaz pański, panie justycjariuszu, będzie spełniony — odpowiedział Franciszek i wyszedł z sali, życząc nam dobrej nocy, chociaż koguty już piały.

— Posłuchaj no, kuzynku — rzekł dziadek, wytrząsając fajkę w kominie — jakie to szczęście, żeś się tak pięknie wywinął i z wilkami, i z fuzjami nabitymi.

Teraz wszystko dobrze zrozumiałem i zawstydziłem się, że dałem dziadkowi powód do postąpienia ze mną jak z niesfornym dzieciakiem.

— Bądź tak dobry, kuzynku — mówił do mnie nazajutrz — zejdź na dół i dowiedz się, jak się miewa baronowa. Zapytaj się tylko panny Adelajdy, a złoży ci pewno biuletyn dokładny.

Łatwo się można domyśleć, z jakim pośpiechem wybiegłem. W chwili jednak, gdy miałem zapukać do przedpokoju baronowej, nagle spotkałem się oko w oko z baronem. Stanął zdziwiony, mierząc mnie przeszywającym wzrokiem.

— Czego pan tu chcesz? — zapytał porywczo.

Chociaż mi serce silnie uderzyło w piersi, odpowiedziałem jednak spokojnie:

— Na zlecenie dziadka przyszedłem dowiedzieć się o zdrowie jaśnie pani.

— Nie było żadnego niebezpieczeństwa. Zwykły atak nerwowy. Teraz śpi lekko i jestem pewny, że zdrowa i rzeźwa zasiądzie z nami do stołu. Powiedz pan to dziadkowi, powiedz.

Baron mówił te słowa z pewnym namiętnym pośpiechem, co zdawało mi się wskazywać, że troskliwszym jest o zdrowie żony, niż by to chciał okazać. Chciałem już odejść, gdy nagle baron schwycił mnie za rękę i rzekł, patrząc na mnie płomienistym wzrokiem:

— Mam z tobą do pomówienia, młodzieńcze.

Czyż nie widziałem przed sobą ciężko obrażonego małżonka? Nie należałoż mi lękać się jakiej sceny, która by z ujmą mego honoru skończyć się mogła? Byłem bezbronny, ale w tejże chwili przypomniałem sobie o składanym myśliwskim nożu, który mi dziadek dopiero w K. podarował. Miałem go właśnie przy sobie.

Poszedłem więc za szybko postępującym przede mną baronem, z tym silnym postanowieniem, że wcale życia jego nie będę oszczędzał, jeśliby miał w ubliżający sposób ze mną postępować.

Weszliśmy do pokoju. Baron drzwi za sobą zamknął. Teraz zaczął żywo się przechadzać, założywszy ręce. Potem stanął przede mną i znów powtórzył:

— Chciałem z tobą pomówić, młodzieńcze!

Jakaś szalona śmiałość wstąpiła we mnie, odpowiedziałem więc wyniosłym tonem:

— Spodziewam się, że to będą słowa, których bez obrazy słuchać mogę.

Baron spojrzał na mnie zdziwiony, jakby mnie nie rozumiał. Ponury wzrok wlepił w ziemię, a założywszy z tyłu ręce, znów zaczął przechadzać się po pokoju.

Broń

Wziął strzelbę, podniósł i włożył w nią stempel, jakby się chciał przekonać, czy jest nabita. Krew mi w żyłach zakipiała, ścisnąłem nóż i zbliżyłem się tuż do barona, aby mu przeszkodzić, jeśli by chciał do mnie mierzyć.

— Śliczna broń — rzekł baron, stawiając fuzję w kącie.

Odstąpiłem parę kroków. Baron poszedł za mną, a trącając mnie w ramię silniej niż to jest zwyczajem, rzekł:

— Muszę ci się wydawać wzburzonym i pomieszanym, panie Teodorze? Tak jest w istocie, od tysiącznych niepokojów na czuwaniu spędzonej nocy. Napad nerwowy mojej żony nie miał w sobie nic niebezpiecznego, widzę to dziś dobrze, ale wczoraj... tu, w tym zamku, w którym jakiś ciemny duch jest zaklęty, lękałem się jakiego strasznego wypadku, a zresztą po raz pierwszy w tym zamku zachorowała. I... pan jesteś temu jedynie winien.

— Jak się to stać mogło? Nie domyślam się — odrzekłem spokojnie.

— O — mówił baron dalej — oby to przeklęte pudło rządczyni połamało się na tysiączne kawałki, żebyś był pan... ale nie, nie... Tak powinno było, tak musiało się stać, ja sam wszystkiemu jestem winien. Do mnie należało wtenczas, kiedyś pan zaczął grywać w pokoju mej żony, ostrzec pana o całym stanie rzeczy, o usposobieniu jej umysłu...

Zrobiłem minę, jakbym chciał odpowiedzieć:

Muzyka, Choroba

— Pozwól mi pan mówić — zawołał baron. — Muszę się naprzód ubezpieczyć przed pośpiesznym pańskim wyrokiem. Będziesz mnie uważał za człowieka dzikiego, nienawidzącego sztuk pięknych. I omylisz się, gdyż tylko wzgląd oparty na głębokim przeświad-

czeniu zmusza mnie do wzbronienia tu, o ile można, przystępu wszelkiej muzyce, co każdy umysł, a zatem i mój, pociąga i wzrusza. Dowiedz się pan, że moja żona choruje właśnie ze zbytniego wzruszenia, które w końcu wszystkie rozkosze życia zatruć może. W tych murach przebywając, zostaje ona ciągle w jakimś podnieconym, rozdrażnionym usposobieniu, które zwykle szybko przemija, albo też niekiedy jest poprzednikiem większej choroby. Zapytasz mnie pan, i nie bez pewnej słuszności, dlaczego tak delikatną kobietę narażam na mieszkanie w tym ponurym miejscu, wśród dzikiej, myśliwskiej wrzawy? Nazwij to pan słabością, jeśli ci się podoba, ale wyznaję, że niepodobna mi jej samej zostawić. Wśród ciągłych obaw, nie byłbym zdolny przedsięwziąć nic ważniejszego, ponieważ straszliwe obrazy różnego rodzaju przypuszczeń prześladowały mnie zarówno w lesie, jak w sali sądowej... Nadto byłem zdania, że dla słabej kobiety takie jak tu pożycie posłuży właśnie jak wzmacniająca kąpiel żelazna. W samej rzeczy wiatr morski, który po swojemu tęgo dzwoni po sosnowym lesie, stłumione warczenia brytanów, śmiałe i trzeźwe odgłosy rogów myśliwskich, powinny tu mieć pierwszeństwo nad roztkliwiającymi trelami fortepianu, którego żaden mąż nie powinien dotykać, ale pan się uwziąłeś, aby moją żonę systematycznie na śmierć zamęczyć.

Baron wymówił to z pewnym naciskiem, rzucając dzikie spojrzenie. Krew biła mi do głowy, wyciągnąłem ku niemu rękę, chciałem się usprawiedliwić, ale nie dał przyjść do słowa.

— Wiem, co pan chcesz powiedzieć — mówił znów dalej. — Wiem, a jednak powtarzam, żeś pan o mało co mojej żony o śmierć nie przyprawił. Bynajmniej panu z tego nie robię wyrzutu, ale pojmujesz dobrze, że muszę temu zaradzić. Jednym słowem, doprowadzasz mi pan żonę do egzaltacji swoją grą i śpiewem, a w dodatku, gdy ona się unosi po bezdennym morzu sennych widziadeł, które jak złośliwy czarnoksiężnik wywołujesz swą muzyką, strącasz ją potem w przepaść, opowiadając o straszliwym duchu, który miał cię nagabywać w sali sądowej. Pański dziadek wszystko mi powiedział, ale powtórz mi pan, proszę, coś widział albo nie widział, coś słyszał, czuł, czegoś się domyślał.

Zebrałem myśli i opowiedziałem spokojnie, co zaszło od samego początku do końca. Baron rzucał tylko od czasu do czasu jakie słowo, wyrażając swe zdziwienie. Kiedy doszedłem do tego, że dziadek z pobożną odwagą stawił czoło nieczystej sile i odpędził ją potężnymi słowami, baron złożył ręce i wznosząc je do nieba, zawołał:

— To opiekuńczy anioł rodziny! Oby w grobie przodków naszych spoczęły jego śmiertelne zwłoki!

Skończyłem.

— Danielu! Danielu, co tu robisz o tej godzinie? — szeptał baron do siebie, przechadzając się po pokoju z założonymi rękami.

— Więcej pan baron nie ma nic do rozkazania? — zapytałem głośno, chcąc się oddalić.

Baron ocknął się, jak z głębokiego snu, ujął życzliwie moją rękę i rzekł:

— Kochany przyjacielu, musisz uratować mi żonę, której mimowolnie tak złą uczyniłeś przysługę. Pan tylko sam możesz to uczynić.

Poczułem, że się rumienię, i gdybym miał zwierciadło przed sobą, to pewno bym ujrzał twarz bardzo głupio zakłopotaną. Baron zdawał się cieszyć moim pomieszaniem i długo nie spuszczał ze mnie oka, uśmiechając się szyderczo.

— Jakże mam się wziąć do tego? — wybełkotałem wreszcie z wielką trudnością.

— Ależ — przerwał mi baron — nie masz pan tak bardzo niebezpiecznego pacjenta. Teraz ja pragnę korzystać z pańskiego talentu. Ponieważ baronowa raz została wciągnięta w zaczarowane koło pańskiej muzyki, więc byłoby nierozsądkiem, a nawet okrucieństwem nagle wyrywać ją z niego. W wieczornych godzinach będziesz pan zawsze z przyjemnością witany w pokojach mojej żony, tylko bądź łaskaw stopniowo przechodzić do coraz silniejszej muzyki, łącząc rzeczy wesołe z poważnymi, a przy tym i nade wszystko powtarzaj jej pan często opowiadanie o straszącej *przeszkodzie*. Baronowa przyzwyczai się do tego, zapomni, że owa przeszkoda w zamku się znajduje i cała ta historia nie większe na niej czynić będzie wrażenie, jak każda inna cudowna bajeczka, którą by znalazła w jakim romansie lub zajmującej książce o duchach. Uczyń to, kochany przyjacielu.

Duch, Strach

Powiedziawszy to, baron pożegnał mnie. Byłem zgnębiony, upokorzony w głębi swej duszy, uważano mnie tu jako nic nieznaczącego, głupiego chłopca. I ja, szalony, mnie-

małem, że zazdrość jego piersi rozdziera, a on sam wyprawia mnie do Serafiny, widząc we mnie posłuszne swej woli, bezmyślne narzędzie, którego używa lub które odrzuca według upodobania. Przed kilku minutami lękałem się barona, poczuwając się w głębi serca do winy, ale ta wina dawała mi poczuć życie wyższe, wspanialsze, do którego się piąłem. Teraz wszystko czarna noc pochłonęła i widziałem tylko chłopca, który w dziecinnej przewrotności kładł sobie na rozpaloną głowę papierową koronę, uważając ją za prawdziwą, złotą. Pośpieszyłem do dziadka, który już czekał na mnie.

— A cóż to kuzynku, gdzie tak długo bawiłeś? — zawołał na mnie z daleka.

— Rozmawiałem z baronem — odpowiedziałem szybko i cicho, nie śmiejąc spojrzeć dziadkowi w oczy.

— A, do stu katów! — rzekł dziadek, niby zdziwiony — Tego się nie spodziewałem. Zapewne baron wyzwał cię na pojedynek?

Z głośnego śmiechu dziadka poznałem, że i tym razem, jak zwykle, do gruntu mnie przeniknął. Zaciąłem zęby, nie odpowiedziałem ani słówka, nie chcąc narażać się na uszczypliwe docinki, które już igrały na ustach dziadka.

Baronowa ukazała się przy stole w ślicznym, białym ubraniu, świeżością swoją przewyższającym śnieg padający. Wyglądała blada i znużona. Gdy jednak mówiąc swym cichym i melodyjnym głosem, podniosła czarne oczy, wtedy słodkie, tęskne pragnienie błyskało z przyćmionego ich żaru i przelotny rumieniec krasił jej lica liliowe. Była piękniejsza niż kiedykolwiek.

Miłość niespełniona, Gniew

Któż zbada wszystkie szaleństwa młodzieńca z zapaloną głową i sercem? Gorzką nienawiść, jaką powziąłem do barona, przeniosłem na baronową. Wszystko wydało mi się jak świętokradzka jakaś mistyfikacja. Chciałem więc pokazać, żem przy zdrowych zmysłach i że mam przenikliwszy wzrok od innych. Jak nadąsane dziecko unikałem baronowej i chowałem się przed ścigającą mnie Adelajdą. Przy stole znalazłem miejsce na samym końcu, między dwoma oficerami, z którymi zacząłem tęgo popijać. Po obiedzie trąciliśmy jeszcze niejeden kieliszek i jak się to zwykle dzieje w podobnym usposobieniu, byłem nadzwyczaj wesoły i hałaśliwy. Służący podał mi talerz z cukierkami, na których był podpis *od Adelajdy*, a gdy wziąłem jeden z nich, postrzegłem dopisane drobniutkimi literami: *i Serafiny*. Krew zawrzała mi w żyłach. Spojrzałem na Adelajdę; ta, zrobiwszy filuterną minkę, wzięła kieliszek w rękę i lekko ku mnie skłoniła głową. Prawie mimo woli wyszeptałem po cichu: Serafina. Podniosłem kieliszek i wypiłem go jednym haustem. Wzrok mój pobiegł ku niej, postrzegłem, że i ona w tej samej chwili wypróżniła swój kieliszek i stawiała go właśnie na stole. Oczy jej spotkały się z moimi i jakiś zły duch szepnął mi do ucha: — Szalony, wszak ona cię kocha!

Alkohol

Jeden z gości powstał i według północnego zwyczaju wzniósł zdrowie pani domu. Kielichy zadzwoniły głośno wśród wesołej wrzawy. Radość i zwątpienie przejmowały mnie na przemian. Wino rozpłomieniło mnie do reszty tak, iż wszystko kręciło się w koło. Zdało mi się, że wobec wszystkich padnę u jej nóg i ducha wyzionę.

— Co panu jest? — to zapytanie sąsiada upamiętało mnie, ale Serafina zniknęła.

Wstaliśmy od stołu. Chciałem zaraz odejść, Adelaida mocno mnie trzymała. Mówiła ze mną o różnych rzeczach. Słuchałem, ale nie rozumiałem ani słówka. Ujęła mnie za obie ręce i z głośnym śmiechem coś do ucha szeptała. Bezwładnością skrępowany, stałem głuchy i niemy. Wiem tylko, że machinalnie wziąłem z rąk Adelaidy kieliszek likieru i wypiłem go, że znalazłem się sam przy oknie, potem wybiegłem z sali na schody i podążyłem do lasu. Śnieg padał gęstymi płatami, ponure sosny jęczały wichrem miotane. Jak szalony biegałem po lesie, wykrzykując: hej! ha! Snadź[124] diabeł wyprawiał ze mną swój taniec.

Nie wiem, jak by się te szaleństwa skończyły, gdybym nie usłyszał, że mnie po imieniu wołano. Wypogodziło się już, księżyc jasno przyświecał przez poszarpane chmury; doleciało naszczekiwanie psów. Jakaś dziwaczna postać zbliżała się do mnie. Był to stary strzelec.

— Hej, hej, kochany panie Teodorze — wołał stary — toć pan zabłądził w tę straszną zawieruchę, a pan justycjariusz od dawna oczekuje pana z wielką niecierpliwością.

Milcząc, poszedłem za strzelcem. Zastałem dziadka pracującego w sądowej sali.

[124] *snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

— Dobrze zrobiłeś — rzekł do mnie na samym wejściu. — Bardzo dobrze, żeś się trochę przewietrzył i porządnie ochłodził. Nie pijże tak dużo wina, jesteś do tego jeszcze za młody, to ci szkodzi.

Ani słowa nie odpowiedziawszy dziadkowi, zasiadłem przy stole do pisania.

— Powiedz mi też, kochany kuzynku, czego właściwie chciał baron od ciebie?

Opowiedziałem mu wszystko, dodawszy, iż wcale nie myślę dać się użyć do tej wątpliwej zresztą kuracji, jaką sobie baron zamierzył.

— I nie byłaby możliwa do wykonania — przerwał mi dziadek — ponieważ, mój kuzynku, odjeżdżamy jutro raniuteńko!

I tak się stało. Serafiny więcej już nie widziałem.

*

Choroba, List

Zaledwie wróciliśmy do miasta, zaczął się dziadek uskarżać, że więcej niż kiedykolwiek czuje się strudzony uciążliwą jazdą. Posępne milczenie, przerywane często wybuchami złego humoru, było zapowiedzią jego podagrycznych[125] ataków. Pewnego dnia nagle wezwano mnie do niego. Zastałem staruszka tkniętego silnym atakiem, leżał na posłaniu pozbawiony mowy, trzymając w kurczowo ściśniętej dłoni jakiś list zgnieciony. Poznałem pismo rządcy majoratu K... , przecież nie śmiałem przez uszanowanie wyjmować listu z ręki dziadkowi, nie wątpiąc, że wkrótce umrze. Jednakże zanim jeszcze lekarz przyszedł, pulsa uderzyły na nowo. Silna natura siedemdziesięcioletniego starca tym razem pokonała śmierć. Tego samego jeszcze dnia oświadczył lekarz, iż wszelkie niebezpieczeństwo minęło.

Zima była sroższa niż zwykle. Po niej nastąpiła burzliwa wiosna, a ponieważ żadna choroba tyle od pogody nie zawisła[126], co podagra[127], więc staruszek przez długi czas nie mógł wstać z łóżka. W tymże czasie złożył wszystkie swoje sprawy, wycofał się z interesów, odstępując justycjariat w inne ręce. Zniknęła więc dla mnie nadzieja, abym kiedykolwiek do K... pojechał.

Dziadek tylko ode mnie przyjmował posługę, ja go pielęgnowałem, moja tylko rozmowa mogła go rozerwać i rozweselić. A chociaż w chwilach wolnych od cierpień w wybornym był humorze i nie zbywało mu na dowcipnych żartach, chociaż przypominał sobie i myśliwskie przygody, a wśród nich wystąpić przecież mogło owe wilczysko, które tak heroicznie zabiłem. Nigdy przecież ani jednym słówkiem nie uczynił wzmianki o naszym pobycie w K... . Zdawał się nie spostrzegać nawet, że tylko przez winne mu uszanowanie wystrzegałem się skierować na to rozmowę.

Dar, Krew

Ciągle troski i obawy o dziadka usunęły na stronę obraz Serafiny, ale skoro zaczął do zdrowia przychodzić, gdy choroba zupełnie minęła, tym częściej i żywiej przypominały mi się owe chwile spędzone w pokoju baronowej, która ukazała się mym oczom jak świetna gwiazda i niestety zniknęła na zawsze. Pewna jednak okoliczność wzbudziła na nowo dawniejsze cierpienia, przejmując mnie dreszczem, niby zjawisko z tamtego świata. Kiedy pewnego wieczoru otworzyłem pugilares[128], który nosiłem przy sobie, bawiąc w K... , z zawiniętego papieru wypadł mi pukiel ciemnych włosów, związanych białą wstążką, która — od razu to poznałem — należała do Serafiny. Bliżej przypatrując się temu pakiecikowi, dostrzegłem ślad kropli krwi. Być może, że Adelajda doręczyła mi tę pamiątkę w chwilach bezprzytomnego szału, który w ostatnich dniach mnie ogarnął, ale co znaczy na niej krew? To każe mi się domyślać czegoś strasznego i ten zakład prawie pasterskiej[129] czułości zmienił się na pamiątkę namiętności, którą okupić musiała krew serdeczna. Była to ta sama wstążka, która po raz pierwszy zbliżyła mnie do Serafiny, przelatując od niej do mnie, jakby w zabawie swawolnej, dziś staje się dla mnie smutnym posłem śmierć zwiastującym. Nie igrać chłopcu z bronią, której niebezpieczeństwa nie poznał.

[125] *podagryczny* — dotyczący dny moczanowej, rodzaju zapalenia stawu, zazwyczaj u palucha u stopy. [przypis edytorski]

[126] *nie zawisła* (daw.) — nie zależy. [przypis edytorski]

[127] *podagra* — dna moczanowa, rodzaj zapalenia stawu, zazwyczaj u palucha u stopy. [przypis edytorski]

[128] *pugilares* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

[129] *pasterski* — tu: sielankowy. [przypis edytorski]

Wreszcie przestały szumieć wichry wiosenne, lato odzyskało swe prawa i jak wpierw była nieznośna zima, tak teraz z początkiem lipca nastały mżące gorąca. Dziadek odzyskiwał siły widocznie i tak już czuł się dobrze, iż przeniósł się ze mną do zamiejskiego ogrodu, jak to dawniej zwykł był czynić. Pewnego pogodnego i ciepłego wieczoru siedzieliśmy w wonnej jaśminowej altanie. Dziadek był nadzwyczajnie wesoły, tylko nie występował jak dawniej z docinającą ironią, ale był łagodny, prawie rzewny.

— Nie wierzysz, kuzynku — rzekł do mnie — jak mi dziś błogo. Od wielu lat nie czułem się tak zdrów, jak w tej chwili. Jakieś elektryczne ciepło całego mnie przenika. Byłożby to zapowiedzią rychłej śmierci?

Usiłowałem rozpędzić te smutne myśli.

— Dobrze, dobrze — mówił znów dziadek. — Długo ja przecież na tej ziemi nie zabawię i dlatego winienem ci kuzynku, jeden dług spłacić. Czy pamiętasz tę jesień, kiedyśmy w K... bawili?

Jak błyskawica olśniło mię to zapytanie dziadka i nim zdobyłem się na odpowiedź, on już mówił dalej:

— Bogu widać się tak podobało, abyś tam wystąpił w szczególniejszy sposób i mimowolnie wcisnął się w najgłębsze tajemnice domu. Teraz nadszedł czas, abyś o wszystkim się dowiedział. Często mówiliśmy ze sobą o rzeczy, której domyślałeś się tylko, aleś jej nie rozumiał. Natura przedstawia w życiu ludzkim pewne symboliczne podobieństwo do zmian w porach roku: tak mówią wszyscy, ale ja inaczej rozumiem to, niż wszyscy. Na wiosnę mgły padają, w lecie pary unoszą się w górę, dopiero jesienią czysty eter pozwala nam widzieć jasno oddalone obrazy, nim je byt ziemski pochłonie w zimowej nocy. Sądzę, że w jasnowidzeniu starców okazuje się szczególniej niezbadana siła. Są to jakby dozwolone spojrzenia w błogosławioną dziedzinę, do której ze śmiercią czasową rozpoczyna się pielgrzymka. Jakże jasnymi wydają mi się wszystkie ciemne punkty w stosunkach tego domu, z którym łączyły mnie więzły ściślejsze, niż zwykłego pokrewieństwa. Wszystko wyraźnie stoi przed oczyma mej duszy, a przecież, gdy baczniej się zastanawiam, postrzegam tu coś takiego, czego nie potrafię ci słowami wypowiedzieć, czego niezdolna żadna mowa ludzka wyrazić. Posłuchaj mnie, mój synu, opowiadać ci będę jakby jakąś ciekawą historię, która wydarzyć się mogła. Zachowaj w głębi duszy to przekonanie, iż pełne tajemnicy wydarzenia, w których niepowołany może wziąłeś udział, zgubić cię mogły! Dziś... wszystko już do przeszłości należy.

Starość, Proroctwo

Historia

Historię majoratu K... , którą mi dziadek opowiedział, wiernie zachowałem w pamięci, tak iż jestem w stanie powtórzyć własnymi jego słowami, zwłaszcza, że mówiąc o sobie zwykle używał trzeciej osoby.

Pewnej burzliwej nocy, w jesieni roku 1760, ogromny huk, jakby się cały obszerny zamek w tysiączne sztuki rozpadał, zbudził ze snu głębokiego strwożonych mieszkańców. W mgnieniu oka wszyscy byli na nogach. Pozapalano światła. Z trwogą w zbladłej twarzy nadleciał zadyszany marszałek dworu, dźwigając pęk kluczy. Ale jakież było wszystkich zdziwienie, gdy w głębokiej ciszy słychać było tylko szczęk zamków z trudnością się otwierających i odgłos kroków strasznym echem odbijający się wśród pustych korytarzy sal i pokojów, a nigdzie najmniejszego śladu zniszczenia. Straszne przeczucie ogarnęło marszałka. Pobiegł do sali rycerskiej, w której bocznym gabinecie zwykle sypiał baron Roderyk K., gdy się oddawał astronomicznym pracom. Z owego gabinetu do astronomicznej wieży prowadziło wąskie przejście. Skoro tylko Daniel (tak się zwał marszałek) drzwi od wieży uchylił, wiatr, wyjąc straszliwie, zasypał go gruzem i ułamkami cegły. Z przerażenia w tył się rzucił. Świece wypadły mu z ręki i sycząc, pogasły. Wśród ciemności zawołał strasznym głosem:

Śmierć

— O, Boże wielki, baron został przywalony!

W tej chwili dały się słyszeć jęki wychodzące z sypialnego pokoju barona. Daniel zawołał na służbę, aby podniosła trupa swego pana. Znaleziono go zupełnie ubranego, nawet bogaciej niż zwykle. Z twarzą poważną i niezmienioną siedział w wielkim, ozdobnym, poręczowym krześle, jakby spoczywał po ciężkiej pracy.

Gdy się rozwidniło, postrzeżono, że szczyt wieży zawalił się. Potężne kwadratowe płyty kamienne przebiły sufit i podłogę astronomicznego pokoju i wraz z wystającą teraz ogromną belką padły na dolne sklepienie, druzgocząc część muru zamkowego i owo

wąskie przejście. Ani kroku nie można było uczynić teraz za drzwi z sali prowadzące, bez narażenia się na wpadnięcie w przepaść głęboką najmniej na stóp osiemdziesiąt[130].

Stary baron przepowiedział śmierć swoją, oznaczając niemal jej godzinę i zawiadomił o tym swoich synów. Toteż zaraz nazajutrz przyjechał Wolfgang von K., najstarszy syn zmarłego, a tym samym dziedzic majoratu. Polegając na przeczuciu swego starego ojca, skoro tylko odebrał od niego fatalny list, porzucił natychmiast Wiedeń, w którym czasowo przebywał i pośpieszył do K. Marszałek domu kazał obić kirem wielką salę i złożyć starego barona na wspaniałym łożu, w tym samym ubraniu, w jakim go martwym znaleziono. Wkoło poustawiano wysokie srebrne lichtarze z pozapalanymi świecami. Milcząc, wszedł Wolfgang na schody, udał się wprost do sali i stanął tuż przy zwłokach ojcowskich, a założywszy ręce na piersi, ze ściągniętymi brwiami wpatrywał się ponuro w blade oblicze nieboszczyka. Podobny był do posągu: ani jedna łza nie zwilżyła mu oka. Wreszcie z kurczowym prawie wysileniem wznosząc prawą rękę nad trupem, zawołał przytłumionym głosem: Czy gwiazdy cię zmusiły, żeś zabił szczęście syna, którego kochałeś? Rozłożywszy ręce i cofnąwszy się nieco, wzniósł oczy do góry i szeptał rozrzewniony: — Biedny, obłąkany starcze, kuglarska zabawka ze swymi dziecinnymi złudzeniami już cię więcej nie mami. Widzisz teraz jasno, że nędzna posiadłość ziemska nie ma nic wspólnego ze światem poza gwiazdami. Jakaż wola, jakaż siła rozciąga się poza grób? List

Znów milczał baron kilka chwil, potem żywo zawołał: — Nie, nie, twój upiór nie powinien mnie pozbawić cząstki ziemskiego szczęścia, które według swego mniemania zniszczyłeś.

Rzekłszy to, wyrwał z kieszeni papier złożony i wziąwszy go w dwa palce, uniósł nad jedną ze świec, które trupa otaczały. Papier trzymany nad świecą buchnął wysoko płomieniem, który odbił się i zadrgał na twarzy nieboszczyka tak, iż zdawało się, że poruszyły się jego usta i szeptały jakieś niedosłyszane wyrazy. Groza i przestrach padły na służbę opodal stojącą. Baron tymczasem spokojnie dokonywał swego dzieła, a gdy mu kawałek palącego się papieru upadł na podłogę, troskliwie przydeptał go nogą. Potem rzucił raz jeszcze posępne spojrzenie na zwłoki ojca i szybkim krokiem opuścił salę.

Nazajutrz zawiadomił Daniel barona o zapadłej wieży i rozwodził się obszernymi słowy nad tym, co zaszło owej nocy, kiedy stary baron życie zakończył, dodając, iż należałoby zaraz wieżę do dawnego przywrócić stanu, ponieważ coraz bardziej się wali, grożąc niebezpieczeństwem całemu zamkowi, w którym chociaż nic uszkodzone, jednak mocno wszystko nadwyrężone zostało.

— Wieżę odbudować? — przerwał baron staremu słudze, rzucając nań piorunujące spojrzenie. — Nie, nigdy! Czy ty myślisz, stary, że ot tak sobie, bez żadnego powodu wieża się zawaliła? A jeśli sam ojciec życzył sobie, aby zniszczone zostało to miejsce, w którym oddawał się niedorzecznemu gwiaździarstwu[131]. Jeśli sam poczynił przygotowania, aby się zapadło całe wnętrze wieży, skoro tego zechce? Niechże będzie, jak chciał. Co do mnie, niech i cały zamek pójdzie w ruinę. Czy wy myślicie, że ja mieszkać będę w tej ponurej, sowiej jamie? Nie, naśladować raczej będę tego z mych przodków, który w zielonej dolinie położył fundament do nowego zamku i wszystko do tego przygotował.

— Tak więc — odezwał się Daniel na wpół głośno — to i starzy słudzy będą musieli pójść z torbami. Sługa, Łaska

Na to odparł baron:

— Że bezsilnych, powłóczących nogami starców nie wezmę do usług, to się rozumie samo przez się, ale wyganiać nikogo nie będę. Gdy nie będziecie mieli nic do roboty, będzie wam smakował chleb łaskawy.

— Ja? — zawołał stary z boleścią — Ja mam być marszałkiem i żadnej służby nie pełnić?

Na to baron, który już chciał wyjść z sali, odwrócił się do starego i zaczerwieniony z gniewu, z zaciśniętą pięścią, przyskoczył do niego i krzyknął straszliwym głosem:

— Ty stary, obłudny łotrze, któryś z moim obałamuconym[132] ojcem sam jeden na górze się zamykał, któryś w jego serce wpił się jak wampir i być może zbrodniczo korzystał Szaleństwo

[130] *osiemdziesiąt stóp* — ok. 24 m. [przypis edytorski]
[131] *gwiaździarstwo* (daw.) — astrologia. [przypis edytorski]
[132] *obałamucony* — oszukany, wprowadzony w błąd. [przypis edytorski]

z jego szaleństwa, któryś wpływał na jego piekielne postanowienie, co mnie rzuciło na kraniec przepaści — ciebie powinienem jak psa parszywego strącić na dół.

Zląkł się stary strasznej mowy i padł na kolana tuż przed baronem. I stało się, że baron, nie posiadając się już w szalonym gniewie, w którym zwykle bezwiednie poruszenia ciała biegną za myślami domawiając ostatnich słów, tak silnie uderzył nogą w piersi starego, iż ten z głuchym jękiem padł na ziemię. Z trudnością podniósł się stary na nogi, a wydając szczególniejszy głos, podobny do jęku ranionego śmiertelnie zwierza, rzucił na barona spojrzenie pełne wściekłości i zemsty.

Worek z pieniędzmi, który mu baron odchodząc rzucił, zostawił nietknięty na podłodze.

Tymczasem krewni rodziny znajdujący się w okolicy zebrali się w zamku. Stary pan został pochowany uroczyście w podziemiach kościoła w Her... . Po ceremonii, młody dziedzic okazał się bardzo zadowolonym ze schedy[133]. Starannie sprawdził rachunki i dochody majętności z justycjariuszem, którego w urzędzie zatwierdził — i którego obdarzył calem zaufaniem. Obmyślał z nim razem sposoby odbudowania zamku. Justycjariusz V. był przekonany, że stary baron nie mógł wydać wszystkich swoich dochodów, a ponieważ w skrzyni i portfelu znaleziono zaledwie parę tysięcy dukatów, przypuszczał, że musiały być jakieś pieniądze ukryte w którejś części zamku. Nikt nie mógł lepiej niż Daniel o tym wiedzieć, ale ten w swojej uporczywości czekał zapewne, aż go zapytają. Baron lękał się, że Daniel, którego on tak surowo obraził, nie zechce ujawnić tajemnicy raczej przez zemstę niż chciwość. Starzec bowiem był bezdzietny i myślał tylko o tym, aby żywot zakończyć w zamku. I na cóż mógłby zużytkować te znaczniejsze sumy? Baron opowiedział V., co się stało pomiędzy nim a Danielem — i powiedział mu, że do tego czynu gwałtownego zmusiło go przekonanie, powzięte na zasadzie licznych doniesień, że Daniel podtrzymywał w umyśle starego barona niewyjaśnioną antypatię do swoich dzieci. Justycjariusz oświadczył, że te wiadomości były całkowicie błędne — i podjął się wypytać Daniela, czy nie zna gdzie skarbu ukrytego w zamku.

Tajemnica, Pieniądz

Przedsięwzięcie nie było wcale trudne, gdyż zaledwie justycjariusz mu powiedział:

— Jak to być może Danielu, że stary pan tak mało gotówki zostawił?

Odpowiedział Daniel ze znaczącym uśmiechem:

— Czy mówisz pan o tych nędznych kilku talarach, któreście w małych skrzyniach znaleźli? Reszta leży w sklepie[134] obok sypialni starego jaśnie pana. Ale lepsza część — mówił dalej marszałek, usta zaś jego wykrzywiły się strasznym grymasem, a oczy krwawym połyskały ogniem — lepsza część, wiele tysięcy złotych sztuk, leży na dole gruzem zasypana.

Justycjariusz przyzwał natychmiast barona. Udano się do gabinetu sypialnego. W jednym jego kącie odsunął Daniel gruzy przy ścianie i ukazał się zamek.

Pies

Gdy baron chciwym wzrokiem na zamek spoglądał, Daniel z wolna robił przygotowanie, próbując kluczy z wielkiego pęku, który z niemiłym brzękiem z kieszeni wyciągał. Potem wyprostował się i szyderczo spojrzał na barona, który nachylił się, aby lepiej zamek obejrzeć.

Ze śmiertelną bladością w twarzy rzekł Daniel drżącym głosem:

— Jeśli psem jestem, jaśnie panie baronie, to też jak pies dochowuję wierności.

Powiedziawszy te słowa, podał klucz baronowi, który z gorączkowym pośpiechem wyrwał mu go z ręki i drzwi bardzo łatwo otworzył. Weszliśmy do niskiego, niewielkiego sklepu, w którym stała żelazna szkatuła z odchylonym wiekiem. Na workach ze złotem leżała kartka, na której stary baron wypisał staroświeckimi, wielkimi literami:

> „Sto pięćdziesiąt tysięcy talarów w starych frydrychsdorach[135], oszczędzonych z dochodów majoratu K. Suma ta przeznacza się na budowę nowego zamku. Nadto posiadacz majoratu, który po mnie nastąpi, winien z tych pieniędzy na najwyższym wzgórzu, na wschód od wieży, wznieść latarnię morską dla żeglarzy i zapalać ją co noc".

[133] *scheda* — dziedzictwo. [przypis edytorski]

[134] *sklep* (daw.) — piwnica. [przypis edytorski]

[135] *frydrychsdor* — (z fr. *le frédéric d'or*) — złota moneta pruska, będąca w obiegu w okresie 1741–1855. [przypis edytorski]

„K... w nocy Św. Michała 1760 roku.
Roderyk baron K..."

Dopiero kiedy baron podniósł worek jeden po drugim i na powrót włożył do szkatuły, rozkoszując się brzękiem złota, obrócił się nagle do starego marszałka, dziękował mu za okazaną wierność i upewniał, że tylko wskutek kłamliwych plotek tak źle z początku z nim postąpił, dodając przy tym, iż nie tylko ma pozostać w zamku, ale pełnić służbę jako marszałek, z podwójną pensją.

— Winienem cię dobrze wynagrodzić. Chcesz złota, to weź sobie jeden z tych worków! Pieniądz, Krew

Rzekłszy to, baron stał ze spuszczonym wzrokiem przed starym marszałkiem, potem jeszcze raz przystąpił do szkatuły i porządkował worki.

Marszałkowi krew na twarz wystąpiła i wydał ten straszny głos, o którym baron justycjariuszowi wspominał, że podobny był do jęku zranionego zwierza. Justycjariusz zadrżał, bo to, co przez zęby marszałek wymawiał, zdawało się brzmieć:

— Krew za złoto!

Baron, zagłębiony cały w swym skarbie, niczego się nie domyślał. Danielem, gdy patrzał na to, kurczowy wstrząsnął dreszcz. Z pochyloną przecież głową, w pokornej postawie zbliżył się do barona, pocałował go w rękę i rzekł płaczliwym głosem:

— Ach, mój jasny panie, co mnie biednemu, bezdzietnemu starcowi po pieniądzach! Za to podwójną pensję przyjmuję z radością. Służyć będę chętnie i żwawo.

Baron, który niewiele zważał na słowa starego sługi, spuścił teraz ciężkie wieko szkatuły, które z takim hukiem się zapadło, że cały sklep zadrżał. Potem zamknął ją, z wielką troskliwością wydobył klucz i rzekł:

— Dobrze już, dobrze, mój stary! Ale wspomniałeś także — mówił baron dalej, wszedłszy już do sali — o wielkich pieniądzach, które się mają znajdować pod zwaliskami wieży?

Stary, milcząc, przystąpił do wielkich drzwi i otworzył zamek z wielką trudnością. Lecz zaledwie uchylił podwoi, wiatr wionął do sali gęstymi płachtami śniegu. Spłoszony kruk, krącząc, zerwał się do lotu, uderzył czarnymi skrzydłami w okno, a potem, dostawszy się do drzwi, runął w przepaść... Baron wyszedł na korytarz, a rzuciwszy okiem w głąb, zadrżał i cofnął się.

— Straszny widok, aż kręci się w głowie — wyrzekł z cicha i jak zemdlały padł na ręce justycjariusza, ale wnet przyszedł do siebie i zapytał starego, rzucając nań przenikliwe spojrzenie:

— No, a cóż tam na dole?...

Stary tymczasem zamykał drzwi na powrót, przyciskając je z wielkim wysileniem i niemało się nastękał i najęczał, nim z zardzewiałego zamku ogromny klucz wydobył. Skończywszy wreszcie swoją robotę, odwrócił się do barona, a wywijając wielkim kluczem, rzekł ze szczególniejszym uśmiechem:

— Tak, tam na dole leżą tysiące tysięcy. Wszystkie piękne instrumenty nieboszczyka pana: teleskopy, globy, lunety...

— Ależ pieniądze, pieniądze — przerwał mu baron. — Wszak mówiłeś o sztukach złota?

— Ja myślałem tylko o tych przedmiotach, które wiele tysięcy złotych sztuk kosztowały.

Więcej niepodobna było ze starego wydobyć.

Teraz zdawał się baron być zadowolony. Raz przecie osiągnął środki, których potrzebował, aby najulubieńszy swój projekt mógł przywieść do skutku, to jest wystawić nowy, wspaniały zamek. V. sądził wprawdzie, że według woli nieboszczyka mogła być mowa tylko o wyrestaurowaniu, jakby o zupełnym przebudowaniu starego zamku, bo istotnie każdy nowy gmach niełatwo dorównałby wspaniałemu ogromowi i poważnej architekturze starego zamku. Baron przecież nie odstąpił od swego zamysłu, utrzymując, że w podobnego rodzaju postanowieniach, jeśli wyraźnie aktem erekcyjnym[136] nie zostały stwierdzone, wola nieboszczyka ustąpić musi... Dał przy tym do zrozumienia, że obowiązkiem jego jest mieszkanie w K... o tyle pięknym uczynić, o ile na to pozwala

[136] *aktem erekcyjny* (z łac.) — akt założycielski. [przypis edytorski]

klimat, grunt i inne okoliczności, ponieważ zamierza w krótkim czasie sprowadzić jako najukochańszą żonę, istotę godną pod tym względem największych ofiar.

Chciwość

Tajemniczy sposób, z jakim baron wyrażał się o małżeńskim swym związku, być może zawartym już skrycie, przeciął justycjariuszowi wszelkie dalsze zapytania. Uspokoiły go przecież projekty barona, bo w nich znalazło wytłumaczenie owo nienasycone pragnienie bogactwa, które nie było żadną chciwością, ale raczej chęcią przypodobania się ukochanej osobie, która być może dla niego wyrzec się musiała pięknej ojczyzny. A jakże nie miał go uważać za skąpca, a przynajmniej niepomiarkowanego chciwca, gdy ten, nurzając się w złocie i rozkoszując widokiem starych frydrychsdorów, szeptał jeszcze po cichu do siebie: — Ten stary hultaj musiał ukryć przede mną skarb daleko większy, ale na przyszłą wiosnę każę w moich oczach całą wieżę rozwalić.

Wezwani architekci przybyli. Długo się z nimi baron naradzał, jak przystąpić do nowej budowy. Odrzucał jedne rysunki po drugich. Żaden plan nie wydał mu się dość bogatym i wspaniałym. Wreszcie sam zaczął rysować i zajęty tą pracą, która, być może, ciągle mu przed oczy nasuwała czarujące obrazy szczęśliwej przyszłości, stał się weselszym i pomimo znużenia w wybornym bywał humorze, który wnet udzielił się całemu otoczeniu. Hojność barona i jego wystawność usuwały ciążące na nim podejrzenie chciwości. Nawet Daniel zdawał się zapominać o wyrządzonej mu krzywdzie. Zachowywał się cicho i pokornie względem barona, który go często, z powodu ukrytych skarbów, nieufnym ścigał okiem. Najwięcej wszakże dziwiło wszystkich, że stary z każdym dniem stawał się widocznie młodszym. Zapewne żal po starym panu tak go zrazu zgnębił. Teraz zaś czy to pokonał swą boleść, czy też, że nie potrzebował chłodnych nocy bezsennie przepędzać, a miał stół lepszy i wino do wyboru. Dość, że z pochylonego starca przemienił się w krzepkiego mężczyznę z rumianymi policzkami, chodził raźno i śmiał się głośno, gdy z jakim żarcikiem wystąpił.

Brat

Wesołe życie w K. przerwało zjawienie się człowieka, o którym dawniej należało pomyśleć. Tym człowiekiem był Hubert, młodszy brat Wolfganga, który na jego widok zbladł jak trup i głośno zawołał:

— Nieszczęśliwy, czego tu chcesz? — Hubert rzucił się w ramiona bratu, ale ten nie odwzajemnił mu się uściskiem. Porwał go tylko za rękę i pociągnął za sobą na górę, do najodleglejszego pokoju, i zamknął się z nim potajemnie. Kilka godzin rozmawiali z sobą, w końcu wyszedł Hubert z pomieszaną głową i zawołał o swoje konie. Justycjariusz zaszedł mu drogę. Hubert chciał go minąć. V. wiedziony przeczuciem, że zaszło nieporozumienie między braćmi, które tu skończyć się powinno, prosił go, aby na kilka godzin się zatrzymał przynajmniej. W tejże samej chwili nadbiegł baron, wołając głośno:

— Pozostań, Hubercie. Namyślisz się jeszcze.

Wypogodziła się twarz Huberta. Zmienił zamiar odjazdu. Szybko zdjął bogate futro i rzucił je służącemu, podał prawą rękę justycjariuszowi i wchodząc do pokoju mówił z szyderczym uśmiechem:

— Pan majoratu raczy mnie łaskawie znosić.

Justycjariusz sądził, iż teraz najwłaściwiej załagodzić kłótnię braterską, bo ta, gdyby się rozłączono bez pojednania, zwiększałaby się jeszcze bardziej. Hubert wziął stalowe obcęgi, które stały przy kominie i potrącając nimi jakiś sękaty, wilgotny kawał drzewa, aby się lepiej rozpalił, tak mówił do V.:

— Widzisz więc, panie justycjariuszu, iż jestem człowiek uległy, zdolny do wszelkiego rodzaju posług domowych. Ale Wolfgang pełen jest dziwacznych przesądów, a przy tym straszny z niego chciwiec.

V. zrozumiał, że nie należy mieszać się pomiędzy braci, zwłaszcza, iż wyraźnie to pokazywała twarz Wolfganga, jego obejście się, jego głos zdradzający człowieka miotanego namiętnościami.

Późnym dopiero wieczorem w interesach majoratu udał się justycjariusz do barona. Zastał go w domu. Był wzburzony cały, z założonymi w tył rękami przechadzał się wielkim krokiem po pokoju. Sporo czasu upłynęło, nim spostrzegł justycjariusza. Uścisnął mu rękę i smutnie patrząc mu w oczy, rzekł:

— Mój brat przyjechał! Wiem — mówił dalej, gdy V. chciał mu odpowiedzieć — wiem, co mi chcesz powiedzieć. Ach! Nic nie wiesz, nie wiesz, że mój nieszczęśliwy brat (a nazywam go nieszczęśliwym dlatego, że jak zły duch, zawsze staje mi na drodze i pokój

mi burzy) od czasu, gdy majorat został ustanowiony, prześladuje mnie swoją nienawiścią. Zazdrości mi majątku, który w jego ręku rozwiałby się jak plewy. Nie ma większego marnotrawcy. Jego długi przewyższają o wiele wartość połowy majątku w Kurlandii, jaka na niego przypada. Ścigany od wierzycieli[137] przybiega tu i żebrze o pieniądze...

— A brat rodzony mu odmawia... — chciał dodać V., ale mu baron przeszkodził, bo puściwszy jego rękę, cofnął się o krok i zawołał głośno z pośpiechem:

— Wstrzymaj się pan! Tak, odmawiam mu. Z dochodów majoratu nie chcę i nie mogę ani grosza zmarnować! Ale posłuchaj no pan, jaką przed kilku godzinami uczyniłem daremnie propozycję temu szaleńcowi, a potem osądź, czy dopełniłem swego obowiązku. Majątek nasz w Kurlandii, jak panu wiadomo, jest bardzo znaczny. Otóż chciałem się zrzec przypadającej na mnie połowy, ale nie na korzyść Huberta, tylko jego rodziny. Hubert ożenił się w Kurlandii z piękną, ubogą panienką. Obdarzyła go dziećmi i cierpi z nimi niedostatek. Dobra miały być administrowane w ten sposób, iż z dochodów wyznaczone byłyby pieniądze potrzebne na utrzymanie domu, a wierzyciele przez układy byliby zaspokojeni. Ale co go obchodzą kłopoty domowe, co go obchodzi żona i dzieci! Gotówki chce mu się koniecznie i to niemałej, aby ją mógł co rychlej roztrwonić z niedarowaną lekkomyślnością. Jakiś demon wydał mu tajemnicę o stu pięćdziesięciu tysiącach talarów. Dlatego szaleniec domaga się połowy tej sumy, utrzymując, że te pieniądze są majątkiem oddzielnym, nie należącym do majoratu. Muszę i powinienem mu odmówić, ale cierpię mocno, że on czyha na moją zgubę.

Na próżno V. silił się, aby baronowi wybić z głowy owo podejrzenie względem brata, ale nie będąc wtajemniczony w bliższe między braćmi stosunki, wspierał się tylko na ogólnych, moralnych, dość powierzchownych pobudkach, toteż nie dopiął celu. Baron dał mu polecenie, aby rozmówił się z nienawistnym, a chciwym na pieniądze bratem. V. wziął się do rzeczy z największą, na jaką się mógł zdobyć, ostrożnością i niemało się ucieszył, gdy w końcu Hubert mu powiedział:

— Niech będzie i tak: przyjmuję propozycję właściciela majoratu, ale pod tym warunkiem, żeby mi zaraz wyliczył tysiąc frydrychsdorów, ponieważ w tej chwili jestem tak przez wierzycieli ściśnięty, iż cześć i dobre imię na zawsze utracić mogę. Nadto pozwoli mi baron, iż na przyszłość, przynajmniej czas jakiś mieszkać będę w K... przy moim dobrym braciszku.

— Nigdy! — krzyknął baron, gdy mu V. przyniósł tę propozycję — nigdy na to nie przystanę, aby Hubert jedną minutę w moim domu przebywał, gdy żonę sprowadzę. Idź, mój drogi, do tego burzyciela pokoju i powiedz mu, że nie tysiąc, ale dwa tysiące frydrychsdorów otrzyma ode mnie, nie jako zaliczenie, ale jako podarunek, byle tylko co żywo[138] stąd się wynosił.

V. dowiedział się teraz po raz pierwszy, że baron bez wiedzy ojca ożenił się i że w tym małżeństwie musi być przyczyna niezgody braterskiej.

Hubert słuchał V. dumnie i spokojnie, a gdy ten skończył, rzekł ponurym głosem:

— Namyślę się. Tymczasem przez kilka dni tu zabawię.

V. starał się przekonać Huberta, iż baron w samej rzeczy wszystko czyni, aby o ile możności wynagrodzić go ze swego osobistego majątku. Z tego powodu Hubert nie ma się o co żalić na niego, jeśli nie chce powiedzieć, że każda instytucja sprzyjająca pierworodnym dzieciom, a inne na uboczu zostawiająca, zawiera w sobie coś nienawistnego.

Hubert rozpiął kamizelkę od góry do dołu jak człowiek, który chce ulżyć uciśnionej piersi, zanurzył jedną rękę w żabotach[139], a drugą ujął się pod boki i wykręciwszy się na jednej nodze jak w tańcu, rzekł:

— Co jest nienawistnego, zrodzić mogła tylko nienawiść... — a potem zaśmiawszy się szyderczo, dodał: — Jakże łaskawym jest dziecię majoratu, iż z biednym żebrakiem raczy się dzielić swymi pieniędzmi.

Jakby na umartwienie brata, Hubert usadowił się na dłuższy pobyt w pokojach, które mu wyznaczone zostały w bocznym pawilonie. Zauważono, iż często długie miewał rozmowy ze starym marszałkiem, który nawet chodził z nim niekiedy na polowanie na wilki.

[137] *od wierzycieli* — dziś popr.: przez wierzycieli. [przypis edytorski]
[138] *co żywo* (daw.) — jak najszybciej. [przypis edytorski]
[139] *żabot* — ozdoba za zmarszczonej tkaniny. [przypis edytorski]

Rzadko się pokazywał i widocznie unikał spotkania się z bratem sam na sam, co właśnie temu ostatniemu było bardzo na rękę. V. poznał dobrze, jak przykry był podobny stosunek między braćmi, przekonał się także, jak nieznośny był sposób postępowania Huberta we wszystkim, co mówił lub czynił. Pojmował teraz przestrach barona, jaki ogarnął go za przyjazdem brata.

Pewnego razu V. sam jeden, otoczony aktami, siedział w sali sądowej, gdy wszedł Hubert poważniejszy niż zwykle i rzekł prawie smutnym głosem:

— Przyjmuję ostatnią propozycję brata: postaraj się pan, abym dwa tysiące frydrychsdorów jeszcze dziś mógł otrzymać, gdyż w nocy odjeżdżam konno... sam jeden...

— Z pieniędzmi? — zapytał V.

— Masz pan słuszność — odrzekł Hubert — wiem, co chcesz powiedzieć...., wielki to ciężar. Lepiej więc daj mi je pan w wekslu[140] na Izaaka Lazarusa w K. Dziś jeszcze tam jadę. Coś mnie stąd widocznie wypędza. Stary musiał tu zakląć jakieś złe duchy.

— Czy mówisz, panie baronie, o świętej pamięci ojcu swoim? — zapytał V. poważnie.

Usta Huberta zadrżały, schwycił się za poręcz krzesła, bo inaczej by upadł. Wkrótce jednak oprzytomniał i zawołał:

— Dziś zatem... panie justycjariuszu!.. — udał się nie bez wysilenia ku drzwiom i wyszedł.

— Przekonał się, że tu łudzić się nie można, że nic nie poradzi przeciw nieugiętej mej woli... — mówił baron, gdy mu justycjariusz dawał do podpisania weksel.

Wielki ciężar spadł mu z piersi, gdy się dowiedział o wyjeździe nienawistnego brata, od dawna też nie był tak wesoły przy wieczerzy. Hubert kazał przeprosić, że nie przyjdzie do stołu, nikt jego braku nie poczuł.

Ucieczka, Podstęp

V. mieszkał w jednym z oddalonych pokojów, których okna wychodziły na podwórze zamkowe. W nocy nagle się przebudził i zdało mu się, że jakiś głuchy jęk sen mu przerwał. Na próżno ucha nadstawiał: było głucho jak w grobie. Ów więc głos, co mu sen przerwał, widocznie był złudzeniem. Z tym wszystkim jakaś zgroza i przestrach go ogarnęły tak, iż zasnąć nie mógł. Wstał zatem i wyjrzał oknem. Po niejakim czasie ujrzał, jak się brama otworzyła i jakaś postać z zapaloną świecą szła przez podwórze zamkowe. I widział, jak ta postać otwierała drzwi od stajni, weszła do niej i wkrótce wyprowadziła osiodłanego konia. Teraz wystąpiła z ciemności druga postać, w futrze z lisią czapką na głowie. V. rozpoznał Huberta, który przez chwilę z Danielem bardzo żywo rozmawiał, a potem odszedł. Daniel zaprowadził na powrót konia do stajni, zamknął ją, jak również bramę zamkową i wrócił się przez podwórze tą samą drogą, co przyszedł. Hubert chciał odjechać, a potem rozmyślił się widocznie. Ale i to nie ulegało wątpliwości, że Hubert zostawał w jakichś podejrzanych stosunkach ze starym marszałkiem. V. z niecierpliwością wyglądał poranka, aby zawiadomić barona o nocnym wydarzeniu. W istocie należało się mieć na baczności. Hubert widocznie knuł jakieś zamiary. V. już to wczoraj zauważył w jego pomieszanej twarzy.

Nazajutrz o godzinie, w której baron zwykł wstawać, V. nagle usłyszał bieganie tam i na powrót, łomot zamykanych i otwieranych drzwi, jakieś przerywane rozmowy i krzyki. Wyszedłszy ze swego mieszkania, spotykał wszędzie wybladłych ze strachu służących, którzy nie zważając na niego, wchodzili i schodzili ze schodów i biegali po wszystkich pokojach. Wreszcie dowiedział się, że baron znikł, że od godziny nigdzie go odszukać nie można.

Śmierć

W przytomności[141] strzelca udał się wczoraj na spoczynek, musiał więc wstać i wydalić się w szlafroku i pantoflach, z lichtarzem w ręku, gdyż właśnie tych rzeczy braknie. V., smutnym przeczuciem wiedziony, pobiegł do fatalnej sali, której boczny gabinet Wolfgang tak samo, jak jego ojciec, wybrał sobie na sypialnię. Drzwi prowadzące do wieży były otwarte.

Przerażony V. zawołał wielkim głosem:

— Tam w głębi leży baron zdruzgotany!

[140] *weksel* — dokument zobowiązujący do zapłaty określonej sumy pieniędzy w określonym terminie. [przypis edytorski]

[141] *w przytomności* (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

I tak było w istocie. Śniegu napadało tyle, że patrząc z góry można było wśród kamieni dostrzec tylko wystające skostniałe ramię nieszczęśliwego... Wiele godzin upłynęło, nim robotnicy zdołali z narażeniem na utratę życia spuścić się na dół po związanych drabinach i linami zwłoki wyciągnąć.

W śmiertelnych wysileniach schwycił baron lichtarz srebrny i jeszcze go mocno trzymał w zaciśniętej ręce, która jedynie pozostała nieuszkodzoną. Inne zaś części ciała przez uderzanie o ostre kamienie były w najokropniejszy sposób pokaleczone.

Z rozpaczą w bladej twarzy przybiegł Hubert, gdy wydobyto zwłoki, wniesiono je do sali i złożono na tym samym stole, na którym przed niedawnym czasem leżały zwłoki starego Roderyka. Na ten straszny widok Hubert runął na ziemię, jęcząc boleśnie:

— O bracie, mój biedny bracie! Nie, nigdym tego nie pragnął od szatanów, którzy mnie opanowali.

V. zadrżał na tę dwuznaczną mowę. Zdało mu się, że w Hubercie widzi mordercę brata.

Hubert zemdlał. Musiano go zanieść do łóżka, ale wkrótce z niego powstał, używszy pokrzepiających środków. Blady, smutkiem znękany, z na wpół przygasłymi oczami wszedł do pokoju justycjariusza, a nie mogąc z osłabienia utrzymać się na nogach, usiadł w fotelu i mówił:

— Życzyłem bratu śmierci, ponieważ ojciec przez niebaczne ustanowienie majoratu wyznaczył mu najlepszą część dziedzictwa: śmierć go spotkała w tak okropny sposób. Jestem panem majoratu, ale serce moje rozdarte, nie mogę być i nie będę nigdy szczęśliwy. Potwierdzam pana w urzędzie, otrzymasz nieograniczone pełnomocnictwo co do zarządu majoratem. Niepodobna, abym w nim mieszkał.

Hubert wyszedł z pokoju i w kilka godzin był już na drodze wiodącej do K.

Zdaje się, że nieszczęśliwy Wolfgang wstał w nocy i chciał się udać do sąsiedniego gabinetu, w którym urządził bibliotekę. Będąc sennym, pomylił się co do drzwi, postąpił naprzód kilka kroków i runął w przepaść. W tym wyjaśnieniu strasznego wypadku jest coś jakby naciąganego. Jeśli baron nie mógł spać i chciał sobie przynieść książkę z biblioteki, to wyraźnie nie był zaspany, ale i to znów prawda, że mógł się pomylić i zamiast od biblioteki otworzył drzwi od wieży. Ale te ostatnie były mocno zamknięte i trzeba było użyć niemałej siły, chcąc je otworzyć.

— Ach, panie justycjariuszu — zawołał strzelec barona, gdy V. przed zebraną służbą rozwijał swoje wątpliwości. — Panie justycjariuszu, tak się stać nie mogło.

— A jakże inaczej? — zapytał V.

Franciszek był to poczciwy i wierny chłopak, który z żalu za swoim panem chciał się rzucić do grobu. Zagadnięty tak przez justycjariusza odpowiedział, że w obecności wszystkich nie chce mówić, ale na osobności powie panu V., co mu się zdaje. V. dowiedział się wtedy, że baron często z Franciszkiem rozmawiał o wielkim skarbie, który tam na dole ma być przywalony, że często, jakby od złego ducha nawiedzony, w nocy do owych drzwi przychodził, od których klucz musiał mu Daniel oddać, otwierał je i spoglądał w głąb z pożądliwością owych mniemanych bogactw. Zapewne tak samo się stało i owej nieszczęśliwej nocy, że baron po odejściu strzelca udał się do wieży, tam dostał zawrotu głowy i śmierć znalazł w przepaści. Daniel, którego straszny ów wypadek wielce, zdaje się, wzruszył, wnosił, aby owe niebezpieczne drzwi raz zamurowano, co też wkrótce nastąpiło.

Baron Hubert, zostawszy posiadaczem majoratu, nie pokazał się w K. i wrócił do Kurlandii. V. otrzymał nieograniczone pełnomocnictwo co do zarządu majoratem. Budowa nowego zamku została zaniechana, za to stary, o ile można, do dobrego stanu był przywrócony.

Wiele lat już upłynęło, gdy po raz pierwszy Hubert w późnej jesieni przybył do K., zabawił przez kilka dni, zamknąwszy się z V. w jego pokoju, a potem odjechał do Kurlandii na powrót. Przejeżdżając przez K., w tamecznym urzędzie złożył swój testament.

W czasie pobytu swego w K. baron, którego charakter zupełnie się odmienił, częste miał przeczucia bliskiej swej śmierci. Jakoż spełniły się one, gdyż w rok później umarł. Jego syn, imieniem także Hubert, natychmiast z Kurlandii przyleciał dla objęcia jednego z najbogatszych majoratów. Za nim pośpieszały matka i siostra. Młodzieniec ten łączył w sobie wszystkie wady przodków: był dumny, wyniosły, gwałtowny i chciwy na bogactwa. Zaledwie przybył do zamku, chciał zaraz wszystko poodmieniać, co mu się nie

podobało. Kucharza wypędził, stangreta miał ochotę kijem obić, ale mu się to nie udało, bo tęgi wyrostek był zuchwały i oparł się temu. Jednym słowem w najlepsze zaczął już odgrywać rolę surowego pana majoratu, gdy V. stanowczo mu się sprzeciwił, oświadczając wyraźnie, że najmniejszy kociak z domu nie będzie wypędzony, ani jedno krzesło nie może być poruszone przed otworzeniem testamentu.

— Jak pan śmiesz tak mówić do dziedzica majoratu?... — zaczął baron, ale V. nie pozwolił rozwodzić się wściekłemu ze złości młodzieńcowi. Zmierzywszy go surowym spojrzeniem, rzekł:

— Tylko bez zbytniego pośpiechu, panie baronie! Racz pan nie rozpościerać się ze swymi rządami przed otworzeniem testamentu, tymczasem zaś ja tu jestem panem, ja sam jeden — i wszelką napaść potrafię napaścią odeprzeć. Proszę nie zapominać, że jako wykonawca testamentu ś. p. pańskiego ojca, na mocy danego mi upoważnienia i na mocy uchwały sądowej, mam prawo wzbronić panu pobytu w K. i dlatego radzę mu, jeśli nie chcesz się na nieprzyjemność narazić, abyś cichuteńko wracał do K.

Powaga przestrzegacza prawa i ton stanowczy, z jakim mówił, nadały słowom jego pewne znaczenie, dlatego młody baron, który zrazu chciał się tak ostro postawić, poczuł, iż broń wypada mu z ręki. Cofnął się więc, pokrywając swój wstyd szyderskim śmiechem.

Upłynęły trzy miesiące i nadszedł dzień, w którym według woli nieboszczyka testament miał być otworzony w K. , gdzie go sam złożył. Oprócz osób sądowych, barona i justycjariusza V., znajdował się jeszcze w sali jakiś młodzieniec szlachetnej postawy, którego V. ze sobą przyprowadził, a że widać przy nim było jakieś papiery, uważano go więc za pisarza justycjariusza. Baron, jak to zwykle czynił, spojrzał z góry na młodego człowieka i natarczywie się domagał, aby pośpiesznie odbyto wszelkie nudne i niepotrzebne ceremonie, a przystąpiono do rzeczy bez wielkiej gadaniny i bazgrania. Nie pojmował on, jak można było powoływać się na testament w rzeczach majoratu i miał przekonanie, iż jeśliby się tu domagano od niego czegokolwiek, to jedynie od jego woli zależało zastosować się do tego lub nie.

Pismo i pieczęć ojca uznał baron, rzuciwszy na nie przelotne spojrzenie, potem zaś, gdy pisarz sądowy zabierał się do odczytania testamentu, patrzył obojętnie w okno, a oparłszy niedbale prawą rękę o krzesło, lewą położył na stole pokrytym zielonym suknem i bębnił po nim palcami.

Po krótkim wstępie oświadczył zmarły baron von K., że nigdy się nie uważał za rzeczywistego posiadacza majoratu, lecz rządził nim w imieniu jedynego syna zmarłego brata swego, Wolfganga von K. Syn ten nazywa się tak samo jak jego dziadek Roderyk, i jemu, według sukcesji familijnej, majorat po śmierci ojca przypadał. Najściślejsze rachunki z dochodów i wydatków majoratu znajdują się pomiędzy jego papierami. Wolfgang von K. (tak opowiadał Hubert w swoim testamencie) w czasie swej podróży poznał w Genewie pannę Julię de St. Bal i powziął ku niej tak silne uczucie, iż postanowił nigdy się z nią nie rozłączać. Była ona bardzo uboga i jej rodzina, pomimo szlacheckiego swego pochodzenia, nie liczyła się do najświetniejszych. Z tego powodu nie mógł Wolfgang spodziewać się przyzwolenia na małżeństwo ze strony swego ojca Roderyka, którego jedynym dążeniem było, aby majorat wszelkimi możliwymi środkami wynieść jak najwyżej. Odważył się przecież napisać z Paryża do ojca o tej swej skłonności, i co przewidywał, to nastąpiło, gdyż ojciec stanowczo oświadczył, że już sam upatrzył narzeczoną dla przyszłego pana majoratu, a zatem o żadnej innej mowy być nie może. Wolfgang zamiast udać się do Anglii, jak to uczynić był powinien, powrócił do Genewy pod przybranym nazwiskiem Borna i ożenił się z Julią, która po upływie roku powiła syna. Ten po śmierci swego ojca stał się panem majoratu. Dlaczego Hubert, świadomy całej rzeczy, tak długo milczał — przytoczone były różne powody, jako wynikające z poprzedniej umowy z Wolfgangiem, ale te wydawały się niedorzeczne i jakby dowolnie wymyślone.

Jak piorunem rażony patrzał baron na sądowego pisarza, który jednostajnym, ochłypłym głosem zwiastował mu owe nieszczęście. Gdy skończył, powstał justycjariusz, wziął za rękę młodzieńca, którego z sobą przyprowadził i rzekł, skłoniwszy się przed sądem: — Mam zaszczyt przedstawić panom barona Roderyka von K., posiadacza majoratu K.

Baron Hubert spojrzał na młodzieńca, który mu spadł jak z obłoków, porywał bogaty majorat i połowę majętności w Kurlandii, ledwie powstrzymał się ze złości, a pogroziwszy ściśniętą pięścią, nie rzekł ani słowa i wybiegł z sali sądowej.

Wezwany przez sąd baron Roderyk złożył dowody, iż w istocie jest tą osobą, za którą się podaje. Okazał wierzytelny wyciąg z ksiąg kościoła, w którym jego ojciec brał ślub. Zaświadczone tam było, iż w tym a tym dniu kupiec Wolfgang Born, rodem z K. z panną Julią de St. Bal, w przytomności znanych osób, połączony został kapłańskiem błogosławieństwem. Okazał również swoją metrykę (był ochrzczony w Genewie jako dziecko spłodzone w prawym związku kupca Borna i małżonki jego Julii St. Bal). Nadto przedstawił różne listy swojego ojca, pisane niegdyś do zmarłej także od dawna matki. Listy te przecież podpisywane były jedną literą W.

V. ze smutnym wyrazem twarzy przejrzał wszystkie te papiery i rzekł dość zakłopotany:

— Teraz, Panie Boże, dopomóż.

Zaraz nazajutrz baron Hubert von K. podał przez adwokata, którego wybrał sobie na obrońcę, przedstawienie do urzędu w K., domagając się natychmiastowego wydania sobie majoratu, jako prawnie nań przypadającego. Rozumie się samo przez się, pisał adwokat, że ani przez testament, ani żadnym innym sposobem zmarły baron Hubert von K. nie miał prawa rozporządzać majoratem. Ów testament niczym innym nie jest, jak spisanym w formie prawnej zeznaniem, według którego baron Wolfgang powinien był przekazać majorat żyjącemu swemu synowi, co wszakże za żaden dowód nie służy, tak samo jak zeznanie innego jakiego bądź świadka, a tym samym czyni niemożliwym wylegitymowanie się mniemanego barona K. Należy raczej całą sprawę pretendenta i jego mniemane prawo do dziedzictwa, któremu się niniejszym stanowczo zaprzecza, wyprowadzić na drogę procesu, a majorat wydać baronowi Hubertowi, jako nań przypadający według sukcesji familijnej. Po śmierci ojca posiadanie przechodzi bezpośrednio na syna i do objęcia dziedzictwa nie potrzeba żadnych wyjaśnień, ponieważ następstwo w majoracie nie może być zaprzeczonym, a zatem nie należy obecnego właściciela majoratu niepokoić w posiadaniu jakimiś nieuzasadnionymi pretensjami. Jakie miał powody nieboszczyk, naznaczając innego dziedzica majoratu, jest rzeczą zupełnie obojętną. Zwraca się tylko na to uwagę, że on sam, jak się to pokazuje z pozostałych po nim papierów, miał romans w Szwajcarii, a zatem być może, iż ów mniemany syn braterski jest jego własnym synem, spłodzonym w nieprawym związku, któremu w przystępie żalu za grzechy bogaty majorat chciał przekazać.

Jakkolwiek prawdopodobieństwo przemawiało za okolicznościami w testamencie wyrażonymi, jakkolwiek wielkie uczynił wrażenie na sędziach ostatni ustęp protestacji, w którym syn nie wzdryga się rodzonego ojca oskarżać o zbrodnię, to przecież stan sprawy nie odmienił się i tylko na usilne starania justycjariusza oraz stanowcze jego zapewnienie, że w jak najkrótszym czasie złożony będzie dowód, stwierdzający prawa kodeksu, sąd uchwalił wstrzymać wydanie majoratu, przedłużając jego administrację aż do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy.

V. wiedział dobrze, jak będzie mu trudno dotrzymać przyrzeczenia. Przetrząsnął on wszystkie pozostałe po starym Roderyku papiery, nie znalazłszy najmniejszego śladu, ani listu, ani wzmianki nawet, która miałaby jaki związek z owym stosunkiem Wolfganga do panny St. Bal. Zamyślony i zakłopotany siedział właśnie w gabinecie sypialnym starego Roderyka, który jak najtroskliwiej przeszukał i pracował nad wykazem dla notariusza w Genewie, którego mu polecono jako biegłego i pilnego człowieka, a który zobowiązał się dostarczyć pewnych wiadomości, mających wyjaśnić sprawę młodego barona.

Szaleniec

Była północ. Księżyc w pełni jasne rzucał światło do przyległej sali, od której drzwi były otwarte. Naraz dało się słyszeć, jakby ktoś szedł zwolna i z wielką trudnością po schodach, dzwoniąc kluczami. V. natężył uwagę, powstał i udał się do sali. Wtedy wyraźnie usłyszał, że ktoś przez korytarz się zbliża. Jakoż drzwi się otworzyły i wszedł po cichu człowiek jak trup blady, w jednej ręce trzymał lichtarz z zapaloną świecą, a w drugiej pęk kluczy. V. na pierwszy rzut oka poznał marszałka. Już miał go zapytać, czego tu chce, gdy zmieniona, nieruchoma postać starego, dreszczem go przejęła. Postrzegł, że ma przed sobą lunatyka... Stary mierzonym krokiem szedł w poprzek sali, kierując się do zamurowanych drzwi, które niegdyś prowadziły do wieży. Tuż przed nimi zatrzymał się i z głębi piersi wydał głos straszliwy, który z tak bolesnym jękiem rozległ się po sali, iż V. zadrżał z przerażenia. Tymczasem, postawiwszy lichtarz na ziemi, a klucze zawiesiwszy u pasa, zaczął Daniel obiema rękami drapać się po murze z taką zajadłością, że aż krew z paznokci

tryskała, przy tym wzdychał i jęczał, jakby go dręczyły śmiertelne boleści. Potem przyłożył ucho do muru, chcąc czegoś podsłuchać, wreszcie skinął ręką, dając niby komuś znak milczenia. Następnie schylił się, podjął lichtarz z podłogi i cichutko, jednostajnym krokiem wyniósł się za drzwi. V. udał się za nim, idąc ostrożnie ze świecą. Stary zszedł ze schodów, zamknął główne drzwi zamkowe i poszedł do stajni. Postawiwszy świecę tak, iż całe wnętrze budynku było dostatecznie oświecone, bez żadnego niebezpieczeństwa, przyniósł siodło z przyborami i na wielkie zdziwienie V. osiodłał konia, odwiązał go od żłobu, starannie ściągnął popręgiem[142] i przypiął strzemiona. Następnie wygładził koniowi na łbie włosy, poklepał go jedną ręką po karku, a drugą ująwszy za cugle, wyprowadził ze stajni. Na podwórzu stał przez kilka minut w miejscu, potem, jakby otrzymał jakiś rozkaz, kiwnął głową, przyrzekając go spełnić. Odprowadził konia do stajni, rozsiodłał go i przywiązał do żłobu. Następnie wziął lichtarz, zamknął stajnię i pobiegł do swego pokoju, w którym się zaryglował.

Cała ta scena silnie wstrząsnęła duszą justycjariusza, budząc w nim przeczucie strasznego czynu i przyczepiła się do niego niby czarne widmo piekielne... Zajęty przecież zagrożonym bytem swego młodego klienta, pomyślał zaraz, czy i z tego, co widział, nie będzie można jakiej korzyści osiągnąć?

Nazajutrz, kiedy już zmierzchać się zaczęło, wszedł Daniel z jakimś domowym interesem do pokoju justycjariusza. V. ująwszy go za ręce, posadził w fotelu i tak mówić zaczął:

— Posłuchaj no, stary przyjacielu, dawno już chciałem cię zapytać, co sądzisz o tej zaplątanej sprawie, którą nam na kark rzucił dziwaczny testament Huberta? Czy myślisz, że ów młodzieniec jest rzeczywiście synem Wolfganga, spłodzonym z prawego związku?

Stary, kołysząc się w krześle i widocznie unikając wzroku V., rzekł mrucząc pod nosem:

— Ba... może to i być, a może i nie. Cóż mnie to obchodzi, niech tu będzie panem, kto chce.

— Ale ja sądzę — mówił V. dalej, zbliżając się do starego i kładąc mu rękę na ramieniu — ponieważ posiadałeś całe zaufanie starego barona, więc nie ukrywał przed tobą stosunków, jakie zachodziły między jego synami. Wspomniał ci zapewne o małżeństwie, jakie Wolfgang zawarł wbrew jego woli?

— Nic nie mogę sobie przypomnieć — odrzekł stary, ziewając głośno w niezwykły sposób.

— Jesteś śpiący, stary — rzekł do niego V. — może miałeś dziś noc niespokojną.

— Nie zdaje mi się — mruknął niechętnie, dodając zaraz — ale muszę już odejść, żeby wieczerzę zarządzić.

Mówiąc to, wyciągnął wygięte swe plecy i powtórnie ziewnął jeszcze głośniej.

— Zostań no, stary, jeszcze — zawołał V., biorąc go za ręce i chcąc go zmusić do siedzenia, ale ten stanął przy stole i oparł się o niego, a skłoniwszy się całym ciałem ku V., mruknął z pewną niechęcią.

— No i cóż tam znów? Co mnie obchodzi majorat?

— Toteż — przerwał mu V. — nie będziemy już o tym mówili, kochany Danielu, ale o czym innym. Jesteś pochmurny, ziewasz. Wszystko to pokazuje jakieś osobliwe znużenie, tak iż jestem gotów mniemać, żeś to ty był zeszłej nocy...

— Że ja byłem zeszłej nocy? — zapytał stary, nie ruszając się z miejsca.

— Wczoraj o północy — mówił dalej V. — gdy siedziałem w gabinecie starego pana, obok wielkiej sali, ukazałeś się w jej drzwiach, sztywny, blady, zmieniony... Przystąpiłeś do zamurowanych drzwi i drapałeś po nich obiema rękami, jęcząc przy tym straszliwie, jakbyś piekielne cierpiał męki. Czyś ty lunatyk, Danielu?

Stary padł w krzesło, które mu szybko V. podsunął. Nie wydał najmniejszego głosu, a zmrok nie dozwalał widzieć jego twarzy. V. zauważył tylko, iż ciężko oddycha, zgrzytając zębami.

— Tak — mówił V. dalej po krótkim milczeniu — tak zwykle się dzieje z lunatykami. Nazajutrz nic nie wiedzą, co się z nimi działo, nie pamiętają o tym, co czynili jakby na jawie.

---

[142] *popręg* — pas przytrzymujący siodło, przeciągany pod brzuchem konia. [przypis edytorski]

Daniel wciąż milczał.

— Podobnych rzeczy jużem się dawniej napatrzył — mówił znów V. — Miałem przyjaciela, który tak samo jak ty odbywał nocne przechadzki, gdy księżyc był w pełni. Szczególniejsza zaś, iż udało mi się z nim rozmawiać, gdy po cichu do ucha zacząłem mu szeptać. Niekiedy nawet siadał przy stole i pisał list. Odpowiadał mi należycie na pytania, jakie mu czyniłem. Niekiedy wymykało mu się z ust to, czego najtroskliwiej unikał, będąc w stanie przytomnym. Widocznie nie mógł oprzeć się sile, która nań działała. Do kata! Ja sądzę, że lunatyk, choćby nie wiem jak długo ukrywał popełnioną jaką niegodziwość, to zawsze w końcu się wyda, gdy się go w tym stanie pociągnie za język. Nic to nie obchodzi takich, co mają czyste sumienie, jak my obydwaj, nieprawdaż, mój Danielu? My bezpiecznie możemy być lunatykami. Nikt się od nas o żadnej zbrodni nie dowie. Ale powiedz mi, Danielu, ty zapewne chcesz się dostać do wieży astronomicznej, gdy tak przeraźliwie drapiesz się po drzwiach zamurowanych? Chcesz zapewne popracować ze starym panem? Wypytam cię o to przyszłej nocy. Prawda

Gdy to V. mówił, stary drżał coraz mocniej, wreszcie porwały go straszliwe konwulsje, wśród których wydawał niezrozumiale jęki. V. wezwał służących. Wniesiono światła. Stary drżeć nie przestał. Zaniesiono go do łóżka. Blisko godzinę przebywał w tym stanie, potem wpadł w senną omdlałość. Gdy się obudził, zapragnął napić się wina, a gdy mu je podano, oddalił służącego, który chciał przy nim czuwać i zamknął się jak zwykle w swoim pokoju.

V. w samej rzeczy postanowił zrobić doświadczenie, jak o tym mówił Danielowi, chociaż nie taił przed sobą, że Daniel może po raz pierwszy, dowiedziawszy się o swym chorobliwym stanie, wszelkich użyje sposobów, aby mu się oprzeć. Ale w takim razie, gdyby się rzecz udała, cóż mogą znaczyć zeznania w somnambulizmie poczynione? Mimo to, udał się około północy do sali, spodziewając się, że Daniel, jak to zwykle bywa w takiej chorobie, wbrew własnej woli będzie musiał postąpić. Tymczasem o północy powstała wielka wrzawa na podwórzu. V. wyraźnie usłyszał wypadające okno. Pośpieszył na dół i gdy szedł przez korytarz, otoczył go dym, który, jak zaraz spostrzegł, wychodził z pokoju marszałka. Wynoszono właśnie Daniela na pół martwego, aby go w drugim pokoju w łóżko położyć. Było około północy, tak powiadali służący, gdy jakiś głuchy łoskot w pokoju marszałka zbudził parobka, który sądząc, iż staremu się coś przytrafiło, wstawał właśnie, aby iść na ratunek, gdy naraz usłyszał stróża nocnego wołającego na podwórzu: — „Ogień! ogień! W stancji pana marszałka pali się jasnym płomieniem!" Na te krzyki zerwali się wszyscy służący, ale wszelkie ich usiłowania, aby drzwi od pokoju otworzyć, były daremne. Wybiegli na podwórze, ale przytomnego umysłu stróż wskoczył już do pokoju przez okno, niezbyt wysoko wznoszące się od ziemi i ściągnął palące się firanki, a parę konewek wylanej wody cały pożar ugasiło. Marszałka znaleziono leżącego na środku pokoju w głębokim omdleniu. Trzymał jeszcze w ręku lichtarz, z którego świeca zapaliła firanki i pożar spowodowała. Spadające płócienne strzępy poopalały staremu brwi i znaczną część włosów na głowie. Gdyby był stróż nocny nie postrzegł ognia, to stary byłby się bez ratunku spalił. Niemało się służba zdziwiła, znalazłszy drzwi zamknięte z wewnątrz przez dwa nowo wśrubowane rygle, których wczorajszego wieczoru jeszcze nie było. Przekonało to justycjariusza, że stary chciał sobie uniemożliwić wyjście, ale nie mógł się oprzeć bezwiednemu popędowi.

Stary na dobre się rozchorował, nie mówił, jadł bardzo mało i jakby skrępowany jakąś straszną myślą, nieruchomo rzucał przed siebie spojrzenia, w których się śmierć malowała. V. sądził, iż stary nie wstanie już z łóżka. Wszystko, co tylko dało się uczynić w interesie młodego klienta, to już V. uczynił. Teraz nie pozostało mu nic innego, jak czekać cierpliwie, jakie skutki osiągną jego starania, postanowił więc wracać do K. Odjazd na dzień następny był naznaczony. Wieczorem V. układał swoje papiery, gotując się do podróży. Wtem wpadł mu pod rękę maleńki pakiecik, który niegdyś baron mu oddał. Pakiecik ten własną ręką opieczętował, położywszy na nim napis: „Do przeczytania po otworzeniu mego testamentu". V. dotąd w niepojęty sposób tego pakietu nie mógł odszukać. Zamierzał właśnie go odpieczętować, gdy drzwi się otworzyły i po cichu, niby duch jaki, wszedł Daniel. Położył czarną tekę, którą niósł pod pachą, a potem ze strasznym jękiem padł na kolana, konwulsyjnie uchwycił justycjariusza za rękę i rzekł grobowym głosem: Tajemnica, Zbrodnia

— Nie chciałbym umierać na szafocie... Ten tam wysoko osądzi! — Podniósłszy się wśród bolesnych jęków i westchnień, wyszedł z pokoju tak samo, jak przyszedł.

V. całą noc spędził na czytaniu tego, co czarna teka i pakiecik Huberta zawierały. Jedna i drugi w ścisłym ze sobą związku zostawały i wskazywały dalszą drogę postępowania w sprawie majoratu.

Skoro tylko V. przybył do K., udał się natychmiast do barona Huberta, który go przyjął bardzo wyniośle. Ważnym następstwem ich rozmowy, która bez przerwy od południa do późnej trwała nocy, było to, że zaraz nazajutrz baron oświadczył przed sądem, iż pretendentna do majoratu, zgodnie z testamentem swojego ojca, uznaje za starszego syna barona Wolfganga, spłodzonego z jego prawego małżeństwa z Julią de St. Bal, a tym samym uznaje go za legalnego dziedzica majoratu.

Wyszedłszy z sądu, Hubert wsiadł do oczekującego nań przy bramie powozu zaprzężonego czterema końmi i odjechał, zostawiwszy matkę i siostrę.

Zdziwienie Roderyka z tej zmiany stanu rzeczy było niemałe. Nalegał na V., aby go przecież objaśnił, jakim sposobem stał się ten cud, jaka tajemnicza potęga tu się wdała. V. przyrzekł mu wszystko wyjaśnić w czasie późniejszym, gdy majorat obejmie w posiadanie. Wydanie majoratu nie mogło jednak rychło nastąpić z tej przyczyny, iż sąd, nie poprzestając na oświadczeniu Huberta, domagał się jeszcze zupełniejszej legitymacji Roderyka.

V. ofiarował baronowi mieszkanie w zamku K., dodając, że matka i siostra Huberta przez nagły tego odjazd znajdują się w chwilowym kłopocie i wolałyby raczej cichy pobyt w zamku przodków, niż przebywanie w drogim i wrzaskliwym mieście. Zapał, z jakim Roderyk chwycił się myśli, że z baronową przynajmniej przez czas jakiś razem pod jednym dachem mieszkać będzie, wskazuje jasno, jak silne na nim uczyniła wrażenie Serafina, dziewczę miłe i piękne. I w samej rzeczy, młody baron tak umiał ze swojego pobytu w K. korzystać, że kilka tygodni zaledwie upłynęło, a pozyskał miłość Serafiny i zezwolenie matki na ich związek. Dla V. było to trochę za prędko, ponieważ prawa Roderyka do majoratu były zawsze jeszcze wątpliwe.

Listy z Kurlandii przerwały to sielankowe życie. Hubert wcale się w swych dobrach nie pokazał, lecz prosto pojechał do Petersburga, zaciągnął się do wojska i udał się na wojnę przeciwko Persom, z którymi wówczas Rosja prowadziła wojnę. To skłoniło baronową, iż wraz z córką odjechała do majątku kurlandzkiego, w którym panował nieporządek i zamieszanie. Roderyk, który się już uważał za przybranego syna, nie omieszkał towarzyszyć ukochanej, tak więc, gdy i V. do K. wyjechał, zamek znów był pusty jak wprzódy. Choroba starszego marszałka z każdym dniem się zwiększała, tak iż on sam nabył przekonania, że z niej nie powstanie. Urząd jego oddano owemu Franciszkowi, który tak wiernym był sługą nieboszczyka Wolfganga.

W końcu po długich wyczekiwaniach nadeszły wiadomości ze Szwajcarii. Proboszcz, który dawał ślub Wolfgangowi, dawno już nie żył, ale w księgach parafialnych znaleziono zanotowane własną jego ręką, iż ten, którego pod imieniem Borna połączył związkiem małżeńskim z panną Julią de St. Bal, dowodnie wylegitymował się przed nim jako baron Wolfgang von R., najstarszy syn barona Roderyka von K. Nadto odszukano dwóch świadków, którzy byli przytomni[143] na ślubie. Jednym z nich był kupiec genewski, a drugim stary kapitan francuski, który się przeniósł do Lyonu. Tym Wolfgang także się odkrył, ci więc pod przysięgą uczynili zeznania, a przez to poparli adnotację proboszcza w księdze parafialnej. Mając w ręku wszystkie te dowody, V. był w możności okazać niezaprzeczone prawa do majoratu młodego swego protegowanego. Nic zatem nie stało na przeszkodzie wydaniu majoratu, co też zaraz w jesieni nastąpić miało.

Tymczasem Hubert poległ w pierwszej bitwie, w jakiej się znajdował. Spotkał go ten sam los, co jego młodszego brata, który na rok przed śmiercią ojca również w boju zabity został. Tym sposobem dobra w Kurlandii spadły na Serafinę von K., stanowiąc piękny posag, który się miał dostać szczęśliwemu Roderykowi.

Już listopad się zaczął, gdy baronowa, Roderyk i jego narzeczona do K. przybyli. Po urzędowym wydaniu majoratu nastąpił ślub Roderyka z Serafiną. Kilka tygodni upłynęło wśród upojeń radosnych — wreszcie ufetowani goście zaczęli się z wolna rozjeżdżać ku

[143] *przytomny* (daw.) — obecny. [przypis edytorski]

wielkiej radości justycjariusza, który nie chciał wprzód zamku K. opuścić, dopóki nie zapozna dokładnie młodego dziedzica majoratu ze wszystkimi stosunkami odnoszącymi się do jego posiadłości.

Z wielką ścisłością prowadził rachunki stryj Roderyka, zapisując sumiennie przychód i wydatki majoratu. Ponieważ Roderyk dostał niewielką sumkę na swoje utrzymanie, wszystkie więc nadwyżki z dochodu znacznie zwiększyły kapitał, jaki zostawił był stary baron.

W pierwszych tylko trzech latach Hubert obrócił na swoją korzyść dochody z majoratu, na co wszakże wystawił rewers, ubezpieczając należność w dziale na swoim majątku w Kurlandii.

V. od czasu, gdy poznał, że Daniel jest lunatykiem, wybrał sobie na mieszkanie sypialny pokój starego Roderyka, aby tym pewniej mógł wyśledzić to, co mu później stary marszałek odkrył dobrowolnie. Ten więc pokój wraz z przyległą mu salą wyznaczony został na miejsce, w którym justycjariusz z baronem odbywali narady i załatwiali interesy. Zasiedli właśnie obydwaj przy wielkim stole w pobliżu komina, buchającego jasnym płomieniem. V. z piórem w ręku notował i obliczał bogactwa majoratu, a baron, wsparłszy się na stole, przyglądał się ważnym dokumentom, znajdującym się w otwartych księgach rachunkowych. Żaden z nich nie słyszał głuchego szumu morza, żałosnych krzyków mew burzę zwiastujących, które w przelocie swoim skrzydłami w okno uderzały. Żaden z nich nie zważał na burzę, która zerwawszy się około północy, z dzikim poświstem po zamku szalała. Jakieś dziwne odgłosy budziły się w kominach i ważkich przejściach, wyjąc straszliwie. Gdy po silnym napadzie burzy, od którego wtrząsnął się zamek, nagle wypełniło salę posępne księżycowe światło, V. zawołał: Burza

— Cóż to za straszna niepogoda! — Baron, cały zatopiony w bogactwach, które nań spadły, odrzekł obojętnie, przewracając z uśmiechem kartę księgi dochodów:

— W samej rzeczy niepogoda.

Ale jakże się zerwał, wtrząśnięty lodowatą ręką przerażenia, gdy drzwi od sali się rozwarły i ukazała się jakaś blada, straszliwa postać, która weszła jak widmo śmierci. Był to Daniel, o którym V. sądził tak samo, jak każdy, iż złożony ciężką chorobą, nie jest zdolny się ruszyć. On tymczasem, wpadłszy znów w lunatyzm, rozpoczął swoje nocne przechadzki. Niemym, osłupiałym wzrokiem patrzał baron na starego, kiedy ten wśród bolesnych jęków drapał się teraz po ścianie. Głęboki przestrach go ogarnął. Blady jak śmierć, z najeżonymi włosami, przystąpił do starego w groźnej postawie i zagrzmiał potężnym głosem, że aż sala zadrżała:

— Danielu! Danielu! Co tu porabiasz o tej godzinie?!

Stary niby zawył straszliwie, wydając głos podobny do jęku śmiertelnie ranionego zwierza, tak samo jak wówczas, kiedy mu Wolfgang ofiarował złoto za jego wierność. Jęknął i padł na ziemię. V. przywołał służących, podniesiono starego, ale wszelkie starania były daremne, żeby go do życia przywrócić. Baron krzyczał w rozpaczy.

— Boże mój! Boże! Czyliż nie słyszałem, że lunatyk umiera nagle, gdy go się po imieniu zawoła? Nieszczęsny! Zabiłem biednego starca! Przez całe życie spokoju nie znajdę! Zemsta

Kiedy służący trupa wynieśli i nikt w sali nie został, V. wziął za rękę wciąż rozpaczającego barona, milcząc zaprowadził go przed zamurowane drzwi i rzekł:

— Ten, który u nóg twoich, baronie Roderyku, padł nieżywy, był podłym mordercą twego ojca!

Jakby widmo ujrzał piekielne, baron osłupiałym wzrokiem patrzał na V. Ten zaś mówił dalej:

— Czas już, aby ci odkryć straszną tajemnicę, która ciążyła na tym bezbożniku. Przedwieczna siła dozwoliła synowi pomścić się na mordercy ojca. Słowa, którymi zagrzmiałeś w uszy temu straszliwemu lunatykowi, były ostatnimi, jakie wyrzekł twój nieszczęśliwy ojciec.

Drżący, niezdolny słowa wyrzec baron, zajął miejsce przy V. który usiadł przed kominem. V. opowiedział treść pisma, które Hubert mu zostawił, a które wolno było mu odpieczętować dopiero po otworzeniu testamentu. Hubert pełen najgłębszej skruchy, oskarżał się o niepojednaną zawiść, jaka zrodziła się w nim przeciwko bratu od chwili, gdy stary Roderyk ustanowił majorat. Wszelką broń wyrwano mu z ręki, bo gdyby udało mu się nawet poróżnić w niegodziwy sposób ojca z synem, to jednak pozostałoby to bez

żadnego skutku, bo sam Roderyk nie był w stanie odjąć najstarszemu synowi praw pierworodztwa i choćby odwrócił od niego swoje serce i oczy, to i tak nigdy by tego według swych zasad nie uczynił. Dopiero kiedy Wolfgang wszedł w miłosne stosunki z Julią de St. Bal, sądził Hubert, że może bratu szkodzić. Od tego czasu w porozumieniu z Danielem usiłował w niegodziwy sposób skłonić starego do postanowień, które miały syna przywieść do rozpaczy.

Wiedział on, że według wyobrażeń Roderyka jedynie związek ze starożytną w kraju rodziną mógł zapewnić majoratowi świetność na zawsze. Stary w gwiazdach ten związek wyczytał, każdy więc lekkomyślny postępek na szwank całą instytucję mógł narazić. Tym sposobem stosunek Wolfganga z Julią wydawał się staremu jako zbrodniczy zamach przeciwko tajemniczej mocy, która go wspierała w ziemskich zamiarach, gotował się więc go zniszczyć, uważając w Julii demoniczny pierwiastek, który mu stanął na przeszkodzie. Hubert wiedział o szalonej miłości Wolfganga dla Julii, której strata przyprawiłaby go o rozpacz albo o śmierć nawet, a tym chętniej popierał plany ojcowskie, że sam, uczuwszy karygodną skłonność ku Julii, spodziewał się zyskać jej wzajemność. Trzeba było szczególniejszego zrządzenia nieba, iż te piekielne zamysły rozbiły się o stanowczość Wolfganga, a nawet udało mu się oszukać brata. Hubert rzeczywiście nie wiedział o tajemnie zawartym małżeństwie ani o narodzeniu syna. Czując się bliskim śmierci, stary Roderyk wpadł na myśl, że Wolfgang musiał poślubić tę nienawistną mu Julię. W liście, który poleca synowi, aby w oznaczonym dniu przybył do K. dla objęcia majoratu, przeklina go, jeśli nie zerwie owych związków. Ten list Wolfgang spalił przy zwłokach ojcowskich.

List, Przekleństwo

Do Huberta pisał stary, że Wolfgang poślubił Julię, ale on zerwie ten związek. Hubert uważał to za wymysł ojcowskiej fantazji, ale jakże się przestraszył, gdy mu sam Wolfgang w K. nie tylko domysł ojca potwierdził z całą otwartością, ale dodał jeszcze, że Julia powiła mu syna, że przed niedawnym dopiero czasem zawiadomił ją o swoim stanie i o bogatej swej posiadłości, z czego niemało się zapewne ucieszy, gdyż dotąd miała go za kupca Borna z M. Chciał zaraz do Genewy pośpieszyć, aby sprowadzić ukochaną małżonkę. Nim przecież ten zamysł doprowadził do skutku, śmierć go spotkała. Hubert starannie zamilczał, co wiedział o bytności syna, zrodzonego w małżeństwie z Julią i przywłaszczył sobie majorat, który do tegoż należał. Zaledwie jednak parę lat upłynęło, uczuł żal głęboki. Los w straszliwy sposób przypomniał mu jego winę, budząc coraz większą nienawiść między jego synami.

Gniew

— Ty jesteś biedny chudeusz — mówił starszy, dwunastoletni chłopiec, do młodszego — ale ja, gdy ojciec umrze, zostanę panem majoratu i musisz być bardzo pokornym i po rękach mnie całować, zanim dostaniesz pieniądze ode mnie na nowy surdut.

Młodszy wpadł we wściekłość na tę szyderczą pychę brata, rzucił w niego nożem, który miał właśnie pod ręką i o mało go nie zabił. Hubert, lękając się większego nieszczęścia, wyprawił młodszego do Petersburga, gdzie ten później jako oficer walczył pod Suworowem przeciw Francuzom i poległ na polu bitwy. Odkryć przed światem, że nieprawnie, przez oszustwo majorat posiada — od tego wstrzymywały go wstyd i hańba, które by go spotkały. Ale postanowił sobie ani jednego grosza nie pozbawiać prawego właściciela. Zasięgnął wiadomości z Genewy i dowiedział się, że pani Born, zmartwiona niepojętym zniknięciem męża, umarła, ale młody baron żyje i jest na wychowaniu u pewnego poczciwego człowieka, który go przyjął do siebie. Wtedy zgłosił się Hubert pod obcym nazwiskiem, jako krewny kupca Borna, który zginął na morzu i przysyłał pieniądze, które dostateczne były do troskliwego i starannego wychowania przyszłego dziedzica majoratu. Jak zaś troskliwie zbierał nadwyżkę z dochodów majoratu i jaki później uczynił testament, to już wiadomo.

O śmierci swego brata mówił Hubert w dziwnie zagadkowy sposób, z którego wszakże domyślać się można, że tu zaszły jakieś pełne tajemnicy okoliczności i że Hubert pośrednio przynajmniej miał udział w okropnym czynie. Wyjaśnia to wszystko czarna teka. Do zdradzieckiej korespondencji Huberta z Danielem dołączona była kartka, którą Daniel napisał i podpisał. V. przeczytał jedno zeznanie, przed którym zadrżał w głębi duszy. Na Daniela wezwanie przybył Hubert do K. Daniel mu doniósł o znalezionych stu pięćdziesięciu tysiącach talarów. Wiadomo, jak brat przyjął Huberta, jak zawiedziony we wszystkich oczekiwaniach swoich i nadziejach, chciał zaraz odjechać, jak go V. zatrzymał. W sercu Daniela wrzała zemsta przeciwko młodemu człowiekowi, który chciał go

Podstęp, Morderstwo

wypędzić jak parszywego psa. On to wciąż podniecał ogień, który trawił zrozpaczonego Huberta. W lesie sosnowym, gdy polowali na wilki, w czasie burzy i zamieci śniegowej, spiknęli się na zgubę Wolfganga.

— Sprzątnąć — szepnął Hubert, oglądając się i przykładając fuzję.

— Tak, sprzątnąć — odmruknął Daniel — ale nie w ten sposób, nie w ten.

I ułożył sobie w duchu, że zamorduje barona, a nikt tego nawet nie postrzeże. Gdy Hubert w końcu otrzymał pieniądze, ciężko mu było na sercu, chciał odjechać, aby się oprzeć nowemu pokuszeniu. Sam Daniel osiodłał mu w nocy konia i wyprowadził go ze stajni, lecz gdy baron chciał go dosiąść, rzekł Daniel przerażającym głosem:

— Ja myślę, baronie Hubercie, że ty zostaniesz w majoracie, który w tej chwili spada na ciebie, bo dumny jego posiadacz leży zdruzgotany w otchłani wieżowej.

Chciwość, Morderstwo

Daniel zauważył, że Wolfgang, dręczony pragnieniem złota, często w nocy zrywał się z łoża, stawał przede drzwiami, które niegdyś do wieży prowadziły i rzucał pożądliwe, tęskne spojrzenia w głębię, która, według zapewnienia Daniela, miała ukrywać znaczne skarby. Toteż kiedy usłyszał, że baron otworzył drzwi wiodące do wieży, wszedł nimi i postępował za baronem, który stanął nad samą przepaścią. Baron odwrócił się, postrzegłszy niegodziwego sługę, któremu z oczu mord błyszczał i zawołał przestraszony:

— Danielu, Danielu, co tu robisz o tej godzinie? — A Daniel wtedy mruknął dzikim głosem:

— Leć na łeb, ty psie parszywy! — I silnym uderzeniem nogi zepchnął nieszczęśliwego w przepaść...

Okropna ta zbrodnia tak silnie oddziałała na barona, iż chwili spokoju nie mógł znaleźć w zamku, gdzie jego ojciec został zamordowany. Wyjechał do swoich dóbr w Kurlandii i raz tylko w rok, na jesień przyjeżdżał do K.

Duch

Franciszek, ów stary Franciszek, utrzymywał, że Daniel, którego zbrodni się domyślał, często później przeszkadzał, mianowicie gdy księżyc był w pełni, a opisywał tę przeszkodę zupełnie tak samo, jak V. ją ujrzał i z zamku wypędził.

Odkrycie też okoliczności, które pamięć ojca hańbą okrywały, wypędziło młodego Huberta daleko w świat...

Gdy mi to wszystko dziadek opowiedział, wziął mnie za rękę i ze łzami w oczach rzekł rozrzewnionym głosem:

— Kuzynku, kuzynku, nawet ona... Ta piękna kobieta nie mogła uniknąć wpływu siły nieczystej, która się rozgościła tam, na zamku...

Duch, Śmierć

W dwa dni po naszym wyjeździe z K. ułożył baron na zakończenie zabaw przejażdżkę sankami. Sam powoził, jadąc ze swą małżonką. Nagle, przy skręcie z doliny, w niepojęty sposób przestraszone konie zerwały się i jak szalone poniosły, parskając nozdrzami.

— Stary... stary jest tuż za nami! — zawołała baronowa rozpaczliwym głosem. W tej samej chwili silnie uderzone sanie wyrzuciły ją daleko... Znaleziono ją martwą... Ona tam spoczywa! Baron został niepocieszony. Jego spokój jest spokojem umierającego. Już nigdy, kuzynku, nie wrócimy do K.

*

Umilkł dziadek. Wkrótce potem rozłączyłem się z nim z zakrwawionym sercem, i tylko czas wszystko uspokający mógł przynieść ulgę głębokiej boleści, której sądziłem, że nie przeżyję.

Minęły lata. V. od dawna w grobie spoczywa. Ja musiałem opuścić ojczyznę. Burza wojenna, która szalała nad całymi Niemcami, zapędziła mnie daleko na północ, do Petersburga. W powrocie stamtąd, w czasie ciemnej nocy letniej, jadąc wzdłuż zatoki morza Bałtyckiego, niedaleko od K., postrzegłem na niebie wielką gwiazdę błyszczącą. Zbliżając się coraz więcej, poznałem po czerwonych płomykach, że to, co uważałem za gwiazdę, jest bardzo silnym ogniem, ale pojąć tego nie mogłem, jakim sposobem mógł się on wznieść tak wysoko w powietrze.

— Przyjacielu, co to za ogień tam, przed nami? — zapytałem pocztyliona.

— E, to nie ogień — odrzekł tenże — to latarnia morska w K.

Zaledwie pocztylion wymienił tę nazwę, gdy w żywym świetle stanął przed oczyma mej duszy obraz owych fatalnych dni, które tam przeżyłem. I ujrzałem barona, Serafinę,

stare dziwaczne ciotki, ujrzałem siebie samego z mlecznobiałą twarzą, pięknie ufryzowanego, upudrowanego, w błękitne suknie wystrojonego, a przy tym zakochanego... Wśród posępnych myśli, które mnie ogarnęły, iskrzyły się światełka wesołych żarcików dziadka, które teraz dowcipniejszymi się jeszcze wydawały niż dawniej. Smutkiem i dziwną wesołością przejęły. Nazajutrz rano stanąłem w K. i wysiadłem z powozu, który się zatrzymał przed pocztą. Poznałem zaraz dom rządcy i zapytałem się o niego.

— Z przeproszeniem... — odrzekł pisarz pocztowy, wyjmując z ust fajkę i poprawiając szlafmycy na głowie. — Tu nie ma żadnego rządcy, tu jest rząd królewski, a pan Amtsrath raczy jeszcze spać.

Pytając dalej, dowiedziałem się, że już od lat szesnastu umarł bezpotomnie baron Roderyk, ostatni dziedzic majoratu, a zatem tenże, stosownie do prawa obowiązującego podobne instytucje, przyłączony został do państwa.

Pobiegłem na zamek i zastałem go w ruinie.

Znaczną część jego cegieł zużytkowano przy budowie wieży z latarnią morską, tak mnie przynajmniej zapewniał wieśniak, który nadszedł z sosnowego lasu i rozpoczął ze mną gawędkę. Opowiadał mi także o duchach, które miały przebywać w zamku i upewniał, że jeszcze dziś, kiedy księżyc jest w pełni, dają się słyszeć śród zwalisk żałosne jęki i westchnienia.

Biedny, stary, lekkomyślny Roderyku, jakiego żeś złego ducha tu zaklął, który plemię twoje w pierwszych odroślach śmiertelnie zatruł, kiedy się spodziewałeś, że je tu zasadzisz silnymi korzeniami na wieki! Los, Przekleństwo

Narożne okno

Memu biednemu kuzynowi przypadł taki sam los, jaki był udziałem znanego Scarrona[144]. Jak ten, tak i mój krewny, skutkiem upartej choroby, stracił zupełnie możność używania nóg i zmuszony był z łóżka do lektyki z poduszkami i z lektyki do łóżka przenosić się przy pomocy tęgiej kuli i sprężystego ramienia zrzędliwego inwalidy, który z dobrej woli służy jako dozorca chorych. Ale jeszcze jedno podobieństwo ma kuzyn mój z owym Francuzem, którego, mimo niewielkiego dorobku, wsławił w literaturze francuskiej pewien osobliwy rodzaj humoru, odmienny od dowcipu francuskiego. Podobnie jak Scarron, pisuje mój kuzyn; jak on, posiada szczególną, żywą wesołość i na własny sposób wypowiada dziwaczne żarty. Jednak dla chwały pisarza niemieckiego należy zaznaczyć, że nigdy nie uważał za konieczne swoich małych, pikantnych miseczek przyprawiać *asa foetidą*[145], aby drażnić podniebienie czytelnika niemieckiego, który podobnej rzeczy by nie zniósł. Dostateczną mu była szlachetna przyprawa, która podniecając, zarazem pokrzepia. Publiczność chętnie czyta jego pisma; mają być dobre i zabawne; nie znam się na tym. Mnie osobiście bawiła rozmowa z moim kuzynem i przyjemniej mi było z nim gawędzić, niż go czytać. Jednak ten niezwalczony pociąg do pisania czarne nieszczęście sprowadził na mego biednego kuzyna; najcięższa choroba nie zmogła kołowacizny jego fantazji, która w nim wewnątrz wciąż pracowała, tworząc wciąż a wciąż rzeczy nowe. Tak się stało, że opowiadał mi nieustannie rozmaite, nader zabawne historie, które, pomimo niezmiernych cierpień fizycznych — ciągle mu przychodziły do głowy. Ale drogę, którą miała przepłynąć myśl, aby się uzmysłowić na papierze, zamknął zły demon choroby. Kiedy mój kuzyn chciał coś pisać, nie tylko palce mu odmawiały usługi, ale i sama myśl rozpraszała się i ulatniała. Z tego powodu mój kuzyn popadł w najczarniejszą melancholię. Choroba, Literat, Choroba, Melancholia

— Kuzynie, koniec mój nadchodzi. Jestem jak ów stary szaleństwem złamany malarz, który całymi dniami siedział przed czystym płótnem, w ramach umocowanym i wobec wszystkich gości, którzy go odwiedzali, wysławiał niezwykłe piękności wspaniałego obrazu, który tylko co wykończył. Zaniechałem czynnego twórczego życia, które, zewnętrzną

[144] *Scarron, Paul* (1610–1660) — francuski pisarz, sparaliżowany przez ostatnie 20 lat swojego życia. [przypis edytorski]

[145] *asa foetida* (z łac.) — nazywana czarcim łajnem lub smrodzieńcem, przyprawa o intensywnym, charakterystycznym zapachu porównywalnym z zapachem cebuli, który łagodnieje po dodaniu do gotującej się potrawy; tu przen.: skandaliczne wątki w utworze literackim. [przypis edytorski]

postać przybrawszy, mnie samego opuściło, radując się światem. Duch mój ciągnie do swego własnego zamknięcia.

Od tego czasu mój kuzyn nie pokazywał się nigdy ani mnie, ani komukolwiek. Stary, mrukliwy inwalida wyrzucał nas za drzwi, zrzędząc i mamrocząc jak złośliwy brytan.

Poeta, Dom

Trzeba zaznaczyć, że mój kuzyn mieszka dość wysoko w małych, niskich pokoikach. Jest to obyczaj pisarzy i poetów. Cóż znaczy niska powała[146] izby? Fantazja się unosi i buduje sobie wysokie, radosne sklepienie na błękitnym, promienistym niebie w wyżynach. I podobnie jak ten ciasny dom poety, tak i jego ogród zamknięty między czworgiem ścian, dziesięć stóp szeroki i długi, ma przecie znakomitą wysokość. Nadto mieszkanie mego kuzyna leży w najpiękniejszej części miasta stołecznego, mianowicie na wielkim rynku, otoczonym wspaniałymi budynkami, a na którego środku stoi olbrzymi, genialnie obmyślany gmach teatralny. Jest to dom narożny, a z okna narożnego pokoiku jednym spojrzeniem kuzynek mój ogląda panoramę wspaniałego placu.

Okno

Był to właśnie dzień jarmarczny, gdy, przeciskając się przez tłum ludu, wszedłem w ulicę, na której już z pewnej oddali widać narożne okno mego kuzynka. Niemało się zadziwiłem, gdy mi z tego okna zabłysła dobrze znana czerwona czapeczka, którą mój kuzyn zwykł był nosić za swoich dobrych czasów. Bliżej podszedłszy, spostrzegłem, że mój kuzyn włożył też swój państwowy szlafrok warszawski i kurzył tytoń z tureckiej fajki świątecznej. Kłaniałem mu się, chustką powiewałem mu na znak: aż udało mi się zwrócić jego uwagę na siebie; przyjaźnie kiwnął głową. Co za nadzieja!

Z szybkością błyskawicy biegłem po schodach. Inwalida drzwi mi otworzył; twarz jego zwykle pomarszczona i sfałdowana, podobna do przemoczonej, starej rękawiczki; teraz, dzięki wpływom jakiegoś promienia słonecznego, wygładziła się do pozorów znośnego pyska. Objaśnił mi, że pan siedzi w fotelu i że można z nim rozmawiać. Pokój był czysto wymyty i sprzątnięty, a nad kotarą łóżka umocowany był arkusz papieru, na którym wielkimi literami wypisano:

Et si male nunc, non olim sic erit[147].

Wszystko świadczyło o powrocie nadziei, o nowo przebudzonej sile życiowej.

— Ha — zawołał kuzyn przy moim wejściu — na koniec się pokazujesz u mnie. Czy wiesz, że prawdziwie tęskniłem za tobą. Bo, chociaż jak kat ciągle się wypytujesz o moje nieśmiertelne dzieła, to jednak ja cię bardzo lubię, bo jesteś pełny życia i choćbyś mnie nie bawił, jesteś zawsze bardzo zabawny.

Czułem, że przy tym komplemencie mego kuzyna, krew mi uderza do głowy.

Choroba, Kaleka

— Sądzisz — mówił dalej kuzyn, nie zwracając uwagi na mój ruch — sądzisz zapewne, że jestem zupełnie zdrowy lub całkowicie z niebezpieczeństwa wyzwolony. Co do ciała — to nie, wcale nie. Nogi moje — to zdradliwe wasale[148], co to sprzeniewierzyły się głowie swego pana, i z pozostałą resztą prawdziwego trupa nic już nie chcą mieć do czynienia. To znaczy, że nie mogę się ruszyć z miejsca i toczę się na tym krześle na kółkach tu i tam bardzo wesoło, przy czym mój stary inwalida gwiżdże melodyjne marsze ze swoich lat wojennych. Ale to okno jest moją największą pociechą; tu mi wszeszło na nowo pstrokate życie i czuję się wielce zadowolony na widok tego nigdy nieprzerwanego ruchu. Pójdź, kuzynie, spójrz przez okno.

Okno

Siadłem naprzeciw kuzyna na małym taborecie, który jeszcze się mieścił w granicach okna. Widok istotnie był szczególny i uderzający. Cały rynek zdawał się jedną, gęsto zbitą masą ludu, tak, że można by myśleć, iż rzucone w nią jabłko nie mogłoby nigdy dosięgnąć ziemi. Najrozmaitsze barwy jaśniały w promieniach słońca — i nawet w małych plamach; na mnie robiło to wrażenie wielkiego, poruszanego od wiatru pola tulipanów i koniec końców doszedłem do wniosku, że jest to widok bardzo ładny, ale po dłuższym czasie męczący, a który nawet osobom wrażliwym może sprawić zawrót głowy, bliski jakimś przykrym bredzeniom sennym; dlatego rozpytywałem się o przyjemność, jaką narożne

Tłum

[146] *powała* — drewniany strop, sufit. [przypis edytorski]

[147] *Et si male nunc, non olim sic erit* (łac.) — jeżeli teraz źle, nie zawsze tak ma być; fragm. z Horacego. [przypis edytorski]

[148] *wasal* (łac. *vassus*: sługa; z celt. *gwas*) — w średniowieczu człowiek wolny oddający się w opiekę seniorowi, otrzymujący od niego lenno i zobowiązany wobec seniora do posłuszeństwa i świadczenia służby zbrojnej; tu przen.: poddany. [przypis edytorski]

okno sprawia kuzynkowi i wyraziłem mu to zupełnie szczerze. Ale ten założył ręce na głowie i oto rozwinęła się między nami taka rozmowa:

ON:

Kuzynie, widzę, że nawet najmniejsza iskra talentu pisarskiego nie błyska w tobie. Brak ci pierwszego wymagania, abyś kiedykolwiek ruszył śladem twego beznogiego, kulawego kuzyna: mianowicie oka, które istotnie widzi. Ten rynek nie przedstawia ci nic więcej nad widok jakiegoś pstrego, bezsensownego zgiełku tłumów, poruszających się w działaniu bez treści? Hej, hej, przyjacielu! Dla mnie rozwija się tu najwszechstronniejsze widowisko życia mieszczańskiego, i mój duch, czujny Callot[149] lub nowoczesny Chodowiecki[150], zaznacza sobie wciąż szkic po szkicu o zarysach dosyć śmiałych. Kuzynie, chcę widzieć, czy ci przynajmniej mógłbym wyłożyć pierwsze zasady sztuki. Spójrz oto wprost przed siebie na ulicę; tu masz moją lornetkę: uważaj na tę szczególnie ubraną osobę z wielkim koszem na ramieniu, która pogrążona w głębokiej rozmowie ze szczotkarzem, zdaje się wykonywać zupełnie inne *domestica*[151] niż te, co dotyczą przeżywienia[152] ciała. Oko, Literat

JA:

Widzę ją. Ma jaskrawą żółtą chustkę, na sposób francuski, jak turban, obwiniętą dokoła głowy, a jej twarz, jako też cała jej istota, jawnie świadczy o jej narodowości francuskiej. Zapewne jaka pozostałość po ostatniej wojnie[153], która tu na suchym lądzie ocalała.

ON:

Nieźle powiedziane. Założyłbym się, że jej mąż zawdzięcza jakiejś gałęzi rękodzielnictwa francuskiego wcale piękny dochód, tak że jego żona może obficie napełnić swój koszyk dobrymi rzeczami. Teraz rzuca się ona w zgiełk. Uważaj, kuzynie, czy możesz śledzić jej bieg w najrozmaitszych kierunkach, nie tracąc jej z oczu; żółta chustka świeci wciąż przed twoimi oczami.

JA:

O jakże ten żółty gorejący punkt przecina masę ludzką! Teraz już jest blisko kościoła, teraz znów targuje coś koło straganów, teraz — o, do licha! zgubiłem ją — nie, tam na końcu znów się pojawia — tam koło drobiu — chwyta oskubaną gęś — obmacuje ją palcami znawczyni.

ON:

Dobrze, kuzynie. Utkwić wzrok, to kształci wyraźne spostrzeganie. Ale, zamiast w nudny sposób uczyć się sztuki, której zaledwie można się nauczyć — pozwól mi raczej zwrócić ci uwagę na wszelkiego rodzaju dziwy, które tu dzieją się przed naszymi oczami. Czy widzisz tę kobietę, która sobie tam, poprzez niemały ścisk, mocnymi łokciami miejsce wyrabia? Gospodyni

JA:

Co za szalona figura! jedwabny kapelusz, kapryśnie bezforemny, według jakiejś zakazanej mody, a na nim wiejące w powietrzu pióra, krótki jedwabny płaszcz, którego barwa powraca do nicości pierwotnej — na tym dość przyzwoity szal — obszycie żółtej perkalowej sukni sięga do kostek, szaroniebieskie pończochy, sznurowane trzewiki. Za nią przyzwoicie ubrana służąca z dwoma koszykami, siatką do ryb, workiem do mąki... Boże, czuwaj nad nami! Jakże ta jedwabna osoba rzuca dokoła siebie wściekłe spojrzenia, z jakim szałem pcha się w najgęstszy tłum, jakże się rzuca na wszystko, na jarzyny, owoce, Strój

[149] *Callot, Jacques* (1592–1635) — francuski grafik i rysownik. [przypis edytorski]

[150] *Chodowiecki, Daniel* (1726–1801) — polsko-niemiecki malarz, miniaturzysta i rysownik. [przypis edytorski]

[151] *domestica* (z łac. *domesticus*: domowy) — sprawy domowe, związane z gospodarstwem. [przypis edytorski]

[152] *przeżywienie* — tu zapewne: żywienie oraz wykonywanie wszelkich czynności potrzebnych do przeżycia. [przypis edytorski]

[153] *ostatnia wojna* — ponieważ utwór powstał w 1822 r. w Berlinie, chodzi tu zapewne o kampanie napoleońskie. W 1806 r. wojska francuskie zajęły Berlin, dążąc dalej na wschód (ten etap wojny został zakończony pokojem w Tylży), a następnie w czasie odwrotu spod Moskwy zostały rozgromione w bitwie pod Lipskiem w 1813 r.; w tym okresie miały miejsce przemarsze sił francuskich oraz migracje towarzyszącej armii ludności cywilnej na terenach należących do Prus. [przypis edytorski]

ryby itd.; jakże wszystko obziera[154], obmacuje, o wszystko się targuje, a nie kupuje nic...

ON:

Powiem ci, co to za osoba, której nie brak na żadnym jarmarku, szalona gospodyni. Tak mi się zdaje, że to musi być córka jakiegoś zamożnego łyka[155], może jakiego bogatego mydlarza, a której rękę *cum annexis*[156] zdobył sobie nie bez wysiłku jaki tajny sekretarz. Pięknością i wdziękiem nie obdarzyło jej niebo, natomiast uchodziła ona u wszystkich sąsiadów za najgospodarniejszą, najbardziej domową pannę i rzeczywiście jest ona tak gospodarna, i co dnia gospodaruje od rana do wieczora w tak okropny sposób, że biedny tajny sekretarz już mało co zmysłów nie postradał i chciałby uciekać tam, gdzie pieprz rośnie. Nieustannie wyciąga się tarabanowo-trombonowy[157] rejestr zakupów, zamówień, kramarszczyzny i wszelkich potrzeb domowych i tak gospodarstwo tajnego sekretarza wygląda jak stary zegar w szafie, którego nakręcona maszyneria wiecznie wygrywa jakąś obłąkaną symfonię, co to ją sam diabeł skomponował. Niemal co czwarty dzień targowy towarzyszy jej inna służąca. *Sapienti sat*[158]! Czy widzisz tam — nie, tu! — tę grupę, co się naraz utworzyła, godną istotnie, by ją uwiecznił ołówek Hogartha[159]. Spójrz no tylko, kuzynie, na te trzecie drzwi teatru.

JA:

Para starych bab siedzi na miękkich stołkach, cały ich kram mieści się w niewielkim koszu, jedna ma pstre jaskrawe chusty, tak zwane towary dokuczliwe, obliczone na efekt głupich oczu, druga ma skład szarych i niebieskich pończoch, włóczki itd. Pochyliły się ku sobie, szepcą między sobą coś do ucha, jedna sączy kubeczek kawy; druga zdaje się całkiem porwana przedmiotem rozmowy — zapomniała o sznapsiku[160], który miała wypić; rzeczywiście, para uderzających fizjonomii[161]! Co za śmiech demoniczny, co za gestykulacja suchymi, kościstymi rękami.

ON:

Handel, Plotka, Wróg, Przyjaźń

Te dwie kobiety siedzą ciągle razem i, nie bacząc na to, że rozmaitość ich handlu nie dopuszcza żadnego starcia, żadnej zawiści zarobkowej, to jednak aż do dziś spoglądały one wciąż na siebie nieprzyjaźnie, i, o ile mogę ufać swej wyćwiczonej fizjonomice[162], rzucały sobie nawzajem różne przykre wymysły. O, patrzże, patrz, kuzynie, jak to one coraz bardziej stają się jednym sercem i jedną duszą. Handlarka chust udziela handlarce pończoch swego kubka kawy. Co to może znaczyć? Przed paroma minutami przechodziła tędy młoda, najwyżej szesnastoletnia dziewczyna, piękna jak dzień, której cała postać i zachowanie świadczyło o dobrych obyczajach i wstydliwych pożądaniach. Dziewczyna znęcona towarem zapatrzyła się w jej kosz. Cała jej dusza była skierowana ku białej chustce z kolorowym brzegiem, której być może bardzo potrzebowała. Targowała o nią, stara zaś używała wszystkich sztuczek przebiegłości kupieckiej, rozciągając szeroko chustkę i w promieniach słońca migając jej ostrymi kolorami. Zgodziły się wreszcie na cenę. Kiedy jednak biedaczka wyjęła z supełka chustki do nosa ubogą swą kasę, gotówki jej nie starczyło na tak wielki wydatek. Z gorączkową, rozpaloną wargą, ze łzami perlącymi się w oczach, oddaliła się dziewczyna tak szybko, jak jeno mogła, gdy stara, śmiejąc się pogardliwie, złożyła chustkę na nowo i rzuciła do kosza. Grzeczna przy tym wymiana słów miała zapewne miejsce. Ale oto drugi diabeł zna małą i potrafi wyłożyć smutną historię zbiedniałej rodziny jako skandaliczną kronikę lekkomyślności, a może występku, czym

Drwina, Bieda

[154] *obzierać* (daw.) — oglądać. [przypis edytorski]

[155] *łyk* (daw.) — pogard.: mieszczanin. [przypis edytorski]

[156] *cum annexis* (łac.: z dodatkami) — tu żart.: z posagiem. [przypis edytorski]

[157] *tarabanowo-trombonowy* — w znaczeniu przenośnym określenie utworzone dla wyrażenia nadmiaru, może przez porównanie do zbytniego zgiełku instrumentów, których tu nazw użyto; *tarabnan*: bęben wojskowy; *trombon*: puzon. [przypis edytorski]

[158] *sapienti sat* (łac.) — mądremu wystarczy; fragm. z *Persa* Plauta: *dictum sapienti sat est*: mądremu wystarczy to, co powiedziano. [przypis edytorski]

[159] *Hogarth, William* (1697–1764) — angielski malarz i grafik. [przypis edytorski]

[160] *sznaps* (z niem. *Schnaps*) — żart.: wódka. [przypis edytorski]

[161] *fizjonomia* (fr. *physionomie*: twarz, wyraz twarzy, cecha znamienna; z gr. *physiognomía*) — wygląd, oblicze, postać czegoś, cechy charakterystyczne; twarz. [przypis edytorski]

[162] *fizjonomika* (z fr. *physionomie*: twarz, wyraz twarzy, cecha znamienna) — umiejętność rozpoznawania właściwości umysłowych i postaw uczuciowych człowieka z wyglądu jego twarzy i całego ciała. [przypis edytorski]

udelektowała się dusza starej oszołomionej straganiarki. Kubkiem kawy wynagrodziła tęgie, grube jak pięść oszczerstwo.

JA:

Z tego wszystkiego, coś ty tu wykombinował, drogi kuzynie, może nie ma ani słówka prawdy, ale, przypatrując się tym kobietom, wszystko to, dzięki twemu pełnemu życia przedstawieniu rzeczy, wydaje mi się tak prawdopodobnym, że, chcąc nie chcąc, muszę w to wierzyć.

ON:

Handel

Zanim się odwrócimy od ściany teatru, spójrzmy jeszcze na tę tłustą, wesołą kobietę z twarzą tryskającą zdrowiem, a która w stoickim spokoju i niewzruszoności, ukrywszy ręce pod biały fartuch, siedzi na trzcinowym krześle, ustawiwszy bogaty stragan jasno polerowanych łyżek, noży, widelców, naczyń fajansowych, talerzy i waz z porcelany zastarzałej formy, filiżanek do herbaty, dzbanuszków do kawy, towarów pończoszniczych i Bóg wie czego jeszcze; a wszystko to porządnie rozłożone na białym obrusie, tak, iż cały jej zapas, zapewne sklejony z małych zbiorów, tworzy dziś prawdziwy *orbis pictus*[163]. Nie czyniąc osobliwej miny, słucha ona gadaniny targujących obojętnie, jakby ją ten cały handel nic nie obchodził, zgadza się, wyciąga jedną rękę spod fartucha, aby od kupującej tylko wziąć pieniądze, przy czym pozwala jej samej zabrać kupiony towar. Jest to spokojna rozsądna kobieta, która potrafi z każdego piasku bicz ukręcić. Cztery tygodnie temu cały jej kram stanowiło pół tuzina bawełnianych pończoch, i tyleż szklanek. Handel jej rośnie z każdym targiem, a ponieważ baba nie przynosi z sobą lepszego krzesła, ręce zaś pod fartuchem chowa tak samo jak przedtem, świadczy to, że posiada równowagę ducha i że powodzenie nie wywołuje w niej pychy i arogancji. Przychodzi mi teraz śmieszna idea do głowy! Wyobrażam sobie w tej chwili malutkiego złośliwego diabełka, co by, jak na owym rysunku Hogartha pod krzesłem żebraczki, ukrył się tu pod zydlem kramarki i zazdrosny o jej szczęście w chytrze potajemny sposób podpiłował nogi stolika. Buch! szkło i porcelana nagle się wali i cały handel przepada. Byłoby to bankructwo w znaczeniu dosłownym tego wyrazu.

JA:

Pozycja społeczna, Gospodyni, Korzyść

Istotnie, drogi kuzynie! nauczyłeś mnie teraz lepiej patrzeć. Patrząc tu i tam w tę różnobarwną ciżbę, w tę falującą gromadę, spostrzegam w różnych punktach młode panny, które w towarzystwie ciemno ubranych kucharek, noszących duże, jasno barwne kosze, krążą po targowisku i robią zakupy różnych przedmiotów domowej potrzeby. Modny ubiór tych panien, całe ich zachowanie wątpić nie pozwala, że są to co najmniej osoby zamożnego stanu mieszczańskiego. Jakże one tu na targ przychodzą?

ON:

To rzecz łatwa do wyjaśnienia. Od paru lat stało się zwyczajem, że nawet córki wyższych urzędników państwowych bywają na targ wysyłane, aby praktycznie poznać tę część gospodarstwa domowego, która dotyczy zakupu materiałów żywnościowych.

JA:

Bardzo chwalebny w istocie obyczaj, który przy swej użyteczności praktycznej, prowadzi do rozwoju zmysłu gospodarczego.

ON:

Tak sądzisz, kuzynie! Co do mnie, postrzegam tę sprawę wręcz odwrotnie. Jakiż inny cel może mieć to samoistne[164] kupowanie, niżeli przekonać się o dobroci towarów i o rzeczywistych cenach rynku? Własności, wygląd, oznaki dobrej jarzyny, dobrego mięsa itd., zaczynająca gospodyni uczy się łatwo poznawać w inny sposób, a mała oszczędność na tzw. koszykowym, co się i tak zdarza, gdyż towarzysząca pannie kucharka jest bezwarunkowo w tajemnym porozumieniu ze sprzedawcami — nie usuwa tych ujemnych stron, jakie bardzo łatwo ściągnąć musi odwiedzanie targowiska. Nigdy bym za cenę paru fenigów[165] nie wystawiał córki na niebezpieczeństwo, by ją wepchnąć między najgorszy

[163] *orbis pictus* (łac.: świat w obrazkach) — elementarz z obrazkami; tu: bogaty zbiór czegoś. [przypis edytorski]
[164] *samoistny* — tu: osobisty, dokonywany osobiście. [przypis edytorski]
[165] *fenig* (z niem. *Pfennig*) — germańska nazwa denara używana od VIII do X w. [przypis edytorski]

motłoch, by usłyszała jakie plugastwo, lub by musiała przełknąć niespójne słowa jakiejś brutalnej kobiety lub chama. I wreszcie, co dotyczy marzeń pewnych tęskniących do miłości młodzieńców w niebieskich kurtach na koniu albo w żółtych wełniakach z czarnym kołnierzem pieszo, to rynek złą jest szkołą. Ale patrz, kuzynie! Jakże ci się podoba ta panna, która tam koło pompy idzie w towarzystwie starej kucharki? Weź mą lornetkę, weź mą lornetkę, kuzynie.

JA:

Ach, co za stworzenie, co za wdzięk, co za powaby! ale ona ze wstydem oczy spuszcza, każdy jej krok jest pełny obawy, chwiejny. Bojaźliwie trzyma się towarzyszki, która jej w ścisku przemocą drogę przebija. Śledzę je dalej. Oto kucharka spokojnie stoi przed koszami z jarzyną — targuje — pociąga małą za rękę, ta zaś z twarzą na wpół odwróconą szybko, szybko wyciąga pieniądze z woreczka, podaje kucharce, zadowolona, znów idzie dalej. Nie mogę ich stracić z oczu! dzięki temu czerwonemu szalowi... Zdaje się szukają czegoś na próżno... Na koniec, na koniec: tam oto zatrzymały się koło jakiejś kobiety, która w ładnych koszykach wystawia swoje jarzyny — śliczna mała całą swoją uwagę skupiła na najpiękniejszym kalafiorze — panienka sama wybiera główkę i kładzie ją do kosza kucharce — ale ta, bezwstydna — nie bacząc na nic, wyjmuje kalafior ze swego kosza, kładzie go z powrotem do kosza przekupki — i wybiera inny, mocno przy tym kiwając pełną powagi, w wielobarwny czepiec strojną głową i zawstydza wyrzutami biedną małą, która po raz pierwszy chciała być samodzielną.

ON:

Jakże ty wyobrażasz sobie uczucia tej panienki, której chcą narzucić zmysł gospodarczy, zupełnie niezgodny z jej delikatnym usposobieniem? Znam ja tę piękną małą. Jest to córka pewnego tajnego nadradcy finansowego, natura daleka od wszelkiej przesady, istota pełna prawdziwie kobiecego ducha i obdarzona tym ściśle trafnym rozumem i delikatnym taktem, który jest właściwy kobietom tego typu.

ON:

Ho, ho, kuzynie! Nazywam to szczęśliwym spotkaniem. Tu na rogu zjawia się uzupełnienie tego obrazu. Jakże ci się podoba ta panna?

JA:

Ach, co za wdzięczna, smukła postać — młoda — trzpiotowata — szeroko otwartymi oczami w świat zapatrzona, która na niebie widzi wciąż blask słońca, w powietrzu słyszy radosną muzykę, jakże śmiało, jak bez troski przebija się przez gęstą ciżbę. Służąca, która jej z koszem towarzyszy, zdaje się mało co od niej starsza i między nimi panuje, widać, pewna serdeczność. Panienka ma bardzo ładne rzeczy na sobie, szal modny, kapelusz odpowiedni do rannego stroju, suknia uszyta według wielce gustownych wzorów. Wszystko ładne i przyzwoite: ale co widzę! panienka nosi białe jedwabne trzewiki. Wyranżerowane pantofelki balowe na targu! W ogóle im bardziej się przyglądam tej pannie, tym bardziej mnie uderza w niej pewna osobliwość, której nie mogę określić słowami. Prawda, bardzo gorliwie czyni swe zakupy, wybiera a wybiera, targuje się a targuje, gada, macha rękami, wszystko z najżywszym natężeniem; mnie się jednak coś tak zdaje, jakoby ona chciała tu coś więcej nabyć niż prowiant gospodarski.

ON:

Brawo, brawo, kuzynie! Wzrok twój zaostrza się jak widzę. Zauważ, mój kochany, że pomimo bardzo modnego ubioru, nie bacząc na trzpiotowatość całej osoby, już te białe jedwabne trzewiki na jarmarku zdradzają tajemnicę, że mała jest z baletu albo w ogóle należy do teatru. Czego ona jeszcze pragnie, może to się da rozwiązać bez trudu — ha, udało się! Patrz no, drogi kuzynie, nieco na prawo w ulicę do góry i powiedz mi, kogóż tam widzisz przed hotelem, gdzie jest dość odludnie.

JA:

Widzę tam wysokiego, smukłego młodzieńca w żółtej, krótko skrojonej kurtce z wełniaka z czarnym kołnierzem i stalowymi guzikami. Nosi on małą, czerwoną, srebrem haftowaną czapeczkę, spod której wyłaniają się piękne, czarne, może nieco za obfite włosy.

Wyraz bladej, męskiej pięknej twarzy niemało podnosi szczupła, czarna, modna bródka. Tekę trzyma pod pachą — niewątpliwie student, który zamierzał iść na kolegium[166]; ale nagle w ziemię wrósł i stoi zapatrzony niezmiennie na rynek i zdaje się zapomniał o kolegium i o wszystkim.

ON:

Tak jest, drogi kuzynie. Cały jego duch skierowany jest ku naszej małej komediantce. Chwila nadeszła. Zbliża się nasz student do budy z owocami, gdzie apetycznie zgromadzono najpiękniejsze okazy; i niby to o owoce się pyta, ale takie, których właśnie nie ma. Nie do pomyślenia, aby dobry obiad nie kończył się deserem z owoców; nasza mała komediantka musi więc zakończyć swe zakupy stołowe przy tym straganie owocowym. Okrągłe czerwone jabłuszko wyślizguje się filuternie z małych paluszków, żółty pochyla się i podnosi je, lekki dyg małej wróżki teatralnej; rozwija się pogawędka — wzajemna pomoc i rady przy wyborze jakiejś należycie ciężkiej pomarańczy i tak się utrwala pewnie już przedtem nawiązana znajomość, przy czym naznaczone zostaje miłe *rendez-vouz*[167], które zapewne będzie się powtarzało z różnymi urozmaiceniami.

Flirt

JA:

Niechaj syn Muz[168] uprawia miłość i wybiera pomarańcze, jak mu się spodoba; mnie to nie bawi, tym bardziej, że oto w rogu frontowej ściany, gdzie stoją handlarki kwiatów, dostrzegam na nowo obraz anioła, przesłodką córkę tajnego radcy.

ON:

Na kwiaty nie spoglądam tu chętnie, drogi kuzynie; ma to swe szczególne powody. Sprzedawczyni, która według prawidła trzyma najpiękniejszy kosz wyszukanych gwoździków, róż i innych rzadkich kwiatów, jest to bardzo piękna, wytworna dziewczyna, która dąży do wyższej kultury ducha; toteż, o ile nie jest zajęta handlem, gorliwie czyta książki, których oprawa wskazuje, że należą do głównej armii estetycznej Kralowskiego, co to aż do najdalszego kąta rezydencji zwycięsko szerzy światło kształcenia duchowego. Czytająca kwiaciarka, to dla pisarza beletrysty[169] widok nieodparcie czarowny. Zdarzyło się, że, dosyć już dawno, gdy mi droga wypadła obok tych kwiatów (i w inne dni również są tu kwiaty na sprzedaż), ujrzawszy tę czytającą *fioraję*[170], w zdumieniu stanąłem bez ruchu. Siedziała niby w gęstej altanie kwitnących geraniów, na kolanach rozłożyła książkę, głowę oparłszy na rękach. Bohater musiał być właśnie w jakimś oczywistym niebezpieczeństwie albo też jakiś ważny moment akcji musiał się dokonywać; jagody[171] dziewczyny zaczerwieniły się żywiej, wargi jej drżały, zdawała się zupełnie oderwana od otoczenia. Kuzynie, chcę ci wyjątkową słabość pisarską przedstawić bez żadnych względów. Stałem jak wryty wobec tego widoku — dreptałem tu i tam; — co też ta dziewczyna czyta? Myśl ta zajmowała całą moją duszę. Duch próżności autorskiej poruszył się we mnie i łechtał przeczuciem, że to jedno z moich dzieł właśnie przeniosło dziewczynę w fantastyczny świat moich marzeń. W końcu nabrałem odwagi, zbliżyłem się i zapytałem o cenę wiązki gwoździków, które leżały w dalszym szeregu. W czasie więc, gdy dziewczyna podniosła się, by mi podać kwiaty, wziąłem rozwartą książkę do ręki i zapytałem: „Co to czytasz, piękne dziecko?" O nieba, istotnie była to moja książka i właśnie ***. Dziewczyna przyniosła mi kwiaty i zarazem oznaczyła cenę umiarkowaną. Ale cóż mi kwiaty, cóż mi bukiet gwoździków! dziewczyna była dla mnie w tej chwili daleko szacowniejszą publicznością niż cały elegancki świat rezydencji. Podniecony, rozpłomieniony najsłodszym poczuciem autorskim zapytałem na pozór obojętnie, jak się też dziewczynie książka podoba. „I, drogi panie" — odrzekła tamta — „to bardzo śmieszna książka; z początku — to prawie, że dostajesz zawrotu głowy, ale potem jest ci tak, jakbyś tam siedział w samym środku".

Książka

Próżność, Twórczość, Literat

Ku niemałemu memu zdziwieniu opowiedziała mi dziewczyna treść mojej bajki wcale składnie i wyraziście, tak, iż widziałem, że musiała ją czytać kilkakrotnie; powtórzyła, że

[166] *kolegium* (z łac. *collegium*: grupa urzędników równych stopniem, kolegów) — tu: zebranie grupy studentów, zajęcia akademickie. [przypis edytorski]

[167] *rendez-vouz* (fr.) — przestarz.: randka. [przypis edytorski]

[168] *Muza* — w mit. gr. bogini opiekunka sztuk pięknych i nauk. [przypis edytorski]

[169] *belletrysta* (z fr. *belles lettres*: literatura piękna) — autor beletrystyki, utworów literatury pięknej, głównie powieści i nowel. [przypis edytorski]

[170] *fioraja* (z wł. *fioràia*) — kwiaciarka. [przypis edytorski]

[171] *jagoda* (daw.) — policzek. [przypis edytorski]

to bardzo śmieszna książka, że, czytając, już to śmiała się serdecznie, już to robiło się jej na duszy zupełnie łzawo; poradziła mi też, abym, jeżeli dotąd książki tej nie czytałem, wziął ją po południu u Kralowskiego, gdyż ona zmienia książki po południu. — Tu miało nastąpić uderzenie pioruna. Ze spuszczonymi oczami, głosem, który miał być słodyczą równą miodowi z Hybli[172], z błogim uśmiechem przepełnionego szczęściem autora, szeptałem: „Tu, słodki mój aniele, tu stoi autor książki, co ci dała tyle rozkoszy — tu, w żywej osobie przed tobą!" Dziewczyna wytrzeszczyła na mnie szeroko oczy i stała niema z otwartymi ustami. Stanowiło to dla mnie wyraz najwyższego podziwu, jakiegoś radosnego przerażenia, że podniosły geniusz, którego potęga twórcza takie dzieło wyłoniła — zjawił się nagle tuż koło geraniów. Być może, myślałem sobie, gdy dziewczyna stała wciąż z niezmienioną twarzą, być może dziewczyna wierzy w szczęśliwy przypadek, który ją postawił wobec znakomitego autora ***. Starałem się tedy we wszelki możliwy sposób wykazać jej swą tożsamość z owym autorem, ale ona była jak skamieniała — i z jej ust wymykały się tylko dźwięki: „Hm — tak — to by było — niby —". — Ale jakże mam ci opisać głęboką pogardę, która mnie uderzyła w tym momencie!? Okazało się, że dziewczyna nigdy nie pomyślała o tym, że książki, które czyta, musiały wprzód być napisane. Pojęcie pisarza, poety było jej zupełnie obce — i sądzę rzeczywiście, że przy bliższym badaniu, wyszłaby na jaw jej pobożna, dziecinna wiara, że za sprawą miłego Boga książki rosną jak grzyby.

Pogarda

Zupełnie po cichu pytałem się jeszcze raz o cenę gwoździków. Tymczasem zupełnie inna, ciemna idea o fabrykacji książek musiała się urodzić w dziewczynie; bo gdym wypłacał pieniądze, pytała mnie naiwnie i prostodusznie, czy to ja robię wszystkie książki u pana Kralowskiego.

JA:

Kuzynie miły, nazywam to ukaraną próżnością autorską; przecież w czasie gdyś mi opowiadał swoją tragiczną historię, ja mimo to nie odwracałem wzroku od swej ukochanej. Przy kwiatach dopiero utracił dumny demon kuchni całą swobodę. Markotna kuchmistrzyni postawiła ciężki kosz na ziemi i oddała się w całości nieopisanej rozkoszy pogawędzenia z trzema przyjaciółkami, już to uderzając pulchne ręce o siebie, już to biorąc się za boki — stosownie do tego, czego wymagały retoryczne figury jej opowieści, a mowa jej była, wbrew słowom Ewangelii, daleko więcej, niż: tak, tak i nie, nie. Spójrz no, jaki prześliczny bukiet kwiatów wybrał sobie ten czarowny anioł i każe go nieść za sobą tęgiemu parobkowi. Jak to? Nie, to mi się niezupełnie podoba, że idąc skubie sobie ta panna wiśnie z koszyczka: jakże się zaprzyjaźni z owocami chustka batystowa, która się w nim prawdopodobnie znajduje.

ON:

Młodociany apetyt chwilowy nie baczy na plamy wiśniowe, przeciw czemu ma ona sól szczawikową i inne pewne środki domowe. I jest to prawdziwie dziecięcy brak uprzedzeń, że mała tylko w utrapieniu niemiłego targu pozwala sobie zażywać tej na nowo odzyskanej swobody.

Ale od dłuższego już czasu uderzył mnie ten tam człowiek, jako nierozwiązana zagadka! Patrz, ten, co tam stoi koło pompy przy wozie, na którym baba wiejska z dużej beczki rozdaje tanie powidła śliwkowe. Przede wszystkim, kochany kuzynie, podziwiaj ruchliwość kobiety, która zbrojna, długą drewnianą łyżką naprzód załatwia duże zakupy po ćwierć funta, po pół funta, po funcie, a potem łasuchom pożądliwym, co wystawiają papierek, a pod nim nieraz czapkę barankową — z błyskawiczną szybkością rzuca wymaganą porcję za trojaka! Ci natychmiast zdrowo łykają powidła jako sutą przekąskę poranną — „kawior dla ludu!" Przy okazji podziału powideł, za pomocą wymijającej się łyżki, przypominam sobie, że raz w dzieciństwie słyszałem, jak to na pewnym bogatym weselu chłopskim tak wspaniale się zdarzyło, że delikatną grubą skorupą z cynamonu, cukru i gwoździków pokryta zupa ryżowa była rozlewana warząchwią[173]. Każdy z dostojnych gości winien był tylko poczciwie gębę otworzyć, aby otrzymać należną porcję —

Jedzenie

[172] *Hybla* — staroż. miasto gr. na Sycylii (znane są różne nazwy: Hybla Maior, Hybla Magna oraz Megara Hybla, odnoszące się do jednego lub różnych miast). [przypis edytorski]

[173] *warząchew* — dawna duża łyżka kuchenna, zwykle drewniana. [przypis edytorski]

i tak szło wszystko doskonale, jak w krainie pieczonych gołąbków. Ale, kuzynie, czyś uchwycił wzrokiem tego człowieka?

JA:

Jużci. Cóż to za upiór ta szalona, awanturnicza postać? Co najmniej sześć stóp wysoki, zeschły od wiatrów mężczyzna, który nadto przy zgiętym grzbiecie trzyma się prosto jak świeca. Pod małym, trójkątnym, zgniecionym kapelusikiem sterczy z tylu kokarda harbajtla[174], który się potem szeroko po grzbiecie uwija. Stary, skrojony według dawno przestarzałej mody surdut — od góry do dołu na guziki spięty — przylega ściśle do ciała, nie robiąc ani jednej fałdy i już wtedy, gdy przechodził koło wozu, mogłem zauważyć, że ma on czarne spodnie, czarne pończochy i potężne cynowe sprzączki na trzewikach. Co też on może mieć w tej czworokątnej skrzynce, którą tak gorliwie trzyma pod lewym ramieniem, a która bardzo przypomina kramik wędrownego Węgra? Strój

ON:

Zaraz się o tym dowiesz, tylko patrz z uwagą.

JA:

Otwiera pokrywkę skrzynki — słońce się w niej przegląda, są to promienne odbicia — skrzynka jest blachą pokryta — babie ze śliwkami składa najpokorniejszy ukłon, zdejmując z głowy kapelusik. Cóż to za osobliwa, pełna wyrazu twarz! cienkie, zamknięte wargi, nos jastrzębi, wielkie czarne oczy, mocne brwi, wysokie czoło, czarny włos, tupet[175] ufryzowany w kształt serca, małe sztywne loki koło uszu. Podaje skrzynkę babie wiejskiej na wozie; ta zaś bez pytania powidłami ją napełnia i przyjaźnie chyląc głowę, oddaje z powrotem. Po raz drugi się ukłoniwszy, człowiek się oddala, kieruje się ku beczce śledzi — podaje handlarce jedną przegródkę swej skrzynki, kładzie w nią parę nabytych rybek solonych, znów przegródkę do skrzynki składa. Trzecia przegródka, jak widzę, przeznaczona jest na pietruszkę i inne korzenie oraz przyprawy. Teraz przecina rynek w rozmaitych kierunkach powolnym, pełnym niezmiernej powagi krokiem, aż go zatrzymał widok rozłożonego na stole, oskubanego drobiu. Jak wszędzie tak i tu, zanim targować zacznie, głęboko się kłania — mówi długo i wiele z kobietą, która go ze szczególnie przyjazną miną wysłuchuje — ostrożnie kładzie skrzynkę na ziemi — i bierze dwie kaczki, które nader wygodnie wtrąca w szeroką kieszeń swego surduta. — Boże, za nimi idzie gęś — na indyka spogląda tylko wzrokiem pełnym czułości — nie może jednak odmówić sobie rozkoszy, by go miłośnie nie pomacać wskazującym i wielkim palcem; szybko podnosi skrzynkę, niezwykle uprzejmie kłania się handlarce — i gwałtownie się odrywa od kuszących przedmiotów swej żądzy; stąd — płynie właśnie ku budom rybaczek. Czy ten człowiek jest kucharzem, co ma ucztę zgotować? Kupuje oto jeszcze ćwiartkę cielęciny, którą jeszcze wsypuje do jednej ze swych olbrzymich kieszeni. Teraz zakupy już ukończył. Idzie w ulicę św. Karoliny, z tak osobliwym zachowaniem, jakby tu przybył z jakiejś dalekiej obcej ziemi. Grzeczność Jedzenie

ON:

Dość ja sobie nałamałem głowy nad tajemnicą tej egzotycznej figury. Jakże, kuzynie, myślisz o mojej hipotezie? Człowiek ten to nauczyciel rysunków, który żywot przepędził, a może jeszcze pędzi w średnich zakładach szkolnych. Za pomocą różnych zręcznych interesów zarobił dużo pieniędzy; jest skąpy, nieufny, cynik aż do ckliwości, stary kawaler; jednemu tylko bogu składa ofiary — brzuchowi; jedyną jego rozkoszą jest dobrze jeść, rozumie się samemu w swoim pokoju; żyje zupełnie bez służby, o wszystko troszczy się sam, w dni targowe, jak widziałeś, nabywa swą prowizję na pół tygodnia i w małej kuchni, tuż koło ubogiej izby sam przygotowuje swe potrawy, które potem, ile że kucharz ciągle o podniebieniu swego pana myśli, pożera z chciwym, może nawet zwierzęcym apetytem. Jak zręcznie i celowo przerobił on skrzynkę malarską na kosz targowy — sam widziałeś, drogi kuzynie. Bogactwo, Skąpiec, Chciwość, Jedzenie

[174] *harbajtel* (z niem. *Haarbeutel*) — pęk włosów z tyłu peruki zebranych w warkocz, kucyk lub zawiązanych ozdobną siatką; w XVII i XVIII wieku w Europie peruki stanowiły nieodzowny element modnego stroju obu płci, wyszły z powszechnego użycia na początku wieku XIX. [przypis edytorski]

[175] *tupet* (z fr. *toupet*) — kosmyk włosów na wierzchu głowy. [przypis edytorski]

JA:
Precz mi z tym wstrętnym człowiekiem.

ON:
Dlaczego wstrętnym? I takie maszkary powinny być na świecie, mówi pewien bardzo doświadczony człowiek — i ma rację, ponieważ rozmaitość nigdy nie może być dość rozmaita. Ale jeżeli ci się ten człowiek tak bardzo nie podoba, to mogę ci jeszcze o tym, kim on jest, co robi i czym się trudni, inną postawić hipotezę. Czterej Francuzi, prawie sami paryżanie: nauczyciel języka francuskiego, nauczyciel fechtunku[176], nauczyciel tańca i pasztetnik — przybyli w latach młodocianych razem do Berlina, i znaleźli tu obfity zarobek, jak to niegdyś (przy schyłku minionego wieku) — nieraz się zdarzało. Od chwili, gdy ich połączył dyliżans, zawarli najściślejszą przyjaźń, byli jednym sercem i jedną duszą, i co wieczora po ukończeniu pracy spędzali razem czas przy skromnej kolacji i na ożywionej iście po francusku rozmowie. Nogi tancmistrza z wolna zesztywniały, ramiona fechtmistrza[177] z biegiem lat osłabły, nauczyciela języka przewyższyli jego rywale sławą swej najnowszej pronuncjacji[178] paryskiej, a chytre pomysły pasztetnika utraciły renomę wobec młodych łaskotaczy podniebienia, wykształconych w szkole najdziwaczniejszych gastronomów paryskich.

Ale każdy członek wiernie złączonego kwartetu wydostał się na suchy ląd. Razem się przenieśli do obszernego, przyzwoitego, choć oddalonego mieszkania; zwinęli swe interesy i żyli razem, wierni obyczajom starofrancuskim, wesoło i bez troski, ponieważ oni jedni umieli ujść zgryzot i ciężarów nieszczęśliwych czasów. Każdy ma jakiś osobny interes, który zaspakaja pewne, już to korzystne, już przyjemne wymagania towarzyskie. Tancmistrz i fechtmistrz odwiedzają swych dawnych uczniów, wysłużonych oficerów wyższej rangi, kamerherów[179], hofmarszałków[180] itd.; mieli oni bowiem najlepszą praktykę i zbierają nowiny dnia, jako materiał do rozmowy, która się nigdy nie może przerwać. Nauczyciel języka rozkopuje składy antykwarskie, aby coraz więcej mieć dzieł francuskich, których język uznała Akademia. Pasztetnik ma staranie o kuchnię; kupuje wszystko na targu sam, jako też sam przygotowuje, przy czym mu dopomaga stary francuski kuchta. Nadto jest u nich pod opieką młody pucołowaty chłopiec, którego im pozostawiła stara, bezzębna Francuzka, niegdyś wytworna guwernantka, a w końcu pomocnica w pralni; czterej przyjaciele zabrali go z „Orphelins Français"[181] i przyjęli do służby. Tam oto idzie ten mały w niebieskim ubraniu, dźwigając na jednym ramieniu kosz marymonckich bułek, na drugim kosz przesypujący się sałatą. W ten sposób wstrętnego, cynicznego, niemieckiego nauczyciela rysunków przemieniłem ci naraz w miłego Francuza-pasztetnika i wierzę, że jego postać zewnętrzna, jego cała istota doskonale temu odpowiada.

JA:
Pomysł ten przynosi zaszczyt twemu talentowi pisarskiemu. Ale oto od paru chwil oślepiają mi oczy owe dwa białe, wysokie, kołyszące się pióra, które się wydobywają z najgęstszej ciżby narodu. W końcu zjawia się osoba tuż koło pompy, wysoka, smukła kobieta, wcale niebrzydka z postaci; jej płaszcz z ciężkiej różowo-czerwonej materii jedwabnej, jak z igły zdjęty — kapelusz najnowszego fasonu, na nim welon piękny koronkowy — białe rękawiczki jedwabne. Cóż to zmusiło elegancką, zapewne na śniadanie zaproszoną damę, by się przeciskać przez ciżbę na targu? Ale jak to — i ona robi zakupy? Stoi cicho i daje znak starej, brudnej, łachmanami przyodzianej babie, która idzie za nią, żywy obraz nędzy w mętach ludu; nieszczęsna dźwiga w ręku pół złamany kosz i, pół kulejąc, idzie za nią z trudem. Wystrojona dama zatrzymuje się na rogu budynku teatralnego, by oślepłemu landwerzyście[182], który pod ścianą stoi pochylony, dać jałmużnę. Z trudem

Dama

[176] *fechtunek* (z niem. *fechten*: bić się) — szermierka, sztuka władania bronią białą. [przypis edytorski]
[177] *fechtmistrz* (z niem. *Fechtmeister*) — nauczyciel szermierki. [przypis edytorski]
[178] *pronuncjacja* (z łac. *pronuntiatio*: wypowiedź) — sposób wymawiania, wymowa. [przypis edytorski]
[179] *kamerher* (z niem. *Kammerherr*) — szambelan dworu. [przypis edytorski]
[180] *hofmarszałek* (z niem. *Hofmarschall*) — marszałek dworu. [przypis edytorski]
[181] *orphelins français* (fr.) — dosł. sieroty francuskie; jest to zapewne nazwa jakiegoś zakładu dla sierot francuskich. [przypis edytorski]
[182] *landwerzysta* (z niem. *Landwehr*: obrona krajowa) — żołnierz landwery, tj. wojsk terytorialnych dawnych Niemiec i Austro-Węgier. [przypis edytorski]

zdejmuje rękawiczkę z prawej ręki — o nieba! jakaż się ukazuje czerwona od krwi, i przy tym po męsku niemal zbudowana pięść! Nie długo szuka i wybiera: szybko daje do ręki ślepemu sztukę monety, szybko biegnie na sam środek Charlottenstraße i dopiero teraz zaczyna stąpać majestatycznym krokiem promenadowym — i, nie troszcząc się już o swoją towarzyszkę w łachmanach, z Charlottenstraße i wchodzi na Unter den Linden.

ON:
Baba teraz, dla odpoczynku, postawiła kosz na ziemi — i teraz możesz od jednego rzutu oka przejrzeć cały zakup eleganckiej damy.

JA:
Rzeczywiście zakup dość osobliwy. — Głowa kapusty, dużo ziemniaków, parę jabłek, mały bochenek chleba, parę śledzi zawiniętych w papier, serek owczy, nie najbardziej apetycznej barwy wątróbka jagnięca, bukiecik róż, para pantofli, chłopiec do butów. — Co u Boga Ojca? Jedzenie

ON:
Dość już, dość kuzynie o tej różowo-czerwonej! — Uważaj dobrze na tego ślepca, któremu lekkomyślne dziecię zepsucia dało jałmużnę. Czy istnieje bardziej wzruszający obraz niezasłużonej nędzy ludzkiej oraz pobożnej rezygnacji, oddanej Bogu i losowi? Plecami oparty o ścianę teatru, wyschnięte skostniałe ręce oparł na kiju, który postawił o jeden krok przed sobą na chodniku, aby tłum bezmyślny po nogach go nie deptał; trupio blada jego twarz utkwiona wprost przed siebie, czapka landwerska naciśnięta na oczy; i tak bez ruchu stoi on od wczesnego ranka, aż do końca targu — wciąż — w jednym miejscu. Żebrak

JA:
Żebrze, a przecież dla oślepłych żołnierzy istnieje przytułek.

ON:
Jesteś w wielkim błędzie. Ten biedny człowiek jest w służbie u kobiety handlującej jarzynami, która należy do najniższej klasy przekupek, gdyż lepsze zwożą jarzyny w koszach, ułożonych na wózku. Mianowicie ten ślepiec przychodzi co rana obładowany jak zwierzę juczne koszami pełnymi jarzyn, tak że go ciężar niemal do ziemi ugina, on zaś z trudem jeno, chwiejnym idąc krokiem, za pomocą kija utrzymuje się prosto. Wielka, mocna kobieta, u której służy, albo która go może używa tylko do przenoszenia jarzyn na targ — zaledwie trud sobie zadaje, by, gdy go siły niemal opuszczają, ująć go za ramię i dalej zaprowadzić na to miejsce, które biedak teraz zajmuje. Tu baba zdejmuje mu koszyki z pleców, sama je teraz zanosi — i tak go pozostawia: ślepiec stoi, ona zaś nic a nic nie troszczy się o niego, aż do skończenia jarmarku — i całkowicie lub do połowy puste kosze na nowo wkłada mu na barki. Krzywda, Okrucieństwo, Praca, Kaleka

JA:
Rzecz jednak dziwna, że ślepotę rozpoznajemy natychmiast, choćby nawet oczy były niezamknięte i choćby jej nie zdradzał żaden widzialny brak na twarzy. Rzecz, zdaje się na tym polega, że ślepi mają nieustanną dążność do zobaczenia czegoś w nocy, która ich otacza.

ON:
Nie ma dla mnie bardziej wzruszającego widoku, niż kiedy widzę takiego ślepca, który z podniesioną do góry głową, zdaje się patrzeć w szeroką dal. Zniknęła dla nieszczęśliwca wieczorna zorza żywota, ale jego oko wewnętrzne stara się już ujrzeć wieczne światło, które świeci po tamtej stronie, pełne pociechy, nadziei i błogosławieństwa. — Jednakże jestem zbyt poważny. — Ślepy landwerzysta w każdy dzień targowy dostarcza mi całego skarbu spostrzeżeń. Możesz, drogi kuzynie, zauważyć wobec tego biedaka, jak się żywo wyraża miłosierdzie berlińczyków. Często całe szeregi ludzi przechodzą koło niego, a żaden nie pominie okazji i parę groszy wsunie mu do ręki. Ale ład i sposób, w jaki się rzecz ta odbywa: oto wszystko. Patrz no, drogi kuzynie, w tę stronę jakiś czas i powiedz mi, co spostrzegasz. Oko, Wzrok, Kaleka

Kaleka, Żołnierz, Pieniądz, Miłosierdzie, Bieda

JA:

Właśnie przechodzą trzy, cztery tęgie zdrowe służące; dźwigają ciężkie, nad miarę wszelkim towarem przepełnione kosze, co wrzynają się prawie do krwi w ich krzepkie sino nabrzmiałe ręce; nie brak im powodów do pośpiechu, aby się pozbyć ciężaru, a jednak każda chwilę się zatrzyma, szybko sięga do kosza, i ślepcowi miedziaka wciska w rękę, nawet nie patrząc na niego. Wydatek ten jest konieczny i niepominięty w budżecie dnia jarmarcznego. To prawda! Oto idzie kobieta, której ubiór, której cała osoba wykazuje zamożność i wygody życiowe; ta zatrzymuje się przed inwalidą, wyjmuje woreczek, i szuka, szuka — a żaden pieniążek nie wydaje się jej dość mały do tego aktu dobroczynności, który zamierza wykonać — woła swej kucharki — zdarzyło się, że jej drobna moneta wyszła, musi więc naprzód zmienić pieniądze u zieleniarek, w końcu znalazł się trojak przeznaczony na jałmużnę, teraz uderza ślepca w rękę, aby zauważył, że ma coś otrzymać — ten otwarł dłoń — dobroczynna pani wciska mu trojaka i sama rękę mu zamyka, aby ten wspaniały dar nie zginął. — Czemuż to drepce ta mała wdzięczna panienka w tę i tamtą stronę, i zbliża się coraz bardziej ku ślepcowi? W przelocie szybko, tak że nikt tego nie widzi, prócz mnie, co ją mam w środku mej lornety — dała w rękę ślepcowi pieniądz — na pewno nie trojaka. — Ten zażywny, dobrej tuszy pan w ciemnym surducie, który tam tak dobrodusznie nadchodzi — to zapewne bardzo bogaty obywatel. I on zatrzymuje się przed ślepym i rozpoczyna z nim długą rozmowę, przy czym innym ludziom drogę zamyka i przeszkadza im udzielać jałmużny landwerzyście; w końcu wyciąga potężną, zieloną sakiewkę z kieszeni, otwiera jej węzełek nie bez trudu, i tak ohydnie wśród pieniędzy przebiera, że zdaje mi się, aż tutaj brzęk ich słyszę. *Parturiunt montes*[183]! — Chcę jednak szczerze wierzyć, że szlachetny ten filantrop[184], wzruszony widokiem nędzy, zrujnował się na fałszywy grosz. Przy tym wszystkim jednak myślę, że ślepy w dni rynkowe stosunkowo niemałe zbiera zyski i dziwi mnie, że przyjmuje wszystko bez najmniejszego znaku wdzięczności; tylko lekki ruch warg, który zdaje się dostrzegam, dowodzi, że stary mówi coś, co może być podziękowaniem, ale i ten ruch dostrzegam tylko od czasu do czasu.

ON:

Masz tu zdecydowany wyraz doskonale zamkniętej rezygnacji. I cóż mu znaczą pieniądze? Korzystać z nich nie może; dopiero w rękach trzeciej osoby, której on bezwarunkowo zaufać musi, pieniądze jego otrzymają wartość. Mogę się mylić, ale mi się zdaje, że baba, której kosze z jarzynami dźwiga stary ślepiec, to wielka jędza, która biedaka źle żywi, mimo iż prawdopodobnie zabiera mu też wszystkie pieniądze, jakie ten otrzymuje od dobrych ludzi. W każdym razie, gdy przynosi kosze z powrotem, zrzędzi i gdera na starego, mniej więcej w stosunku do tego, czy miała targ lepszy czy gorszy. Już trupio blada twarz ślepca, odzież w łachmanach, pozwalają mniemać, że jego położenie jest dość kruche i byłoby to rzeczą energicznego filantropa zbadać ten stosunek.

Krzywda, Okrucieństwo

Wyzysk

JA:

Przypatrując się jarmarkowi w całości, widzę, że wozy z mąką, nad którymi jak namioty rozpostarte są płótna, układają się w obraz malowniczy, gdyż tworzą punkt oparcia dla oka, tak iż dokoła nich różnobarwny tłum w wyraźne grupy się zbiera.

ON:

O białych wozach mącznych i mąką obsypanych młynarczykach i młynareczkach z różowymi ustami, a każda tu jest *bella molinara*[185] — wiem niemało; wiem też coś o ich przeciwieństwie. Z przykrością nie widuję już tu pewnej rodziny węglarzy, która sprzedawała swój towar właśnie naprzeciw mego okna pod teatrem — a teraz musiała się przenieść na drugą stronę. Rodzina ta składa się z wysokiego silnego mężczyzny o twarzy wyrazistej; jest on porywczy, niemal gwałtowny w ruchach, dokładny obraz węglarza,

[183] *parturiunt montes* (łac.) — trudzą się góry; fragm. ze *Sztuki poetyckiej* Horacego: *parturiunt montes, nascetur ridiculus mus* (trudzą się góry, a porodzą śmieszną mysz); tu: o kimś, kogo dokonania są niewspółmiernie małe w stosunku do szumnych zapowiedzi. [przypis edytorski]

[184] *filantrop* (z gr. *philánthrōpos*: kochający ludzkość) — dobrodziej, wspomagający ubogich. [przypis edytorski]

[185] *bella molinara* (wł.) — piękna młynarka; odwołanie do powstałej w 1790 r. w Wiedniu opery *La Molinara* Giovanniego Paisiella (1740–1816), niezwykle popularnego i prominentnego w swoim czasie wł. kompozytora klasycznych oper gł. komicznych, zatrudnionego m. in. na dworze Katarzyny II w Petersburgu oraz na dworze Napoleona I w Paryżu. [przypis edytorski]

jak go zazwyczaj przedstawiają w romansach. W istocie, gdybym tego człowieka samotny napotkał w lesie, to by mnie nieco ciarki przeszły, a jego życzliwe usposobienie w jednej chwili byłoby dla mnie najmilsze na świecie. Obok tego człowieka, jako drugi członek rodziny, w ostrym z nim przeciwieństwie znajduje się ledwie na cztery stopy wysoki[186], osobliwie wyrosły chłopiec, niezmiernie pocieszny. Wiesz, drogi kuzynie, że są ludzie szczególnie zbudowani: na pierwszy rzut oka zdaje się, że są garbaci, a jednak przy bliższym badaniu, nie można określić, gdzie właściwie ich garb się mieści.

JA:

Przypominam sobie tu naiwne wyrażenie pewnego dowcipnego wojskowego, który z takim dziwem natury był w licznych interesach, a którego obrażała po prostu tajemnica jego dziwnej budowy. „Człowiek ten" — mówił — „ma garb, ale gdzie mu ten garb siedzi — o tym wie tylko diabeł".

ON:

Mężczyzna, Błazen

Natura zamierzała z mego węglarczyka utworzyć olbrzymią postać, co najmniej siedmiu stóp wysokości, gdyż o tym świadczą kolosalne ręce i nogi, pewnie największe, jakie w swym życiu widziałem. Ten mały parobczak, odziany krótkim płaszczem o wielkim kołnierzu, mający na głowie dziwaczną czapkę futrzaną, trwa w bezustannym niepokoju bez odpoczynku; w nieprzyjemnej ruchliwości wciąż podryguje i drepce tu i ówdzie, już jest tu — już tam — i stara się grać rolę najmilszego, najbardziej czarującego *primo amoroso*[187] na całym rynku. Nie przepuści żadnej kobiecie, choćby ta niekoniecznie należała do najwyższych kół społecznych: za każdą musi iść parę kroków i zbliżać się do niej w nadzwyczajnych krygach[188], drygach, grymasach, słodkościach, zapewne w najlepszym smaku węglarskim. Nieraz tak dalece swą galanterię[189] posuwa, że w rozmowie łagodnie otacza ramieniem biodra dziewczyny i, czapę zdjąwszy z głowy, hołdy składa piękności lub ofiaruje jej swoje służby rycerskie. Szczególna rzecz, że dziewczęta nie tylko że na to pozwalają, ale nawet małemu potworowi życzliwie składają ukłony i w ogóle chętnie przyjmują jego galanterię. Mały ten urwis ma niewątpliwie bogaty zasób naturalnego dowcipu, zdecydowany talent do błazeństwa oraz siłę jego wykonania: jest to pajac, tysiącskoczek, wszechurwis na całą okolicę, pod lasem, który zamieszkuje; bez niego żadne chrzciny, wesele, taniec, żadna biesiada obejść się nie może; wszyscy się bawią jego figlami i przez cały rok się z nich śmieją. Reszta rodziny, ile że dzieci oraz parę dziewek służebnych pozostawiają w domu, składa się tylko jeszcze z dwóch kobiet tęgo zbudowanych, o ciemnym, markotnym wyglądzie twarzy, do czego się zapewne przyczynia pył węglowy, który utkwił w ich twarzy. Przywiązanie wielkiego szpica, z którym rodzina dzieli każdy kęs, spożywany w czasie targu, świadczy mi przy tym, że w chacie węglarskiej wszystko idzie uczciwie i patriarchalnie. Mały zresztą ma siłę olbrzymią, przeto rodzina używa go do roznoszenia po domach kundmanom[190] zakupionego węgla. Często widziałem, jak go kobiety objuczały dziesięcioma workami, ułożonymi w wysoką górę na sobie — on zaś podskakiwał z nimi, jakby żadnego ciężaru nie miał na sobie. Z tyłu jego postać wyglądała tak wściekle i awanturniczo, jak tylko można sobie wyobrazić. Naturalnie z szanownej figury małego nie dostrzegłbyś nic więcej, tylko olbrzymi worek węgla, pod którym wyrastały niespodzianie dwie pary nóg. Zdawało się, że to po rynku skacze jakieś bajeczne zwierzę, jakiś rodzaj kangura z klechd[191] ludowych.

JA:

Kłótnia
Tłum

Patrz no, patrz, kuzynie! tam koło kościoła powstaje hałas. Dwie straganiarki zapewne rozpoczęły gwałtowny spór o fatalne *meum*[192] i *tuum*[193] — i, zdaje się, zwarłszy pięści, na swój sposób ujadają. Tłum się gromadzi — gęste koło ludzi otacza pokłócone baby —

[186] *na cztery stopy wysoki* — tj. mierzący ok. 120 cm wzrostu; *stopa*: jednostka miary długości, równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

[187] *primo amoroso* (wł.) — pierwszy amant. [przypis edytorski]

[188] *kryg* (z niem. *Krieg*: dźwig) — nienaturalny, przesadnie wykonywany ruch, gest. [przypis edytorski]

[189] *galanteria* (z fr. *galanterie*: grzeczność) — wyszukana grzeczność w obejściu, szczególnie w stosunku do kobiet. [przypis edytorski]

[190] *kundman* (z niem. *Kundmann*) — stały klient, odbiorca. [przypis edytorski]

[191] *klechda* — podanie ludowe, baśń. [przypis edytorski]

[192] *meum* (łac.) — moje. [przypis edytorski]

[193] *tuum* (łac.) — twoje. [przypis edytorski]

głosy podnoszą się coraz mocniej — coraz gwałtowniej poruszają się ręce w powietrzu — coraz bliżej podchodzą do siebie dwie kobiety — wnet ci wnet zacznie się walka na pięści — policja się przedziera przez tłum. Co to? Naraz widzę mnóstwo błyszczących kapeluszy pomiędzy gniewnymi babami — w jednej chwili udaje się kumoszkom złagodzić rozpłomienione serca — kłótnia skończona — bez pomocy policji — spokojnie wracają kobiety do swych koszów z jarzynami — tłum, który tylko raz jeden, zapewne w szczególnie drażliwym momencie walki, głośnym krzykiem określił w niej swój współudział — rozchodzi się na wszystkie strony.

ON:

Zauważ, drogi kuzynie, że przez ten długi czas, co my tu siedzimy przy oknie, była to jedyna kłótnia, zapalona na targu i że jedynie sam lud ją uspokoił. Nawet i poważniejszy, groźniejszy spór nieraz w ten sposób lud przytłumia — tak, iż się wszyscy między skłóconych wciskają, aby ich rozłączyć. Przeszłego targu między straganami rzeźników i owocarzy stał wielki chłop w łachmanach, o zuchwałej dzikiej minie i nagle rozpoczął walkę z chłopcem od rzeźnika; nie bacząc na nic, uderzył parobka straszliwym drągiem, który nosił jako broń na ramieniu. Niewątpliwie tamten runąłby na ziemię, gdyby się nie uchylił i nie poskoczył do swej budy. Tam uzbroił się mocnym toporem rzeźnickim i chciał nim walić w zuchwałego chłopa. Wszystko tak wyglądało, jakby się cała ta sprawa miała zakończyć mordem i śmiercią — i sąd kryminalny o mało co nie miał tu roboty. Owocarki, wszystkie mocne i dobrze odżywiane baby, uważały jednak za swój obowiązek tak przyjemnie i ściśle otoczyć rzeźnickiego chłopca, że ten nie mógł się ruszyć z miejsca; stał między nimi z wysoko podniesionym orężem, jak to się opowiada w patetycznej mowie o surowym Pyrrusie[194]: jako malowany okrutnik, zawieszony pomiędzy siłą a wolą, nie czynił nic. Bijatyka

Tymczasem inne kobiety, szczotkarze, kopyciarze i in., otoczywszy chłopa, nie dają mu się ruszyć, i umożliwiają w ten sposób policji, aby na czas przyszła i aresztowała tego niecnotę, który mi się wydaje zbiegiem z więzienia.

JA:

Zatem w istocie panuje wśród ludu poczucie koniecznego utrzymania porządku, co na wszystkich zbawczo może oddziaływać.

ON:

Przede wszystkim, drogi kuzynie, obserwacje prowadzone przeze mnie nad rynkiem umocniły mnie w przekonaniu, że lud berliński uległ znacznej przemianie od czasu, gdy zuchwały, dumny wróg zalał kraj i na próżno starał się zgnębić ducha, który rozpostarł wkrótce swe skrzydła z odnowioną siłą, jak zgniecione pióro spiralne. Słowem: lud zyskał na obyczajności zewnętrznej; i jeżeli kiedy w piękny dzień letni po południu wybierzesz się na zabawę ludową i będziesz obserwował towarzystwa, które się udają statkami do Moabitu, to zauważysz nawet wśród zwykłych dziewek służebnych i najemników dziennych — dążenie do pewnej kurtuazji, co jest bardzo pocieszne. W masie odbyło się to samo, co w pojedynczej jednostce; ten, który dużo widział, dużo doświadczył nadzwyczajności — z pomocą *nil admirari*[195] wypolerował swoje zewnętrzne obyczaje. Niegdyś lud berliński był surowy i brutalny; np. jeżeli obcy pytał o jaką ulicę albo o dom, albo o cokolwiek, dostawał odpowiedź grubiańską albo szyderczą — albo też wprost fałszywą informację, która go prowadziła na manowce. Berliński ulicznik, który korzystał z najmniejszego pozoru, z nieco osobliwego ubioru, ze śmiesznego zdarzenia, co się komu przytrafiło, i który je wyzyskiwał bezczelnie, taki ulicznik już nie istnieje. Gdyż owe andrusy[196] — cygarniki pod bramą, które sprzedają „szczere hamburskie *avec du feu*[197], Lud

[194] *Pyrrus* (319–272 p.n.e.) — król Epiru, wybitny taktyk wojenny, pokonał Rzymian w bitwach pod Herakleją (280 p.n.e.) i Auskulum (279 p.n.e.), co okupił wielkimi stratami (stąd przysłowiowe wyrażenie: „pyrrusowe zwycięstwo"). [przypis edytorski]

[195] *nil admirari* (łac.) — niczemu się nie dziwić; fragm. z *Listów* Horacego. [przypis edytorski]

[196] *andrus* (gw.) — łobuziak. [przypis edytorski]

[197] *avec du feu* (fr.) — z ogniem. [przypis edytorski]

obwiesie, co to kończą życie w Szpandawie[198] albo w Straussbergu[199], albo, jak to niedawno jeszcze było, na szafocie, nie są bynajmniej tym, czym właściwy ulicznik berliński, który wcale nie był włóczęgą, ale zazwyczaj terminatorem u majstra, i choć to śmiesznie mówić, przy całej bezbożności i zepsuciu, miał zawsze pewien punkt honoru a nie brakło mu też groteskowego dowcipu wrodzonego.

JA:

Drogi kuzynie, pozwól mi sobie co rychlej opowiedzieć, jak to mnie taki rodzimy dowcip ludowy niedawno wielce zawstydził. Przechodzę koło Bramy Brandenburskiej; dorożkarze z Charlottenburga ścigają mnie, ofiarując mi swe usługi; jeden z nich, co najwyżej szesnasto, siedemnastoletni chłopak, był tak bezczelny, że pociągnął mnie za ramię swoją brudną pięścią. „Proszę bardzo nie dotykać mej ręki" — mówię rozgniewany. „No, panie" — odparł wyrostek, nic sobie z tego nie robiąc i wlepiwszy we mnie oczy — „no, panie! czemuż bym miał nie dotykać pańskiej ręki? czy może pan nie jest uczciwy człowiek?" Żart

ON:

Ha, ha! ten dowcip, to prawdziwy dowcip, ale wyłonił się z cuchnącej pieczary najgorszego zepsucia. — Dowcipy owocarek berlińskich itd. były zresztą sławne i nawet zaszczyt im się czyni, że się je zowie szekspirowskimi, choć przy bliższym oświetleniu widać, że ich energia i oryginalność polegała przede wszystkim na bezwstydnym zuchwalstwie, przy pomocy którego najohydniejsze brudy podawano jako pikantną potrawę. — Nadto rynek był miejscem pomieszania, kłótni, kijobicia, oszustwa, kradzieży, i żadna uczciwa kobieta nie mogła się ważyć, by sama czynić zakupy, nie narażając się przy tym na niesłychane obelgi. Bo nie tylko lud przekupniów w pole wyciągał przeciw sobie samemu i przeciw całemu światu, ale przychodzili tu również ludzie umyślnie w tym celu, aby wywoływać niepokój i przy tym w mętnej wodzie łowić ryby podobnie jak np. zwerbowany ze wszystkich końców świata motłoch, który niegdyś tkwił w rejmentach[200]. Spójrz, miły kuzynie, jak to obecnie rynek przedstawia pociągający obraz przyzwoitości, pokoju i obyczajności. Wiem, że entuzjastyczni rygoryści, hiperpatriotyczni asceci żarliwie perorują[201] przeciw temu podwyższeniu zewnętrznego wyglądu masy ludowej, uważają bowiem, że wraz z tym ogładzeniem obyczajów, zgładzi się również i zaginie ludowość w ogóle. Co do mnie, to sądzę, że lud, który traktuje zarówno swego jak obcego nie po prostacku albo z szyderczym lekceważeniem, ale z uprzejmością należytą, nie może przeto charakteru swego postradać. Lud

---

Coraz bardziej zmniejszała się ciżba; coraz bardziej i bardziej pusty stawał się rynek. Handlarki warzyw składały swe kosze częściowo na przyprowadzone ze sobą wózki, częściowo same się z nimi wlokły, wozy z mąką odjechały, ogrodniczki zgromadziły niewyprzedany towar, zapas kwiatów na wielkie taczki, czynniejszą stawała się policja, aby wszystko, a zwłaszcza szereg fur utrzymać w należytym porządku. Porządek byłby nienaruszony, gdyby się nie zdarzyło, że jakiś schizmatycki syn chłopski tędy i owędy w poprzek placu odkrył swoją własną cieśninę Beringa i pokierował się wprost ku bramie kościoła niemieckiego.

— Ten rynek — mówił kuzyn — jest to i teraz wierny obraz wiecznie zmiennego życia. Ruchliwa działalność, potrzeba chwili ściąga masę ludzką w jeden punkt; w parę chwil znowu wszystko pustoszeje. Głosy, które w hałaśliwym wrzasku przelewają się jedne z drugimi — zamilkły i każde opuszczone miejsce głosi te okropne słowa: było! Trzeba korzystać z chwili. Carpe diem, Przemijanie, Obraz świata, Czas

[198] *Szpandawa* — właśc. Spandau, dzielnica Berlina, gdzie w XVI w. wzniesiono cytadelę, służącą m. in. jako więzienie. [przypis edytorski]

[199] *Straussberg* — miasto w Brandenburgii, w Marchii Odrzańskiej; pod koniec XVIII w. powstało tu sanatorium dla wojskowych oraz inwalidów wojennych, w którym następnie otworzono również oddział szkolno-wychowawczy dla zagrożonej społecznie młodzieży. [przypis edytorski]

[200] *rejment* (daw.) — regiment. [przypis edytorski]

[201] *perorować* (z łac. *perorare*) — rozwodzić się nad czymś, wykładać. [przypis edytorski]

Uderzyła godzina pierwsza; markotny inwalida wszedł do gabinetu — a w jego wydłużonej twarzy czytałeś: mógłby pan wreszcie opuścić okno i zjeść obiad, bo przyniesione potrawy ostygną.

— A więc masz apetyt, kuzynie? — pytałem.

— O, mam! — odparł kuzyn z bolesnym uśmiechem — zobaczysz to zaraz.

Inwalida potoczył go na kółkach do pokoju. Przyniesione potrawy były to: talerz rosołu na mięsie, jajo na miękko, ugotowane w soli i pół białej bułki marymonckiej.

— Tylko trochę więcej — mówił kuzyn cicho i smętnie, ściskając moją rękę — troszyneczka więcej, najmniejszy kawałek najsławniejszego mięsa powoduje mi niesłychane cierpienia, odbiera mi wszelką odwagę życia, ostatnią iskrę dobrego humoru, która jeszcze od czasu do czasu we mnie się zapala.

Wskazałem na papier, zawieszony nad łóżkiem, rzucając się kuzynowi na piersi i gorąco go całując.

— Tak, kuzynie — odrzekł mi głosem, który mnie przeniknął na wskroś i napełnił rozdzierającą tęsknotą — tak kuzynie:

Et si male nunc, non olim sic erit!

Biedny kuzyn!

Piaskun[202]

I. Nathanael do Lotara

Pewnie jesteś niespokojny, że tak dawno nie pisałem. Matka musi się gniewać, a Klara myśli, że się tu bawię, zapominając o niej. A przecież nie ma dnia, nie ma godziny, żebym nie myślał o was wszystkich, a piękna twarzyczka mojej Klary wydaje mi się zawsze jak słodkie, uśmiechnięte marzenie, choć wiem, że naprawdę istnieje i że mnie z utęsknieniem wygląda. Doprawdy, nie wiem nawet, jak ci wypowiedzieć wrażenia, od których jeszcze w tej chwili zmysły mi się plączą. Coś straszliwie dziwnego zdaje się targać wątek mojego życia. Ponure przeczucia jakiejś przeszłości pełnej grozy gromadzą się zewsząd koło mnie, podobne do nawału czarnych i nieprzenikliwych obłoków, nie dopuszczając ani płomyka jasności do skołatanej głowy. Jakimiż słowy zdać ci sprawę z tego, co mi się w tych dniach zdarzyło? Umiem wiele wymóc na sobie, ale na samą myśl o tym, co ci mam opowiedzieć, słyszę we własnej duszy śmiech gorzki i szalony. O mój drogi Lotarze, jak ci tu dać pojąć całą okropność tego wydarzenia? Gdybyś przynajmniej sam na to patrzył, nie zadałbyś mi fałszu w oczy; ale z daleka wziąć mnie możesz za jasnowidza i szaleńca. Jednym słowem,wypadek, z którego wpływem złowróżbnym dotąd się jeszcze daremnie mocuję, jest po prostu następujący:

Dni temu kilka (stało się to 30 października), około południa, wszedł do mnie pewien optyk wędrowny, częstując mnie przedmiotami swojej sztuki. Nie kupiłem nic i zagroziłem mu nawet, że go wypchnę za drzwi. Na te słowa wyniósł się z dobrej woli.

Zgadujesz, że tylko pewne okoliczności, ściśle związane z moim życiem, mogą nadać niejakie znaczenie temu, tak z siebie powszedniemu wypadkowi, dowiesz się zaś niebawem, ile zgubnego wpływu wywiera na mnie osoba owego przeklętego włóczęgi. Potrzebuję niemało sił i władzy nad sobą, żebym ci mógł z jako takim ładem opowiedzieć jeden ustęp z wspomnień mego dzieciństwa; wyjaśni ci to całą okropność obecnego mego z tym człowiekiem spotkania.

Wyobrażam sobie, jak się oboje z Klarą śmiejecie z tej przedmowy. Co za dziecinada, mówicie z politowaniem. Śmiejcie się, proszę was; żartujcie sobie, ile wam się podoba, owszem, błagam was o to. Bo co do mnie, Boże wielki! śmierć gości w mojej duszy i jeśli wyśmianym być pragnę, to nie inaczej, jak Franciszek Moor[203], który się o to sam Daniela dopraszał. Przyśnił mu się straszliwy obraz sądu ostatecznego i obudził się

Śmiech

[202] *Piaskun* — tytuł polskiego tłumaczenia, stanowiącego podstawę niniejszej publikacji, brzmi *Człowiek z piasku*. Późniejsza tradycja utrwaliła jednak nazwę *Piaskun*. Piaskun, zwany też piaskowym dziadkiem, to postać z niemieckich baśni. Sypie dzieciom piaskiem w oczy, aby zasnęły. [przypis edytorski]

[203] *Franciszek Moor* — bohater dramatu *Zbójcy* Friedricha Schillera. [przypis edytorski]

oszalały od trwogi. — Nieprawdaż, powiada on, że sny są wierutną niedorzecznością? Danielu, śmiej się ze mnie. Dlaczego się nie śmiejesz? — Panie, rzecze Daniel pełny trwogi, a Franciszek dodaje: — O, przez Boga, Danielu, powiedz mi, żem jest półgłówek. O mój dobry Danielu! Zaklinam cię na wszystko, śmiej się ty ze mnie!

Ale przystąpmy do rzeczy.

Ojciec

W dzieciństwie naszym nigdy prawie w ciągu dnia nie widzieliśmy ojca, niekiedy tylko jadał z nami obiad. Było rzeczą wiadomą, że obowiązki urzędowania zajmowały mu wszystkie chwile. Po wieczerzy, która stosownie do dawnego obyczaju bywała o siódmej, szliśmy z matką do pokoju ojca i zasiadaliśmy przy okrągłym stole. Wtedy ojciec palił sobie fajkę i popijał piwo z dużej szklanki. Często opowiadał nam dziwne zdarzenia i to z takim zapałem, że raz wraz gasła mu fajka. Do mnie zaś należało zapalać ją bezustannie, co czyniłem z wielkim upodobaniem. Niekiedy znowu dawał nam tylko do oglądania książki pełne obrazków, sam zaś siedział w krześle, milczący i bez ruchu, puszczając tak ogromne kłęby dymu, żeśmy się zdawali pływać w obłokach. Wtedy matka bywała smutna i zadumana, i skoro zegar wybił dziewiątą:

— Chodźcie już, chodźcie, dzieci, — mówiła do nas — czas spać iść, czas do łóżka. *Piaskun* idzie. Słyszycie?

W istocie, słychać było wtedy kogoś idącego po schodach krokiem powolnym i ciężkim. Był to zapewne *piaskun*.

Pewnego dnia głuche to stąpanie przestraszyło mnie bardziej niż zwykle, rzekłem więc do matki, podczas kiedy mnie wyprowadzała:

— Mateczko, co za jeden ten brzydki *piaskun*, co nas zawsze wypędza od ojca? Jak on wygląda?

Strach, Obyczaje, Dzieciństwo

— Nie ma żadnego piaskuna — odpowiedziała mi matka. — Kiedy wam powiadam: *piaskun* idzie, to znaczy po prostu: że wam się spać chce i że nie możecie więcej trzymać oczu otwartych, tak właśnie, jakby wam kto w nie piaskiem rzucał.

To objaśnienie nie zadowoliło mnie bynajmniej: wyobraziłem sobie tylko, że matka nie chce nas straszyć, ale że *piaskun* istnieje rzeczywiście, skoro go co dzień słychać, jak idzie po schodach.

Dziwnie spragniony dowiedzieć się czegoś prawdziwego o nim i jego do nas stosunku, począłem raz wypytywać o to starą służącą naszego domu.

— *Piaskun*? — rzekła — To ty nie wiesz jeszcze, co to za jeden? To taki niegodziwiec, który przychodzi na zawołanie, kiedy dzieci spać iść nie chcą, i rzuca im garściami piasek w oczy, aż dopóki z głowy nie wyjdą; wtedy je pakuje do worka i niesie na księżyc dla swoich dzieci. Te zaś nie wyłażą nigdy z gniazda, i mają jak sowy ogromne dzioby zakrzywione, którymi łapczywie zjadają owe oczy, powydzierane nieposłusznym dzieciom.

Ten obraz okrutnego stracha z piasku niezmiernie utkwił mi w głowie. Wyobraźnia moja z dniem każdym dodawała do niego szczegóły, coraz bardziej przerażające. Odtąd, na sam odgłos kroków po schodach, drżałem i robiło mi się niedobrze. Żadne najczulsze słowa matki nie były w stanie uspokoić mojej obawy i na wszystko odpowiadałem tylko ze łkaniem: *piaskun*! Ja nie chcę *piaskuna*. Po czym uciekałem co prędzej do łóżka i, nakrywszy głowę, przez całą noc umierałem ze strachu, dręczony prześladowaniem widziadła nawet we śnie.

Z czasem sam własną głową zastanawiać się począłem nad tym, że objaśnienia starej sługi niewiele przedstawiały prawdopodobieństwa. Zawsze jednak *piaskun* przestraszał mnie niemało. Czułem dreszcz po wszystkich członkach, nie już od stąpania po schodach, ale słysząc jak się z trzaskiem otwierają drzwi pokoju mego ojca i jak ktoś do niego wchodzi. Niekiedy ten *ktoś* czas jakiś nie przychodził wcale, niekiedy znów bardzo często.

Trwało tak lat kilka i, pomimo że już podrastałem, ani podobna mi było oswoić się z tym wrażeniem. Obraz *piaskuna* nie dawał się zatrzeć niczym w świecie. Stosunki jego z moim ojcem dręczyły mnie coraz mocniej, a jednak za nic pod słońcem nie byłbym się odważył stawiać mu w tym względzie pytania. Opanowała mnie żądza wyjaśnienia tej tajemnicy własnym pomysłem i ujrzenia własnymi oczyma straszliwego widziadła; żądza ta wzmacniała się we mnie z biegiem lat. Przeczuwałem w tym cały świat tajemnic, dziwnych wpływów i zagadkowych cieni, który zgłębić wyrywała się moja dusza. Lubiłem wprawdzie i dawniej opowiadania o czarownikach, wilkołakach i upiorach, ale od czasu jak

mnie opętał *piaskun*, nie było stołu, ściany, szafy, na której bym go nie rysował bezwiednie kredą lub węglem, nadając mu rysy najosobliwsze, a zawsze bardzo straszne.

W dziesiątym roku życia przeniesiono mnie z izby dziecinnej. Matka przeznaczyła mi osobny pokoik niedaleko. Zawsze o dziewiątej, tak jak i wprzódy, ile razy dały się słyszeć kroki nieznajomego na schodach, trzeba się było wynosić co najprędzej. Z izdebki mojej słychać było, jak wchodził do pokoju ojca, i wkrótce dolatywała mnie woń jakichś gęstych wyziewów, którymi niebawem wypełniał się dom cały. Wtedy budziłem w sobie odwagę, którą i tak już coraz więcej podsycała żądza dowiedzenia się jakimkolwiek kosztem, kto to jest ten *piaskun*. Niekiedy po wyjściu z matką zakradałem się w korytarzu; zawsze jednak bezskutecznie. *Piaskun* był już zawsze u mego ojca, zanim zdążyłem stanąć na miejscu. Wreszcie, nie mogąc sobie dać już rady, wymyśliłem skryć się w pokoju ojca.

Pewnego wieczora milczenie ojca i smutek matki zapowiedziały mi znowu odwiedziny *piaskuna*. Udając zmęczenie, wymknąłem się przed dziewiątą i zakradłem się w kącie tuż przy drzwiach. Zaraz zaskrzypiały drzwi od ulicy i ktoś zaczął powoli, ciężkim krokiem, iść po schodach. Podczas kiedy matka odchodziła z dziećmi młodszymi, ja, ostrożnie drzwi otworzywszy, wśliznąłem się nazad do pokoju. Ojciec siedział jak wprzódy, tyłem ku drzwiom, milczący, nieruchomy, zadumany. Przekonawszy się, że nie wie o niczym, schowałem się pomiędzy firankę i szafę od sukien, kroki zbliżały się ciągle. Idący pokaszliwał, chrząkał, szedł bardzo powoli, zdawało się, że nigdy nie nadejdzie. Umierałem ze strachu i niecierpliwości.

Wreszcie usłyszałem kroki już w korytarzu. Po chwili silnie uderzono w klamkę i drzwi się otworzyły z trzaskiem. Zebrałem całą przytomność i wytknąłem głowę, jak mogłem najostrożniej. Otóż i *piaskun* stoi na środku pokoju, blask świec w twarz mu uderzył. Cóż widzę! *Piaskun*, ów straszny piaskun, toż to nie kto inny, tylko stary adwokat Koppelius, często na obiad do nas przychodzący.

Gość

A jednak najbardziej przerażająca postać nie tyle mnie trwożyła, co ten przeklęty Koppelius. Wystaw sobie niewielkiego człowieka z szerokimi ramionami, ogromną głową, twarzą żółtą, jakby z piasku, krogulczym nosem oraz gęstymi, szarymi brwiami, pod którymi błyszczały zielone, jakby kocie oczy. Wpadnięte jego usta otwierały się czasem do uśmiechu i wtedy szczękały w nich zęby, a na policzkach wykrawały mu się wypieczone, nie większe od złotówki rumieńce. Nosił on nieodmiennie suknię popielatą, staroświeckiego kroju, podobnież spodnie i kamizelkę oraz czarne pończochy i trzewiki ze sprzączkami. Maleńka jego peruka, ujęta w worek mocno skrępowany, sterczała z przodu, jak dwa skrzydła, z tyłu zaś jak ogon podniesiony w górę. W ogóle był okropny i odrażający, ale osobliwszy wstręt w nas pobudzały porosłe włosem i guzowate palce tego człowieka; tak że uważaliśmy za rzecz do wyrzucenia, czego się tylko raz dotknął. Spostrzegł to, i odtąd uwziął się obmacywać z jakiego bądź powodu ciasta lub owoce, które nam matka wydzielała przy obiedzie lub chowała na podwieczorek. Pobudzało nas to do ostatniej rozpaczy. Robił podobnież z winem, któreśmy od ojca dostawali w dni świąteczne. Dotykał kieliszków, albo je brał i przytykał sobie do swojej szkaradnej, sinej paszczęki, śmiejąc się po szatańsku, kiedy widział, żeśmy się wzdrygali. Nie nazywał nas inaczej jak *robakami*. W jego obecności nie śmieliśmy nieledwie oddychać, przeklinając w duszy obrzydliwca, śmiertelnego naszego wroga, który się uwziął zatruwać nam wszelkie przyjemności życia. Matka zdawała się równie go nienawidzić. Ile razy się pojawił, traciła wesołość, stawała się zamyślona, posępna. Co do ojca, to ten wyraźnie uważał w nim jakąś wyższą istotę; skwapliwie uprzedzał wszystkie jego chęci, zdawał się nieledwie czytać w jego oczach. Niech tylko wspomniał przypadkiem o jakiej ulubionej potrawie, zaraz mu ją sporządzano; najrzadsze wina, najzbytkowniejsze łakocie, wszystko było na jego usługi.

Widząc w tej chwili owego Koppeliusa, uczułem straszliwe światło w duszy. Tak jest, on tylko jeden mógł być tym *piaskunem*. Tylko że nie było to już więcej straszydło z bajki, wydzierające dzieciom oczy dla zjedzenia ich na księżycu. Nie, tym razem to jest okropne, niezmyślone widmo, wszędzie noszące ze sobą grozę, nieszczęście i zgubę doczesną i wieczną.

Byłem jak przykuty do miejsca. Jakkolwiek mogłem być dostrzeżony i, jak mniemałem, ukarany surowo, żadnym sposobem nie byłem w stanie głowy cofnąć z powrotem.

Mój ojciec przyjął przybysza nader uroczyście.

— No! Do roboty — zawołał tenże głosem chrypiącym, zdejmując suknię.

Obrzędy

Ojciec, nie odpowiedziawszy słowa, zdjął także szlafrok i obaj wdziali na siebie długie szaty czarne. Skąd je wzięli? Nie mogłem dociec. Za chwilę otworzyły się w ścianie drzwi od szafy, to jest sądziłem dotąd, że istotnie były drzwiami od szafy; ale z nagła pokazało się, że stanowiły wejście do ciemnej jakiejś alkowy, wyglądającej jak czarna pieczara, na której środku ustawiony był piecyk. Zbliżył się do niego Koppelius i niebawem rozniecił płomień błękitnawy. Stało tam Bóg wie ile przyrządów po wszystkich kątach. Boże miłosierny, jakże mój ojciec wyglądał pośród tego wszystkiego. Jakiś straszliwy, konwulsyjny niepokój zdawał się tak dziwnie wykrzywiać jego rysy zwykle słodkie i szlachetne, że wyglądało, jakby miał na twarzy złośliwą maskę kusiciela szatana. Stał się nawet podobny do Koppeliusa. Ten ostatni tymczasem krzątał się nieustannie wokoło piecyka, mając w ręku rozpalone obcęgi, którymi wyciągał stamtąd bryłki jakieś iskrzące w gęstym dymie, a następnie kuł je na kowadle z wielkim pośpiechem i bardzo bystrą uwagą. Zdawało mi się, że widziałem wokoło wiele porozrzucanych twarzy ludzkich, ale bez oczu; głębokie, czarne, straszliwe dziury zastępowały ich miejsce.

Oko

— Oczu! oczu! — wołał ciągle Koppelius, głosem zarazem głuchym i grzmiącym.

Przejęty niewypowiedzianym strachem, krzyknąłem i padłem na ziemię. W oka mgnieniu schwycił mnie Koppelius.

— Ach! przeklęty robaku — zawołał, zgrzytając. I porwawszy mnie w powietrze, rzucił na ognisko piecyka tak, że płomień zaczął mi zajmować włosy.

— Ach! Mamy przecie oczy, śliczne, wyborne oczy! — mruknął do siebie, biorąc w palce rozżarzone węgle, które się zabierał przytknąć mi do oczu.

Wtedy doskoczył ojciec i zatrzymał mu rękę.

— Mistrzu, mistrzu, zostaw mu oczy, nie bierz ich, zaklinam cię!

Koppelius wybuchnął okropnym śmiechem.

— Ha! ha! To niech je sobie ma wreszcie, ten łobuz, żeby mógł płakać co najwięcej. Ale za to zbadamy przynajmniej mechanizm rąk i nóg.

To powiedziawszy, schwycił mnie tak silnie, że mi trzasły wszystkie stawy. Zaczął mi wykręcać ręce i nogi, to tam, to nazad, to w tę stronę, to w drugą, cierpiałem okropnie, alem ani pisnął.

— Nie, to się na nic nie zdało, przedtem było daleko lepiej; cóż ty na to mówisz, stary?

Tak prawił Koppelius. Co do mnie, uczułem wokoło gęste ciemności, przebiegł mnie dreszcz i wkrótce nie wiedziałem już o niczym.

Kiedym się ocknął, matka stała przy mnie.

— Czy *piaskun* jest tu jeszcze? — szepnąłem.

— Nie, moje dziecko, poszedł już dawno, już ci nie zrobi nic złego.

Mówiąc to, uściskała mnie czule, ze łzami w oczach.

Koniec końcem, oto, co się pokazało w następstwie. Z przestrachu dostałem niebezpiecznej gorączki, która mnie zatrzymała w łóżku przez kilka długich tygodni. Zapytanie moje było pierwszym słowem, które wymówiłem od czasu powrotu do rozumu, do zdrowia, jednym słowem — do życia. Pozostaje już tylko do opowiedzenia jeden z najstraszliwszych ustępów mojej młodości. Wtedy przekonasz się, Lotarze, że to nie jest żadne przywidzenie z mej strony, ale że istotnie coś większego zwiesza ponad moim życiem tę zasłonę chmur złowróżbnych, której może nie zdołam przedrzeć do śmierci.

Koppelius nie pokazał się więcej. Mówiono, że się wyniósł z miasta.

Tak upłynął z rok może. Pewnego wieczora siedzieliśmy po dawnemu wokoło stołu. Ojciec był bardzo ożywiony i opowiadał rozmaite zajmujące szczegóły z podróży, które odbył w młodości. W tym uderzyła dziewiąta. Nagle drzwi od ulicy skrzypnęły na zawiasach i wkrótce ktoś po schodach iść zaczął krokiem ciężkim i powolnym.

— To Koppelius! — szepnęła matka, blednąc.

— Tak, to Koppelius — powtórzył ojciec głosem słabym i złamanym. Łzy błysnęły w oczach matki.

— Ależ, mój mężu — ośmieliła się zrobić uwagę — czyż to znowu powraca?

— Ostatni to już raz, przyrzekam ci. No, odejdź i zabierz dzieci. Idźcie spać, dobranoc wam.

Zdawało mi się, jakby mi kto zwalił na piersi całe brzemię zimnych kamieni; tchu mi zabrakło. Widząc to, matka wzięła mnie na ręce.

— Chodź, chodź, Natanaelu, chodź, mój mały.

Kiedyśmy już byli w sypialni, zaczęła mnie całować i pieścić.

— Uspokój się, uspokój, moje dziecię, mówiła, zmów pacierz, połóż się i zaśnij.

Ale dręczony niepokojem i niewypowiedzianą trwogą nie mogłem zmrużyć oka. Odrażający, straszliwy Koppelius uparcie stał przede mną, z błyszczącymi jak próchno oczyma, z drwiącym swoim uśmiechem. Na próżno się starałem oddalić od siebie to widmo.

Było już około północy, kiedy nagle rozległ się wśród ciszy huk niesłychany, jakby wybuch rozerwanego działa. Zatrząsł się dom cały. W tejże chwili przeszedł ktoś z łoskotem wzdłuż korytarza, zbiegł ze schodów i niebawem trzaśnięto drzwiami, wychodzącymi na ulicę.

— To Koppelius! — zawołałem przejęty zgrozą i wyskoczyłem z łóżka.

W tejże chwili usłyszałem rozdzierające krzyki rozpaczy. Poskoczyłem do pokoju mojego ojca, od którego drzwi zastałem otwarte. Wychodził stamtąd dym duszący.

— Ach! Nasz pan! Nasz dobry pan! — wołała służąca.

Tuż przed dymiącym ogniskiem, na podłodze, leżał trupem mój ojciec, mając twarz całą czarną i popaloną okrutnie. Wokoło niego płakały małe siostry i matka zemdlała.

— Koppeliusie! Przeklęty szatanie! Toś ty mi zabił ojca! — wołałem i straciłem przytomność.

Kiedy w dwa dni potem złożono ojca w trumnie, rysy jego odzyskały po dawnemu słodycz i pogodę. To mi było niemałą pociechą. Przekonałem się bowiem, że jego stosunek z Koppeliusem nie pociągnął go do zupełnej, wiekuistej zatraty.

Wybuch rozbudził wszystkich sąsiadów. Rzecz doszła nawet do wiadomości władzy. Chciano Koppeliusa pociągnąć do odpowiedzialności, ale gdzieś przepadł bez śladu.

Jeżeli ci powiem teraz, że ów optyk wędrowny, który mnie obecnie nawiedzał, nie był kim innym, jak Koppeliusem, to spodziewam się, że nie weźmiesz mi za rzecz płonną ani mej obawy, ani smutku. Był tylko inaczej ubrany, ale co się tyczy rysów jego twarzy, wreszcie całej nawet postaci, aż do ruchów ciała, nazbyt go chowam w żywej pamięci, żebym się mógł omylić. Przy tym nie zmienił nawet nazwiska. Powiadano mi, że się podaje za mechanika piemonckiego nazwiskiem: Giuseppe Coppola.

Postanowiłem, bądź co bądź, walczyć z tym człowiekiem do upadłego. Śmierć mego ojca pomszczona być musi.

Nic o tym wszystkim nie mów mojej matce. Serdecznie pozdrawiam moją dobrą Klarę. Napiszę do niej, jak będę spokojniejszy. Żegnam Cię.

II. Klara do Nathanaela

Prawda, żeś do mnie dawno nie pisał, wiem jednak, że mnie zawsze chowasz w swym sercu. Co większa, widzę, że w każdej chwili myślisz o mnie, kiedyś aż list pisany do Lotara wysłał pod moim adresem. Otworzyłam go z nieopisaną rozkoszą i dopiero zaczęcie jego: — „Kochany Lotarze", wywiodło mnie z błędu. Co prawda, zamiast go czytać dalej, należało oddać bratu, ale tego nie potrafiłam. Jak często wyrzucałeś mi w przystępie złego usposobienia, że, jak na młodą dziewczynę, nazbyt we wszystkim rozumuję, nazbyt hołduję rzeczywistości. Nieraz żałowałeś, żem zdolna zrobić jak ta kobieta, która, uciekając z zapadającego się domu, jeszcze poprawiała fałdy w firankach. Z tym wszystkim, wierz mi, początek twego listu dziwnie mnie przeraził. Ach! Mój drogi Nathanaelu, nie umiem ci wypowiedzieć, co się ze mną działo. Co? Cóż to się takiego stało? Jakiż to straszliwy wypadek do tego stopnia struł ci życie? Pierwsza myśl moja była, że mi cię ktoś odbiera, że cię więcej nie ujrzę; życie uciekało ze mnie od wrażenia tej myśli, daruj mi tedy, żem czytała dalej. Czytałam i odczytywałam bez końca. Twój opis tego niegodziwego Koppeliusa jest okropny; nic też dotąd nie wiedziałam o rodzaju śmierci twego nieszczęśliwego ojca. Lotar, kiedym wreszcie list oddała, usiłował mnie uspokoić, ale na próżno. Przeklęty optyk wędrowny stał mi ciągle na oczach; we śnie nawet, wyznam ci ze wstydem, po raz pierwszy w życiu doświadczyłam koszmarów. Wkrótce jednak, bo już nazajutrz, umysł mój wrócił do zwykłej spokojności. Nie gniewaj się, mój najdroższy, jeśli ci Lotar

doniesie, że pomimo twych dziwnych przywidzeń, zachowałam po dawnemu wesołość i spokój duszy.

Muszę wyznać otwarcie, żem jest tego przekonania, iż wszystkie okropności, o których mówisz, wprost odbywały się wewnątrz twego mózgu; rzeczywisty zaś świat zewnętrzny najmniejszego w tym nie brał udziału. Stary Koppelius mógł być sobie porządnie odrażający i ponieważ nie cierpiał dzieci, ten jego wstręt mógł w was z postępem czasu rozbudzić prawdziwą zgrozę. Rzecz prosta, że się do tego niemało przyłożyć mogła i myśl o *piaskunie* zasłyszanym w bajce. Podrastając, mogłeś przestać wierzyć w *piaskuna*, niemniej jednak przestraszał cię Koppelius, boś miał do niego wstręt nabyty. Jego tajemne nocne schadzki z twym ojcem nie miewały zapewne innego celu, jak doświadczenia alchemiczne, którym twoja matka niezbyt mogła być rada, raz dlatego, że bezużytecznie pochłaniały niemało pieniędzy, a po wtóre, że jak zwykle bywa w takich razach, ojciec twój, nazbyt się oddając marnym ułudom zdobycia bogactw i ciemnej mądrości, pod wpływem tej żądzy zaniedbywać musiał rodzinę. Co się tyczy śmierci twego ojca, ośmielam się mniemać, że była tylko owocem nieostrożności i że Koppelius nic w tym nie był winien. Czy uwierzysz, żem się w tym względzie rozpytywała naszego sąsiada aptekarza, bardzo doświadczonego chemika. Powiedział mi, że w istocie zdarzają się wypadki pęknięcia retort[204], skutkiem czego można znaleźć śmierć niespodzianą.

Być może, że się gniewać będziesz na twoją Klarę i powiesz: do tej zimnej duszy nie przeniknie nigdy promień przeczucia tej tajemniczej siły, która często chwyta życie człowiecze w niewidzialne ramiona. Nie dalej ona widzi, jak tylko tęczową powierzchnię rzeczy ziemskich, i cieszy się jak dziecię owocem, którego łupina błyszczy pozłocisto, choć w głębi jego kryje się śmiertelna trucizna.

Ach, mój drogi Nathanaelu, wierz mi, że nawet w duszy jak moja, pustej bez troski, niedbałej o jutro, zbudzić się może przeczucie nieznanej, niebezpiecznej potęgi, która się sprzysięgła zgubić człowieka, aż do rdzenia jego istoty. Przebacz mi, że taka, jaką mnie znasz, prochu nieumiejąca wymyślić dziewczyna, ośmielam się wypowiedzieć otwarcie, co myślę o tej dziwnej walce, która się, mniej lub więcej silnie, nieustannie jednak odbywa w naszej duszy. Może nie znajdę na to odpowiednich wyrażeń i śmiać się ze mnie będziesz, nie żeby zdanie moje było śmieszne, ale że wymowa nie po temu. Koniec końców jednak, oto, co sądzę o tym wszystkim.

Istnieje jakaś tajemnicza potęga, usiłująca nieustannie oplątać nasze istnienie, celem pociągnięcia go na niebezpieczną drogę, której byśmy nie wybrali bez jej wpływu. Na to potrzebuje wcielić się w kształty odpowiednie naszej naturze, jednym słowem stopić się z naszą osobistością, gdyż w przeciwnym razie rzecz by jej się nie udała. Jeżeli umysł nasz dostatecznie się już wzmógł na siłach doświadczeniem, tak, że na pierwszy rzut oka potrafi rozpoznać wszelki wpływ obcy sobie i zgubny i tyle być panem siebie, żeby się nie dać zbić z drogi, odpowiedniej swym skłonnościom i powołaniom, to władza ta dziwna nie zdoła nigdy przybrać kształtów określonych, które po większej części bywają tylko własnym naszym obrazem, jakby odbitym w zwierciadle.

Choć znowu nic pewniejszego (jak mi powiadał Lotar), że byle się tylko poddać wpływowi tej władzy, potrafi ona wprowadzić do naszej duszy również i obce obrazy, brane z świata zewnętrznego, które w dziwnym jakimś oszołomieniu sami ożywiamy własną wolą, dobrowolnie tym sposobem dopomagając naszej zgubie. Zawsze to własna nasza osobistość jest tu działaczem głównym; tylko że stosownie do kierunku, jakiemu się poddaje, równie nas w niebo wynieść, jak i do piekła zaprowadzić może. Poznasz z tego, drogi Nathanaelu, jakeśmy tu pracowicie o tym wszystkim rozprawiali z Lotarem. Zasady naszej teorii wydają mi się warte twego zastanowienia. Nie ze wszystkim rozumiem to, co z objaśnień Lotara spisałam w końcu: czuję jednak, że i w tym tkwi prawda głęboka. Proszę cię na wszystko, nie myśl więcej o tym brzydkim adwokacie ani o tym wędrownym optyku. Upewniam cię, że najmniejszej władzy mieć nad tobą nie mogą. Jedynie wiara twoja w ich potęgę może ich zrobić prawdziwie niebezpiecznymi. Doprawdy, gdyby nie zasmucający ton twojego listu oraz współczucie dla twego strapienia, czułabym się zdolna pożartować sobie z tego *adwokata-piaskuna* i zarazem wędrownego przekupnia. Dobrej myśli, wesołości, mój panie. Ułożyłam sobie, że ci będę Aniołem-stróżem i że koniecznie

[204] *retorta* — okrągłe naczynie używane dawniej w laboratoriach. [przypis edytorski]

wyśmieję z twojej wyobraźni tego brzydasa Coppolę czy Koppeliusa. Upewniam cię, że się go nie boję ani trochę, a nawet nic sobie nie robię z jego rąk guzowatych. Nie dam mu ani moich konfitur, jeśli zechce być adwokatem, ani moich oczu, jeśli się przeobrazi w *piaskuna*. Do zobaczenia mój najdroższy. Kocham cię jak zawsze, twoja do zgonu.

III. Nathanael do Lotara

Przykro mi bardzo, że Klara przeczytała list do ciebie pisany. Przeklęte roztargnienie stało się tego przyczyną.

Odpisała mi na to w sposób bardzo głęboki i sceptyczny, dowodząc jasno jak na dłoni: że Koppelius i Coppola są tylko wyrobem mojej wyobraźni, że to tylko widziadła własnej mojej osobistości, które się rozpierzchną, jeśli się zdobędę uznać je za złudzenia.

Mizoginia, Kobieta

Nikt by się nie domyślił, wnosząc z jej powłóczystego, melancholijnego spojrzenia, do jakiego stopnia rozumek mieszkający w jej pięknej główce zdolny jest stawiać zasady, klasyfikować kategorie i robić logiczne wywody. Odwołuje się do twego sądu, utrzymując, że oboje o tym rozmawialiście. Mógłbym myśleć, że jej wykładasz początki filozofii. Daj temu spokój.

Zresztą, okazało się rzeczą pewną: że optyk Coppola nic nie ma wspólnego z adwokatem Koppeliusem. Właśnie uczęszczam na wykład fizyki sławnego Spallanzaniego, będącego, jak wiesz, Włochem. Koppelius zaś był Niemcem.

Bądź co bądź, nie uspokoiłem się jeszcze w zupełności. Miejcie mnie sobie za co chcecie, ale niepodobna mi pozbyć się na zawołanie wrażenia, jakiego doznałem na widok tego przeklętego Coppoli. Szczęście, że się już wyniósł z miasta; wiem to od Spallanzaniego.

Ten Spallanzani to także dziwna figura. Niewielkiego wzrostu, szczupły, z wystającymi kośćmi policzkowymi, cienkim nosem, obwisłymi ustami, przeszywającym wzrokiem. Zresztą, jeśli chcesz mieć dokładniejsze jeszcze o nim pojęcie, wyszukaj sobie w berlińskim almanachu portret Cagliostra, rytowany przez Chodowieckiego. Powiadam ci, to żywy portret Spallanzaniego.

Niedawno, idąc po schodach, spostrzegłem w jednym z okien jego mieszkania nieco uchyloną firankę. Sam nie wiem czemu, zajrzałem ciekawie. Siedziała tam przy stoliku, trzymając na nim złożone na krzyż ręce, cudownej piękności, prześlicznie ubrana młoda kobieta. Odwrócona była twarzą ku mnie, ale nie zdawała się mnie widzieć. W ogólności spojrzenie jej miało w sobie coś wrytego, byłbym skłonny przypuścić, że musi być pozbawiona wzroku. Wyglądało, jakby spała z otwartymi oczyma. Dowiedziałem się później: że to była Olympia, córka Spallanzaniego, której tak zazdrośnie strzeże, że dotąd nikt się do niej zbliżyć nie zdołał. Musi mieć jakieś w tym przyczyny. Może jest słaba na umyśle, lub coś podobnego.

Ale doprawdy, po cóż ja ci piszę to wszystko, kiedy będę mógł opowiedzieć nierównie dokładniej. Bo najdalej za dwa tygodnie będę z wami. Muszę się osobiście wykłócić z moją dobrą, serdecznie ukochaną Klarą, a potem bez szemrania poddać się jej wpływowi. To mnie wyleczy lepiej stokroć, jak wszystkie rozsądne jej listy przysyłane z daleka. W pięknych jej różowych ustach prozaiczna nawet prawda nabiera poezji. Do zobaczenia, moi drodzy.

IV.

Do listów poprzednich wypadnie dodać niektóre objaśnienia, będące w związku z przeszłością naszych bohaterów. W czas jakiś po śmierci ojca Nathanaela, Klara i Lotar, sieroty, dzieci dalekiego krewnego, zostały przygarnięte w domu wdowy, celem wspólnego z jej dziećmi wychowania. Wkrótce Nathanael pokochał Klarę i gdy się przekonał, że była mu wzajemna, za zezwoleniem matki zaręczył się z nią i wyjechał do Getyngi kończyć rozpoczęte nauki. Właśnie go tam widzieliśmy uczęszczającego na wykłady Spallanzaniego.

Uroda

Klara nie była w ścisłym znaczeniu piękna, choć w kształtach jej ciała nie było nic do zarzucenia. Miała wiele wdzięku w postawie, ale rysy twarzy nie zalecały się regularnością. Miała jednak cudowne włosy i cerę niesłychanie delikatną. Ale nade wszystko wyraz oczu, który zdolny był zachwycić najwymyślniejszego artystę! Jeden z takich, malarz-entuzja-

sta, porównał je z jeziorem Ruisdaëla, w którym przegląda się jednocześnie i przeczysty niebios błękit, i zarazem dalekie krajobrazy przepysznej fantazji. Poeci i kompozytorzy szli nierównie dalej jeszcze.

Jezioro i zwierciadło? Cóż znowu! Z oczu tej dziewczyny tryskają natchnienia i harmonie. Czyż nie widzicie, jak się uśmiecha litośnie ile razy który z nas popisuje się w jej obecności. Bo w duszy swojej nosić musi stokroć obfitsze zasoby piękna, niż nas wszystkich razem stać na to.

W istocie, Klara posiadała wyobraźnię naiwną jak niewinność dziewczęcia, duszę tkliwą i głęboko kochającą, ale zarazem umysł bystry i przenikliwy. Stąd nie lubiła dziwaków i jeśli jej się zdarzyło spotkać gdzie którego, to już na pierwszy rzut oka wzrok i uśmiech zdawał się mówić:

— Mój dobry panie, niech ci się też nie zachciewa, żebym brała twoje przywidzenia za coś istotnie żyjącego na świecie.

Z tego względu Klara była nawet przez wiele osób pomawiana o chłód, nieczułość i prozę. Natomiast ludzie rozumiejący warunki życia zwyczajnego bardzo lubili tę rozsądną dziewczynę. Wszakże nikt nie miał tyle do niej przywiązania, co Nathanael. Klara kochała go także z całej duszy i kiedy po raz pierwszy rozłączyć im się przyszło, może jeszcze więcej bolała nad tym od niego. Z jakim życiem pobiegła rzucić się w jego objęcia, kiedy wrócił, jak to był obiecał w ostatnim liście! Stało się też, jak przewidział; gdyż zaledwie ujrzał Klarę, zapomniał natychmiast: i o zbyt rozsądnym jej liście, i o Koppeliusie, i o Coppoli, i o wszystkim na świecie.

Nie trwało to jednak długo. Miał słuszność, pisząc w swoim liście, że zjawienie się wędrownego optyka fatalnie wpłynęło na jego życie. Niebawem zapadł znowu w ponure marzenia i począł roić rzeczy dziwne jak nigdy. Życie ziemskie, w mniemaniu jego, było tylko sennym przeczuciem.

— Człowiek błędnie mniema, iż jest samoistny — powtarzał. — Przeciwnie, służy on tylko za igraszkę tajemniczym potęgom, przeciw którym walczyć rzeczą jest daremną! Prędzej lub później ulega się koniecznie losowi, który nam z góry naznaczono.

Uwziął się nawet dowodzić, że jest szaleństwem, jakoby w nauce i sztukach można co było wytworzyć własną swoją, wolną wolą; gdyż entuzjazm, który sam tylko posiada zdolności twórcze, nie przychodzi z wewnątrz, ale jest wynikiem pierwiastka zewnętrznego, działającego na człowieka bezpośrednio.

Rozsądna Klara z wstrętem odpychała ten fanatyczny mistycyzm, z tym wszystkim nie zdawało się jej właściwym zbijać twierdzenia Nathanaela; wszakże kiedy ten ostatni począł pewnego razu dowodzić: jako Koppelius, w charakterze niegodziwego ducha, opętał go od chwili, kiedy się ujrzał podpatrywanym spoza firanki, i jako zapewne zechce zakłócić ich wspólne przyszłe szczęście, nie mogąc się wstrzymać dłużej, wstała i rzekła poważnie:

— Tak jest, Nathanaelu, masz słuszność. Koppelius jest rzeczywiście niegodziwym duchem. Może on w istocie nabroić niemało, jako wcielony szatan kusiciel, ale to jedynie wtedy, jeśli go się nie pozbędziesz z twej myśli. Jak długo wierzyć w niego będziesz, żyć on będzie i działać; nie co innego bowiem, jak tylko wiara twoja stanowi jego siłę.

Nie mogąc jej przekonać w sprawie Koppeliusa, usiłował Nathanael obeznać ją z zasadami wyznawanego przez siebie mistycyzmu tajemniczych wpływów. Ale i to się na nic nie zdało. Uparta dziewczyna zaczęła mówić o czym innym, co wreszcie naprawdę już drażnić poczęło Nathanaela. Pomyślał, że marnuje ważne i głębokie zadania, rozpraszając je pomiędzy zimne i nieczułe dusze, nie zdając sobie sprawy: czy i Klarę do ich liczby zalicza. Swoją drogą nie zaniechał usiłowań, żeby ją koniecznie zjednać swym przekonaniom. Zdarzało się, że przyszedłszy z rana na kawę, przynosił jej różne książki mistyczne, z których czytał coraz ważniejsze ustępy. Wtedy Klara odzywała się z uśmiechem, spoglądając mu w oczy:

— Ależ, mój drogi Nathanaelu, powiedzieć by można, że tym sposobem jesteś jakimś niegodziwym pierwiastkiem. Wywierasz bowiem jak najzgubniejszy wpływ na moją kawę. Nie mogę od ciebie oczu oderwać, kiedy czytasz, a tu tymczasem wszystko wykipiało i nie będziemy mieli śniadania. Daj lepiej pokój mistycyzmowi, bo mi to przeszkadza być dobrą gospodynią.

Na te słowa Nathanael gniewny zamykał książkę i odchodził do swojego pokoju. Niegdyś posiadał prawdziwy talent do poezji, co Klarze robiło największą w świecie przy-

jemność. Obecnie, wytwarzał tylko rzeczy dziwne i niepojęte. Chociaż Klara nie robiła mu już o to uwag żadnych, spostrzegł się przecież na zmianie jej upodobania w tym względzie.

W istocie, nie było dla niej nic przykrzejszego jak nudy. Kiedy ich doświadczała, wzrok jej równie jak rozmowa zdawał się wypowiadać zdrętwienie, w które umysł jej zapadał. Przyznać zaś należy, że poezje Nathanaela stały się wierutnie nudne. Do tego żal, jaki miał do Klary, znajdując, że odkrył w niej duszę chłodną i prozaiczną, zdawał się wzrastać coraz silniej; tym bardziej, że i Klara ze swej strony nie mogła przemóc na sobie niejakiego wstrętu, widząc, jak Nathanael coraz silniej zapadał w swój ponury i niedorzeczny mistycyzm. Tym sposobem wzajemnie coraz więcej oddalali się od siebie, ani się spostrzegając.

Tymczasem postać Koppeliusa rzeczywiście znacznie była zbladła w jego wyobraźni, tak, że z trudnością przychodziło mu wprowadzić ją do poezji, w których usiłował wypowiedzieć cały zgubny wpływ na swoje przeznaczenie.

Z tym wszystkim przedsięwziął utworzyć poemat, mający na przedmiot ponure przeczucie nieszczęścia z tej strony. Przedstawił Klarę i siebie związanych obopólną, silną miłością, udręczanych jednak od czasu do czasu złowróżbnymi znakami ciemnego jakiegoś wokoło nich wpływu. Wreszcie, w chwili kiedy się już znajdują u ołtarza, zjawia się straszliwy Koppelius, dotyka czarownych oczu Klary, te natychmiast wyskakują z oprawy i tryskają na podobieństwo krwawych gwiazd na pierś Nathanaela, którą zapalają płomieniem. W tejże chwili porywa go Koppelius i rzuca w ogniste koło, kręcące się z szybkością huraganu pośród świstu i zgrzytu. Zewsząd szturmują tam wzdęte i spienione bałwany, szamocąc się między sobą na podobieństwo czarnych olbrzymów z posiwiałymi głowami. Jednakże pośród ogłuszającego ich ryku, słyszy jeszcze słodki głos swojej Klary, szepcący mu:

— Jam przy tobie, opamiętaj się. Nie wierz Koppeliusowi. To nie moje oczy piersi ci ogniem zżarły, to tylko palące krople krwi własnego twego serca. Ja mam swoje oczy jak i dawniej, spojrzyj w nie...

— Prawda! Cóż za niedorzeczność! — Mówi sobie Nathanael. — Toż to Klara jest przy mnie, toż ja należę do niej na wieki.

Oprzytomnienie to zdaje się wywierać wpływ ogólny. Płomieniste kolo gaśnie, huk przepada w otchłani. Nathanael spogląda w oczy Klarze, ale okazuje się, że te oczy są oczami umarłej i zatrzymują się na nim z wyrazem miłości.

Na tym się kończył poemat Nathanaela. Dopóki go wytwarzał, czuł się całkowicie uspokojony. Pracowicie wygładzał i zaokrąglał strofy i ponieważ przedsięwziął użyć wiersza miarowego, dopóty nie spoczął, aż nie przywiódł wszystkiego do ostatecznej harmonii. Kiedy wreszcie skończył swoją pracę, umyślił przeczytać ją głośno. Ale zaledwie uchem zasłyszał te dziwne rytmy, ogarnęła go niewysłowiona trwoga.

— Skąd mi się wzięły te straszliwe dźwięki? — spytał sam siebie.

Ochłonąwszy jednak stopniowo, począł widzieć w poemacie swoim zwyczajną tylko robotę ducha, która mu się nad podziw udała. Pomyślał, że jeżeliby go przeczytał Klarze, może by zdołał tym sposobem choć trochę rozgrzać tę lodowatą duszę.

Pewnego dnia siedzieli sobie oboje w ogrodzie. Klara była wesoła jak ptaszę, gdyż Nathanael od trzech dni już (wprawdzie trzy dni te spędził na pracy nad swoim poematem) nie męczył jej ani marzeniami, ani przeczuciami. Nathanael także był jakoś odzyskał dawną swoją wesołość.

— Co teraz — rzekła Klara, — to już widzę na pewno, żeś znowu mój po dawnemu, drogi Nathanaelu! Widzisz, jak nam się udało wreszcie odegnać wspólnymi siłami tego niegodziwca Koppeliusa.

Słowa te nieszczęściem przypomniały Nathanaelowi poemat, który miał przy sobie. Wyjął go z kieszeni i zaczął czytać. Klara, będąc pewna, że to znowu coś bardzo nudnego, zdobyła się na rezygnację i wzięła pończoszkę. Ale wsłuchawszy się, przerażona upuściła druty i poczęła się bystro przyglądać poecie. Ten nieubłagany czytał dalej, rozpłomieniły mu się policzki, w oczach łzy zabłysły. Skończywszy, jęknął głucho i porywając rękę Klary, zawołał z wyrazem niewysłowionej boleści:

— Klaro moja, Klaro, Klaro!

Ona rzuciła mu się na szyję i wyszeptała z cicha:

— Nathanaelu, drogi Nathanaelu, jeśli mnie kochasz choć trochę, rzuć w ogień tę śmieszną i szaloną robotę.

Ale ten zerwał się oburzony i odwracając od siebie ukochaną:

— Precz, przeklęty automacie bez życia! — zawołał grzmiącym głosem i wybiegł.

Klara, zraniona do żywego, zalała się gorzkimi łzami.

— Mój Boże, on mnie nigdy nie kochał! — wyrzekła, łkając.

Pojedynek

Wtem nadszedł Lotar. Na naleganie jego, Klara zmuszona była opowiedzieć mu wszystko, co zaszło. Lotar czule kochał siostrę. Poprzednie szaleństwa już go były kosztowały niemało krwi zimnej; to ostatnie dopełniło miary. Pobiegł do Nathanaela i rozmówili się z sobą w sposób wielce ostry. Pojedynek stał się nieunikniony.

Postanowili bić się nie dalej jak nazajutrz z rana, poza ogrodem, na rapiery, studenckim zwyczajem. Ale Klara domyśliła się wszystkiego, słysząc ich sprzeczkę, dostrzegła, jak broń przynoszono. O oznaczonej godzinie, kiedy już zamierzali wzajemnie godzić na siebie, wbiegła, by rzucić się pomiędzy walczących.

— Szaleńcy! — zawołała, łkając. — Mnie najprzód zabijcie: bo czy brat mój zabije mi narzeczonego, czy narzeczony brata, w obu razach żyć mi niepodobna.

Na te tkliwe słowa Lotar opuścił broń zawstydzony. Jednocześnie Nathanael, dotknięty wyrzutem, uczuł w sercu całą moc swego przywiązania do Klary. Rzucił precz rapier i padł jej do nóg.

— Ach! czyż zdołasz przebaczyć mi to kiedy, Klaro moja? jedyna moja! najukochańsza moja! — rzekł ze łzami. — Przebaczysz mi to kiedy, bracie mój Lotarze?

Wzruszył się Lotar tą głęboką boleścią przyjaciela. Otworzył ramiona i padli sobie w objęcia, poprzysięgając odtąd być sobie braćmi do śmierci. Był to jeden z najszczęśliwszych dni w życiu Klary.

Nathanael uczuł ulgę, jakby ogromne jakieś brzemię odwalił sobie z piersi. Raz, silny postawiwszy opór tajemniczej potędze, mniemał się jakby odrodzonym na nowo. W istocie bowiem szło tam o życie, któremu zagrażała zguba, jak sądził, nieunikniona. Tak więc trzy dni jeszcze pozostał z swymi przyjaciółmi, po czym wybrał się z powrotem do Getyngi kończyć rozpoczęte nauki, do czego jeszcze potrzebował roku.

Zamilczano przed matką Nathanaela wszystko, co było w związku z Koppeliusem, wiedziano bowiem, że nie mogła bez wstrętu słyszeć nawet nazwiska tego człowieka, któremu wraz z synem przypisywała śmierć swego męża.

V.

Proszę sobie wyobrazić zdumienie Nathanaela, kiedy przybywszy do Getyngi, zastał tylko zgliszcza z domu, w którym miał mieszkanie. Chociaż ogień zajął się był w pracowni aptekarza, mieszkającego na dole, to jednak przyjaciele zdołali wyłamać drzwi od pokoju i uratować wszystkie jego książki, rękopisy i instrumenty, tak, że prawie nic nie przepadło. Znalazł to wszystko przeniesione do innego mieszkania, które pod jego nieobecność dla niego najęto.

Trzeba zdarzenia, że okna tego pokoju wychodziły wprost na mieszkanie profesora Spallanzaniego. Dość było rzucić stamtąd okiem, żeby zaraz ujrzeć piękną Olympię. Siedziała zawsze jak i przedtem sama jedna, zawsze w tej samej postawie, nieodmiennie przy tym samym stoliku, bez żadnego w świecie zajęcia, wyraźnie jednak spoglądając ku Nathanaelowi. Nigdy mu się nie zdarzyło widzieć piękniejszej postaci. Z tym wszystkim, ponieważ Klara wyłącznie panowała w jego sercu, zjawisko to było mu najzupełniej obojętne, miał tylko upodobanie spoglądać na nią niekiedy, jakby na jaki piękny posąg; nie widząc jej zaś, myślał o czym innym.

Właśnie zajęty był pisaniem listu do Klary, kiedy zapukano do drzwi i niebawem ukazała się na progu nieprzyjemna postać Coppoli. Nathanael uczuł dreszcz po wszystkich członkach, ale przypomniawszy sobie zapewnienie Spallanzaniego, oraz słowo, które dał Klarze, zawstydził się w duszy tak płonnego uprzedzenia. Zmógł się tedy na siłach i rzekł jak mógł najobojętniej:

— Nie potrzeba mi barometru, mój panie.

Na te słowa Coppola wszedł do pokoju i odezwał się głosem ochrypłym:

— Nie, nie, nie idzie tu o barometr, bo ja mam także i oczy... Piękne, przepyszne oczy...

Mówiąc to, uśmiechał się wyszczerzając zęby, a oczy jego błyszczały jak próchno spod gęstych brwi szpakowatych.

Nathanael zerwał się wystraszony.

— Jesteś szalony, mój panie, jakże możesz mieć do zbycia oczy, oczy... oczy...

Wtedy Coppola sięgnął ręką do kieszeni i, wyciągnąwszy stamtąd całą garść okularów, zaczął je rozkładać na stole.

— Ech, ależ ja chcę mówić o okularach, o okularach, które kładzie się na nosie, to właśnie nazywam oczami.

Cedząc przez zęby te słowa, wyciągał coraz więcej okularów, tak, że wkrótce cały stół zaiskrzył dziwnymi jakimiś odblaskami. Tysiące najrozmaitszych spojrzeń zdawało się mrugać stamtąd na Nathanaela, który żadnym sposobem nie odwrócił wzroku. A tymczasem Coppola wyciągał coraz nowe okulary i spojrzenia coraz ognistsze, coraz bardziej krwawe, coraz dziksze, coraz bardziej nieubłagane, raziły wzrok, mroziły serce w piersiach Nathanaela.

— Dosyć! dosyć, straszliwy człecze! — zawołał wreszcie, odchodząc od siebie ze zgrozy.

Mówiąc to, rozpaczliwie przytrzymywał rękę swego prześladowcy, który wyciągał całe garście, jakkolwiek nie było kłaść już i na czym; Coppola wyrwał mu rękę, chichocząc w sposób przeszywający dreszczem.

— A! To pan sobie tego nie życzy! Nie wiedziałem, przepraszam. — rzekł pośpiesznie. — No, ale ja tu mam inne szkiełka, bardzo piękne...

Przez ten czas pozbierał był i pochował wszystkie okulary, i sięgnąwszy do innej kieszeni, zaczął z niej wyjmować lornetki i perspektywy.

Jak tylko okulary poznikały ze stołu, Nathanael uspokoił się w zupełności. Pomyślał o Klarze i przekonał się natychmiast, że wszystkie złe wrażenia miały tylko źródło w nim samym i że Coppola nie był żadnym strachem, ani tym bardziej przypomnieniem przeklętego Koppeliusa, ale przeciwnie, uczciwym sobie mechanikiem i optykiem. Szkła bowiem, które wyjmował z drugiej kieszeni, nie miały w sobie nic nadzwyczajnego. Chcąc się tedy z nim pogodzić, umyślił kupić cośkolwiek.

Wybrał więc lornetkę i przyłożył do oczu, chcąc ją wypróbować. Nigdy w życiu nie widział lepszej; przybliżała tak dokładnie, że aż rozkosz było patrzeć. Mimowolnie skierował ją ku pokojowi Spallanzaniego.

Olympia siedziała tam jak zwykle, z rękoma złożonymi na stoliku. Była cudownie piękna, tylko oczy wydawały się wryte, jakby u umarłego. Jednak w miarę, jak się jej przypatrywał, wyraźnie budziły się w nich wilgotne jakieś blaski, jakby promienie wstającego księżyca. Powiedziałbyś: że zdolność widzenia rodziła się dopiero w tej postaci. Stopniowo oczy jej ożywiały się coraz mocniej.

Nathanael stał jakby przykuty do okna, nie umiejąc oderwać wzroku od widoku pięknej Olympii. Wreszcie usłyszał za sobą suche pokasływanie, które mu przypomniało czekającego Coppolę.

— Trzy dukaciki tylko! Trzy dukaciki, to niedrogo.

Nathanael zapłacił skwapliwie.

— Nieprawda? Piękne szkiełka, śliczne szkiełka? — mówił Coppola ochrypłym głosem, uśmiechając się szyderczo.

— Piękne, piękne. — rzekł mu na to Nathanael opryskliwie. — No, już idź sobie, bywaj zdrów, przyjacielu.

Coppola idąc po schodach, zdawał się dusić od śmiechu.

— Wyraźnie drwi ze mnie, — pomyślał Nathanael; sądzi pewnie, że przepłaciłem lornetkę; oszalał! Przepłacić podobną lornetkę? Ale może ją i przepłaciłem?

Kiedy to mówił, zdało mu się słyszeć westchnienie jakieś w pokoju. Dreszcz go przebiegł i włosy wstały na głowie, ale niebawem przekonał się, że to on sam westchnął.

— Ma słuszność Klara — rzekł do siebie, — cierpię rzeczywiście chorobliwe przywidzenia. Czyż istotnie może mi co tak dalece zależeć na tym: czy tę lornetkę przepłaciłem, czy też kupiłem tanio? Dlaczego mi myśl o tym nie daje spokoju? Pojąć tego nie mogę.

Siadł kończyć list do Klary, ale spojrzawszy przypadkiem w okno Olympii, uczuł się zmuszonym porwać znowu lornetkę i utonąć wzrokiem w tę postać cudowną. Nie wiadomo, jak długo trwał w tym upojeniu, przerwał mu je dopiero Zygmunt, jego kolega, oznajmiając, że już czas iść na wykłady.

Wróciwszy do siebie, zastał w oknie Olympii zapuszczoną firankę. Tak samo było dnia następnego i jeszcze następnego. Na trzeci dzień ujrzał całe okno staranniej jeszcze zasunięte gęstą storą.

Zrozpaczony, rozgorączkowany, wybiegł na miasto. Obraz czarownej Olympii unosił się przed nim w powietrzu, wypływał z każdego obłoku, zdając się spoglądać na niego promienistymi oczyma z błękitnej wód przezroczy. Myśl o narzeczonej całkiem wywietrzała mu była z głowy, marzył już tylko o Olympii.

— O ty cudowna gwiazdo miłości! — wołał, odchodząc od siebie. — Czyliż na to tylko zabłysłaś na niebie, żeby zniknąć bezpowrotnie? Czyliż mnie zostawisz samego, na pastwę ciemnościom i rozpaczy?

Wracając do siebie, spostrzegł wielki jakiś ruch w domu Spallanzaniego. Drzwi wszędzie otwarte były na oścież, wnoszono rozmaite sprzęty. Okna na pierwszym piętrze były powyjmowane, myto i zaprawiano posadzki, wykurzano meble, wszędzie kręcili się stolarze i tapicerzy. Zdziwiony przypatrywał się temu wszystkiemu stojąc na ulicy, kiedy wtem przybliżył się do niego Zygmunt, śmiejąc się hucznie.

— Ha! ha! Cóż ty mówisz na to wszystko?

Nathanael nie wiedział co odpowiedzieć. Wtedy Zygmunt objaśnił mu, iż stary Spallanzani nie dalej jak jutro daje bal nader świetny, na który zaproszona jest przynajmniej połowa uniwersytetu. Chodzi zaś wieść, że na tym balu po raz pierwszy wystąpić ma jego córka, którą dotąd tak zazdrośnie trzymał w ukryciu.

Nathanael, znalazłszy u siebie zaproszenie, w oznaczonej godzinie zjawił się u profesora. Już było na dziedzińcu mnóstwo powozów, w salonach światła rażące, zwierciadła, kwiaty, tłum gości. Wtem rzeczywiście ukazała się Olympia, w ubiorze tak gustownym, że od razu wszystkich zachwyciła. Była też piękna, nie ma co mówić, nawet prześliczną miała figurę. Jednak, rozpatrzywszy rzecz dokładniej, można było sądzić, że jest zanadto ściśnięta sznurówką, tak jakoś wyglądała sztywno. Także chód jej i ruchy miały w sobie coś jakby ściśle obliczonego i nadto jednostajnego. Nie podobało się to niektórym osobom zbyt wymagającym, ale też młodej osobie, po raz pierwszy w świat wchodzącej, zadowolić wszystkich niełatwo.

Rozpoczęto zabawę koncertem. Olympia dala się naprzód słyszeć na fortepianie, w czym okazała biegłość znakomitą, choć nieco za mało uczucia; następnie odśpiewała przepyszną *arię di bravura*[205] głosem czystym i dźwięcznym, ale który nieco przypominał harmonijkę. Nathanael był zachwycony. Stojąc poza tłumem słuchaczy, nie był w stanie dokładnie widzieć twarzy Olympii, dobył tedy z kieszeni lornetki Coppoli i przyłożył do oczu.

O rozkoszy! Wtedy to spostrzegł dopiero, że urocza dziewczyna w niego tylko patrzała, w niego jednego, i że modulacjom jej głosu najcudowniej odpowiadały namiętne jej spojrzenia! Świetne dźwięki, ulatując z jej piersi wzdętych miłością, wydawały się Nathanaelowi cudownymi wyrazami, których znaczenie czytał w własnym sercu, i kiedy umilkła, nie mogąc się powstrzymać dłużej, zawołał mimowolnie, sam nie wiedząc, co mówił:

— Olympio! Ach! Olympio!

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu, niektórzy goście śmiać się poczęli. Organista z katedry zaczął mu się bystro przypatrywać przez okulary i szepnął do siebie, kręcąc głową:

— No, no! No, no!

Taniec

Po koncercie bal się rozpoczął. Tańczyć z nią! O rozkoszy! Ale jak się tu ośmielić zaprosić ją do tańca, taką królową. Tymczasem, nie wiedzieć jakim sposobem, znalazł się już przy niej, ujął ją za rękę i pokazało się, że nie była zamówiona, choć nie przemówili do siebie nawet słowa. Ale dłoń Olympii była zimna, jakby trupia. Nathanael uczuł dreszcz po wszystkich członkach, szczęściem, spojrzawszy zdumiony w oczy dziewczyny, wyczytał w nich tyle miłości i szczęścia, że zapomniał o wszystkim w świecie. W tejże

[205] *aria di bravura* — aria popisowa, służąca prezentacji umiejętności wokalnych. [przypis edytorski]

chwili uczuł także, jakby krew krążyć zaczęła w jej dłoni; dotknął tętna, biło przyśpieszonym napływem. Rozszalało mu się w głowie, w sercu. Ująwszy kibić czarodziejki, porwał ją w wir szalony i przepadli w kole tańczących. Ale po chwili odbiegła go wszelka pewność siebie. Sądził dotąd, że umie wybornie w takt tańczyć: otóż wydało mu się, że był w błędzie. Rytmiczne ruchy Olympii miały w sobie tyle estetycznego zbytku, że cała umiejętność jego w tym względzie okazała się dziwnie niewystarczająca. Z tym wszystkim , chociaż mu to czyniło przymus niemały, zabiłby na miejscu każdego, kto by się poważył ubiec go w zamówieniu Olympii. Rzecz dziwna, nie zdarzyło się to ani razu. Zdawano się unikać Olympii i Nathanael mógł z nią tańczyć, ile mu się tylko podobało. Oddany tej czarodziejce wszystkimi władzami swej duszy, nie zważał, jak wokół szeptano, tłumiono uśmiechy, przyglądano się dziwnie obojgu, robiąc uwagi zapewne niezbyt pochlebne. Nie wiedział o niczym i nie dbał o nic. Rozgorączkowany tańcem, upojony swoją miłością, ośmielił się nad wszelki podziw. Siadł przy Olympii, ujął jej rękę i mówił jej namiętne słowa, które tylko oni oboje rozumieć mogli. Może je nawet ona więcej rozumiała od niego, gdyż nieustannie patrzyła mu w oczy, wzdychając tylko w sposób dźwięczny:

— Ach! Ach!

Na co Nathanael odpowiadał z uniesieniem:

— O istoto niebieska! O królowo mej duszy! O ty promieniu cudowny, zwiastujący lepsze światy, ku którym wyrywa się tęsknota! O światło mojego życia! O jedyna moja pani.

Ale Olympia za całą odpowiedź powtarzała tylko, patrząc mu w oczy i wzdychając:

— Och! Och!

A Spallanzani przechodził koło nich co chwila, przyglądając im się z uśmiechem zadowolenia. Nagle Nathanael, opamiętawszy się w swoim upojeniu, spostrzegł, że już było późno. Obejrzał się wkoło, sala była już najzupełniej pusta. Ostatnie światła dogasały, pryskając w pośród ciszy.

— Co? Rozstać się już? Rozstać się z tobą, Olympio! — wykrzyknął namiętnie, odchodząc od siebie z rozpaczy.

Pocałunek, Kobieta demoniczna

Mówiąc to, porwał jej rękę i okrywał ją płomienistymi pocałunkami, palące łzy zaćmiły mu źrenicę. Olympia pochyliła się ku niemu i rozgorączkowanych ust jego dotknęły jej usta jak lód zimne. Podobnie jak przedtem przy pierwszym ręki dotknięciu, przeszył go i teraz dreszcz śmiertelny, mimowolnie przypomniała mu się dziewica-widmo, nawiedzająca oblubieńca w ludowej balladzie, ale czarująca dziewczyna namiętnie przycisnęła go do piersi, a usta jej zdawały się rozgrzewać coraz silniej własnymi jej pocałunkami.

Tymczasem Spallanzani przechadzał się bezustannie po pustej sali, kroki jego budziły głuche echa, a postać przedstawiająca się w półcieniach miała coś fantastycznego i wymykającego się zmysłom.

— Czy kochasz mnie? Czy mnie kochasz przynajmniej, boska Olympio? O! Powiedz mi, powiedz duszy mojej to czarodziejskie słowo: kochasz mnie?

Tak mówił Nathanael. Ale Olympia wstała tylko i odpowiada, wzdychając:

— Ach! Ach!

— O tak! Cudowna gwiazdo mej miłości — mówił Nathanael — zabłysłaś obietnicą szczęścia pośród nocy mego życia i opromieniać je będziesz na wieki.

— Ach! Ach! — odpowiedziała Olympia, odchodząc.

Nathanael pobiegł za nią i znalazł się twarz w twarz z profesorem.

— Zagadałeś się do późna z moją córką — rzekł ten ostatni, uśmiechając się dobrotliwie. — szczerze się z tego cieszę. Jeżeliś sobie tyle upodobał jej towarzystwo, to proszę cię, Nathanaelu, zawsze nam będziesz miłym gościem. Pomimo słabości jej umysłu, córka moja szczerze ci sprzyja, jak widzę.

Nathanael oddalił się wreszcie, unosząc całe niebo w swej duszy.

VI.

Bal u Spallanzaniego stał się przedmiotem wielu uwag najdziwniejszych. Chociaż nic nie brakło do jego świetności, to przecież i do najniewinniejszych rzeczy przyczepić się można.

Wyśmiewano się ze sztywnej i niemej Olympii, której, pomimo przyjemnej powierzchowności, zarzucano najzupełniejszą głupotę, co zapewne skłaniało Spallanzaniego, że ją

tak długo trzymał w ukryciu. Nathanael nie mógł słyszeć bez oburzenia uwag podobnych, przedsięwziął jednak milczeć uparcie.

— Na co się zdało — mówił sobie w duszy — strzępić sobie język w podobnym przedmiocie? Na dobrą sprawę, przyszłoby dowieść tym półgłówkom, że tylko własne ich ograniczenie przeszkadza im ocenić boskie przymioty Olympii.

— Przepraszam cię, drogi Nathanaelu — rzekł mu raz wreszcie Zygmunt — ale wytłumacz mi, jakim u diabła sposobem człowiek, jak ty rozsądny, mógł się zakochać w tej drewnianej lalce z woskową twarzą?

Nathanael, z trudnością poskramiając wybuch, odpowiedział na to ile mógł spokojnie:

— Wytłumacz mi raczej ty, Zygmuncie: jakim sposobem człowiek, jak ty światły i umiejący ocenić wszystko, co piękne, mógł się nie poznać na cudownych wdziękach Olympii? Co do mnie, cieszę się z tego, boś mi nie jest rywalem; inaczej jeden z nas już by nie żył.

Zygmunt, widząc ze smutkiem chorobliwy stan swego przyjaciela, zaniechał drwiącego tonu i przyznał, że w rzeczach miłości upodobanie jest jedynym prawem.

Maszyna, Kobieta demoniczna

— Tylko dziwne mi się wydaje, — dodał — że kto tylko widział Olympię, tak samo ją sądzi, jak ja. Przepraszam cię, drogi Nathanaelu, wszyscy znajdują ją zarówno sztywną i jakby pozbawioną duszy. Ma kibić powabną, twarz nawet piękną, ale cóż z tej piękności, kiedy jej nie ożywia spojrzenie. Czyż nie widzisz, że w oczach jej nie ma iskry życia, że zdają się patrzeć, nie widząc? Podobnież i ruchy jej dziwnie się wydają obrachowane; czyż nie można by myśleć, że są zależne od układu jakichś kółek, które się obracają stosownie do nakręcenia? Podobnież gra jej, śpiew nawet, posiadają tę osobliwszą dokładność, nieprzyjemną i bezduszną, jaka jest udziałem sztucznego tylko mechanizmu; toż samo da się powiedzieć o jej tańcu. Wierz mi Nathanaelu, ta twoja Olympia zrobiła nam wszystkim wrażenie widma i od pierwszego wejrzenia nie chcieliśmy mieć z nią nic wspólnego. Wydała nam się po prostu zręcznym podrobieniem istoty obdarzonej życiem; a co do mnie, mam przekonanie, że wcale nie jest tym, czym się być wydaje.

Nathanael cierpliwie wysłuchawszy uwag przyjaciela, odpowiedział wreszcie głosem silnego przekonania:

— Nie dziwię się bynajmniej, że takie, a nie inne wywiera na was wrażenie Olympia, boście ludzie prozaiczni i niedaleko widzący. Dusza jej podobna, rozkwita tylko dla umysłów wybranych. Toteż z całego waszego tłumu mnie tylko jednemu rozbłysnął wzrok jej, w którym czytać można tajemnicze głębie. Mnie tylko jednemu znany jest cały urok uczucia, do jakiego zdolne jej serce. Ludziom światowym, powierzchownie rzeczy biorącym, wystarcza zdawkowe paplanie o przedmiotach, o których i mówić nie warto. Olympia mówi mało, nie przeczę, ale te nieliczne słowa, które wymawia, wypowiadają cały tajemniczy świat uniesień ducha, czarownych przeczuć i zespolenia wszystkich władz umysłu w miłości, która jak w zwierciadło w wieczność spogląda. Ale na cóż ci mówię to wszystko, czyż ty mnie zrozumieć możesz!

Przyjaźń

— Rób wreszcie, jak ci się podoba, Nathanaelu, — rzekł Zygmunt smutno — bodajbym się mylił, ale mniemam, żeś nie jest na dobrej drodze. Może się kiedy przekonasz o istocie rzeczy, a wtedy wróć do mnie, znajdziesz mnie zawsze tym samym!

Nathanael uczuł, że zimny i prozaiczny Zygmunt zdolny jest jednak kochać tkliwie. Ścisnął go za rękę i oddalił się zamyślony.

VII.

Nathanaelowi najzupełniej wyszło z pamięci, że była na świecie jakaś Klara, którą kochał. Tym bardziej wywietrzała mu z głowy matka i Lotar, przyjaciel od dzieciństwa. Już tylko żył dla Olympii, poświęcając jej wszystkie niemal chwile, nieustannie jej tylko mówiąc o swojej miłości, o dziwnym ich dusz powinowactwie, o nadziemskich wpływach, kojarzących dwie połowy jednej całości. Wszystkiego tego urocza dziewczyna słuchała z jak największym zbudowaniem. Wreszcie powyciągał z teki wszystko, co kiedykolwiek w życiu napisał: widzenia, fantazje, poematy, powieści, do których codziennie jeszcze dodawał mnóstwo sonetów mistycznych, ustępów, pieśni; cały ten zbiór szpargałów po całych godzinach czytywał Olympii. Jeżeli się to jemu nie sprzykrzyło, przyznać należy, że i ona była w tym względzie wzorem cierpliwości.

Nuda

Ani haftowała, ani robiła pończochę, ani wyglądała oknem, ani karmiła ptaków, ani bawiła się z pieskiem, ani z kotem ulubionym, nawet nie kręciła w ręku od chusteczki rogu, nawet nie spoglądała na posuwające się żółwim krokiem wskazówki zegara; a jednak nigdy nie potrzebowała kasłać w sposób przymuszony w celu ukrycia ziewania. Krótko mówiąc, po prostu, po całych godzinach, siedząc bez najmniejszego ruchu, wpatrywała się tylko w oczy swego ukochanego, a wzrok jej zapalał się w miarę, jak długo to trwało. Tylko ile razy Nathanael przyciskał sobie jej rękę do piersi albo całował ją w usta, mówiła: „Ach! Ach!", a niekiedy także: „Do zobaczenia, mój luby!" Słowo, Miłość

— O! czarodziejska istoto! O duszo przeczystych głębi! — wołał Nathanael, chodząc w uniesieniu po swojej izdebce. — Ty jedna tylko na świecie rozumieć mnie umiesz!

I drżał z rozkoszy na samą myśl o tej cudownej zgodzie, do której coraz doskonalej nastrajały się ich dusze, gdyż był pewny, że rozmawiała z nim o jego utworach poetycznych, że podzielała wszystkie jego marzenia, zachwyty, wiary, aspiracje, w czym nawet tak przedziwnie się zgadzali, że nieraz wydawało się, jakby głos Olympii wychodził z własnych piersi Nathanaela. Nawet po trosze i tak być musiało; gdyż ile wiadomo, Olympia wymawiała tylko wyrazy, któreśmy wyżej przytoczyli.

Niekiedy wprawdzie, w chwilach opamiętania, dziwiło go uparte milczenie dziewczyny i bierność umysłowa, ale i wtedy odpędzał od siebie wszelkie rozumowanie, jako rzecz niegodną i mówił sobie:

— Słowa? Cóż mi słowa! Jedno spojrzenie jej czarownej źrenicy, sto razy więcej mówi niż najwymowniejsze wyrazy. I czyż istocie tyle nieziemskiej stosować się do tych lichych warunków, w których wykręca się jakby w ciasnym kole biedny nasz byt ziemski?

Spallanzani zdawał się wielce sprzyjać stosunkom Nathanaela ze swoją córką i kiedy ten ostatni zdobył się razu pewnego mówić z nim w słowach pełnych trwogi i nadziei o możliwości jeszcze wzmocnienia tych stosunków, stary profesor, zachwycony do najwyższego stopnia, uśmiechnął się tylko przyjaźnie, ściskając mu rękę i oświadczył, iż pozostawił córce całkowitą swobodę w tym względzie.

Zachwycony tymi słowy Nathanael postanowił nie później jak nazajutrz błagać Olympię, ażeby mu powiedziała wyraźnie to, co już od dawna odgadywał w jej oczach, a mianowicie: czy chce być jego na wieki? W tym celu począł szukać obrączki, którą mu dała niegdyś matka przy wyjeździe z domu, chciał ją bowiem ofiarować Olympii w zakład swojej wierności. W tej samej szkatułce znalazł także listy Klary i Lotara, ale obojętnie odsunął je na bok, wziął tylko pierścionek i spiesznie udał się z nim do Olympii.

Przybywszy na schody, usłyszał na górze łoskot jakiś osobliwy, wyraźnie w pracowni Spallanzaniego. Pukano nogami, mocowano się, coś sobie wydzierano, słychać też było krzyki i przekleństwa.

— Puszczajże, puszczaj mi zaraz, ty łotrze przeklęty! Czy to ja dla ciebie narażałem właśnie życie?

— Co mi tam! Precz, głupcze! Ja zrobiłem oczy...

— A ja wszystkie kółka.

— Ośle ty z twoimi kółkami! Puszczaj, ty psi zegarmistrzu!

— Dam ja tobie!

— Masz!

— Puścisz? Czy nie puścisz?

Nathanael z najmocniejszym przerażeniem poznał głos Koppeliusa. Pchnięty niepojętą trwogą rzucił się na górę, ale zaledwie stanął na progu, nogi się pod nim zachwiały.

Spallanzani trzymał jakąś kobietę za ramiona, Coppola za nogi i z największą zawziętością wydzierali ją sobie, ciągnąc każdy w swoją stronę. Walka

Nathanael zdrętwiał ze zgrozy, poznawszy w tej kobiecie Olympię. Wściekły z boleści, już się miał rzucić wydrzeć ją oprawcom, kiedy nagle Coppola tak okrutnie chwycił ją w rękach ojca, że ten zmuszony był puścić ofiarę. Jednocześnie tak silnie ciałem jej uderzył go w piersi, że ten padł na wznak w jeden kąt pokoju, gdzie pełno stało retort, flaszek, alembików[206] i rozmaitych naczyń szklanych, co wszystko razem rozbiło się w najdrobniejsze szczątki z niesłychanym łoskotem.

Wtedy Coppola, przerzuciwszy sobie Olympię przez plecy, zaczął schodzić, pękając Maszyna

[206] *alembik* — dawne naczynie laboratoryjne w kształcie zbiornika z długą szyjką. [przypis edytorski]

ze śmiechu; drewniane nogi wisiały mu z tyłu, obijając się po schodach, w miarę jak się oddalał.

Nathanael pozostał przykuty do miejsca. Okazało się, że w twarzy Olympii w miejscach, gdzie były oczy, widział tylko czarne wgłębienia. Oko

Spallanzani wił się po posadzce. Odłamki szkła powłaziły mu w głowę i w piersi, poprzecinały żyły w rękach, krew tryskała z ran, jakby ze źródeł. Nagle zerwał się na nogi:

— Trzymaj go! Leć! Jeszcze tu jesteś? Koppelius, przeklęty łotr! Taki pyszny automat! Ukradł go, strawiłem nad nim najlepsze dwadzieścia lat życia, włożyłem w to cały majątek, więcej niż życie! Cały mechanizm, mowa, chód, wszystko mojego pomysłu. Oczy tylko, jedne tylko oczy jego! Och! Zbrodniarz! Och! Potępieniec. Łap go! Biegnij! Leć! Przecież to Olympia, oto jej oczy.

Nathanael wtedy dopiero spostrzegł na posadzce parę zakrwawionych oczu, które w niego bystro patrzyły. Porwał je Spallanzani i rzucił mu na piersi. Wtedy szaleństwo porwało Nathanaela w płomieniste swoje szpony i całkowicie zakręciło mu w głowie. Szaleństwo, Szaleniec

— Hej! Hej! Dalejże! Dalej! Płomieniste koło, kręć się! Wiruj! Grzmij! Gwijunun! Gwijunun! Tańcuj, lalko z drewna, dobrze, dobrze, prędzej. Kręć się! Leć! Gwijunun...

I po tych słowach rzucił się do Spallanzaniego, chwytając go za gardło. Byłby go zdusił, szczęściem nadbiegli na ratunek przechodzący ulicą studenci.

Zygmunt, chociaż bardzo silny, nie był w stanie sam utrzymać szaleńca. Ten walił pięściami, gdzie się zdarzyło, kopał i wrzeszczał wniebogłosy:

— Kręć się, lalko z drewna! Kręć się! Wiruj! Grzmij!

Wreszcie połączonymi siłami zdołano go powalić na ziemię i związać. Już tylko ryczał wściekle i pienił się jak opętany. W tym smutnym stanie zawieziono go do domu obłąkanych.

VIII.

Spallanzani wkrótce wyleczył się z ran swoich; niemniej przecież zmuszony był opuścić Getyngę, nie tylko z powodu wypadku Nathanaela, ale i skutkiem powszechnego oburzenia. Kiedy się bowiem przekonano, że kobieta, w której się ukradkiem kochali studenci, której niejedna panna zazdrościła powodzenia, którą tak żarliwie obgadywały dewotki, była tylko bezdusznym automatem, każdy uważać się począł za haniebnie oszukanego. Znalazło się zaraz wielu takich, którzy od dawna mówili (nie wiadomo tylko, komu?), że w tym wszystkim jest coś podejrzanego. Inni znowu zaraz od pierwszego razu dorozumieli się rzeczy, których nawet nie było. Ogólnie zaś zauważono, że piękna Olympia częściej kichała niż potrzeba, nie widziano zaś, żeby kiedy ziewnęła w nudnym towarzystwie. Kichanie mogło pochodzić z zakatarzenia flecików od śpiewu. Słyszano także, jak w niej coś chrupało, były to zapewne kółka nie dość starannie wysmarowane itp., koniec końcem, historia owego automatu głęboko wrosła ludziom w serce, a nawet wywołała niemało nieufności. Młodzi ludzie, z obawy, czy się nie kochają w lalkach z drewna, wymagali od panien, żeby ile możności śpiewały i tańczyły bez taktu, żeby robiły pończochę lub haftowały, podczas kiedy im coś czytano, lub przynajmniej bawiły się psem lub kotem, ale nade wszystko, żeby nie słuchały wszystkiego obojętnie, ale odpowiadały coś takiego, co by przecież dowiodło, że umieją czuć i myśleć. Tym sposobem wzmocnił się niejeden stosunek miłosny, inne znowu powoli się rozchwiały. Maszyna, Obyczaje, Grzeczność

— Doprawdy, niepodobna być dość ostrożnym — powiadano.

Na rautach i amatorskich koncertach w ogóle ziewano wiele, o ile możności mało kichano, jedynie dla usunięcia wszelkich podejrzeń, ubliżających naturze ludzkiej.

Spallanzani tedy, jak żeśmy to wyżej powiedzieli, zmuszony został opuścić miasto i bardzo słusznie; poważył się bowiem zdradziecko wprowadzić lalkę w dobre towarzystwo.

Co do Coppoli, ten znikł bez śladu.

Dnia pewnego, Nathanael zbudził się jakby ze snu straszliwego. Otworzywszy oczy, uczuł rozkosz niewymowną i słodkie jakieś ciepło przebiegło wszystkie jego członki. Znalazł się na łóżku w domu swej matki. Klara stała pochylona nad nim, opodal siedziała matka i Lotar.

— Och! Przecież! Przecież! Znowu mi przywrócony jesteś, jakże Bóg dobry! Już cię odtąd nie puszczę od siebie ani na chwilę, aż do śmierci! — mówiła Klara w łzawym uniesieniu.

Mówiąc to, otoczyła go białymi ramionami. On się rozpłakał łzami boleści i szczęścia.

— Klaro! Dobra moja! Jedyna moja Klaro! — wyjąkał.

W tejże chwili nadszedł Zygmunt, który go był sam zawiózł do domu. Nathanael wyciągnął do niego rękę.

— Drogi przyjacielu — rzekł mu — i tyś mnie nie opuścił.

Szaleństwo odeszło go było bezpowrotnie. Wkrótce, dzięki tkliwym staraniom matki, ukochanej i przyjaciół, całkowicie wróciły mu stargane silnymi wzruszeniami siły.

Jednocześnie powodzenie zdawało się wchodzić w dom wdowy. Umarł bez testamentu wuj jakiś, stary skąpiec, od którego nikt nigdy nic nie wyczekiwał, i dostał im się, oprócz znacznych kapitałów, jeszcze i majątek ziemski w pobliżu stołecznego miasta. Nathanael, mając wkrótce zaślubić Klarę, postanowił osiąść tam i wziąć do siebie matkę i Lotara. Stał się łagodny jak nigdy i po raz pierwszy w życiu poczuł się całkowicie szczęśliwy, poznawszy teraz dopiero: ile to nieba mieściło się w anielskiej duszy jego Klary. Prawda też, że nikt mu nigdy nie wspomniał o przeszłości. Zdawało się nawet, że sam od dawna zapomniał o wszystkim. Jednak raz przy odjeździe Zygmunta odezwał się niespodziewanie:

— Doprawdy Zygmuncie, gdzieś mi się już była zapodziała piąta klepka. Szczęściem na czas nadszedł anioł i nie dał mnie opętaniu: była to Klara.

Zygmunt zagadał jakoś tę drażliwą kwestię i na tym się skończyło.

Już wyjeżdżali do swojej posiadłości, kiedy wypadło jeszcze porobić niektóre sprawunki. Było południe, ogromna wieża ratuszowa pokrywała swoim cieniem cały rynek, pełen zgiełku.

— Wiesz co, Nathanaelu, — rzekła Klara — wejdźmy sobie na wieżę. Śliczny musi być stamtąd widok na dalekie góry.

Nathanael z chęcią przyjął ten wniosek. Matka odeszła ze służącą do domu, a Lotar przyrzekł czekać na dole.

Narzeczeni, trzymając się pod ręce, stali sobie na najwyższym ganku wieży i przyglądali się przecudnej panoramie lasów dalekich, poza którymi piętrzyły się jeszcze błękitne góry, podobne do miasta olbrzymów.

— Patrz, Nathanaelu — rzekła Klara — czy widzisz tam ten krzak szarawy, który zdaje zbliżać się coraz więcej?

Nathanael sięgnął ręką do kieszeni i, wyjąwszy lornetkę Coppoli, przyłożył ją sobie do oczu. O nieba! Ujrzał przed sobą postać Olympii!

Krew mu zbiegła do serca. Blady jak śmierć spojrzał osłupiałym wzrokiem w twarz Klary, z oczu sypnęły mu się płomienie i ryknął jak zwierz zewsząd osaczony. Nagle wyskoczył w górę i śmiejąc się śmiechem potępieńca, zaczął wołać głosem przenikliwym:

— Kręć się, lalko z drewna! Kręć się! Tańcuj, grzmij!

I porwawszy wpół Klarę, chciał ją zrzucić na dół, ale ona w rozpaczy wszystkimi siłami uczepiła się poręczy.

Lotar, usłyszawszy wycie szaleńca i krzyki Klary, bez namysłu rzucił się na schody wieży. Na drugim piętrze znalazł drzwi zamknięte, podsadził je i wyleciały z zawiasami.

— Ratunku! Ratunku!? — wołała Klara coraz słabszym głosem.

Szaleństwo, Samobójstwo

Lotar przelatywał po dziesięć schodów na raz. Drzwi wychodzące na ganek znalazł również zamknięte. Rozpacz dodała mu sił olbrzymich. Drzwi zgrzytnęły tylko i puściły, wywalając się z trzaskiem. Już też i czas był wielki, Klara bowiem przerzucona przez balustradę wisiała w powietrzu, trzymając się już tylko jedną ręką. W oka mgnieniu porwał ją Lotar, wciągnął z powrotem i w tejże chwili dał tak silny raz pięścią w twarz szaleńca, że ten, rażony jak gromem, natychmiast puścił swą ofiarę.

Podczas kiedy Lotar zbiegał ze schodów, unosząc zemdloną siostrę, Nathanael jak opętany latał wokoło galerii, robiąc skoki najdziwniejsze i wrzeszcząc wniebogłosy:

— Kręć się płomieniste koło, hej ha! Hopsasa! Gwijunun!

Mnóstwo ludzi zbiegło się na rynek, nie wiedząc, co to wszystko znaczy. Pośród nich zauważono niejakiego Koppeliusa, adwokata świeżo przybyłego do miasta. Chciano biec na ratunek szaleńcowi, ale adwokat rzekł z uśmiechem:

— Ech, nie róbcie tego; zaczekajcie tylko cierpliwie, a on sam tu do nas zejdzie.

I patrzał w górę tak, jak i drudzy.

Nagle Nathanael zatrzymał się jakby wryty, przechylił się ponad poręczą i z wzrokiem utkwionym w Koppeliusa:

— Oczy, oczy! Prześliczne, cudowne oczy! — zawołał rozdzierającym głosem, i rzucił się w powietrze. Ale zanim jeszcze zdążył głowę sobie o bruk roztrzaskać, już Koppeliusa nie było.

IX.

W lat kilka po tej smutnej katastrofie, daleko gdzieś, daleko, widziano Klarę, siedzącą na ganku pięknego miejskiego dworku. Stał przy niej piękny mężczyzna, patrząc na nią z miłością. U nóg jej igrało śliczne dziecię, drugie trzymała na kolanach. Tak więc, jak się zdaje, słodka i wesoła Klara znalazła nareszcie ciche szczęście domowe, którego jej niespokojny duch Nathanaela dać nie zdołał.

Skrzypce z Cremony (Radca Crespel)

I

Prawnik

Radca Crespel jest jednym z największych dziwaków, jakich znałem. Gdy przybyłem do H., aby tam jakiś czas przepędzić, o niczym innym nie mówiono, tylko o nim; był on wtedy w największym rozkwicie swej oryginalności. Crespel zdobył sobie wielkie imię jako prawnik i dyplomata. Pewien dość potężny książę niemiecki zwrócił się do niego, aby mu zredagował memoriał przeznaczony dla dworu cesarskiego w sprawie terytorium, do którego miał rzekomo uprawnione pretensje. Memoriał powiódł mu się doskonale, a ponieważ Crespel żalił się pewnego razu, że nie mógł znaleźć wygodnego mieszkania,

Dom

książę, tytułem nagrody za jego pracę, zobowiązał się na swój koszt kazać mu wystawić dom, jaki radca chciał zbudować według własnego pomysłu. Książę ofiarował mu nawet wybór terenu. Ale Crespel nie chciał wcale przyjąć — i zażądał, aby dom jego zbudowano w bardzo malowniczym ogrodzie, który posiadał pod miastem.

Od tej chwili gromadził i zwoził materiał budowlany. Przybrany w kostium, który kazał sobie zrobić według swoich własnych osobistych przepisów, cały dzień miesił[207] wapno, rozczyniał balk, tj. mieszaninę wapna z piaskiem, budował mury. Nie zwrócił się do żadnego z architektów i nie miał żadnego planu. Pewnego ranka jednak, wynalazł sobie jakiegoś poczciwca majstra mularskiego z H. i prosił go, by ten nazajutrz przyszedł do jego ogrodu z pewną liczbą robotników dla budowy domu. Majster oczywiście zapytał, jaki plan miałby być nakreślony i był niemało zdziwiony, gdy Crespel mu odpowiedział, że dla wykończenia budowy zupełnie tego mu nie potrzeba. Nazajutrz majster przyszedł na oznaczone miejsce ze wszystkimi ludźmi — i widzi rów tworzący czworobok prawidłowy.

— Oto — rzecze Crespel — gdzie chcę pomieścić fundamenty domu; na koniec poproszę was, budujcie cztery mury póty, póki wam nie powiem: dosyć!

— Jak to? bez okien, bez drzwi, bez ścian poprzecznych? — zawołał mularz[208], prawie przerażony dziwactwem Crespela.

— Tak, właśnie jak wam mówię, mój zacny człowieku — spokojnie odpowiedział radca — a reszta sama się ułoży.

Jedynie obietnica szczodrej zapłaty mogła sprawić, że mularz zdecydował się przystać[209] na tę szaloną konstrukcję, ale nigdy też żadnego gmachu nie budowano tak wesoło.

[207] *miesić* (daw.) — ugniatać, mieszać, wyrabiać substancję o konsystencji ciasta. [przypis edytorski]
[208] *mularz* (daw.) — murarz. [przypis edytorski]
[209] *przystać na coś* — zgodzić się, pozwolić na coś. [przypis edytorski]

Mury urastały wśród śmiechu robotników, którzy nie opuszczali prawie ogrodu Crespela, gdyż ten dawał jeść i pić obficie.

Pewnego dnia Crespel zawołał: „Stój!" Natychmiast kielnie[210] i młoty zamilkły; robotnicy zeszli z rusztowania i otoczyli Crespela, a każdy zdawał się go pytać:

— Cóż teraz będziemy robili?

— Miejsca! — zawołał Crespel.

Pobiegł na jeden koniec ogrodu, wrócił powoli ku swemu czworobokowi ścian, potrząsnął głową, ruszył na drugi koniec, jeszcze raz powrócił — i kilkakrotnie powtórzył ten bieg, aż w końcu uderzył głową o ścianę i zawołał:

— Przybywajcie, przybywajcie i zróbcie mi tu drzwi.

Określił szerokość i wysokość, a rozkaz jego natychmiast był wykonany. — Skoro drzwi przebito, wszedł do środka, i uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy majster mu powiedział, że ten budynek ma ściśle wysokość domu dwupiętrowego. Crespel przechadzał się wzdłuż i wszerz po podwórzu między murami, a za nim szli mularze z młotkami i motykami w ręku i gdy tylko krzyknął:

— Tu okno sześć stóp wysokie, cztery stopy szerokie! Tam okienko — natychmiast je otwierano.

Przybyłem do H. właśnie w czasie tej roboty i zabawnie było oglądać setki ludzi, którzy się gromadzili dokoła ogrodu i wydawali okrzyki radości na widok padających cegieł lub na widok okna, ukazującego się niespodzianie tam, gdzie tego nikt nie przewidywał. Reszta konstrukcji domu i inne prace konieczne wykonano w ten sam sposób, według nagłych postanowień Crespela. Szczególność tego przedsięwzięcia, zdziwienie, jakiego doznano, widząc, że ostatecznie dom był o wiele lepszy niż oczekiwano, szczodrość Crespela — wszystko to podtrzymywało wesołość robotników. Trudności, jakie przedstawiał ten szczególny sposób budowy były zwyciężone — i w niedługim czasie ukazał się dom, którego postać zewnętrzna była nadzwyczaj śmieszna, gdyż żadne okno nie było podobne do drugiego; ale wewnątrz — rozkład pokojów bardzo wygodny i urządzenie było szczególnie przyjemne. Wszyscy ci, którzy dom oglądali, byli w zgodzie co do tego i ja też stanąłem po stronie tej opinii, gdy mnie Crespel do swego domu wprowadził.

II

Uczta, Dom, Pozycja społeczna

Nie miałem jeszcze sposobności rozmawiać z tym dziwakiem; budowa tak go absorbowała, że nie przyszedł we wtorek, jak to było w jego zwyczaju, obiadować u profesora M. i nawet kazał mu powiedzieć, że nie opuści swego domu, póki nowego mieszkania nie poświęci. Wszyscy jego przyjaciele i znajomi sądzili, że Crespel tego dnia urządzi wspaniałą ucztę; tymczasem zaprosił tylko mularzy, majstrów, czeladników i uczniów, którzy pracowali w jego domu — i zastawił im stół najdelikatniejszym jadłem. Mularze połykali do woli pasztety z dziczyzny; stolarze smakowali z zadowoleniem złote bażanty, a głodni robotnicy rozkoszowali się ptactwem na truflach. Wieczorem przyszły ich żony i córki i był wielki bal. Crespel tańczył walca z żonami majstrów; po czym wszedłszy do orkiestry, wziął skrzypce i aż do samego rana przygrywał do tańca.

Następnego wtorku, ku swej wielkiej radości, spotkałem radcę u profesora M. Nic osobliwszego nad jego zachowanie: był on bardzo nerwowy a ruchy miał tak gwałtowne, że co chwila można się było lękać, czy ten człowiek się nie zrani lub czy nie połamie jakiego mebla. Ale nic takiego mu się nie zdarzyło, a pani domu, która go znała lepiej niż ja, bez trwogi się przyglądała, jak wielkimi krokami szybko krążył dokoła stołu, ozdobionego piękną porcelaną, jak stawał przed wielkim zwierciadłem lub brał do ręki jakąś subtelnie malowaną wazę, aby podziwiać jej barwy. Crespel badał szczegółowo przed obiadem wszystko, co się znajdowało w pokoju profesora; wlazł nawet na krzesło, aby zdjąć obraz ze ściany, po czym go z powrotem zawiesił. Mówił wiele i żywo, przeskakując od przedmiotu do przedmiotu; po czym przyczepiał się do jakiejś myśli i wracał do niej tysiącem nawrotów, tysiącem szczególnych sposobów, gubiąc się sam w swoich odskokach, aż na koniec inna myśl nim owładnęła. Głos jego był już to surowy i gwałtowny, już to żałosny i stopniowany, a zawsze w niezgodzie z mową. Mówiono o muzyce i chwalono bardzo nowego kompozytora. Crespel zaczął się śmiać i zawołał tonem jakby

[210] *kielnia* — narzędzie pomocne przy murowaniu i tynkowaniu. [przypis edytorski]

psalmodii[211]: „Chciałbym, aby go szatan na czarnych skrzydłach porwał na dziesięć tysięcy milionów łokci, w głąb otchłani bezdennej, aby porwał — tego przeklętego układacza nut!"

Po czym dodał głosem twardym i rozdrażnionym:

— Ona... to anioł niebiański... to akord czysty, to harmonia boska, światło i gwiazda śpiewu...

Trzeba było sobie przypomnieć, że godzinę temu mówiliśmy o sławnej śpiewaczce.

Podano pieczeń zającą; zauważyłem, że Crespel starannie odkładał kości z boku na swym talerzu i poprosił o nogę zwierzęcia, którą mu z uśmiechem przyniosła córeczka profesora.

W czasie obiadu dzieci bardzo przyjaznym okiem spoglądały na radcę. W chwilę potem zbliżyły się do niego z szacunkiem i zatrzymały się na parę kroków przed nim. Radca wyjął z kieszeni mały stalowy przyrząd pilniczy — i umieścił go na stole; wówczas zgromadzone kości brał po kolei — zaczął z nich robić — z nadzwyczajną zręcznością — małe pudełka, kulki, kręgle i inne zabawki, które dzieci przyjmowały z zachwytem. Po obiedzie, siostrzenica profesora rzekła do Crespela:

— Drogi radco, cóż słychać u naszej Antonii?

Crespel skrzywił się okropnie, i z jakimś ohydnym, prawdziwie diabelskim uśmiechem rzekł głosem powolnym, miarowym, niemiłym:

— Nasza dobra Antonia!

Profesor pospiesznie się zbliżył i rzucił surowe spojrzenie na siostrzenicę, mówiąc w ten sposób, że dotknęła struny, niemile się odzywającej w sercu Crespela.

— Jakże miewają się skrzypce pana dobrodzieja? — rzekł profesor swobodnie, biorąc za ręce konsyliarza[212].

Twarz Crespela zajaśniała natychmiast i energicznym głosem powiedział:

— Cudownie! dziś zacząłem rozbierać na kawałki te doskonałe skrzypce Amatiego, o których panu mówiłem, a które szczęśliwym trafem wpadły w moje ręce. Mam nadzieję, że Antonia ostatecznie rozłoży je bardzo starannie.

— Antonia to dobra dziewczyna — rzekł profesor.

— Tak, niewątpliwie — odrzekł radca, odwróciwszy się nagle — i skoczył ku drzwiom.

Widziałem w lustrze, że łzy świeciły mu w oczach.

Skoro tylko wyszedł, prosiłem profesora, aby mię objaśnił, jaki jest stosunek między radcą, skrzypcami a Antonią. Muzyka

— Ach — odparł radca — to człowiek osobliwy i robi skrzypce w sposób nader szczególny i zabawny.

— Robi skrzypce?

— Tak jest. I jak mówią znawcy, są to skrzypce najdoskonalsze, jakie można teraz znaleźć. Niegdyś, gdy mu się udało zrobić skrzypce według swego smaku, obiecywał czasami przyjaciołom, że pozwoli im spróbować gry na tym instrumencie; teraz jednak ani myśleć o tym. Gdy wykończył skrzypce, gra na nich sam, godzinę lub dwie, z siłą nadzwyczajną i porywającą; potem zawiesza je obok drugich i nigdy więcej ich nie dotyka i nie pozwala, aby ich dotknięto. Jeżeli są skrzypce jakiego starego mistrza na sprzedaż, Crespel je kupuje za jaką bądź cenę; ale gra na nich tylko jeden raz: po czym je rozbiera, aby poznać ich budowę wewnętrzną — i jeżeli nie znajduje w nich tego, co sobie wyobraził — rzuca różne kawałki do wielkiej skrzyni, już pełnej podobnych szczątków.

— Ale Antonia? — zapytałem żywo.

— Jest to kwestia — rzekł profesor — która by mi kazała czuć wstręt do radcy, gdybym nie był przekonany, znając dobroć jego charakteru, że w tym stosunku kryje się jakaś okoliczność tajemnicza i nieznana. Gdy radca przybył kilka lat temu, aby się osiedlić w naszym mieście, żył samotnie ze starą gospodynią w ubogim domu; wkrótce dziwactwa jego obudziły ciekawość sąsiadów — i skoro tylko to dostrzegł, zaczął szukać znajomości i znalazł je bez trudu. We wszystkich rodzinach, jak w mojej, przyzwyczajono się do niego tak, że wkrótce stał się nieodzowny. Dzieci go pokochały mimo jego surowej miny — i lękały się go znużyć. Widział pan dzisiaj sam, jak to on umie zdobyć sobie

[211] *psalmodia* — śpiewanie i intonowanie psalmów. [przypis edytorski]

[212] *konsyliarz* (daw.) — lekarz, doradca. [przypis edytorski]

ich przyjaźń za pomocą dowcipnych wyrobów. Sądziliśmy, że jest nieżonaty — i on też nigdy nie zaprzeczył tej opinii. Przebywszy jakiś czas między nami, odjechał nagle; nikt nie wiedział, dokąd się udał, a powrócił w kilka miesięcy potem.

Nazajutrz po jego powrocie okna w jego domu były rzęsiście oświetlone. Ta nadzwyczajna jasność zwróciła uwagę sąsiadów. Wkrótce usłyszano cudowny głos, głos kobiety, z towarzyszeniem fortepianu. Potem zabrzmiały akordy skrzypiec, które współzawodniczyły z głosem ludzkim pod względem energii i giętkości. Natychmiast poznano smyczek radcy. Zmieszałem się z tłumem widzów, których ta dziwna scena zgromadziła przed ogrodem — i wyznaję, że wobec tego nieznanego głosu, wobec tych tonów, co tak żywo przenikały mą duszę, śpiew najsławniejszych śpiewaczek, jakie słyszałem kiedykolwiek, zdawał mi się mdły i bez wyrazu. Nigdy nie miałem pojęcia o tonach tak długo wytrzymanych, o tych trylach słowiczych, o tych nutach przezroczystych, które czasem urastały aż do grzmotu organów lub opadały do najcichszego szmeru. Wszyscy słuchacze byli pod czarem tych melodii i, gdy śpiewaczka milkła, wszyscy ledwie oddychali w głębokim milczeniu. Było koło północy, gdyśmy usłyszeli naraz głos pana radcy, który mówił żywo i głośno. Drugi głos męski zdawał się czynić mu wyrzuty, a nadto, słyszano przerywany, rozżalony głos młodej kobiety. Radca krzyczał coraz głośniej, aż na koniec przybrał ton śpiewny, który pan już poznał. Przenikliwy krzyk młodej dziewczyny przerwał tę rozmowę, po czym wszystko zapadło w milczenie grobowe. Wówczas ukazał się młody człowiek, który, łkając, wybiegł z domu, rzucił się w wóz pocztowy, co go oczekiwał — i oddalił się pospiesznie. Śpiew

Nazajutrz radca miał minę bardzo wesołą, a nikt nie zdobył się na odwagę, by go zapytać o zdarzenia nocy poprzedniej. Służąca opowiadała tylko, że radca sprowadził ze sobą młodą pannę nadzwyczajnej piękności; miała na imię Antonia i śpiewała cudownie. Przybył z nią młodzieniec, który, zdaje się, czuł dla niej głęboki sentyment—i mógł być jej narzeczonym; ale radca go zmusił do rychłego odjazdu.

Stosunek radcy do Antonii — mówił dalej profesor — jest aż do dziś osnuty głęboką tajemnicą. Ale rzeczą jest pewną, że Crespel wobec tej biednej dziewczyny uprawia straszliwą tyranię; ukrywa ją, jak doktor Bartolo[213] krył swą wychowankę. Zaledwie jej pozwoli wyjrzeć przez okno. Jeżeli, ulegając ciągłym nagabywaniom, wprowadza ją do jakiego salonu, nieustannie ją śledzi argusowym[214] okiem i nie znosi, aby wobec niej zagrano najmniejszy akord muzyczny, a tym bardziej nie dopuści, aby śpiewała. Nie może też śpiewać w swoim domu, a melodie, jakie słyszeliśmy owej nocy pamiętnej, a których całe miasto nigdy nie zapomni, pozostały wśród słuchaczów jako cudowna tradycja; i ci nawet, którzy nie byli na tym koncercie, mówią, gdy jaka śpiewaczka u nas wystąpi: „Wszystko to nic. Tylko Antonia umie śpiewać".

III

Rzeczy fantastyczne mają dla mnie urok niesłychany. Chciałem zapoznać się z Antonią. Znałem już z zachwytu publiczności — czar jej głosu. Sądziłem jednak, że ta młoda osoba była w tym mieście uwięziona pod władzą dziwacznego Crespela. Następnej nocy — w marzeniach sennych słyszałem idealny śpiew Antonii; zdawało mi się, że w jakimś adagio[215], które sam skomponowałem, błagała mnie, abym ją ocalił — i postanowiłem wejść do domu Crespela, przeniknąć, jak drugi Astolf, do zamku Alcydy — i z haniebnych więzów uwolnić królową pieśni. Wszystko odbyło się wcale inaczej, niż sobie wyobrażałem. Zaledwie widziałem radcę dwa — trzy razy i mówiłem mu z zapałem o najlepszej budowie skrzypiec, gdy ten prosił mnie, bym go w domu odwiedził. Udałem się do niego, on zaś pokazał mi swoje skarby. Ujrzałem koło trzydzieści skrzypiec zawieszonych szeregiem koło siebie w jego gabinecie — i wyróżniłem jedne z nich, godne uwagi z oznak

[213] *doktor Bartolo* — postać ze sztuki Pierre'a Beaumarchais (1732–1799) *Cyrulik sewilski*, będącej kanwą dla librett oper Giovanniego Paisella oraz Gioacchina Rossiniego (sławniejszej wersji z 1816 r.). Pilnie strzeżoną i więzioną w domu wychowanką doktora Bartola jest Rozyna, której pomaga w romansie Figaro, tytułowy cyrulik (pełniący funkcje golibrody, fryzjera i inne). [przypis edytorski]

[214] *argusowy* — czujny, wszechwidzący; od imienia Argusa, stuokiego olbrzyma, strażnika na usługach Hery w mit. gr. [przypis edytorski]

[215] *adagio* (wł. wolno) — wolne tempo w muzyce. [przypis edytorski]

swej starożytności i urzeźbień. Skrzypce te wisiały wyżej niż inne — i miały u wierzchołka wieniec z kwiatów, niby król tych wszystkich instrumentów.

— Skrzypce te — rzekł mi Crespel — są doskonałym dziełem nieznanego mistrza, który żył zapewne za czasów Tartoniego. Przekonany jestem, że w ich strukturze wewnętrznej tkwi jakaś szczególna kombinacja i że, gdy je rozbiorę — znajdę w nich tajemnicę, której szukam od dawna. Śmiej się pan, jeśli zechcesz, ale ten nieżywy instrument, któremu ja daję życie i wyraz — przemawia do mnie często cudownym językiem, a gdym grał na nim po raz pierwszy, zdawało mi się, że jestem magnetyzerem, który pobudza lunatyczkę, aby mu wyjawiła swe utajone wrażenia. Niech pan nie sądzi, że jestem dziwak, który pozwala się opanować fantazjom tego rodzaju; jest to jednak rzecz osobliwa: nie miałem nigdy tyle odwagi, by rozebrać tę niemą maszynę. Zresztą obecnie jestem zadowolony, że uszanowałem te skrzypce, gdyż odkąd tu jest Antonia, gram na nich niekiedy wobec niej. Antonia słucha z przyjemnością, z nazbyt wielką przyjemnością.

Radca wygłosił te słowa ze wzruszeniem, które mnie ośmieliło tak, że powiedziałem:

— O, drogi panie, czy nie zechciał by pan zagrać przy mnie?

Twarz jego przybrała natychmiast wyraz niezadowolenia — i głosem powolnym a śpiewnym rzekł mi:

— Nie, mój miły studencie!

I na tym się skończyło.

Pokazawszy mi dalej bardzo wiele osobliwości, z których niejedna była czystym dziecińśtwem — wziął małą skrzyneczkę i wyciągnął z niej rulonik papieru, który mi włożył w rękę i uroczyście powiedział:

— Jest pan miłośnikiem sztuki, przyjmij ten dar, który powinien ci na zawsze stać się drogocennym.

To mówiąc, lekko popchnął mnie w plecy i ucałował mnie na progu. W istocie rzec można — symbolicznie wyrzucił mnie za drzwi. Gdy otworzyłem rulonik papieru — znalazłem w nim ułomek kwinty[216] na pół cala długości. Nad nutami napisane były te słowa: „Kawałki kwinty, którą znakomity Stamitz wykonał na skrzypcach, w czasie swego ostatniego koncertu".

Po gwałtownej odpowiedzi, jaką mi dał, gdy wymawiał imię Antonii — sądziłem, że już nigdy dziewczyny tej nie ujrzę; ale inaczej się stało. Gdy odwiedziłem radcę po raz drugi — zastałem w jego pokoju Antonię, która składała rozłączone części skrzypiec. Na pierwszy widok Antonia nie robiła wielkiego wrażenia, ale wkrótce nie byłeś w stanie odwrócić spojrzenia od jej oczu błękitnych, od jej ust różowych, od jej twarzy łagodnej i tkliwej. Była bardzo blada, ale z chwilą, gdy rozmowa przybierała charakter dowcipny i ożywiony, policzki jej nabierały rumianej barwy — i czarowny uśmiech błądził po jej ustach.

Rozmawiałem z Antonią bez przymusu i nie zauważyłem wcale u Crespela tych argusowych oczu, o których mówił mi profesor. Radca zachował usposobienie zwykłe i rzekłbyś nawet podobała mu się moja rozmowa z młodą panną. Często go odwiedzałem — i między nami trojgiem rozwinęła się swoboda i rodzaj serdeczności, która nadawała niemały czar naszym zebraniom. Radca bawił mię wielce swymi osobliwościami. Ale Antonia pociągała mnie ku sobie w sposób nieodparty, i dzięki niej znosiłem wiele rzeczy, których w innym położeniu nie wytrzymałaby moja niecierpliwa natura. Rozmowa radcy była często nudna i w złym smaku, a co mnie zwłaszcza rozżalało przeciw niemu, to ten fakt, że za każdym razem, gdy zaczynało się mówić o muzyce, Crespel zwracał ku mnie twarz wykrzywioną z niezadowolenia, przykro uśmiechniętą — i śpiewnym głosem wypowiadał kilka szczególnych słów, aby odwrócić rozmowę.

Ze smutku, jaki się w takich chwilach objawiał na twarzy Antonii, mogłem sądzić, że radca działał tak jedynie, aby przeszkodzić mi w życzeniu moim słabo utajonym: słyszeć śpiew młodej panny. Nie zrzekłem się mimo to swego projektu: przeszkody, jakie radca stawiał mym pragnieniom, wzmacniały tylko moje postanowienie. Chciałem słyszeć śpiew Antonii, aby się nie zatracić w marzeniach sennych, jakie mi dawało niewyraźne pojęcie o tym śpiewie. Pewnego wieczoru Crespel był w humorze doskonałym. Rozebrał jedne ze skrzypiec z Cremony i odkrył, że tabela harmonii w tych skrzypcach była o pół

[216] *kwinta* — interwał, odległość między dźwiękami. [przypis edytorski]

linii bardziej nachylona niż w innych. Co za cenne odkrycie dla praktyki! Udało mi się ożywić go jeszcze bardziej, wypowiadając zdanie o prawdziwych sposobach gry smyczkowej. Metoda wielkich śpiewaków, starych mistrzów, o których mówił Crespel — stała się dla mnie motywem krytyki nowej metody śpiewu: potępiałem ten śpiew nowoczesny, który się układa według sztucznych efektów instrumentów muzycznych.

— Cóż za niedorzeczność — zawołałem, powstając nagle z krzesła i otwierając szybko fortepian — cóż to za niedorzeczność rozwodzić po jednemu dźwięki po ziemi!

Zaśpiewałem kilka nowych kompozycji, wtrącając w nie złe akordy.

Crespel śmiał się do rozpuku, i wołał:

— Ach, ach! zdaje mi się, że słyszę naszych Niemców zwłoszczonych lub naszych Włochów zniemczonych, śpiewających coś z Pucchitta lub Porto-Gallo albo kawałki jakiegoś maestro de capella[217].

Teraz, sądziłem, nadszedł moment.

— Jestem przekonany — rzekłem zwracając się do Antonii — że pani nie zna tej ohydnej metody.

I zacząłem śpiewać pełną wyrazu, cudowną melodię starego Leonarda Leo.

Twarz Antonii pokryła się świetnym blaskiem; oczy jej zabłysły, żywo poskoczyła[218] do fortepianu i otworzyła usta.

W tej samej chwili Crespel wziął mnie za ramiona i rzekł mi wstrząśniętym głosem:

— Dziecko, dziecko! — po czym mówił dalej miarowo, kłaniając mi się z głębokim szacunkiem — Uchybiłbym niewątpliwie, mój wielce szanowny panie, wszelkim konwenansom i zwyczajom grzeczności, gdybym powiedział głośno, aby cię swymi ognistymi szponami diabeł porwał natychmiast i uniósł na samo dno przepaści. Ale nie idąc tak daleko, przyznasz, mój najmilszy, że noc jest bardzo ciemna i że, ponieważ latarnie są niezapalone, jeżeli nawet nie wyrzucę cię przez okno, zechcesz swoje ciało i kości zdrowo sprowadzić na sam dół klatki schodowej. Weź zatem tę świeczkę, idź w spokoju do domu i pamiętaj o tym, że masz we mnie przyjaciela tkliwego i oddanego, choć już nigdy, rozumiesz, nigdy! nie zobaczysz mnie tu, w moim mieszkaniu.

To rzekłszy, ucałował mnie i powoli skierował ku drzwiom, trzymając mnie w ten sposób, że nie mogłem już ani razu zobaczyć spojrzenia Antonii.

Przyznacie, że na moim miejscu trudno było zwymyślać radcę, choć miałem do tego wielką ochotę. Profesor śmiał się wielce z mej przygody i twierdził, że moje stosunki z radcą skończyły się na zawsze. Antonia była dla mnie istotą zbyt szlachetną i zbyt świętą, abym mógł odgrywać pod jej oknami tęsknotliwe amorosa[219]. Opuściłem miasto H. z sercem rozżalonym i zrozpaczonym; obraz Antonii ukazywał mi się otoczony niby aureolą — a jej śpiew, którego nigdy nie słyszałem, brzmiał w moim sercu, jak pocieszająca muzyka.

IV

Od dwóch lat przebywałem w B. gdy przedsięwziąłem podróż po Niemczech południowych. Pewnego wieczoru — w purpurze zachodzącego słońca — ujrzałem rysujące się wieże H. W miarę przybliżania czułem się opanowany jakimś niewypowiedzianym niepokojem. Miałem niby ciężar wielki na piersi, było mi duszno i zlazłem z powozu, aby oddychać swobodnie. Wkrótce owo przybicie moralne stało się cierpieniem fizycznym; zdawało mi się, że słyszałem w powietrzu dźwięki uroczystego śpiewu. Melodia stała się bardziej wyrazista, rozróżniałem głosy mężczyzn modulujących pieśń kościelną.

— Co się stało? co się stało? — zawołałem z bólem niewymownym.

— Czy pan nie widzi? — odparł pocztylion; kogoś chowają tam na cmentarzu.

Pogrzeb

W istocie, zbliżyliśmy się do cmentarza, i ujrzałem grupę ludzi, ubranych czarno i otaczających rów, który zasypywano. Łzy mi popłynęły z oczu, zdawało mi się, że oto chowają wszystkie me radości i szczęście mego życia. Zestąpiłem w dolinę wzgórza i nie mogłem już widzieć, co się dzieje na cmentarzu. Śpiew ustał i dostrzegłem na drodze ludzi w żałobie, wracających z pogrzebu. Profesor przeszedł koło mnie ze swą siostrzenicą,

[217] *maestro de capella* (z wł. *maestro di capella*) — kapelmistrz. [przypis edytorski]
[218] *poskoczyć* — skocznie podbiec. [przypis edytorski]
[219] *amoroso* (hiszp.) — pieszczotliwie, czule. [przypis edytorski]

ale mnie oboje nie zauważyli. Siostrzenica trzymała chustkę przy oczach i łkała gorąco. Nie mogłem żadną miarą wejść do miasta. Posłałem do gospody swego służącego wraz z powozem i zacząłem krążyć po tych miejscach, które znałem tak dobrze, chcąc w ten sposób przyjść do siebie od wzruszenia, którego źródłem być może było znużenie podróżą albo inna przyczyna. Szedłem teraz aleją, która prowadziła do ogrodu publicznego — i tu byłem świadkiem szczególnego widowiska. Radcę Crespela prowadzili dwaj ludzie w żałobie, ten zaś skakał i wydzierał się im gwałtownie. Nosił jak zwykle swój szary kostium, wykrajany w sposób szczególny; z trójgraniastego kapelusza, marsowo pomieszczonego na głowie, spadała powiewna czarna krepa; na biodrach miał dokoła czarną szarfę — i zawiesił na niej zamiast szpady, smyczek skrzypcowy. Zimny lodowaty dreszcz przeszedł całe moje ciało. Jest obłąkany — mówiłem do siebie — i szedłem za nim powoli. Ci, co nad nim czuwali, odprowadzili go do domu, on zaś całował ich z wybuchami śmiechu. Gdy go pożegnali, Crespel zauważył moją osobę; utkwił we mnie oczy i rzekł mi głosem głuchym:

— Witaj mi, mości studencie! rozumiesz zapewne...

Przy tych słowach, ujął mnie za ramię i wciągnął do swego mieszkania. Tu pokazał mi pokój, w którym rozwieszone były skrzypce; wszystkie były pokryte czarną zasłoną, ale zamiast pięknych skrzypiec z Cremony wisiał wieniec cyprysowy. Zgadłem co się stało. „Antonia, Antonia!" — zawołałem z głęboką boleścią. Radca stał przede mną nieruchomy, założywszy na krzyż ramiona. Wskazałem na wieniec cyprysowy.

— Gdy umarła — rzekł mi uroczyście — smyczek tych skrzypiec pękł gwałtownie, a tabela harmonii rozpadła się na kawałki. Ten wierny instrument mógł żyć tylko z nią i dla niej; leży w grobie wraz z nią pochowany.

Padłem na fotel w żywym wzruszeniu. Radca zaczął głosem zgrzytliwym śpiewać jakąś wesołą śpiewkę. Był to widok straszliwy, gdy starzec skakał na jednej nodze, a krepa, przypięta do jego kapelusza, uderzała o skrzypce rozwieszone na ścianie. Nie mogłem powstrzymać krzyku przerażenia, gdy w szybkim ruchu pana radcy, krepa spadła na moją twarz; zdawało się, że mnie osnuje żałobnym welonem obłędu. Nagle Crespel się zatrzymał i rzekł:

— Dziecko, dziecko! Czemu tak krzyczysz? Czyś ujrzał anioła śmierci? Zawsze się go widzi przed pogrzebem.

Ruszył na środek pokoju, wziął smyczek skrzypcowy zawieszony u pasa, ujął go w obie ręce, położył na głowie i złamał na dwoje; po czym zawołał z wybuchem śmiechu:

— Teraz laseczka złamała się na mnie! Czyż nie jestem wolny? Wolny! Chwała wolności! Już nie będę robił skrzypiec... brawo! już nie będę robił skrzypiec!

I na nowo zaczął śpiewać w sposób jeszcze okropniejszy jakąś figlarną melodię, znowu biegając i skacząc na jednej nodze. Przerażony tą sceną chciałem uciec; zatrzymał mnie silną ręką — i spokojnie mi powiedział:

— Zostań, panie studencie. Nie uważaj za szaleństwo tych wyskoków boleści, która mnie zabija. Wszystko to się stało dlatego, że sobie ostatnio kazałem zrobić szlafrok, nadający mi pozór Przeznaczenia lub Boga.

Wezwałem jego starą gospodynię i byłem zadowolony, że na koniec mogę wyjść. Nie wątpiłem, że Crespel ma pomieszanie zmysłów; profesor jednak był przeciwnego zdania.

— Są ludzie — mówił — co to im natura lub jakieś szczególne zdarzenie zdziera zasłonę, pod którą my zazwyczaj popełniamy różne szaleństwa w sposób niepostrzeżony. Są oni, rzekłbyś, jak te owady, w skórze przezroczystej, poprzez którą dostrzec można grę ich muskułów. Wszystko, co u nas jest w stanie myśli, u Crespela wyraża się czynem. Jego kurcze, jego dziwadlane tańce — malują gorzką ironię losu, który często igrał z nim na tym świecie; ale w tym jest jego zbawienie. Co pochodzi z ziemi, odda on ziemi. Co idzie z nieba, to potrafi zachować — i, mimo tego wstrząsającego obłąkania, nie utracił poczucia samego siebie. Nagła śmierć Antonii przygnębiła go niezmiernie. Jednakże pewien jestem, że od jutra wróci do swych nawyków.

W istocie wszystko się stało mniej więcej tak, jak przewidział profesor. Radca ukazał się znów nazajutrz takim, jakim był niegdyś. Oświadczył jedynie, że już nie będzie robił skrzypiec i nie będzie grał na tym instrumencie: jakoż istotnie dotrzymał słowa.

V

Słowa profesora dodały jeszcze mocy podejrzeniom, jakie miałem co do stosunku radcy do Antonii. Sądziłem nawet, że śmierć Antonii ciążyć musi surowo na sumieniu Crespela. Nie chciałem opuścić H. zanim go nie złamię wyrzutami w sprawie zbrodni, jaką moim zdaniem popełnił. Chciałem nim do głębi serca wstrząsnąć i zmusić go, aby mi się przyznał do swego straszliwego postępku. Im bardziej o tej sprawie myślałem, tym oczywistszym było dla mnie, że Crespel był zbrodniarzem — i mowa, z którą miałem się zwrócić do niego, przybierała coraz bardziej koloryt gorący i gwałtowny. Ostatecznie było to prawdziwe arcydzieło retoryki.

Tak przygotowawszy swą orację, którą mi rozpaliła wyobraźnia, pobiegłem do Crespela: zastałem go w chwili, gdy z twarzą spokojną i uśmiechniętą, strugał różne zabawki dziecinne.

— Jak to? — zawołałem oburzony — jak może pan przez chwilę mieć duszę spokojną, gdy myśl ohydnego czynu powinna by pana dręczyć bez litości.

Spojrzał na mnie z podziwem i złożył na boku swe pilniki.

— Co chcesz powiedzieć, mój dobry przyjacielu? — zapytał — proszę cię, zechciej usiąść.

Zapalałem się coraz bardziej; oskarżyłem go, że spowodował śmierć Antonii i groziłem mu pomstą niebieską. Pełny jeszcze dumy ze świeżo uzyskanej godności jurysty[220], zacząłem go nawet zapewniać, że poruszę wszystkie sprężyny, aby odkryć ślady przestępstwa i oddać go w ręce sprawiedliwości.

Czułem się jednak szczególnie zakłopotany, gdy po ukończeniu mej pompatycznej oracji, szanowny radca spoglądał na mnie bez najmniejszego niepokoju, jakby oczekując dalszego ciągu mego przemówienia. Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale wszystko co wyrażałem, zdawało mi się niewłaściwe i mętne tak, że nie śmiałem już dalej mówić. Crespel bawił się moim zakłopotaniem; ironiczny, złośliwy uśmiech błądził po jego twarzy. Wkrótce jednak przybrał minę poważną i rzekł mi imponująco:

— Młodzieńcze, możesz mnie uważać za wariata, za oryginała, przebaczam ci, gdyż obaj jesteśmy zamknięci w domu obłąkanych i gniewasz się na mnie za to, że ja sądzę się być Bogiem Ojcem, ty zaś uważasz się za Boga Syna. Ale jakże ośmielasz się przeniknąć w tajemnicze nici żywota, który powinien ci być obojętny? Antonina już nie żyje, tajemnica ustała...

Podniósł się, zaczął chodzić po pokoju wzdłuż, i wszerz; utkwił we mnie spojrzenie, wziął mnie za rękę, poprowadził mnie do okna, otwarłszy jego dwie połowice. Oparł się o kamień balkonu, oczy skierowawszy na ogród i opowiedział mi historię swego życia. Gdy skończył, pożegnałem go wzruszony i zawstydzony.

Oto w kilku słowach historia Antonii.

Na jakie dwadzieścia lat przed okresem, o którym tu opowiadam, radca udał się do Włoch, pragnąc odnaleźć najlepsze skrzypce dawnych mistrzów. Nie zbudował jeszcze żadnego z tych instrumentów i nie myślał o ich rozbieraniu. W Wenecji słyszał znakomitą śpiewaczkę Angelę, która była wówczas gwiazdą teatru San-Benedetto, jako primadonna[221], a widok jej obudził w nim niesłychany entuzjazm, wywołany nie tylko talentem, ale i anielską pięknością signory[222]. Starał się z nią zapoznać i mimo pewnej gburowatości swojego zachowania, zdobył sobie łaskę młodej artystki — dzięki śmiałej i pełnej wyrazu swojej grze na skrzypcach. W parę tygodni potem zawarł z nią ślub, który musiał zostać tajemnicą, gdyż Angela nie chciała ani opuścić teatru, ani zrzec się swego sławnego imienia, by je zastąpić mało dźwięcznym nazwiskiem Crespel.

Ślub, Śpiew, Sztuka, Imię

Radca z szaloną ironią opisał mi wszystkie męczarnie, jakie znosić musiał ze strony signory Angeli z chwilą, gdy ta została jego żoną. „Wszystkie kaprysy, wszystkie szaleństwa wszystkich pierwszych śpiewaczek były złączone, zjednoczone w małym ciałku Angeli". Jeżeli mu się kiedyś zdarzało wyrazić swoją wolę, natychmiast Angela wypuszczała przeciw niemu całą gromadę opatów, maestrów, akademików, którzy, nie znając

[220] *jurysta* (daw.) — prawnik. [przypis edytorski]
[221] *primadonna* (wł.) — dosł.: pierwsza dama; śpiewaczka operowa, solistka w operze. [przypis edytorski]
[222] *signora* (wł.) — pani. [przypis edytorski]

jego praw małżeńskich, traktowali go jako nieznośnego i źle wychowanego amanta. Razu pewnego, po jednym z takich burzliwych dni, Crespel uciekł z miasta i schronił się w wiejskim domu Angeli i dla zapomnienia swych cierpień, wygrywał różne fantazje na swych skrzypcach z Cremony. W parę chwil potem signora wchodzi do domu. Miała ona w tym momencie kaprys czułości; całuje radcę, rzucając nań spojrzenia pełne tęsknoty i głowę mu składa na ramieniu. Crespel uniesiony wirem swych akordów, dalej z zapałem ciągnie swą grę i przypadkowo dotyka signorę końcem swego smyczka. Wówczas ona rzuca się ku niemu, wściekła. „Bestia tedesca[223]!" — krzyczy, i wydzierając mu smyczek z rąk, łamie go na marmurowym stoliku.

Radca przez chwilę stał wobec niej skamieniały, wreszcie budząc się niby ze snu, silną ręką ujął signorę, wyrzucił ją przez okno i nie zwracając uwagi na to, co się stanie, wyjechał do Niemiec. Dopiero w jakiś czas potem zaczął sobie zdawać sprawę ze swego gwałtownego czynu. Choć wiedział, że okno było nie wyższe niż pięć stóp od ziemi i choć był posłuszny niepokonanemu odruchowi, wyzwalając się w ten brutalny sposób od gniewu swojej żony, czuł jednak niepokój wewnętrzny, tym silniejszy, gdy przypomniał sobie, że signora miała nadzieję zostać matką. Drżał z pragnienia, by zyskać wiadomości i niemało był zdumiony, gdy w osiem miesięcy po swym powrocie, otrzymał bardzo tkliwy list od Angeli. W liście nie było najmniejszej wzmianki o tym, co się stało w willi podmiejskiej, donosił tylko, że signora powiła czarującą córeczkę. Z tego powodu marito amato[224], padre felicissimo[225] natarczywie był proszony, aby jak najprędzej przybył do Wenecji. Crespel, zanim przystał na tę prośbę, napisał do kilku ze swoich przyjaciół, aby go dokładnie powiadomili, co się zdarzyło od chwili jego odjazdu i dowiedział się, że signora, wyleciawszy przez okno, lekko jak ptaszek, upadła na trawnik i że ten upadek miał dla niej właśnie wyniki jak najlepsze. Energiczny czyn Crespela całkowicie zmienił kapryśną naturę młodej kobiety. Od tego dnia nie dostrzegłbyś w niej żadnego z dawnych dziwactw jej charakteru. Maestro, który tego roku komponował sztuki karnawałowe, był najszczęśliwszym z ludzi, gdyż signora zgodziła się śpiewać, nie narzucając mu tysiąca wariantów, czego niegdyś wymagała.

Radca, wzruszony tą zmianą, zamówił konie i siadł do dyliżansu. Nagle się zatrzymał: —„Być może — powiedział sobie — że sam mój widok obudzi na nowo w Angeli jej fantastyczne usposobienie, może jeszcze raz będę ją musiał wyrzucić przez okno!"

Wrócił do siebie i napisał do żony list najczulszy w świecie, wyrażając radość, jakiej doznał na wiadomość, że jego córka ma — tak jak on — mały znaczek za uchem. Klął się, że ją kocha z całego serca, ale że musi pozostać w Niemczech. Korespondencja w tym tonie trwała dłuższy czas. Zapewnienia miłości, prośby, pragnienia, wyrazy żalu płynęły z Wenecji do H. i z H. do Wenecji.

Na koniec Angela przybyła do Niemiec i w charakterze primadonny uzyskała wielkie powodzenie w teatrze miasta F.; nie była już młoda, ale jej śpiew miał czar nieprzeparty, gdyż głos jej nie utracił nic ze swej mocy. Antonia urosła i matka jej nie mogła się powstrzymać, by nie napisać radcy, że jej córka będzie pierwszorzędną śpiewaczką.

Pewnego dnia przyjaciele Crespela zawiadomili go, że dwoje sławnych wirtuozów przybyło do F. i bardzo go prosili, aby się udał do tego miasta dla ich usłyszenia. Nie wiedział, jakie ścisłe węzły łączyły go z tą parą. Radca bardzo pragnął zobaczyć swą córkę, ale gdy tylko pomyślał o żonie, natychmiast budziły się w nim bardzo smutne myśli i został u siebie w towarzystwie swych połamanych skrzypiec.

Młody, bardzo znany kompozytor, do szaleństwa zakochał się w Antonii, dziewczę odpowiedziało mu miłością. Angela nie mogła nic zarzucić ich połączeniu, radca zaś przystał na nie tym skwapliwiej, że dzieła młodego artysty znalazły łaskę w oczach jego surowego sądu. Codziennie Crespel oczekiwał wiadomości, że małżeństwo było zawarte — lecz, zamiast tej radosnej nowiny, otrzymał list z czarną pieczęcią, pisany nieznajomą ręką. Doktor R. zawiadamiał radcę, że poprzedniego wieczoru Angela po wyjściu z teatru przeziębiła się silnie i umarła w przededniu ślubu Antonii. Angela zawiadomiła doktora, że jest żoną Crespela i że mu powierza los swojej córki.

[223] *bestia tedesca* (wł.) — niemieckie bydlę (zwierzę). [przypis edytorski]
[224] *marito amato* (wł.) — ukochany mąż. [przypis edytorski]
[225] *padre felicissimo* (wł.) — najszczęśliwszy ojciec. [przypis edytorski]

Tegoż samego dnia radca wyjechał do F. Nie jestem w stanie wypowiedzieć, w jak wzruszający sposób Crespel mówił mi o chwili, w której po raz pierwszy zobaczył swą córkę. Była nawet w dziwactwie jego wyrażeń pewna siła, której nie mogę oddać słowem. Antonia miała wszystkie wdzięki swej matki bez żadnej z jej przywar. Gdy Crespel przybył, młody narzeczony siedział koło niej, Antonia zaś, znając osobliwą naturę swego ojca, zaczęła śpiewać motyw starego mistrza Martiniego, który Angela niegdyś śpiewała radcy w okresie ich wielkiej miłości. Crespel rozrzewnił się wielce i wylewał potoki łez; nigdy głos samej Angeli tak potężnie nie drgał mu w uchu. Śpiew Antonii był szczególnej natury, już to był podobny do westchnień harfy eolskiej, już to do trylów słowiczych: rzekłbyś tony, wyśpiewywane przez nią nie mogły się zawierać w piersi ludzkiej. Antonia, przejęta do głębi miłością i radością, śpiewała swe najpiękniejsze melodie, gdy jej narzeczony pełny zachwytu, towarzyszył jej na fortepianie. Crespel był pogrążony niby w ekstazie: naraz stał się milczący, zamyślony i zwracając się ku Antonii, przycisnął ją do serca i mówił do niej głosem przygłuszonym:

Śpiew, Śmierć

— Nie śpiewaj już, jeżeli mnie kochasz. Twój śpiew rozdziera mi duszę. Straszny niepokój mnie ogarnia. Nie śpiewaj już, Antonio.

— Nie — rzekł nazajutrz do doktora R. — gdym podczas jej śpiewu zauważył dwie czerwone plamy na jej policzkach, widziałem, że to już nie jest podobieństwo rodzinne, ale znak przerażający.

Doktor, którego twarz pociemniała na te słowa radcy, odparł:

— Być może w istocie, że skutkiem nadmiernego wysiłku lub skutkiem wady organicznej, Antonia ma jakąś chorobę piersiową, która właśnie głosowi jej nadaje tę siłę cudowną i te wibracje wdzięczne i nadprzyrodzone. Ten talent może być powodem jej śmierci i jeżeliby dalej śpiewała, nie daję jej więcej nad sześć miesięcy życia.

To wyznanie doktora jak grot przeszywający uderzyło w serce radcy. Zdawało mu się, że widzi płodne drzewo, po raz pierwszy okryte najpiękniejszymi owocami, a skazane, by już więcej nie zazielenieć, nie zakwitnąć, lecz podciętym być w korzeniu. Postanowił natychmiast czynić, co należy. Wystawił wprost Antonii samej wszystkie swoje trwogi i pytał ją, czy woli iść za swoim narzeczonym, ulec czarom życia światowego i rychło umrzeć, czy też iść za ojcem w jego starości, dać mu odpoczynek i radość, jakiej ten nigdy nie zaznał, a za to żyć długo. Antonia ze łkaniem rzuciła mu się w objęcia. Zrozumiał wszystką boleść, jaką odczuwała dziewczyna. Następnie zwrócił się do narzeczonego i chociaż ten zaklinał się, że nigdy żaden śpiew nie wyjdzie z ust panny, radca jednak sądził, że młody muzyk nie zdoła się oprzeć pokusie, by usłyszeć Antonię wykonywającą utwory, przez niego skomponowane. Radca zniknął z Antonią i udał się do H. Narzeczony, pełny rozpaczy z powodu tego nagłego odjazdu, ruszył ich śladem i przybył wraz z nimi do ich kryjówki.

— Ujrzeć go raz jeszcze, a potem umrzeć! — mówiła Antonia głosem pełnym jęku.

— Umrzeć, umrzeć! — krzyczał Crespel w szalonym gniewie; i lodowaty dreszcz przenikał go aż do szpiku. Widział swą córkę, tę istotę uroczą i jedyną w świecie, jedyną co mogłaby mu objawić nieznane szczęście, jedyną, co by go pogodziła z istnieniem: tę córkę widział, jak mu ją zabierają, odrywają od serca. Wówczas chciał uczynić najokropniejszą próbę. Narzeczony siadł do fortepianu, Antonia śpiewała, Crespel wesoło grał na skrzypcach aż do chwili, gdy ujrzał dwie czerwone plamy na jagodach panny. Wówczas przerwał koncert, a gdy muzyk pożegnał Antonię, ta z bolesnym krzykiem zemdlona padła na podłogę.

— Sądziłem — rzekł mi Crespel — że umarła, jak przewidywałem, że umarła naprawdę, a ponieważ byłem przygotowany na najsroższą katastrofę, byłem spokojny. Łagodnie wziąłem muzyka za ramiona i rzekłem:

— Ponieważ ci się podobało, mój czcigodny mistrzu fortepianu, zabić swoją narzeczoną, — możesz iść w spokoju dokąd zechcesz, chyba, że wolałbyś zostać tutaj, póki ci nie wbiję w serce tego noża myśliwskiego, by twoją szlachetną krwią ubarwić bladą twarz mojej córki. Oddal się stąd co prędzej, bo nie odpowiadam za siebie.

Słowa moje musiały mieć w owej chwili ton przeraźliwy. Uciekł pośpiesznie i szybko zeskoczył ze schodów.

Gdy był już daleko, Antonia, leżąca nieprzytomnie na podłodze, z trudem otworzyła oczy, a śmierć, zdawało się, że natychmiast zamknie je na nowo. Crespel wydał okrzyk rozpaczy. Lekarz, którego sprowadziła stara gospodyni, powiedział, że stan Antonii jest bardzo groźny, lecz nie przedstawia niebezpieczeństwa i w istocie wyzdrowiała znacznie wcześniej, niż się tego spodziewał radca. Od tego dnia okazywała dla ojca niezmierną czułość; z oddaniem przyłączyła się do jego skłonności, a nawet do jego wszystkich dziwactw; pomagała mu rozbierać stare skrzypce — robić z nich nowe.

„Nie chcę już śpiewać — mówiła często — chcę żyć dla ciebie" — i opierała się wszystkim prośbom tych, co się do niej zwracali, by głos jej usłyszeć. Radca starał się, ile możności, by tych próśb jej oszczędzono. Z niechęcią prowadził ją w świat i starannie unikał wszystkich koncertów. Wiedział, co kosztowało Antonię wyrzec się sztuki, którą podniosła do tak wysokiego stopnia doskonałości.

Gdy kupił zadziwiające skrzypce, które pochował wraz z nią w jednym grobie, a które chciał zniszczyć tak, jak wszystkie inne, Antonia patrzała na niego z miną bolesną i pytała:

— Jak to? i te skrzypce również?

Radca nie wiedział sam, jaka nieokreślona potęga przeszkadzała mu rozłożyć ten instrument i zmuszała, że na nim grywał. Zaledwie pierwsze uderzył akordy, Antonia zawołała z akcentem radości:

— Ach, poznaję siebie, śpiewam na nowo!

W istocie jasne, srebrzyste tony skrzypiec, zdawały się wychodzić z piersi ludzkiej. Crespel wzruszony do głębi duszy grał z jeszcze większą ekspresją niż zwykle i gdy śmiało a mocno przebiegał wszystkie tony gamy, Antonia klaskała w ręce i wołała jakby w zachwyceniu:

— Ach, jak dobrze śpiewam, jak dobrze śpiewam!

Od tego dnia na nowo stała się pogodna i wesoła. Często mówiła do radcy:

— Ojcze, chciałabym jeszcze coś zaśpiewać.

Crespel zdejmował skrzypce ze ściany, grał ulubione melodie córki i wtedy serce jej rozpływało się w rozkoszy.

Śpiew, Muzyka, Śmierć

Na krótki czas przed moim powrotem do H. pewnego razu zdawało się radcy, że pośrodku nocy usłyszał dźwięk fortepianu w sąsiedniej izbie. Natychmiast rozpoznał wyraźnie zwykłe preludium młodego muzyka. Chciał się podnieść, ale był jakby przywiązany stalowymi łańcuchami i nie mógł uczynić najmniejszego poruszenia. W parę chwil później rozpoznał głos Antonii, który się naprzód rozlewał jak lekkie tchnienie, a potem rósł stopniowo aż do najdźwięczniejszego fortissimo[226]; następnie usłyszał tony porywającej melodii, którą narzeczony skomponował dla Antonii w stylu religijnym dawnych mistrzów. Crespel zapewniał, że był w tym momencie pełen przerażającego wzruszenia; odczuwał naraz najokropniejszą trwogę i rodzaj idealnej rozkoszy.

Naraz uderza go jasność oślepiająca; widzi muzyka i Antonię, którzy się całują i patrzą na siebie w zachwyceniu. Melodia brzmiała dalej, choć Antonia nie śpiewała i choć jej narzeczony nie dotykał fortepianu. Radca upadł zemdlony. Gdy wrócił do przytomności, na nowo się w nim obudziła straszliwa trwoga, jakiej doznawał niby we śnie. Popędził do pokoju Antonii; ujrzał ją na kanapie, z oczami zamkniętymi, z wargą uśmiechniętą, ze złożonymi rękami: rzekłbyś, spała kołysana niebiańskimi marzeniami.

Umarła.

Ślub

W dzień Świętego Michała, o godzinie, w której dzwoniono na nieszpory w klasztorze Karmelitów, piękny powóz zaprzężony w cztery konie pocztowe toczył się przez ulice małego miasta I. leżącego u granic Polski i zatrzymał się przed bramą domu starego burmistrza niemieckiego. Dzieci, zaciekawione, wychyliły głowę przez okno, gdy pani domu, wstając z krzesła i z niezadowoleniem rzucając na stół robotę, mówiła do starego urzędnika, który przybiegł z sąsiedniego pokoju:

[226] *fortissimo* (wł.) — bardzo głośno. [przypis edytorski]

— Znowu jacyś obcy ludzie nasz cichy dom biorą za oberżę. A to wszystko przez te twoje ozdoby. Po co kazałeś na nowo wyzłocić kamiennego gołębia nad bramą naszego domu?

Starzec uśmiechnął się chytrze, nic nie odpowiadając. W jednej chwili zdjął szlafrok i włożył uroczystą szatę, rozwieszoną na krześle. Zanim jego żona w zdumieniu miała czas zadać mu jakieś pytanie, był już u drzwiczek powozu, trzymając w ręku aksamitną czapkę i stał z odsłoniętą siwą głową, osrebrzoną promieniami księżyca. Dama w latach dojrzałych, przystrojona szarym płaszczem, wyszła z powozu, prowadząc ze sobą kobietę młodszą, wytworną, o twarzy zasłoniętej, a która chwiejnym krokiem weszła do domu, oparta na ramieniu burmistrza; ta, zaledwie przestąpiła próg mieszkania, upadła półomdlała na fotel, który jej żona urzędnika pośpiesznie, na znak męża, podsunęła.

— Biedne dziecko! — żałosnym głosem szeptała starsza z podróżniczek. — Muszę jeszcze parę chwil przy niej zostać.

Jednocześnie przy pomocy starszej córki burmistrza zdjęła płaszcz podróżny i ukazała się w sukni zakonnej ze złotym krzyżem na piersi, po czym rozpoznano w niej przeoryszę[227] klasztoru cystersanek[228].

Młoda zasłonięta kobieta dawała znaki życia jedynie za pomocą głębokich westchnień. W końcu zażądała szklanki wody. Pani domu przyniosła rozmaite esencje, których skuteczność bardzo chwaliła i prosiła młodą kobietę, aby ta zrzuciła ciężkie okrycia, które jej przeszkadzały oddychać. Ale młoda dama, chyląc głowę z wyrazem przestrachu, odmówiła tej prośbie i użyła flakonu wody pachnącej, nie podnosząc zasłony.

— Panie burmistrzu — rzekła przeorysza — jak sądzę, przygotowano wszystko według naszych życzeń.

— Tak, bez wątpienia, wielebna pani — odrzekł starzec. — Mam nadzieję, że nasz prześwietny książę będzie ze mnie zadowolony, jak również i dama, dla której uczynić jestem gotów wszystko, co będzie w mojej mocy.

— Pozostawcie mnie na chwilę sam na sam z moim biednym dzieckiem — odparła przeorysza.

Rodzina wyszła z izby i słyszano, jak przeorysza żywo[229] i z tkliwością przemawiała do młodej kobiety, a ta jej odpowiadała tonem rozdzierającym serce. Nie chcąc bynajmniej podsłuchiwać, gospodyni domu jednak pozostała u drzwi[230] pokoju; obie kobiety mówiły po włosku, nadając tym jeszcze dziwaczniejszy, bardziej tajemniczy charakter całemu zdarzeniu. Burmistrz posłał żonę i córkę po małą przekąskę i sam wszedł do sali; młoda kobieta stała przed przeoryszą z pochyloną głową, ze złożonymi rękami i zdawała się bardziej doprowadzona do równowagi. Przeorysza nie odmówiła przekąski, jaką jej podano, a potem rzekła:

— Teraz już na mnie czas.

Dama w zasłonie padła na kolana, gdy towarzyszka podróży położyła jej swe ręce na głowie i modliła się po cichu. Gdy skończyła modlitwę, ze łzami w oczach objęła młodą kobietę i z głębokim smutkiem przycisnęła ją do piersi; potem z godnością błogosławiąc rodzinę burmistrza, pośpieszyła do powozu, do którego nowe konie zaprzężono. Pocztylion odjechał galopem, grając hucznie na trąbce po ulicach miasta.

Gdy pani domu ujrzała rozmiary kufra, który przyniesiono, zrozumiała, że dama w zasłonie zamierza dłuższy czas przebywać w jej domu; nie mogła z tego powodu ukryć niepokoju oraz ciekawości; poszła do przedsionka naprzeciw swemu mężowi, który odprowadzał starszą damę i rzekła:

— W imię Boga! Cóż to za kobietę sprowadziłeś do mego domu, bo ty wszystko wiesz, a nie uprzedziłeś mnie o niczym.

— Dowiesz się wszystkiego tego, co wiem sam — odparł jej spokojnym głosem starzec.

— Ach, ach! ty może nie wiesz wszystkiego — odpowiedziała z trwogą — nie byłeś teraz w pokoju. W chwili, gdy przeorysza odjechała, młoda kobieta, czując się zapewne

[227] *przeoryszа* — przełożona zakonu żeńskiego. [przypis edytorski]
[228] *cystersanki* — powstała w 1125 r. we Francji żeńska gałąź katolickiego zakonu cystersów. [przypis edytorski]
[229] *żywo* — żwawo, energicznie, emocjonalnie. [przypis edytorski]
[230] *u drzwi* — przy drzwiach, blisko drzwi. [przypis edytorski]

zbyt skrępowana ciężkim odzieniem, podniosła długą zasłonę, co ją okrywa od stóp do głów — i cóżem ja zobaczyła?

— A zatem cóżeś zobaczyła? — rzekł starzec do swej żony, która, drżąc, patrzyła się naokół[231], jakby dostrzegła widmo.

— Nie — zawołała staruszka — nie mogłam rozpoznać rysów jej twarzy pod zasłoną; ale bladość, straszliwa, trupia bladość uderzyła mnie i mówię ci, jasnym jest dla mnie, jasnym jak dzień, że ta dama jest w ciąży i że za parę tygodni... Dziecko, Grzech

— O tym wiem, moja kobieto — rzekł burmistrz markotnie — i abyś nie stała się ofiarą niepokoju i ciekawości, dowiedz się w dwóch słowach, o co tu idzie. Książę Z., nasz potężny opiekun, pisał mi przed kilku tygodniami, że przeorysza klasztoru O. sprowadzi mi damę, którą mam przyjąć w swoim domu w milczeniu i bez ceremoniału. Dama ta, która życzy sobie być znaną jedynie pod imieniem Celestyny, ma tu oczekiwać połogu i tu przyjadą po nią oraz po dziecko, które się urodzi. Jeżeli dodam do tego, że książę prosił mnie bardzo gorąco, abym dla niej miał jak największe względy i że mi przysłał sakwę ze stu dukatami, które znajdziesz w komodzie, to myślę, że raz na zawsze pozbędziesz się trwogi.

— A więc — rzekła burmistrzowa — mamy brać udział w grzechach, jakie popełniają możni tego świata.

Zanim starzec jej odpowiedział, córka jej wyszła z izby i doniosła[232], że dama pragnie odpocząć w siedzibie, jaką dla niej przygotowano.

Burmistrz przyozdobił, o ile mógł, dwa pokoje na górnym piętrze swego domu i niemało był zdziwiony, gdy Celestyna go zapytała, czy nie ma jeszcze izdebki z oknem na tyły domu. Odpowiedział najpierw przecząco, potem dodał, że jeszcze ma niewielki pokój z oknem na ogród, ale że to mała komórka, gdzie zaledwie się zmieści łóżko, stół i krzesło.

Celestyna chciała go zobaczyć natychmiast i, zaledwie weszła, oświadczyła, że właśnie tego jej potrzeba i że opuści komórkę dopiero wówczas, gdy ją do tego zmusi stan zdrowia, aby wziąć pokój obszerniejszy. Burmistrz porównał ten pokój do celi klasztornej — i rzeczywiście nazajutrz komórka przybrała odpowiednią postać.

Celestyna zawiesiła na ścianie obraz Matki Boskiej i na stole postawiła krucyfiks. Łóżko składało się z worka ze słomą, z wełnianego nakrycia, przy czym Celestyna nie chciała mieć innych sprzętów, jak zydel drewniany i mały stolik. Gospodyni domu, wzruszona wyrazem boleści obcej kobiety, sądziła, że należy do jej obowiązków zabawiać chorą; ale nieznajoma prosiła w słowach wzruszających, aby nie naruszano jej samotności, w której żyła cała oddana kontemplacji Dziewicy oraz świętych. Pobożność

Co rano o świcie, Celestyna udawała się do klasztoru karmelitanek, aby asystować przy pierwszej mszy świętej, resztę czasu spędzała w swym pokoju na ćwiczeniach pobożnych: ile razy ktokolwiek chciał w jakiej bądź sprawie zajść do jej pokoju, zawsze ją widywano przy modlitwie lub przy czytaniu książek pobożnych. Nie chciała przyjmować innych potraw oprócz jarzyn ani innego napoju prócz wody; natarczywe dopiero nalegania burmistrza, który jej tłumaczył, że stan jej zdrowia wymaga pożywienia daleko solidniejszego, przekonały ją, tak że zgodziła się zjeść trochę bulionu i wypić wina. To życie surowe, jakie widocznie narzuciła sobie w charakterze pokuty, budziło w otoczeniu głębokie współczucie, a jednocześnie szlachetność jej zachowania i wdzięk jej postawy napełniały ludzi szacunkiem. Pewna szczególna okoliczność dodawała do tych uczuć coś straszliwego: młoda kobieta nigdy nie zdejmowała zasłony. Zbliżał się do niej tylko burmistrz oraz jego żona i córka, a nigdy nikt nie mógł zobaczyć jej twarzy. Co znaczył ten ponury welon? Wyobraźnia obu kobiet, zajęta ową tajemnicą, wkrótce dla wyjaśnienia obmyśliła straszną historię. Przypuszczały one, że szpony diabła poszarpały twarz nieznajomej i że stąd pochodzi jej upór, by wiecznie być osłoniętą. Burmistrz z niemałym trudem rozproszył te przypuszczenia i nie dopuścił do ich rozpowszechnienia w sąsiedztwie, gdzie już znany był pobyt[233] nieznajomej w jego domu. Spostrzeżono też jej wizyty Twarz, Przebranie

[231] *naokół* — dziś: dookoła, wokół. [przypis edytorski]
[232] *donieść* — tu: przekazać, poinformować. [przypis edytorski]
[233] *gdzie gdzie już znany był pobyt* — dziś: gdzie wiedziano już o pobycie. [przypis edytorski]

w klasztorze karmelitanek i wkrótce stała się ona znana pod imieniem czarnej kobiety, co budziło myśl[234] jakiegoś fantastycznego zjawiska.

Owóż zdarzyło się pewnego dnia, w chwili, gdy burmistrzówna wchodziła do pokoju obcej damy, by jej zanieść obiad, że powiew wiatru podniósł jej gęstą zasłonę; młoda kobieta odwróciła twarz z szybkością błyskawicy, aby ujść oczu dziewczyny; ta ostatnia pobladła jak trup i z dreszczem trwogi opowiadała matce, że widziała twarz białą, marmurową, na której błyszczało dwoje skrzących się, ognistych oczu.

Burmistrz zapewniał córkę, że jest ofiarą własnej wyobraźni. Bądź co bądź uderzyła go bardzo opowieść dziewczyny i wielce pożądał[235], aby ta kobieta, która pomimo swojej pobożności takie zamieszanie wywoływała w jego domu, oddaliła się jak najprędzej.

Dziecko

W jakiś czas potem, wśród nocy, obudził żonę i powiedział jej, że od kilku chwil słyszy jęki i nadzwyczajne poruszenia w pokoju Celestyny. Żona burmistrza, przeczuwając co się dzieje, wstała co prędzej i zobaczyła Celestynę odzianą, w zasłonie, której nigdy nie zdejmowała. Kobieta półzemdlona leżała na łóżku i widocznie lada chwila miała zostać matką. Wszystkie przygotowania konieczne natychmiast poczyniono i w niedługim czasie młoda kobieta dała życie młodemu, silnemu chłopcu. Zdarzenie to wytworzyło bardziej poufałe stosunki między obcą panią a rodziną burmistrza. Dziecko, rzekłbyś, przybliżało Celestynę do świata rzeczywistego. Stan młodej matki nie pozwalał na dalsze prowadzenie życia ascetycznego, a starania, jakich wymagała, przyzwyczajały zacnych gospodarzy do jej widoku. Burmistrzowa, która najwięcej zajmowała się chorą, powoli zapomniała szczególnych myśli, jakie się w niej zbudziły. Mąż jej wesoło nosił na rękach małe dziecko, jakby to był jego wnuk, i wszyscy tak przywykli do zasłony Celestyny, że już o tym nie myśleli. Akuszerce kazano przysiąc, że nie podniesie w żadnym wypadku zasłony, chyba gdyby nieznajoma umarła. Jednak żona burmistrza przypadkowo ujrzała odsłoniętą twarz Celestyny, ale nie chciała o tym mówić, tylko wołała:

— Ach, biedna kobieta! Tak, ona się musi osłaniać!

Chrzest

W kilka dni potem przybył mnich-karmelita, który ochrzcił nowo narodzonego; rozmawiał z Celestyną więcej niż dwie godziny; słyszano, jak mówił i modlił się z zapałem. Gdy odjechał, Celestyna siedziała w fotelu, trzymając na kolanach dziecko, które miało na ramionach szkaplerzyk[236], a na piersi *Agnus Dei*[237]. Tygodnie i miesiące mijały, a wciąż się nie sprawdzała obietnica księcia, zapowiedziana burmistrzowi; nikt nie przyjeżdżał po młodą kobietę. Uważano by ją niewątpliwie za członka rodziny, gdyby nie fatalna zasłona, która powstrzymywała wszelki objaw czułości. Starzec ośmielił się razu pewnego powiedzieć o tym nieznajomej; ale ta głosem uroczystym mu odrzekła, że zasłona spadnie dopiero przy jej śmierci. Zamilkł i bardzo życzył sobie, aby znów przeorysza przyjechała swoim powozem.

Była wiosna. Rodzina burmistrza wracała pewnego dnia z przechadzki, z bukietami kwiatów, z których najpiękniejsze były przeznaczone dla Celestyny. W chwili, gdy mieli wchodzić do domu, jakiś jeździec nadbiegł galopem, pytając o burmistrza. Starzec przedstawił się, jeździec zsiadł z konia, przywiązał go do słupa i wbiegł do domu, wołając:

— Ona jest tu! jest tu!

Porwanie, Walka, Ojciec, Matka, Dziecko

Drzwi się otworzyły i nagle usłyszano żałosny krzyk Celestyny. Starzec pobiegł przerażony. Jeździec, oficer szaserów[238] gwardii francuskiej, przyozdobiony orderami, porwał dziecię z kołyski; lewym ramieniem je uchwycił, a prawym odpychał Celestynę, która mu chciała je odebrać. W walce oficer zerwał mimo woli zasłonę młodej kobiety — i ukazał twarz białą jak marmur, nieruchomą, o oczach ognistych jak płomień. Starzec poznał, że Celestyna nosiła bardzo cienką maskę, przylegającą do skóry.

Twarz, Maska

— Straszliwa kobieto — mówił oficer — czy chcesz, abym dzielił twe szaleństwo?

I mówiąc te słowa, odepchnął Celestynę tak gwałtownie, że runęła na podłogę. Wówczas kobieta błagalnie objęła nogi porywacza i tonem najgłębszej boleści zawołała:

[234] *budzić myśl czegoś* — nasuwać na myśl coś, pozwalać przypuszczać coś. [przypis edytorski]

[235] *pożądać* — tu: pragnąć. [przypis edytorski]

[236] *szkaplerz* (łac. *scapulare*, od *scapula*: ramiona, barki, plecy) — wierzchnia część habitu w postaci szerokiego płata materiału, z otworem na głowę. [przypis edytorski]

[237] *Agnus Dei* (łac.) — Baranek Boży; metaforyczne wyobrażenie Chrystusa Zbawiciela. [przypis edytorski]

[238] *szaserzy* (z fr. *chasseur*: strzelec, myśliwy) — typ piechoty, a następnie lekkiej kawalerii, istniejący w armii fr. od połowy XVIII w.; oddziały strzelców konnych na wzór fr. posiadało również wojsko Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego. [przypis edytorski]

— Pozostaw mi dziecko! Błagam cię w imię twego zbawienia, nie zabieraj mi go; w imię Chrystusa i Najświętszej Panny, pozostaw mi to dziecko, pozostaw!

Gdy go błagała w ten sposób, ani jeden muskuł nie poruszał się na jej twarzy; wargi nawet zdawały się nieruchome, a starzec i jego żona, i wszyscy, którzy na to patrzyli, lodowacieli z przerażenia.

— Nie — odrzekł oficer z krzykiem rozpaczy — nie, kobieto nieludzka i nielitościwa, mogłaś wyrwać serce z mego łona, ale nie zatracisz w swym obłędzie tej niewinnej istoty, która ma ranę moją uleczyć.

Mówiąc to, oficer ścisnął dziecię tak mocno, że aż zapłakało.

— Zemsta! — głuchym zawołała głosem Celestyna — zemsta niebios na ciebie, zabójco!

— Precz, precz ode mnie, zjawo piekielna! — odparł wojskowy. I konwulsyjnym ruchem odepchnąwszy Celestynę rzucił się ku drzwiom.

Starzec chciał mu drogę zagrodzić, lecz obcy, wyjmując pistolet i zwracając go ku niemu lufą, rzekł:

— Ta kula głowę roztrzaska temu, co by chciał dziecię zabrać ojcu! — Po czym rzucił się w dół po schodach, skoczył na grzbiet konia i popędził galopem.

Żona burmistrza, pełna przerażenia, poszła do Celestyny, by jej służyć pomocą; znalazła ją na środku pokoju, ze zwieszonymi ramionami, nieruchomą i niemą jak posąg; na próżno chciała z niej słowo wydobyć, a nie mogąc z niej wydobyć słowa, nakryła ją zasłoną, przy czym Celestyna najmniejszym nie reagowała ruchem. Wpadła w stan całkowitej bezwrażliwości — i biedna staruszka, pełna bólu i trwogi, w głębi serca, błagała niebo, aby ją wkrótce uwolniło od tej straszliwej nieznajomej. Modlitwa jej zostawała wysłuchana.

W tej chwili zaturkotała na ulicy ta sama karoca, która przywiozła Celestynę. Przeorysza wyszła z powozu wraz z księciem Z., protektorem burmistrza. Gdy książę się dowiedział o tym, co się stało, rzekł z boleścią:

— Zaiste, przybywamy zbyt późno. Musimy się pogodzić z wolą Boga.

Wciągnięto do powozu Celestynę, która była wciąż niema, nieruchoma i nie dawała żadnej oznaki wolnej woli. Powóz odjechał szybko, a starzec i jego rodzina odetchnęli, jakby ze złego snu przebudzeni. Wkrótce po tych zdarzeniach, które miały miejsce u burmistrza, pochowano w klasztorze cystersanek zakonnicę i rozeszła się pogłoska, że ta zakonnica była to hrabianka Jadwiga, o której sądzono, że wyjechała do Włoch z ciotką, księżniczką Z.

W owym czasie hrabia Nepomucen C., ojciec Jadwigi, przybył do Warszawy i aktem prawnym zapisał wszystkie dobra rodowe swym siostrzeńcom, dwu synom księcia Z., dla siebie zachowując tylko drobną posiadłość na Ukrainie. Gdy go pytano, co zrobił dla córki, oczy łzami przepełnione podnosił ku niebu i mówił żałośnie:

— Nie próbowałem potwierdzić wieści o śmierci Jadwigi, ani wyjaśnić tajemniczych pogłosek, które ją przedstawiały jako ofiarę przedwcześnie do grobu wtrąconą.

Patriota, Walka, Bohaterstwo, Zaręczyny, Polak, Kobieta, Mężczyzna

Znaczna liczba patriotów, zgiętych, lecz nie złamanych upadkiem Polski, pragnęła bardzo wciągnąć starego księcia do tajemniczego spisku, który miał na celu odzyskać niepodległość kraju. Ale nie był to już ów entuzjasta wolności oraz idei narodowych, skłonny do śmiałego podjęcia wszelkich zamiarów energicznych. Był to tylko starzec osłabiony boleścią, który marzył jedynie o tym, aby się ze wszystkich spraw wycofać i pogrążyć się w głębokiej samotności. Jeszcze przed paru laty, gdy pierwszy podział Polski wywołał insurekcję[239], dobra dziedziczne hrabiego Nepomucena były utajonym miejscem spotkania wszystkich patriotów. Tam, na ucztach uroczystych, rozpalały się dusze myślą o wyzwoleniu ojczyzny; tam ukazywała się pośród tych pełnych zapału wojowników Jadwiga[240], jako anioł z nieba. Zgodnie z charakterem kobiet swego narodu, brała ona udział we wszystkich rozprawach politycznych; mając lat siedemnaście, nieraz określała położenie

[239] *insurekcja* (z łac. *insurectio*: powstanie, od *insurgere*: buntować się, powstawać przeciw komuś) — tu: insurekcja kościuszkowska, polskie powstanie narodowe wywołane w 1794 r. po drugim rozbiorze Polski, dokonanym przez Rosję i Prusy w r. 1793. [przypis edytorski]

[240] *Jadwiga* — w oryginale imię bohaterki brzmi „Hermenegilda", co pozwoliliśmy sobie zmienić. [przypis tłumacza]

rzeczy i wyrażała opinię zupełnie sprzeczną z tym, co dokoła niej mówiono i podtrzymywała swe zdanie w sposób tak ścisły i przezroczysty, że wszystkie głosy szły za nią. Prócz niej, najwięcej talentu i przenikliwości wykazywał hrabia Stanisław R. Był to człowiek zapalny i szlachetny; miał dwadzieścia lat. Często Jadwiga i Stanisław sami jedni prowadzili dyskusję, badali projekty, przyjmowali je lub odrzucali, podawali inne i wynik tej rozprawy pomiędzy młodą panną a młodzieńcem przyjmowali słuchacze najdoświadczeńsi jako ideę najmędrszą i najmożliwszą do urzeczywistnienia. Było więc naturalnym myśleć o połączeniu tych dwojga ludzi, którzy wzajem posiadali zdolności konieczne dla zbawienia ojczyzny. Zresztą, ze stanowiska politycznego, związek obu tych rodzin wydawał się bardzo użyteczny, gdyż dzieliło je dotychczas przeciwieństwo poglądów, jak to często bywa w szlacheckich rodach w Polsce. Jadwiga, tą myślą przenikniona, przyjęła jako dar ojczyzny ofiarowanego sobie małżonka, a zebrania patriotyczne zakończyły się w zamku jej ojca uroczystymi zaręczynami. Wiadomo, że Polacy upadli; że przedsięwzięcie Kościuszki, oparte na zbyt wielkim zaufaniu i zbyt wysokim pojęciu o wierności rycerskiej, zakończyło się nieszczęśliwie. Hrabia Stanisław, któremu zawód wojskowy, młodość, siła, zapewniały wysokie stanowisko w armii, walczył z bohaterską odwagą. Z trudem uniknął niewoli i powrócił ciężko ranny. Jadwiga jedynie przywiązywała go do życia. Przy niej oczekiwał pociechy i ożywienia nowej nadziei. Skoro tylko nieco wyzdrowiał, popędził do zamku hrabiego Nepomucena, gdzie jeszcze większa boleść miała go zranić. Jadwiga powitała go z gorzką ironią:

— A więc to jest ów bohater, co miał umrzeć za ziemię rodzinną?

W egzaltacji zdawało się, że go traktowała jako jednego z tych rycerzy z wieków bajecznych, których miecz mógł całe armie unicestwiać. Żadne przysięgi o poświęceniu dla ojczyzny, żadne błagania najgorętszej miłości nic nie pomogły: Jadwiga zapowiedziała, że rękę swą odda Stanisławowi w takim tylko razie, jeżeli obcy zostaną wygnani z Polski.

Hrabia za późno spostrzegł, że panna nigdy go nie kochała, i że warunek, jaki mu postawiła, może nigdy by się nie mógł urzeczywistnić. Pożegnał swą narzeczoną, przysięgając, że wiecznie będzie jej wierny; zaciągnął się do armii francuskiej i pojechał do Italii, gdzie toczyła się wojna.

Powiadają, że kobiety polskie mają szczególnego rodzaju kaprysy. Uczucie głębokie, lekkomyślność niespodziewana, poświęcenie stoickie, namiętność gorąca, chłód lodowaty wszystko łączy się w ich duszy i wyraża na powierzchni ruchów niestałych, niby igrzysko fal na dnie strumienia.

Miłość tragiczna, Patriota

Jadwiga bez wzruszenia spoglądała na odjazd swego narzeczonego; ale w kilka dni potem, czuła się wstrząśniętą gwałtownymi pragnieniami, jakie obudzić może tylko najpotężniejsza miłość. Wrzawa wojenna ucichła, ogłoszono powszechną amnestię. Wielu oficerów polskich wyszło z więzienia. Towarzysze broni Stanisława, jeden po drugim zjawiali się w pałacu księcia. Z głęboką boleścią mówiono o tych dniach nieszczęśliwych, o męstwie zwyciężonych, a zwłaszcza o heroizmie Stanisława. Rozproszone swe oddziały zorganizował na nowo do walki; przy pomocy swej konnicy złamał pułki cudzoziemskie. Losy bitwy były jeszcze niepewne; kula trafiła dzielnego dowódcę, który spadł z konia, krwią oblany. Ostatnie jego słowa były: Polska! Jadw...

Każde słowo tej opowieści przenikało w serce panny jak sztylet.

Miłość tragiczna, Tęsknota

— Nie — mówiła sobie — jam nie wiedziała, że go kocham taką straszliwą miłością. Jakiż obłęd mnie oślepiał? Jakże mogłam myśleć, że będę mogła istnieć bez tego, który jest całym moim życiem. Sama go na śmierć posłałam; on już nigdy nie powróci.

Tak Jadwiga wykrzykiwała w rozpaczy. Nocą, wstrząsana tymi niepokojami błądziła po parku i jak gdyby wiatr miał ponieść jej skargi do nieocenionego kochanka, wołała:

— Stanisławie, Stanisławie! wróć do mnie, wróć! To ja, twoja narzeczona, przywołuję ciebie. Czy mnie nie słyszysz? Jeżeli nie przyjdziesz, umrę z rozpaczy.

Szaleństwo

Rozstrój w usposobieniu Jadwigi bliski był stanu obłędu i wywoływał liczne dziwactwa w jej postępowaniu. Hrabia Nepomucen, niespokojny na widok córki swej w takim stanie, chciał użyć sztucznych[241] środków i poprosił jednego ze znakomitych lekarzy, aby ten jakiś czas przebywał w jego zamku. Ale mimo wszystkich sposobów użytych przez

[241] *sztuczny* (daw.) — zgodny z prawidłami sztuki (tu: lekarskiej); wyszukany, specjalistyczny. [przypis edytorski]

człowieka nauki, zdawało się bardzo wątpliwym, czy młoda hrabianka kiedykolwiek powróci do zdrowia. Po krótkich okresach spokoju, na nowo wpadała w najdziwaczniejsze paroksyzmy. Pewna szczególna okoliczność zmieniła nagle położenie rzeczy.

Jadwiga miała lalkę przybraną w strój ułański, jak jej ukochany. Hrabianka nadawała ułanowi najtkliwsze imiona, aż pewnego dnia rzuciła go w ogień, gdyż lalka nie chciała śpiewać piosenki:

Wykonawszy to, chciała wrócić do swego pokoju, gdy usłyszała, że ktoś głośnym krokiem szedł za nią. Odwróciła się i ujrzała oficera w mundurze gwardii francuskiej, z ręką na temblaku. Rzuca się ku niemu i woła:

— Stanisławie! mój Stanisławie! — po czym upadła zemdlona na jego ramię.

Oficer, zdumiony, niemałą miał trudność w jej podtrzymywaniu, ile że jednym tylko władał ramieniem, a Jadwiga była rosła i ciężka. Przycisnął ją do serca - a czując, jak gwałtownie uderza serce młodej dziewczyny, wyznać musiał, że jest to jedna z najpiękniejszych przygód jego życia.

Chwile mijały szybko; oficer, rozpłomieniony nagłym uczuciem miłości, pocałunkami okrywał słodkie usta Jadwigi... Hrabia Nepomucen wszedł właśnie i zastał go w tej sytuacji i również z radością zawołał:

— Hrabia Stanisław!

W tej samej chwili Jadwiga wróciła do przytomności — i przyciskając do piersi młodego oficera, powtarzała z zapałem:

— Stanisławie, mój ukochany, mój małżonku!

Przybysz, półprzytomny, z twarzą rozpłomienioną, lekko się wyrywając z objęć młodej panny, wykrzyknął:

— Oto zapewne najpiękniejszy moment mego życia! Nie mogę jednak wyzyskiwać szczęścia, które zawdzięczam pomyłce. Nie jestem Stanisławem, niestety, nie jestem Stanisławem.

Jadwiga cofnęła się z przerażeniem i gdy przyjrzawszy się nieznajomemu, przekonała się, że jest igraszką próżnego podobieństwa dwojga twarzy, uciekła ze łzami i jękiem. Hrabia Nepomucen zaledwie mógł uwierzyć, że oficer, który się przedstawił jako Ksawery R. kuzyn Stanisława, wyrósł tak prędko w ostatnich czasach na dorosłego mężczyznę. Życie wojskowe przyśpieszyło jego męski wyraz twarzy. Ksawery opuścił Polskę jednocześnie ze Stanisławem i tak jak on służył w armii francuskiej, w legionach włoskich. W osiemnastym roku życia tak się wyróżnił swym męstwem, że generał wybrał go sobie za adiutanta, a w dwa lata potem nadał mu stopień pułkownika. Z powodu ran zmuszony był jakiś czas odpocząć; powrócił do ojczyzny i przedstawił się w zamku Nepomucena, z poleceniem swego brata stryjecznego do Jadwigi. Hrabia i lekarz namówili ostatecznie pannę, aby wyszła ze swego pokoju. Zgnębiona wstydem i cierpieniem, zapowiedziała, że wyjdzie ze swego ukrycia dopiero, gdy nieznajomy dom opuści.

Ksawery napisał jej, że zbyt okrutnie jest ukarany za podobieństwo, którego nic nie jest winien; że ta surowość nie tylko jego dotyka, że dotyka również Stanisława, którego list jej przynosi, a list ów tylko jej osobiście do rąk ma być wręczony.

Pokojowa, którą Ksawery wtajemniczył w swoje sprawy z hrabianką, obiecała dać swej pani w chwili właściwej, list oficera, a Jadwiga zdecydowała się go przyjąć.

Przyjęła go w swym pokoju, w milczeniu, z oczami opuszczonymi. Ksawery chwiejnym krokiem zbliżył się do niej, zajął miejsce na kanapie, na której ona siedziała, raczej ukląkł niż usiadł wobec niej i, jak gdyby popełnił zbrodnię nie do przebaczenia, klął się[242] w najbardziej wzruszających wyrazach, aby nie składała ciężarem na jego barki omyłki, która mu pozwoliła poznać szczęśliwość jego przyjaciela. To nie on, mówił, to Stanisław sam odebrał te pocałunki, w upojeniu powitania. Mówiąc te słowa, oddał jej powierzony sobie list i opowiadał o męstwie Stanisława, o wierności jego dla ojczyzny i dla ukochanej.

Ksawery opowiadał z porywającym ogniem. Poruszył serce hrabianki, która przezwyciężywszy pomieszanie, zatrzymała na nim swoje niebiańskie spojrzenie tak, iż jak Kalaf Gozzi'ego uderzony wzrokiem Turandot[243], młody oficer, wzruszony do głębi, za-

[242] *kląć się* — zaklinać się. [przypis edytorski]

[243] *Kalaf Gozziego uderzony wzrokiem Turandot* — w commedii dell'arte Carlo Gozziego (1720–1806) *Księżniczka Turandot* z 1762 r., napisanej na kanwie baśni perskiej ze zbioru *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*, książę Kalaf zakochuje się od pierwszego wejrzenia w okrutnej chińskiej księżniczce Turandot, skazującej na śmierć wszyst-

ledwie był w stanie dalej opowiadać. Nie wiedząc prawie, co mówi, wstrząśnięty walką wewnętrzną swej nagłej namiętności, zaczął bez końca opisywać marsze wojskowe i bitwy. Opowiadał o atakach kawalerii, o rozgromionych pułkach, o zdobytych bateriach.

Jadwiga przerwała mu niecierpliwie:

— Dość, dość mi opisu tych krwawych scen. Powiedz mi raczej, że on mnie jeszcze kocha.

Ksawery ujął rękę Jadwigi i, przyciskając ją do serca, rzekł: Pożądanie

— Posłuchaj więc własnych słów Stanisława, twego Stanisława. — I najgorętsze jął mówić jej zaklęcia miłości.

Upadł do nóg panny; objął ją ramieniem; ale w chwili, gdy miał ją przycisnąć do serca, został odepchnięty gwałtownie. Jadwiga utkwiła w nim spojrzenie i głuchym głosem mu rzekła:

— Próżna lalko, gdybym ci nawet oddała żar swego łona, tyś nie Stanisław i nigdy nim nie będziesz! — Rzekłszy te słowa, opuściła pokój.

Ksawery zbyt późno rozpoznał swą niekonsekwencję. Czuł, że szalenie go opętała Jadwiga i że każda próba jego ku zaspokojeniu żądzy, byłaby zdradą przyjaźni. Odjechać natychmiast, nie widząc więcej Jadwigi, było to bohaterskie postanowienie, które też wykonał bez zwłoki, rozkazawszy konie zaprząc do powozu.

Hrabia Nepomucen był wielce zdziwiony, gdy Ksawery nagle przyszedł się z nim pożegnać. Próbował go zatrzymać; ale Ksawery trwał w swym postanowieniu z jakimś uporem, który mu dodawał mocy. Z szablą u boku, z wojskową czapką w ręku, stał na środku salonu, a jego ordynans czekał go z płaszczem w ręku, w przedpokoju. Na zewnątrz, niecierpliwe konie biły kopytami.

Naraz drzwi się otwierają, Jadwiga idzie ku hrabiemu z niewymownym wdziękiem i z uśmiechem mu powiada:

— Chcesz odjechać, Ksawery, a zdawało mi się, że jeszcze tyle rzeczy masz mi do powiedzenia o moim Stanisławie. Czy wiesz, że twoje opowiadania były dla mnie cudownym pocieszeniem.

Ksawery zarumieniony spuścił oczy. Usiedli: hrabia Nepomucen zapewniał kilkakrotnie, że od wielu miesięcy nie widział Jadwigi w tak miłym usposobieniu. Dał znak i przyniesiono wieczerzę do salonu. Najlepsze wino węgierskie perliło się w kielichach, a Jadwiga podniosła czarę do ust ku pamięci kochanka, ojczyzny i wolności.

— Tej nocy odjadę — mówił sobie Ksawery i gdy wstali od stołu, zapytał ordynansa[244], czy powóz gotowy. Ten odpowiedział, że go wyprzągł i pomieścił[245] w wozowni na rozkaz hrabiego Nepomucena, że konie były w stajni i że woźnica chrapał już na słomie. Ksawery był zrezygnowany.

Niespodzianie zjawienie się Jadwigi przekonało go, że byłoby miłym i odpowiednim Pożądanie, Flirt
zostać i to przekonanie wywołało w nim inne. Myślał, że zasadniczą rzeczą byłoby tu zapanować nad sobą tj. oprzeć się namiętności, która by tylko jeszcze więcej rozpłomieniła chorą duszę młodej hrabianki, a dla niego byłaby fatalna; że gdyby Jadwiga przeniosła szczęście obecne nad nieokreśloną przyszłość, byłaby to wola przeznaczenia i nie było już mowy o pogwałceniu praw przyjaźni.

Nazajutrz, Ksawery, znajdując się wobec[246] Jadwigi, umiał pohamować porywy swej gorącej myśli. Umiał się zatrzymać w granicach najściślejszego konwenansu i zachować nawet chłód ceremonialny. Nadał swej rozmowie tylko charakter owej słodkawej galanterii, która jest dla kobiet fatalną trucizną. Młody jeszcze i bardzo niedoświadczony w stosunkach miłosnych, działał pod wpływem swej niewinności tak, jakby to czynił mistrz najzręczniejszy. Mówił tylko o Stanisławie i o jego nienaruszonej wierności; ale

---

kich kandydatów do jej ręki, którzy nie odgadną zadawanych przez nią trzech zagadek; *Księżniczkę Turandot* przetłumaczył na niem. Friedrich Schiller. Znacznie później na podst. sztuki Gozziego powstała sławna, nieukończona opera Giacomo Pucciniego (1858–1924), uzupełniona przez Franco Alfana, miała premierę dopiero w 1926 r. [przypis edytorski]

[244]*ordynans* — w daw. wojsku niższy rangą żołnierz pozostający w dyspozycji oficera do wszelkiego rodzaju posług, takich jak utrzymanie w czystości munduru i butów, przenoszenie przedmiotów, sprzątanie kwatery itp. [przypis edytorski]

[245]*pomieścić* — dziś: umieścić. [przypis edytorski]

[246]*znajdując się wobec* — przebywając z [przypis edytorski]

poprzez tę mowę, przebłyskiwał jego własny ogień tak, że młoda hrabianka, zabłąkana pod wpływem tej konwersacji, nie wiedziała, jak oddzielić Stanisława od Ksawerego.

Wkrótce towarzystwo młodego oficera stało się potrzebą dla Jadwigi i bywali prawie zawsze razem, w rozmowach o miłości pogrążeni. Przyzwyczajenie powoli rozproszyło pewną sztywność Jadwigi i Ksawery podobnież porzucił ceremonialność, którą chciał tak mądrze zachować. Panna podawała mu ramię i tak wraz z nim przechadzała się po parku, spokojnie pozwalała mu trzymać dłoń w dłoni, gdy, siedząc w swym pokoju, słuchała jego opowiadań o Stanisławie. Gdy nie rozważano spraw państwa i ojczyzny, hrabia Nepomucen nie wnikał w cudze myśli; inne rzeczy oglądał tylko powierzchownie; serce jego, zamarłe dla wszystkich innych zainteresowań, odbijało zwykłe obrazy życia tylko jako zwierciadło, w którym wszystko mijało, nie zostawiając śladów. Nie domyślał się zupełnie uczuć Jadwigi i z zadowoleniem tylko się przypatrywał, że zmieniła dziecinną zabawę z lalką na przystojnego młodzieńca; zauważył też z przyjemnością, że Ksawery, którego chętnie nazwałby zięciem, wkrótce mógłby zająć miejsce Stanisława.

Ksawery miał taką samą myśl. Kilka miesięcy upłynęło, a hrabianka, zdawało się coraz więcej smakowała w zalotach młodego oficera. Pewnego ranka zawiadomiono, że Jadwiga zamknęła się w swym pokoju wraz z pokojówką i nie chciała widzieć nikogo. Hrabia sądził, że to nowy paroksyzm choroby, który długo nie potrwa, i prosił Ksawerego, aby ten użył swego wpływu, by Jadwigę doprowadzić do zwykłego stanu. Ale jakież było jego zdumienie, gdy młody oficer odmówił tej prośbie: nie chciał zbliżenia z ukochaną i zmienił się całkowicie. Zamiast być śmiałym jak zwykle, drżał na wskroś, jakby widział jakie upiory; głos jego był niepewny, mowa pełna trwogi i bez związku. Zapewniał, że musi powrócić do Warszawy; że nigdy już nie będzie się widział z Jadwigą, której usposobienie naruszało równowagę jego duszy; że namiętna wierność Jadwigi przypominała mu obowiązek jego własnej wierności dla przyjaciela i że natychmiastowa ucieczka była jedynym sposobem ocalenia. Hrabia nic z tego wszystkiego nie rozumiał; zdawało mu się tylko, że obłęd jego córki udzielił się młodzieńcowi. Próbował go doprowadzić do rozsądku, ale na próżno; im bardziej nastawał, tym Ksawery był bardziej zdecydowany odjechać. W końcu młody oficer, jakby siłą nieodpartą popchnięty, rzucił się do powozu — i zniknął.

Hrabia Nepomucen, zmartwiony i rozdrażniony postępowaniem córki, nie zajmował się już nią wcale; ona zaś dłuższy czas pozostała zamknięta w swoich apartamentach i nie dopuszczała do siebie nikogo, oprócz swej pokojowej.

Pewnego ranka siedział zamyślony w swoim pokoju, cały zajęty bohaterskimi czynami człowieka, którego Polacy czczą jak bożyszcze. Naraz drzwi się otwarły i Jadwiga ukazała się w sukni żałobnej. Uroczystym krokiem ruszyła ku ojcu, upadła przed nim na kolana i zawołała:

Przeczucie

— Ojcze mój, hrabia Stanisław, mój małżonek już nie żyje; umarł, walcząc jak bohater. Jego nieszczęsna wdowa klęczy przed tobą.

Właśnie poprzedniego wieczoru hrabia otrzymał nowiny o Stanisławie, tak iż uważał całą tę scenę jako nowy atak[247] szaleństwa swej córki.

— Uspokój się, moje dziecię — powiedział — Stanisław żyje i niezadługo będzie w twym objęciu.

Na te słowa Jadwiga głęboko i boleśnie westchnęła i półprzytomna upadła na poduszki kanapy. Potem, wracając do przytomności, rzekła głosem spokojnym i silnym:

— Pozwól ojcze, że ci opowiem, jak się to wszystko stało, a zobaczysz, że jestem wdową po Stanisławie. Sześć dni temu byłam wieczorem w pawilonie, który się znajduje na krańcach naszego parku: wszystkie moje myśli były ześrodkowane na tym, którego kocham. Mimo woli czułam, jak oczy me się zamykają; nie spałam bynajmniej, czuwałam i marzyłam. Wkrótce usłyszałam pomieszaną wrzawę i nieustanne wystrzały, huczące w sąsiedztwie; wstałam i nie mało byłam zdziwiona widząc, że jestem w namiocie obozowym. Przede mną klęczał Stanisław. Porwałam go w objęcia, przycisnęłam do serca.

— Bądź pochwalony, Boże! — zawołał — ty żyjesz, tyś moja.

Powiedział mi, że po naszych zaręczynach upadłam zemdlona i wtedy przypomniałam sobie, że ojciec Cyprian, który w owej chwili również był w namiocie, połączył nas w ka-

[247] *uważał (…) tę scenę jako (…) atak* — dziś: uważał tę scenę za atak. [przypis edytorski]

plicy sąsiedniej, w obliczu armat, w czasie bitwy. Pierścień ślubny błyszczał na moim palcu. Odczuwałam radość niewymowną, gdym mogła przycisnąć do łona swego małżonka. Upojenie szczęścia kobiecego opanowało całą moją duszę. Straciłam przytomność, potem naraz dokoła zionęło lodowatym zimnem. Otworzyłam oczy... O, co za widok okropny! Znajdowałam się w samym środku bitwy; namiot, w którym siedziałam przed chwilą, był w płomieniach, a tuż obok Stanisław stał otoczony przez żołnierzy nieprzyjacielskich; towarzysze przybiegli mu na pomoc, ale było już za późno! Jeden z jeźdźców uderzeniem szabli ciął go śmiertelnie!

Jadwiga, złamana boleścią, zemdlała powtórnie. Hrabia ją orzeźwił, a jego córka rzekła uroczyście:

— Niech się stanie wola Boga. Nie przystoi mi się skarżyć, ale aż do śmierci będę wierną swemu małżonkowi. Żaden węzeł ziemski nie rozłączy mnie z nim; będę się modliła o jego zbawienie i o nasze: oto moje przeznaczenie.

Hrabia Nepomucen myślał słusznie, że tylko wstrząśnienie moralne Jadwigi wywołało te przerażające widziadła, a ponieważ panna żyła życiem samotnym i spokojnym, nie martwił się zbytnio jej położeniem, któremu — jak sądził zresztą — rychły powrót Stanisława koniec położy. Jeżeli zaś kiedy przypadkiem żartował z marzeń i snów, Jadwiga uśmiechała się boleśnie, podnosiła pierścień do ust i zalewała go pocałunkami i łzami. Hrabia z pewnym zdziwieniem zauważył, że nigdy nie widział tego pierścienia na palcu swej córki; ponieważ jednak miała ona sto sposobów, by go dostać, nie zastanawiał się dłużej nad tym. Tymczasem doniesiono mu, że hrabia Stanisław dostał się do niewoli — i ta wiadomość dotknęła go żywo. W tym czasie Jadwiga zaczęła się skarżyć na jakieś osobliwe cierpienie, którego nie mogła określić, a które przenikało całą jej istotę.

Książę Z. przybył do zamku z żoną. Matka Jadwigi umarła przedwcześnie; księżna Z. zastępowała hrabinę, a panna była do niej wielce przywiązana. Powierzyła jej swe cierpienia i żaliła się wielce, że ją traktują jako opętaną, gdy właśnie ona mogła dać najbardziej przekonywające dowody swego związku ze Stanisławem. Księżna, znając chorobę moralną panny, nie chciała jej zaprzeczać; mówiła, że czas wyjaśni wszystkie te tajemnicze okoliczności i dodawała, że w każdym razie należy się poddać woli nieba. Ale uważniejsza się stawała, gdy Jadwiga zaczynała jej mówić o swoim stanie fizycznym i o symptomatach[248] niepokojącej ją choroby. Istotnie, księżna zaczęła teraz Jadwigę obserwować z żywym współczuciem, które zdawało się rosnąć w miarę tego, jak dusza hrabianki się uspokajała. Blade policzki, sinawe wargi Jadwigi zabarwiły się na nowo, a oczy jej nabrały znów naturalnego blasku, wychudłe ciało znów się zaokrąglało; objawiła się powtórnie w całym blasku piękności i młodości. Tymczasem księżna zdawała się uważać ją jako[249] bardziej chorą niż kiedykolwiek i gdy ta zaczynała wzdychać, księżna wciąż pytała:

— Jakże się czujesz, moje dziecko? jak ci jest, co robisz?

Hrabia, książę i księżna rozważali razem, jakich środków użyć należy, by oderwać pannę od tej *idee fixe*[250], że jest wdową po Stanisławie.

Choroba

— Sądzę niestety — mówił książę — że jej obłęd jest nieuleczalny, bo jej stan fizyczny jest doskonały i tylko podtrzymuje bezład jej duszy. Tak, — mówił dalej, patrząc na księżnę, która miała wyraz twarzy bolesny — tak, Jadwiga jest zupełnie zdrowa, choć, z jej szkodą, wszyscy upieramy się, by ją traktować jako chorą.

Księżna utkwiła oczy w księciu i powoli a stanowczo odparła na to:

— Nie, Jadwiga nie jest chora, ale gdyby można było przypuścić, że się zapomniała, to mogłabym przysiąc, że jest w odmiennym stanie.

Rzekłszy te słowa, wyszła z pokoju.

Hrabia i książę spojrzeli na siebie zdumieni. Książę zaś dodał, że jego żona miewa czasem szczególne widzenia.

Hrabia odpowiedział:

— Księżna ma zupełną słuszność, uważając fakt, o jakim mówiła, za rzecz niepodobną. Ale co powiesz, gdy ci wyznam, że wczoraj, przypatrując się Jadwidze, miałem zupełnie to samo podejrzenie?

---

[248] *symptomat* — objaw, symptom. [przypis edytorski]

[249] *uważać (…) jako* — dziś: uważać za. [przypis edytorski]

[250] *idée fixe* (fr.) — natrętna myśl, pomysł, stale powracający, najczęściej nierealny. [przypis edytorski]

— W takim razie — rzekł książę trzeba poradzić się lekarza i akuszerki, aby ich opinia zniweczyła zbyt pośpieszny sąd księżnej lub też by stwierdziła naszą hańbę.

Przez kilka dni rzecz rozważano, już to przyjmując, już odrzucając różne postanowienia. Księżna nie chciała, aby wzywano lekarza, który mógłby być niedyskretny; dodała, że za parę miesięcy będzie czas na wezwanie pomocy medycyny.

— Co chcesz powiedzieć? — zawołał przerażony hrabia.

— Tak — odparła księżna — nie ma wątpliwości; albo Jadwiga jest największą obłudnicą, jaka istniała kiedykolwiek, albo była niegodziwie oszukana, gdyż jest w ciąży.

Hrabia osłupiały milczał długą chwilę; potem, przemógłszy się, błagał księżnę, aby się wszelkim sposobem dowiedziała, co za nędznik okrył jego dom niezgładzoną hańbą.

— Jadwiga — rzecze księżna — nie wie jeszcze, że ja znam jej stan. Oczekuję wszystkiego od chwili, w której powiem jej, co mi się wydaje. Zdumiona dziewczyna albo strąci maskę obłudy, albo wykaże swą niewinność w sposób cudowny, nie mam pojęcia jaki.

Tegoż wieczoru księżna znalazła się sama z hrabianką. Wzięła ją za rękę, spojrzała jej w oczy i powiedziała stanowczo:

— Moje dziecko, ty jesteś w ciąży.

Na te słowa Jadwiga podniosła ku niebu spojrzenie, w którym czytałeś błogość niewysłowioną i zawołała z uniesieniem:

— Wiem o tym, moja matko! Dawno już przeczuwałam, że jeżeli mój małżonek padł w szeregach nieprzyjaciół, to jednak czeka mnie jeszcze nieskończone szczęście. Tak jest, moment najwyższej radości, jakiej doznałam — trwa dla mnie wciąż. Ujrzę swego małżonka w owocu, jaki mi pozostawił w zakładzie po naszym słodkim związku.

Księżna czuła się tak zdumiona, że zdawało się — sama rozum utraci. Ton prawdy w słowach Jadwigi, jej uniesienie, wyznanie — usuwały wszelką myśl oszustwa i tylko obłęd mógł wyjaśnić sytuację. Opanowana tą myślą księżna, odepchnęła Jadwigę i rzekła jej gwałtownie:

— Szalona! czyż to sen, marzenie wtrąciło się w ten stan haniebny dla nas wszystkich? Czy myślisz, że mi się wykręcisz za pomocą takich opowiastek? Rozważ, przypomnij sobie wszystkie okoliczności tego, co się stało; spowiedź szczera, pełna skruchy może jedynie nas pogodzić z tobą.

Z twarzą łzami gorącymi zalaną i z sercem rozdartym, Jadwiga padła do nóg przed księżniczką i tak jej rzecze:

— Jak to! matko, i ty również traktujesz mnie jako obłąkaną wizjonerkę? Nie wierzysz, że przez kościół zostałam poślubiona Stanisławowi i że jestem jego żoną? Ale spójrz na ten pierścień, który noszę na palcu. Cóż mam ci jeszcze powiedzieć? Ty znasz mój stan — jakież mam ci ponad to dać dowody, by cię przekonać, że nie było to senne złudzenie?

Księżna zauważyła, ku niezmiernemu swemu zdumieniu, że młoda hrabianka najmniejszego nawet nie miała poczucia, jakoby popełniła błąd i nie rozumiała wcale zarzutów swej matki przybranej. Ująwszy księżnę za obie ręce i przyciskając je do serca, zaklinała się, by uwierzono we wszystko, co mówiła o swoim małżonku; ta zaś, zmieszana, już nie władnąc sobą, nie wiedziała, co odpowiedzieć biednej dziewczynie i jakiego użyć środka, by rozwikłać tę tajemnicę. W kilka dni potem, powiedziała hrabiemu i księciu, że panna upiera się przy twierdzeniu, jakoby była brzemienna za sprawą swego męża, i że sama wierzyć zaczęła w rzeczywistość tego faktu.

Obaj panowie traktowali Jadwigę jako obłudnicę i hrabia Nepomucen przysiągł, że jeżeli mu się nie uda łagodnością zwalczyć jej szalonych myśli, to użyje najsurowszych środków. Księżna przeciwnie, uważała, że wszelka surowość byłaby tu okrucieństwem bezużytecznym. Była przekonana, jak to już powiedziała, że hrabianka wyraża jak najszczerzej to, co myśli.

— Są — mówiła — tysiączne tajemnice w świecie, których jeszcze nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Czyż nie byłoby możliwe, że samo połączenie serc wywołuje wpływ fizyczny i że to połączenie doprowadziło Jadwigę do stanu, w jakim się znajduje?

Mimo gniewu i powagi okoliczności, książę i hrabia nie mogli się powstrzymać od śmiechu, słysząc to przypuszczenie; uważali je za najbardziej eteryczne, jakie wyszło kiedykolwiek z ludzkiej głowy. Księżna, rumieniąc się, wyjaśniła, że zmysłowość męska przeszkadza im rozumieć takie rzeczy; że sama przekonana jest o niewinności panny i że udają się z nią w podróż, aby ją uwolnić od podejrzeń i sarkazmów otoczenia. Hrabia przystał

na tę myśl; zważywszy bowiem, że Jadwiga bynajmniej nie ukrywała swego stanu, trzeba ją było usunąć sprzed oczu wszystkich osób znajomych.

Postanowienie to uspokoiło umysły. Hrabia był poniekąd zadowolony, widząc w tym środek osłony tego przykrego zdarzenia przed szyderstwami świata; książę zaś uważał, że jedyną rzeczą właściwą jest tu oczekiwać do czasu wyjaśnienia tej dziwnej zagadki. Goście hrabiego Nepomucena mieli już odjechać, gdy nagły przyjazd hrabiego Ksawerego R. wtrącił ich w nowy kłopot i nowe przeciwieństwa.

Rozgrzany konną jazdą, pokryty pyłem, wszedł do pokoju półprzytomny i nie witając się z nikim, nie zachowawszy żadnej z form grzeczności towarzyskiej, zawołał:

— Hrabia Stanisław umarł! nie jest w niewoli!... nie, został przez nieprzyjaciół rozsiekany! Oto dowody.

Mówiąc to, wręczył hrabiemu Nepomucenowi kilka listów, które ten pośpiesznie odczytał. Księżna rzuciła na nie okiem i spoglądając ku niebu z załamanymi rękami, wołała boleśnie:

— Jadwiga! biedne dziecko!.. Co za nieprzenikniona tajemnica!

Przekonała się, że Stanisław umarł tego samego dnia, kiedy Jadwiga roiła, że go widzi, i że wszystko ściśle się odbyło tak właśnie, jak to młoda panna opowiadała.

— Umarł! — rzecze gwałtownie Ksawery. — Jadwiga jest wolna. Nie ma już żadnej przeszkody dla mnie, który ją kocham nad życie. Proszę o jej rękę.

Nepomucen nie mógł nic odpowiedzieć.

Książę przemówił i objaśnił, że pewne okoliczności nie pozwalają na zaspokojenie tej prośby; że Ksawery nie może w tej chwili widzieć Jadwigi i że najlepiej byłoby, gdyby natychmiast powrócił do domu, jak przybył.

Ksawery odpowiedział, że zna wstrząśnienie moralne Jadwigi, o którym zapewne chciano mówić; że nie jest to bynajmniej przeszkoda, oczekiwał bowiem, że właśnie małżeństwo wyzwoli ją od tej choroby. Księżna zapewniła, że hrabianka do śmierci zostanie wierną swemu narzeczonemu i że zresztą nie ma jej w pałacu.

Ksawery wybuchnął śmiechem na te słowa i oświadczył, że prosił tylko o zgodę hrabiego, co do reszty zaś, to sam podejmuje się sprawy.

Rozgniewany tą niewłaściwą przemową Nepomucen, powiedział, że na próżno oczekuje jego zgody i radził, żeby młody człowiek natychmiast odjechał. W odpowiedzi na to Ksawery otworzył drzwi do przedpokoju, rozkazał służącemu przynieść walizę, wyprządz konie i zaprowadzić je do stajni; potem rzucił się w fotel koło okna i zapowiedział, że dopóki nie zobaczy Jadwigi i z nią się nie rozmówi, wyjdzie z pałacu chyba przemocą zmuszony. Hrabia objaśnił, że nie może mu przeszkodzić pozostać w tym domu, ale że sam uda się gdzie indziej.

Po tych słowach wyszedł wraz z obojgiem księstwem, aby ile można przyśpieszyć odjazd Jadwigi. Przypadkowo w tej chwili hrabianka swym zwyczajem przechadzała się po parku; Ksawery ujrzał ją przez okno, wybiegł za nią w pościgu i dopędził w chwili, gdy wchodziła właśnie do odosobnionego pawilonu; stan jej był już doskonale widoczny.

— O potęgi niebieskie! — zawołał Ksawery, upadając jej do nóg i zaklinał najtkliwszym błaganiem, aby jego miłości ustąpiła i aby go przyjęła za małżonka. Jadwiga, przerażona i drżąca, powiedziała mu, że jakiś demon grobowy jej go nasyła, aby pokój jej naruszyć; że będzie na zawsze wierną Stanisławowi i nigdy innego nie poślubi. Ksawery powtórzył błagania i powiedział, że się myli sama, że już mu udzieliła najsłodszych dowodów miłości, potem się podniósł, aby ją porwać w objęcia. Jadwiga wówczas, odpychając go ze zgrozą i pogardą, zawołała:

— Niedorzeczny! nie zdołasz tego sprawić, abym uchybiła swej wierności, abym unicestwiła owoc miłości, jaki w sobie noszę. Idź precz z moich oczu!

— Czyż nie ty sama — wołał Ksawery z wściekłością — czyż nie ty sama uchybiłaś tym nadprzyrodzonym przysięgom? Dziecko, które w łonie swym nosisz, jest moim dzieckiem. Mnie to pieściłaś i całowałaś na tym samym miejscu. Byłaś moją kochanką i jesteś nią jeszcze, jeżeli nie będziesz moją małżonką.

Jadwiga, rzucając mu straszliwe spojrzenie, zawołała:

— Nikczemny! — i padła zemdlona na ziemię.

Ksawery poleciał do pałacu, jakby go furie pędziły, napotkał księżnę, zaciągnął ją do izby i rzecze:

— Odepchnęła mnie ze zgrozą, mnie, który jestem ojcem jej dziecka!

— Ty, Ksawery! — zawołała księżna. — Wielki Boże, jakże to możliwe?

— Potępiaj mnie, jeśli zechcesz — odparł Ksawery — ale ktokolwiek ma krew gorącą jak moja, upadłby jak ja w takiej chwili. Ujrzałem Jadwigę w pawilonie, pod władzą jakichś dalekich, tajemniczych wpływów, których nie mogę opisać; była jakby uśpiona i rozmarzona na sofie. Zaledwie wszedłem, powstała, podeszła ku mnie i biorąc mię za rękę uroczyście, przeprowadziła mnie przez pawilon. Uklękła i ja również ukląkłem; zaczęła się modlić — i jakem to zrozumiał, wydawało się, że ksiądz jakiś jest wobec nas. Zdjęła pierścień ze swego palca i przedstawiła go księdzu; wziąłem go i dałem jej inny pierścionek. Wówczas padła mi w objęcia w miłosnym upojeniu. Gdym się oddalał, była pogrążona jakby we śnie głębokim, podobnym do zemdlenia.

— Nędzniku! — zawołała księżna. — Niegodziwy zbrodniarzu!...

Hrabia i książę weszli w tej samej chwili i dowiedzieli się w niewielu słowach o tym, co się stało. Księżna wielce była urażona, słysząc z ich ust, że zbrodnia Ksawerego jest zupełnie zrozumiała i godna przebaczenia i że jego małżeństwo z Jadwigą wszystko wyrówna.

— Nie — zawołała księżna — nigdy Jadwiga nie będzie żoną człowieka, który się ośmielił zatruć ekstazę młodej panny haniebną zbrodnią.

— Będzie moją żoną — zimnym, sardonicznym tonem rzekł Ksawery — odda mi rękę, aby ocalić honor. Pozostanę tu i wszystko się załatwi.

W tej chwili usłyszano głuchy odgłos kroków; przyniesiono Jadwigę, którą ogrodnik znalazł nieprzytomną w pawilonie. Złożono ją na kanapie i zanim księżna mogła temu przeszkodzić, Ksawery wziął ją za rękę. Naraz panna wstała; rzuciła na młodego oficera spojrzenie płomienne, wydając zarazem okrzyk, podobny do ryku dzikiego zwierzęcia. Ksawery złamany, jakby go piorun uderzył, mógł tylko zawołać:

— Konie, konie!

Na znak księżny wyprowadzono go do przedpokoju.

— Wina, wina! — dodał jeszcze. Wypił kilka szklanek, jedną po drugiej — potem skoczył na konia i odjechał najszybszym galopem.

Stan Jadwigi, bliski obłąkania, zmienił postanowienia księcia i Nepomucena. Przekonali się, że czyn Ksawerego był nie do wyrównania; chcieli posłać po lekarza, ale księżna oświadczyła, że pannie właściwie potrzebne jest pocieszenie duchowe i zamiast lekarza, wezwano ojca Cypriana, spowiednika domu. W cudowny sposób udało mu się uspokoić obłęd Jadwigi. Więcej nawet: wprowadził do jej duszy równowagę i pokrzepienie. Spokojnie rozmawiała z księżną i wyraziła życzenie, by po połogu usunąć się do klasztoru w O. i przepędzić tam życie w żałobie i pokucie.

Od tej chwili włożyła czarną zasłonę, która całkowicie jej twarz pokrywała, a której nigdy nie podnosiła. Książę napisał do burmistrza w L. i do przeoryszy klasztoru cystersanek, która miała odwieźć Jadwigę do domu, gdzie ta odbyła połóg. Tymczasem księżna miała pojechać do Włoch, rozszerzywszy wieść, że wywozi ze sobą Jadwigę.

Była północ. Powóz, mający odwieźć Jadwigę do klasztoru, stał przed bramą. Książę, księżna i Nepomucen, złamani boleścią, zebrali się, by pożegnać nieszczęsną dziewczynę. Ukazała się, w gęstej zasłonie, w towarzystwie mnicha, w sali oświetlonej pochodniami.

Pokuta

— Siostra Celestyna — mówił uroczyście ojciec Cyprian — grzeszyła za czasów swego życia światowego. Tchnienie szatana splamiło jej białość, ale ślub nieodwołalny da jej pocieszenie, spokój, szczęście wieczne; nigdy świat nie zobaczy już tej twarzy, której piękność kusiła demona. Patrzcie, tak zaczęła ona i tak wykona swą pokutę.

Przy tych słowach mnich podniósł czarny welon Jadwigi i krzyk rozdzierający wydarł się ze wszystkich ust, gdy ujrzano trupiobladą maskę, pod którą Jadwiga ukryła na zawsze swoje anielskie oblicze.

Odeszła, nie mówiąc ani słowa do ojca, który, boleścią udręczony, rychłej oczekiwał śmierci. Książę, mimo wszystką moc charakteru, zalał się łzami; księżna jedynie, zwalczywszy swe straszne wrażenia, zachowała spokój pełny religijnego poddania.

Ojciec, Dziecko, Porwanie, Śmierć

Nie wiadomo, jak Ksawery odkrył miejsce pobytu Jadwigi i dowiedział się, że dziecię, które na świat wydała, było poświęcone Kościołowi.

Porwanie syna miało wynik fatalny. Przybywszy do P., gdzie chciał go oddać w ręce kobiety zaufanej, spostrzegł z rozpaczą, że dziecko, które uważał za zemdlone z powodu mrozu, w istocie umarło. Ksawery zniknął i przypuszczano, że popełnił samobójstwo.

Pokuta

Książę Bolesław Z., podróżując po Włoszech, zatrzymał się w okolicach Posillipo[251], i udał się w góry do klasztoru kamedułów[252], pomieszczonego[253] na pewnej wyżynie, skąd można się zachwycać wspaniałym widokiem. Wstępował na jedną ze skał, które się wznoszą w ogrodzie klasztornym, gdy ujrzał mnicha, siedzącego na kamieniu; mnich trzymał brewiarz na kolanach i spoglądał na widnokrąg; twarz jego, młodą jeszcze, pomarszczyło i rozłożyło cierpienie. Przyglądając mu się bliżej, podróżny czuł, że się w nim budzi jakieś niewyraźne wspomnienie. Przybliżył się i zauważył, że książka, którą mnich miał w ręku, była to książka polska. Zagadał więc do niego w języku polskim. Ów odwrócił się z rodzajem przerażenia i zaledwie rzucił okiem na księcia, natychmiast spuścił na twarz kaptur i zniknął w gęstwinie drzew.

Książę Bolesław, opowiadając tę przygodę Nepomucenowi, zapewniał, że tym mnichem był hrabia Ksawery R.

Wybór narzeczonej

HISTORIA, W KTÓREJ ZACHODZĄ ROZMAITE NIEPRAWDOPODOBNE PRZYGODY

Rozdział I

W jesienną noc, w czas zrównania dnia z nocą, sekretarz kancelarii państwowej Tussman wyszedł z kawiarni, w której zazwyczaj przesiadywał co wieczór kilka godzin i powracał do domu. Sekretarz ten, pod wszystkimi względami ścisły i punktualny, przywykł zdejmować surdut[254] i buty dokładnie w chwili, kiedy zegary na kościołach Świętego Mikołaja i Przenajświętszej Panny biły jedenastą, tak, że przy ostatnim uderzeniu dzwonu kładł na głowę szlafmycę[255]. By tego dnia nie był spóźniony, gdyż dzwony już zaczynały swe kołysanie, przyśpieszył kroku tak, że zdawało się biegł kłusem i gdy właśnie z ulicy Królewskiej wchodził na Szpandawską, usłyszał w pobliżu szczególny hałas, który go zatrzymał na miejscu. Pod wieżą starego ratusza, przy blasku latarni ujrzał długą postać, całą w ciemny płaszcz zasnutą. Nieznajomy walił do drzwi Warnatza, handlującego żelazem, cofał się, wzdychał i podnosił wzrok ku zrujnowanym oknom wieżycy.

Czas

— Drogi panie — rzekł sekretarz tajny do tego człowieka — pan się myli. Ani jedna dusza ludzka nie mieszka na szczycie tej wieży i mógłbym nawet powiedzieć, żadna istota żywa, z wyjątkiem szczurów i myszy oraz pary sów. Jeżeli pan ma jaki interes do pana Warnatza, to musi pan powrócić jutro rano.

— Czcigodny panie Tussman...

— Sekretarz prywatny kancelarii państwowej od wielu lat — pośpieszył dodać Tussman, choć bardzo zdziwiony, że obcy zna jego nazwisko. Ten nie zwracał zupełnie uwagi na te słowa i mówił dalej:

— Czcigodny panie Tussman, myli się pan co do powodów mojej obecności w tym miejscu, nie mam żadnego interesu do pana Warnatza. Ponieważ jest to dziś równonocny moment jesieni, chcę widzieć narzeczoną. Już ona słyszała bicie mego serca, westchnienia mej miłości i wkrótce się w oknie pokaże.

Ton głosu, jakim nieznajomy wypowiedział te słowa, był tak uroczysty i tak dziwny, że sekretarz kancelarii poczuł zimny pot, oblewający naraz całe jego ciało. Pierwsze uderzenie godziny jedenastej zabrzmiało na szczycie wieży Panny Marii; w tej samej chwili usłyszano pewien szmer na wieży ratuszowej i w oknie ukazała się postać kobieca. Gdy blask latarni oświetlił tę nową twarz, Tussman żałosnym głosem szepnął:

— Sprawiedliwy Boże! Potęgi niebieskie, co znaczy ta tajemnica?

---

[251] *Posillipo* — niegdyś miejscowość nadmorska pod Neapolem, dziś willowa dzielnica Neapolu. [przypis edytorski]

[252] *kameduli* — zgromadzenie zakonne utworzone ok. 1012 przez św. Romualda z Camaldoli. [przypis edytorski]

[253] *pomieszczony* — dziś: znajdujący się. [przypis edytorski]

[254] *surdut* — część męskiej garderoby, przedłużana marynarka. [przypis edytorski]

[255] *szlafmyca* — nocne nakrycie głowy. [przypis edytorski]

Postać znikła wraz z ostatniem uderzeniem zegara — to znaczy w tej chwili, gdy Tussman miał zwyczaj wciągać na uszy szlafmycę.

To zdumiewające zjawisko, rzekłbyś, odebrało sekretarzowi przytomność. Jęczał, wzdychał, patrzył w okno i mówił sam do siebie po cichu:

— Tussmanie, Tussmanie, sekretarzu prywatny kancelarii, miej siłę ducha, nie pozwól się obłąkać własnemu sercu, nie pozwól diabłowi, by cię na manowce sprowadził.

— Zdajesz mi się bardzo wzruszony tym, co widziałeś, mój dobry panie Tussman! — rzekł nieznajomy. — Ja chciałem tylko widzieć narzeczoną; a co do ciebie, to zdaje się, doznałeś jakichś szczególnych wrażeń.

— Proszę cię, proszę — szeptał Tussman — nie odmawiaj mi moich tytulików; jestem sekretarzem tajnym kancelarii państwowej, a o godzinie, jaką mamy teraz, sekretarz jest bardzo zmieszany i przygnębiony. Przebacz mi, dostojny panie, jeżeli mu nie nadaję tytułu, jaki mu się należy; nie mogę tego uczynić wobec mej całkowitej nieświadomości wszystkiego, co dotyczy jego szanownej osoby. Ale nazywać go będę radcą tajnym, gdyż w naszym kochanym Berlinie tylu jest ludzi, co noszą ten tytuł, że używając go na chybił-trafił, rzadko kiedy się omylisz. Powiedz mi zatem, panie radco tajny, jaką to narzeczoną chciałeś widzieć o tak spóźnionej godzinie?

— Jest pan — rzekł, podnosząc głos, nieznajomy — jest pan szczególny człowiek ze swoją manią tytułów i rang. Jeżeli dla znajomości różnych spraw tajemnych i dla udzielania dobrych rad można się tytułować tajnym radcą, to niewątpliwie jestem tajnym radcą. Dziwię się, że człowiek, co jak pan czytał tyle ksiąg i rękopisów, nie wie, że gdy wtajemniczony... rozumie pan, wtajemniczony przychodzi w czas zrównania dnia z nocą, by o godzinie 11 uderzyć u stóp tej wieży, zobaczy w tym oknie dziewczynę, która aż do chwili równonocnej wiosennej będzie najszczęśliwszą narzeczoną w Berlinie.

— Panie radco tajny! — zawołał Tussman w uniesieniu nagłej radości — mój najłaskawszy radco tajny, czyżby to była prawda?

— Bez wątpienia — odrzekł nieznajomy. — Ale cóż my tak długo robimy tu na ulicy? Minęła już chwila, w której się kładziesz do łóżka. Idźmy do nowej winiarni na placu Aleksandra. I jedynie po to, abyś się mógł więcej dowiedzieć o narzeczonej i abyś na nowo odzyskał spokój ducha, który utraciłeś, nie wiem jak i dlaczego.

Sekretarz prywatny był człowiekiem, który prowadził nadzwyczaj regularne życie. Jedyną jego rozrywką było, że co wieczór parę godzin przepędzał w kawiarni i pijąc szklankę piwa, czytał gazety i broszury polityczne. Prawie nie pił wina: w niedzielę tylko, po kazaniu, wchodził do winiarni i kazał sobie podawać szklankę Malagi i biszkopt. Myśl, że ma przepędzić noc przy stole, przepełniała go dreszczem strachu; i niepodobna[256] zrozumieć, jakim sposobem dał się pociągnąć nieznajomemu i bez najmniejszego oporu poszedł z nim razem, aż się znalazł na placu Aleksandra.

Żyd

W sali, do której weszli, był już tylko jeden człowiek siedzący przy stole, z wielką szklanką wina reńskiego. Głębokie zmarszczki na jego twarzy świadczyły o podeszłym wieku. Spojrzenie miał bystre, przenikliwe, a z białej brody poznać było można Żyda, który ściśle zachował obyczaje przodków. Odziany był starą modą, jaka istniała między 1720 a 1730 r. Ale nieznajomy, którego spotkał Tussman, wyglądał jeszcze osobliwiej.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, chudy, lecz mocny, a zdawał się mieć około pięćdziesięciu lat. Twarz jego może niegdyś była ładna; wielkie oczy miały jeszcze niemało blasku młodzieńczego pod czarnymi brwiami. Czoło otwarte, nos orli, usta delikatne i okrągły podbródek, wszystko to nie bardzo go wyróżniało wśród tysiąca innych. Ale gdy jego kapelusz i spodnie były wykrajane według ostatniej mody, płaszcz i kołnierz — datowały z końca XVI w., a jego spojrzenie lśniące jak błyskawica w głębokiej nocy, przygłuszony dźwięk głosu i cała jego osoba budziła swą obecnością jakieś poczucie szczególne i niepokojące. Nieznajomy powitał jak dobrego przyjaciela starca siedzącego przy stole.

— A więc jesteś na koniec — zawołał. — Zawsze zdrów?

— Jak widzisz — odparł starzec tonem wielkości — zdrów i cały; gdy trzeba, czynny i wesoły.

[256] *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

— To kwestia, to kwestia — rzekł nieznajomy z uśmiechem i zażądał od posługacza butelki starego wina francuskiego.

— Mój szanowny i dostojny radco tajny — rzekł Tussman. Ale cudzoziemiec szybko mu przerwał:

— Dajmy spokój — rzekł — z tymi tytułami, drogi panie Tussman! Nie jestem ani radcą tajnym, ani sekretarzem tajnym. Jestem po prostu artystą, który obrabia szlachetne metale, drogie kamienie i nazywam się Leonard.

— A zatem jest to złotnik, jubiler — szeptał do siebie Tussman. Rozważył też zaraz, że na pierwszy widok cudzoziemca powinien był zrozumieć, że ten człowiek nie może być radcą tajnym, gdyż jego płaszcz i beret nie odpowiadają zupełnie osobie utytułowanej.

Leonard i Tussman siedli w pobliżu starca, który ich powitał wykrzywionym uśmiechem.

Gdy Tussman, pod naciskiem Leonarda, wypróżnił kilka szklanek wina, jego blade policzki zarumieniły się i na usta powrócił uśmiech; z zadowoleniem przyglądał się nieznajomemu, jakby najsłodsze obrazy migały mu przed okiem.

— Teraz — rzekł Leonard — powiedz mi, drogi panie Tussman, dlaczego tak osobliwie się zachowywałeś, gdy narzeczona ukazała się w oknie wieżycy i jaka myśl zajmuje cię teraz? Jesteśmy, czy wierzysz czy nie, starzy znajomi, a wobec tego zacnego człowieka nie ma potrzeby się krępować.

— O Boże! — odparł sekretarz prywatny kancelarii — o Boże!... Szanowny profesorze, pozwól, że będę cię tytułował w ten sposób, bo, że pan jest, jak sądzę, wybornym artystą, miałbyś prawo być profesorem w Akademii Sztuk Pięknych. A zatem, czcigodny profesorze, jakże zamilczeć mam przed tobą to, czym serce me jest przepełnione? Jestem, jak to mówią, konkurentem i w równonocny czas wiosenny zamierzam do swego domu wprowadzić słodką narzeczoną. Jakże nie mam być wzruszony, gdy ty mi pokazałeś szczęśliwą narzeczoną?

— Jak to? — zawołał starzec zgrzytliwym głosem. Jak to? Pan się chce żenić? Ależ pan jest na to i za stary i za brzydki.

Tussman był tak zdumiony niewiarogodną brutalnością starego Żyda, że nie mógł słowa powiedzieć.

— Nie gniewaj się na tego człowieka— rzekł Leonard — że w ten sposób mówi do ciebie; nie ma on tak złych zamiarów, jakby można przypuszczać. Ale muszę ci szczerze wyznać, zdaje mi się, że trochę zbyt późno postanowiłeś się ożenić; masz zapewne około pięćdziesięciu lat.

— Dziewiątego października, w dzień Świętego Dionizego[257] — odparł nieco żywo Tussman — kończę rok czterdziesty ósmy.

— Niechaj będzie, jak pan chce — mówił dalej Leonard — wiek nie jest przeszkodą; aż dotąd prowadziłeś proste i spokojne życie człowieka bezżennego, nie znasz rodzaju kobiecego i nie będziesz wiedział, jak załatwić tę sprawę.

— Jak załatwić sprawę? — rzekł Tussman. — Ach, drogi profesorze, traktujesz mnie, jako człowieka szczególnie lekkomyślnego i głupca, jeżeli sądzisz, że mógłbym działać na ślepo, bez rady i bez rozwagi. Obmyślałem bardzo poważnie każdy krok, jaki czynię i gdy czuję się trafiony grotem tego przewrotnego boga, którego starożytni nazywali Kupidynem[258], czyż nie jest moim obowiązkiem wytężyć wszystkie siły mego umysłu, by się dostosować należycie do swego nowego położenia? Ten, co ma zdawać trudny egzamin, czyż nie bada starannie wszystkich kwestii, o jakie mógłby być zapytywany? A więc, drogi profesorze, małżeństwo moje jest to egzamin, do którego się przygotuję i który myślę zdać ze stopniem celującym. Oto spójrz, mała książeczka, którą ciągle noszę ze sobą i którą studiuję co chwila, odkąd powziąłem postanowienie, by się kochać i by się ożenić. Patrz na nią, a przekonasz się, że sprawę badam do gruntu i że nie jestem bez doświadczenia, chociaż płeć żeńska, wyznaję, była mi dotychczas całkowicie obca.

To rzekłszy, sekretarz prywatny kancelarii otworzył małą książeczkę oprawną w pergamin i odczytał jej tytuł, który brzmiał, jak następuje:

---

[257] *Święty Dionizy* — święty katolicki, męczennik, patron Francji, wspominany 9 października. [przypis edytorski]

[258] *Kupidyn* — w mit. rzym. bóg miłości. [przypis edytorski]

„Krótki wykład mądrości politycznej, który zawiera sztukę prowadzenia siebie i prowadzenia innych w towarzystwie ludzkim. Tłumaczył z łaciny mistrz Tomasius, ku największemu pożytkowi tych, którzy chcą osiągnąć mądrość. Frankfurt i Lipsk, u spadkobierców Jana Grossa, 1710".

— Uważaj— rzekł Tussman z nader miłym uśmiechem— jak ten szanowny autor mówi, w R. VII, o małżeństwie i o przezorności ojca rodziny:

„§ 6. Nie należy się z tym zanadto śpieszyć. Ten, który się żeni w wieku dojrzałym, jest w tej sprawie o tyle zręczniejszy, o ile mądrzejszy. Małżeństwa zbyt prędko zawarte — rodzą podstęp i hańbę — i niszczą naraz ciało i duszę... Co do wyboru osoby, którą zamierzasz kochać i poślubić, oto co mówi ten doskonały Tomasius.

„§ 9. Miara średnia jest zawsze rzeczą najpewniejszą. Nie bierz kobiety ani zbyt pięknej, ani zbyt brzydkiej; ani zbyt bogatej, ani zbyt ubogiej; ani postawionej zbyt wysoko, ani też zbyt nisko: ale stanu równego naszemu, a co do innych cech — miara średnia jest najlepsza".

— Podług rad Tomasiusa — mówił dalej Tussman — nie ograniczyłem się wcale do jednej rozmowy z miłą osobą, którą sobie wybrałem; rozmawiałem wielokrotnie, gdyż, jak to czytamy w § 17 tej książeczki, można przez jakiś czas ukrywać swe wady i udawać cnoty, ale po dłuższym okresie prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa.

— Aby takie mieć stosunki — rzekł Leonard — albo, jak to pan mówi, takie rozmowy z kobietami, sądzę, że dla uniknięcia pomyłki trzeba już mieć dość znaczne doświadczenie.

— Tu — rzekł Tussman — wielki Tomasius raz jeszcze przychodzi mi z pomocą, gdyż naucza, jak należy z niewiastami prowadzić rozmowę poważną i jak w nią wtrącać miłe żarciki: Trzeba— mówi ten uczony autor w rozdziale V swego dzieła — tak używać żartu, jak kucharz soli, lub by powiedzieć lepiej, jak się używa broni nie dla ataku, lecz dla obrony.

— Widzę — rzekł złotnik — że nie można cię zwalczyć: jesteś przygotowany na wszelki przypadek i założyłbym się, że dzięki swemu postępowaniu już zdobyłeś sobie miłość wybranej damy.

— Staram się — rzekł Tussman — zdobyć ją sobie drogą uprzejmości i szacunku, gdyż jest to najnaturalniejsza oznaka miłości. Lecz nie posuwam szacunku zbyt daleko, przekonany, jak to naucza Tomasius, że kobieta nie jest ani szatanem, ani też aniołem, ale prostym stworzeniem ludzkim, kruchszym od nas co do ciała i ducha.

— Bodajeś miał zły rok! — krzyknął stary Żyd rozgniewany. — Cóż ty tu pleciesz bez końca i bez sensu i burzysz mi spokój, którego tu oczekiwałem, dokonawszy swego *opus magnum*[259].

— Milcz, starcze! — zawołał złotnik podniesiony głosem. — Bądź kontent[260], że ci tu pozwalają siedzieć, bo przy swojej brutalności jesteś niemiłym gościem, którego by należało wygnać za drzwi. Niech pan nie zwraca uwagi na tego człowieka, drogi panie Tussman. Jesteś pan zwolennikiem dawnych czasów, lubisz Tomasiusa. Co do mnie — idę dalej jeszcze: kocham tylko czas, z którym się wiąże część mego ubioru. Tak, godny sekretarzu, ów czas wart był więcej niż dzisiejszy i z tej to epoki datują wszystkie czarnoksięstwa, które widziałeś dziś na starym ratuszu.

— Jakże to, szanowny profesorze? — zapytał sekretarz.

— Niegdyś — mówił złotnik — bywały na ratuszu często gody weselne, a wyglądały one inaczej, niż dzisiejsze. Wtedy szczęśliwa narzeczona promieniała w oknie i muszę wyznać, że nasz kochany Berlin był w owym czasie bardziej ożywiony, bardziej uśmiechnięty niż dziś, gdy wszystko jest robione według jednego wzoru, gdy w nudzie nawet szukają jeszcze rozkoszy nudzenia się. W owych czasach zabawy publiczne były całkiem inne niż dzisiaj. Przypomnę tylko uroczystość odprawioną w r. 1581, kiedy elektor August Saski[261] przybył z Kolonii ze swą małżonką, synem Chrystianem i wspaniałym orszakiem szlachty. Mieszczanie Berlina, Kolonii i Szpandawy[262] ustawili się w dwa szeregi od bramy Köpenickiej aż do pałacu. Nazajutrz był huczny turniej, na którym widziano elektora saskiego, Zabawa

[259] *opus magnum* (łac.) — wielkie dzieło. [przypis edytorski]
[260] *kontent* (z fr. *content*) — zadowolony. [przypis edytorski]
[261] *August Saski* (1526–1586) — książę elektor Saksonii. [przypis edytorski]
[262] *Szpandawa* (niem. *Spandau*) — dzielnica Berlina. [przypis edytorski]

hrabiego de Barby i wielu innych, w hełmach wysokich, z chorągwiami ozdobnymi lwią głową, a na nogach mieli strój barwy ciała, by naśladować starożytnych wojowników pogańskich. Śpiewacy i grajkowie na różnych instrumentach, ukryci byli w budynku na wzór arki Noego, pięknie wyzłoconym, a na tej arce małe dziecko w materii cielistej, ze skrzydełkami, z łukiem i kołczanem, z przepaską na oczach, jak malują Kupidyna. Dwoje innych dzieci, pokrytych białośnieżnymi piórkami, o złotych oczach i dziobach gołębich, prowadziło arkę, w której brzmiała muzyka w chwili przyjazdu księcia; potem liczne gołębie wyleciały z arki, a jeden z nich, siadłszy na sobolowej czapce naszego najświetniejszego elektora, zaczął bić skrzydłami i śpiewać jakąś arię cudzoziemską, daleko piękniejszą, niż ta, jaką słyszano w 70 lat później, gdy śpiewał mistrz kapeli Bernard Pasquino Grosso z Mantui. Był potem turniej, na którym się ukazał elektor Saski i hrabia de Barby, w okręcie pokrytym materią żółtą i czarną i z chorągwią złotą. Za nimi dziecko, które dnia wczorajszego grało rolę Kupidyna, ukazało się tym razem w długiej, pstrej sukni, w czapce żółto-czarnej i z długą siwą brodą. Dokoła okrętu tańczyły i skakały osoby szlacheckiego rodu, przystrojone w głowy i ogony łososi, śledzi i innych lekkich rybek. Wieczorem o dziesiątej — puszczono ogień sztuczny, wyobrażający twierdzę oblężoną przez lancknechtów[263], którzy byli znakomitymi strzelcami i za pomocą swych arkebuzów urządzali rozmaite figle. Widziano w powietrzu, jak zapalali się i rozpryskiwali ludzie ogniści i ogniste konie, ptaki nieznane i inne nadzwyczajne zwierzęta. Zabawa ta trwała dwie godziny.

Kiedy złotnik wszystko to opowiadał, sekretarz prywatny słuchał go z wyrazem najwyższego zaciekawienia; pocierał ręce, wykrzykiwał, poruszał się na krześle i co chwila pił nowy kieliszek wina.

— Mój szanowny profesorze — zawołał wreszcie falsetem[264], jaki zwykle przybierał w ekstazie radości; mój drogi i szanowny profesorze, są to rzeczy nadzwyczajne, a ty je opowiadasz tak, jakbyś je sam był widział.

— Ba — odparł Leonard — i czemuż bym ich sam nie miał widzieć?

Tussman, nie rozumiejąc znaczenia tych zdumiewających wyrazów, chciał dalsze zadawać pytania, gdy starzec rzekł do złotnika:

— Zapominasz o najpiękniejszych uroczystościach, co to cieszyły Berlin w czasie, którego chwałę opiewasz. Nie mówisz o tych stosach, na których płynęła krew nieszczęsnych ofiar, którym za pomocą okropnych tortur wydzierano wszelkie zeznania, jakie tylko mógłby sobie wyobrazić najgrubszy przesąd.

— Ach — rzekł sekretarz prywatny — chcesz zapewne, drogi panie, mówić o tych procesach czarnoksiężników, jakie robiono dawnymi czasy. Tak, były to rzeczy złe, którym szczęśliwie kres położył nasz wiek oświecony.

Złotnik rzucił osobliwym spojrzeniem na starca i na Tussmana i z tajemniczym uśmiechem zapytał, czy znają historię intendenta skarbu, Żyda Lippolda, która się odbyła w r. 1572.

Zanim Tussman odpowiedział, Leonard zaczął mówić:

— Ten Lippold, który miał całe zaufanie elektora i któremu powierzone były finanse kraju, oskarżony został o wielkie szachrajstwa[265]; ale, czy to, że się umiał usprawiedliwić, czy też, że miał do rozporządzenia inne środki, by wykazać swą niewinność wobec elektora, czy też przekupił osoby zaufane: dość, że go uniewinniono całkowicie. Tylko straże miejskie czuwały koło jego domu, na ulicy Stralowskiej. Pewnego dnia pokłócił się z żoną, która w gniewie zawołała:

— Gdyby elektor wiedział, jakim ty jesteś niegodziwcem i ile złego możesz zrobić za pomocą swojej księgi czarnoksięskiej, to by cię upiekli na stosie!

O tych słowach doniesiono księciu, który nakazał zrobić surową rewizję w domu Lippolda. Znaleziono księgę magiczną, a ponieważ byli ludzie, co ją rozumieli, oczywista się stała zbrodniczość Żyda. Zażywał on diabelskich środków, aby uwieść swego pana i rządzić krajem. Spalono go na nowym rynku: ale gdy płomienie pożarły jego ciało

[263] *lancknecht* — żołnierz piechoty niemieckiej na przełomie XV i XVI w. [przypis edytorski]
[264] *falset* — nienaturalnie wysoki głos męski. [przypis edytorski]
[265] *szachrajstwo* — krętactwo, oszustwo. [przypis edytorski]

i przeklętą księgę, naraz[266] ze stosu wyszła wielka mysz; niejeden z widzów był przekonany, że to właśnie jest demon Lippolda.

W czasie tego opowiadania złotnika starzec siedział, oparłszy o stół ramiona i ukrył twarz w dłoniach, przy czym jęczał i wzdychał, jak człowiek, który doznaje niewymownych cierpień.

Tajny sekretarz prywatny zdawał się przeciwnie mało zwracać uwagi na to opowiadanie. Twarz jego była uśmiechnięta, a umysł zajęty wcale[267] inną sprawą. Gdy Leonard skończył mówić, sekretarz zwrócił się do niego i słodkawym głosem powiedział:

— Mój czcigodny i szanowny profesorze, czy to istotnie była panna Albertyna Voswinkel, co spoglądała na nas swymi pięknymi oczami ze szczytu wieży?

— Jak to? — odparł złotnik. — I cóż pan ma za sprawę z czarującą panną Albertyną?

— Ach — zawołał nieśmiało Tussman — ależ to jest właśnie ta miła osoba, którą postanowiłem kochać i poślubić.

— Panie — zawołał złotnik, zaczerwieniony, łyskając płomieniami w oczach — panie, sądzę, że jesteś opętany przez diabła lub całkowicie pozbawiony zmysłów: pan chce poślubić młodą Albertynę, pan, nędznik zużyty do szczętu przez lata, pan, który z całą swoją mądrością szkolną i z swoim Tomasiusem — nie widzisz nic o trzy kroki przed nosem? Nie oddawaj się ani na chwilę takim myślom albo ci kark złamię w to zrównanie dnia z nocą!

Sekretarz prywatny był człowiekiem łagodnym, spokojnym, nawet bojaźliwym, który nigdy nie odpowiadał ostro na zaczepki. Lecz odezwa złotnika była zbyt gwałtowna, a że zresztą Tussman pił więcej niż zwykle, podniósł się rozgniewany i chrapliwym głosem jął krzyczeć:

— Nie wiem, na jakiej zasadzie przypisuje pan sobie prawo mówienia do mnie w ten sposób, panie nieznajomy! Sądzę, że chciałeś sobie ze mnie zakpić szeregiem igraszek dziecinnych, i że sam ośmielasz się miłować pannę Albertynę. Narysowałeś na szkle jej portret i za pomocą latarni magicznej, którą ukryłeś pod płaszczem, pokazałeś mi na wieży starego ratusza tę miłą postać. Ale ja znam te wszystkie fortele i mylisz się, jeśli ci się zdaje, że mnie złamiesz tymi figlami i swoją grubiańską mową.

— Strzeż się — rzekł złotnik — strzeż się, bratku! Masz tu sprawę z bardzo ciekawymi ludźmi!

W tej samej chwili twarz złotnika zmieniła się w lisią głowę, która tak przeraziła sekretarza, że upadł i wywrócił się na krześle. Starzec nic a nic się nie zdziwił tą przemianą złotnika:

— Patrzcie — rzekł — co za żarty! To pusta igraszka. Ja znam lepsze, a dla ciebie za wysokie, Leonardzie!

— Pokaż — rzekł złotnik, który znów przybrał twarz ludzką i spokojnie siedział przy stole. — Pokaż, co umiesz robić.

Starzec wyjął z kieszeni wielką czarną rzodkiew, zdjął z niej dokładnie łupinę nożem, pokrajał ją na małe plasterki i położył je na stole. Za każdym razem, gdy uderzał w rzodkiew, powstawała sztuka złotej monety, którą Żyd podawał Leonardowi, a skoro tylko ów jej dotykał, złoto rozpadało się w iskierkach. Starzec rozdrażniony, że sztuki złota tak się kruszą, coraz więcej bił w rzodkiew i coraz nowe monety składał w ręce złotnika.

Sekretarz, przerażony, wyrwał się na koniec z oszołomienia i rzekł głosem drżącym:

— Moi czcigodni panowie, mam zaszczyt was pożegnać. — Po czym, pochwyciwszy laskę i kapelusz, wyskoczył z winiarni.

Na ulicy słyszał, jak dwaj zagadkowi jegomoście pękali ze śmiechu. Krew zastygła mu w żyłach.

Rozdział II

Młody malarz Edmund Lehsen zapoznał się ze złotnikiem w sposób daleko poważniejszy, niż sekretarz prywatny Tussman. Edmund siedział pewnego dnia w samotnym miejscu w parku i rysował według natury grupę drzew, gdy Leonard nadszedł i bez ceremonii poprzez ramię zaczął się przyglądać jego pracy. Edmund rysował dalej, aż złotnik zawołał:

[266] *naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]
[267] *wcale* (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

— Szczególną rzecz tu robisz, młodzieńcze; to przecież nie jest grupa drzew, to zupełnie coś innego.

— Cóż widzisz w tym rysunku? — rzekł Edmund błyskając okiem.

— Zdaje mi się — rzeki złotnik — że widzę tu z gęstwiny liści wychodzące najrozmaitsze postacie, geniusze, osobliwe zwierzęta, młode dziewczyny i kwiaty, a jednak wszystko to tworzy dość dobrze grupę drzew, poprzez które świecą promienie słońca. Artysta

— Ach, panie — rzekł Edmund — albo ma pan głębokie poczucie i przenikliwe oko, albo też byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek w tej próbie. Czy nie zdaje się panu także, gdy się oddajesz gorącemu poczuciu natury, że tysiące istot cudownych patrzy na ciebie skroś[268] drzewa o miłym spojrzeniu? To właśnie chciałem wykazać w tej kompozycji i zdaje mi się, że cel osiągnąłem.

— Rozumiem — odparł Leonard tonem suchym i zimnym — chciałeś się wyzwolić od wszelkich studiów i rozkoszować się grą własnej fantazji.

— Nie, panie — odparł Edmund — uważam ten sposób pracy według natury jako studium najlepsze i najużyteczniejsze; w tym widzę prawdziwą poezję. Malarz pejzażysta powinien być poetą, jak malarz historyczny: inaczej będzie tylko lichym uczniem.

— Niechaj Bóg czuwa nad nami! Jak to? I ty także, drogi Edmundzie Lehsen!

— Jak to, pan zna moje nazwisko?

— Czemuż bym nie miał go znać? Widziałem cię w chwili, której zapewne sobie nie przypominasz, w chwili twoich narodzin. Przy bardzo małym doświadczeniu, jakie było wówczas twym udziałem, prowadziłeś się zgoła przyzwoicie; gdyż matce swojej ból sprawiłeś niewielki i wydałeś okrzyk radości na widok światła, którego ci za moją sprawą nie odmówiono. Przekonany jestem, zgodnie z opinią nowych lekarzy, że to światło nie tylko nowonarodzonym nie szkodzi, ale owszem dopomaga ich rozwojowi fizycznemu i moralnemu. Pan ojciec był też bardzo zadowolony; skakał na jednej nodze i śpiewał arie z *Fleta zaczarowanego*[269]. Potem złożył twoją malutką osobę w moje ręce i prosił mnie, bym ci postawił horoskop, co też z miejsca uczyniłem. Bywałem częstym gościem u twego ojca i pochopnie przyjmowałeś z moich rąk rodzynki i migdały, które ci przynosiłem. Potem udałem się w podróż; miałeś wtedy sześć lub siedem lat. Po powrocie do Berlina dowiedziałem się z przyjemnością, że ojciec twój przysłał cię tutaj na studia malarskie, którym trudno by ci było poświęcić się w twojej wiosce, gdzie, o ile mi wiadomo, niewiele się znajduje obrazów, marmurów, brązów i innych dzieł drogocennych.

— Boże! — zawołał Edmund. — Teraz wszystkie wspomnienia młodości odrysowują się w moim umyśle. Czy nie jesteś panem Leonardem?

— Istotnie — rzekł złotnik. — Nazywam się Leonard, byłbym jednak bardzo zdumiony, gdybyś o mnie jakieś wspomnienie zachował.

— A jednak to prawda — rzekł Edmund. — Wiem, że twoja obecność była mi bardzo przyjemna, że mi przynosiłeś wszelkiego rodzaju łakocie i że wiele się mną zajmowałeś. Wiem, że twój widok budził we mnie jakiś trwożny szacunek i zakłopotanie, co trwało nawet po twoim zniknięciu; ale zwłaszcza wyryło mi się z pamięci to, co ojciec mój opowiadał o tobie; szczycił się twoją przyjaźnią i mówił mi, żeś go z rzadką zręcznością wydobył nieraz z kłopotliwej sytuacji; mówił też z entuzjazmem, jak to przeniknąłeś wiedzę tajemną; twierdził, że do woli władasz tajemniczymi potęgami natury, a niekiedy, wybacz, wyrażał przypuszczenie, że możesz być Ahaswerem czyli Żydem Wiecznym Tułaczem.

— Czemuż nie Szczurołapem z Hammeln, albo starym Wszędobylskim i Nigdziebylskim albo jakimś koboldem, krasnoludkiem? — odrzekł złotnik. — Ale to prawda i nie mogę zaprzeczyć, że mam w sobie pewne osobliwości, które w ludziach budzą zawsze złośliwe podejrzenia. Prawda i to, że oddałem twemu ojcu liczne i ważne usługi dzięki swym naukom tajemnym i zwłaszcza rozradowałem go horoskopem, jaki ci postawiłem przy urodzeniu.

— A więc — odparł z rumieńcem na twarzy Edmund — twój horoskop nie był świetny. Mój ojciec często mi powtarzał, że według waszej sentencji miałem zostać czymś

[268] *skroś* (daw.) — przez. [przypis edytorski]

[269] *Flet zaczarowany* — właśc. *Czarodziejski flet*. Opera skomponowana przez Wolfganga Amadeusza Mozarta w 1791 r. [przypis edytorski]

wielkim: albo wielkim artystą, albo wielkim wariatem. Ale tej to przepowiedni zawdzięczam, że ojciec dał mi zupełną swobodę w poświęceniu się karierze artystycznej; czy sądzisz, że się horoskop urzeczywistni?

— Och, niewątpliwie — odrzekł Leonard spokojnie — niewątpliwie! Bo w tej chwili jesteś na najlepszej drodze, aby stać się wielkim wariatem.

— Jak to, panie — zawołał malarz — W żywe oczy mi to mówisz?

— Od ciebie zależy — rzekł złotnik — uniknąć niebezpiecznej alternatywy mego horoskopu i zostać dobrym artystą. Twoje rysunki i szkice zapowiadają żywą i bogatą fantazję, wielką siłę wyrazu i śmiałość planu. Przy takich pierwiastkach można wspaniały gmach wybudować. Zrzecz się tych wszystkich próżnych a przesadnych wymagań mody i oddaj się poważnym studiom. Pochwalam cię, że starasz się odtworzyć godność i prostotę starej sztuki niemieckiej; ale w tych usiłowaniach nawet unikaj niebezpiecznych skał, o które inni się rozbili. Trzeba głębokiego uczucia, duszy energicznej, aby się oprzeć zniewieściałym wpływom sztuki nowoczesnej, aby ująć ducha mistrzów dawnych i przeniknąć treść wewnętrzną ich obrazów; tym sposobem jedynie poczujesz, jak zapłonie w twym sercu ogień zapału i stworzysz dzieła godne lepszego czasu. Ale dziś młodzi ludzie wyobrażają sobie, że, gdy namalują oblicza surowe, twarze łokciowe[270], szaty wydęte i kanciaste oraz fałszywą perspektywę — wykonali dzieło na sposób dawnych mistrzów. Ci naśladowcy bez ducha i bez życia są podobni do chłopów, którzy w kościołach szepcą modlitwy łacińskie, nie rozumiejąc ich treści, choć melodię umieją powtórzyć. Sztuka

Złotnik wypowiedział jeszcze niejedną rozsądną i niejedną podniosłą uwagę o sztuce i dał Edmundowi tyle dobrych wskazówek, że ten, zdziwiony, zapytał, jakim sposobem Leonard zdobył sobie tyle wiadomości, nie będąc sam malarzem i dlaczego żyje nie znany nikomu, gdy mógłby potężnie wpływać na rozwój sztuki.

— Mówiłem ci już — rzekł złotnik tonem łagodnym i poważnym — że długie i nawet cudowne doświadczenie dało przenikliwość mojej władzy sądzenia i memu spojrzeniu. Co do mego sposobu życia, to wiem, że wszędzie bym wyglądał dziwacznie, co wypływa nie tylko z mojej organizacji, ale też z poczucia pewnej potęgi, która się mieści we mnie, a wszystko to zamąciłoby mój spokojny żywot. Często myślę o człowieku, który mógłby być pod pewnymi względami moim przodkiem, a z którym utożsamiłem się tak doskonale co do ciała i ducha, że nieraz mi przychodzi osobliwa myśl, jakobym był nim samym. Ten, o którym mówię, był to Szwajcar, Leonard Turmhauser z Thurm, który, w r. 1582 żył tutaj na dworze elektora Jana Jerzego. Owymi czasy, jak to wiesz, każdy chemik był alchemikiem, a każdy astronom nazywał się astrologiem. Turmhauser był jednym i drugim. Rzecz pewna, iż dokonał rzeczy najdziwniejszych i że między innymi odznaczył się jako znakomity lekarz. Miał jednak tę wadę, że wszędzie wystawiał na widok publiczny swoją naukę, że chciał się wtrącać do wszystkiego radą i czynem. Próżność ta obudziła przeciw niemu zazdrość i nienawiść; elektora zapewniano, że Turmhauser umie robić złoto, a on tymczasem, czy że nie znał tej roboty, czy też z innych powodów uparcie odmawiał zająć się tą sprawą. Wtedy nieprzyjaciele Turmhausera jęli szeptać elektorowi:

— Patrzcie, jaki to człowiek bezczelny! Chwali się wiedzą, której nie ma, oddaje się różnym złowrogim praktykom. Powinien zginąć haniebną śmiercią, jak Żyd Lippold.

Wiadomo, że Turmhauser byl złotnikiem, a zaprzeczano mu wszelkiej nauki, której przecież dał dowody niezbite. Puszczono pogłoskę, że nie on sam ułożył, ale za pieniądze kupił mądre księgi i przepowiednie, które ogłosił.

Nienawiść, potwarz doszły do takiego stopnia, że, aby uniknąć losu Żyda Lippolda — Turmhauser musiał potajemnie uciec z kraju. Nieprzyjaciele jego mówili, jakoby miał przystać do papistów[271], ale to fałsz. Ukrył się w Saksonii i dalej prowadził swój zawód złotnika, nie wyrzekając się nauki. Ucieczka

Edmund czuł się mocno pociągniętym ku staremu złotnikowi, a ten mu się wywdzięczał zaufaniem i szacunkiem, nie tylko za pomocą poważnej krytyki, ale też ucząc go różnych tajemnic, znanych starym malarzom, co do wyrobu i mieszania farb.

Tak zadzierzgnął się między Edmundem i starym Leonardem związek w rodzaju tych, jakie się układają pomiędzy uczniem wielkich nadziei a mistrzem tkliwym i pobłażliwym.

[270] *łokciowy* — tu: ogromny (od łokcia, dawnej miary długości). [przypis edytorski]
[271] *papiści* (daw., pogardl.) — katolicy. [przypis edytorski]

W jakiś czas potem, pewnego wieczoru letniego, w parku radca Melchior Voswinkel nie mógł mimo starań zapalić żadnego ze swoich cygar; rzucał je na ziemię jedno po drugim i z gniewem krzyczał:

— O Boże, ileż to się nastarałem, ileż wydałem pieniędzy, aby te cygara sprowadzić z Hamburga! I oto mi się psuje ta miła przyjemność! Jakże teraz mógłbym się należycie przyglądać pięknej naturze i pogrążyć w użytecznych rozmyślaniach? To okropne!

Mówił niejako te słowa do Edmunda, który siedział koło niego, a którego cygaro paliło się żywo i radośnie. Jakkolwiek Edmund nie znał radcy, wyjął z kieszeni pudełko cygar i po przyjacielsku je przedstawił nieszczęśliwemu sąsiadowi, zapewniając go, że odpowiada za doskonałość tytoniu, choć ten nie pochodzi wprost z Hamburga.

Radca ożywił się nagle i pełny radości, wziął jedno z cygar, dziękując serdecznie i natychmiast je zapalił, z rozkoszą się przyglądając lekkim, srebrnym obłoczkom dymu, spiralnie w górę się unoszącym.

— O, drogi panie — zawołał — wyprowadzasz mnie z przykrego położenia. Dziękuję panu jeszcze sto razy i ośmielę się nawet być tyle bezczelnym, aby pana poprosić o drugie cygaro, kiedy to wypalę.

Edmund ofiarował mu do rozporządzenia swe pudełko i pożegnali się.

Artysta, zajęty pewnym pomysłem, który chciał namalować, przedzierać się zaczął przez tłum, aby swobodnie przebrnąć w pustszą aleję, gdy nagle radca znalazł się przed nim i pytał go życzliwie, czy nie zechciałby zasiąść z nim razem przy jednym stoliku.

Edmund już o mało co nie odmówił staremu, gdy przy stoliku, gdzie radca ofiarował mu miejsce, ujrzał młodą pannę zachwycającej piękności i wdzięku.

— To moja córka Albertyna — rzekł radca Edmundowi, który na nią spoglądał nieruchomy tak, że zapomniał się jej ukłonić. Poznał w Albertynie prześliczną osobę, którą rok temu widział na wystawie, gdy właśnie stała przed jednym z jego obrazów; wyjaśniała umiejętnie pewnej starszej damie i dwóm panienkom, które jej towarzyszyły, znaczenie tego fantastycznego malowidła. Badała kolejno rysunek kompozycji, chwaliła autora tego dzieła i mówiła, że musi to być artysta pełen talentu i że byłaby rada go poznać. Edmund, stojąc za nią, rozkoszował się tymi pochwałami, wypowiadanymi przez tak różowe usta. Serce drżało mu z trwogi i radości, i chciał się przedstawić jako twórca obrazu. W tej samej chwili Albertynie wypadła z dłoni rękawiczka. Edmund nachyla się, by ją podnieść, Albertyna podobnież — i oto uderzają się głowami; Albertyna wydaje okrzyk bólu.

Edmund cofa się przerażony, włazi na nogi małego psiaka, którego jakaś starsza dama prowadzi na sznurku, aż pies zaskowyczał; potem nasz artysta depcze odciski jakiegoś tłustego profesora, który zaryczał okrutnie i do wszystkich diabłów posyła młodzieńca. Przybiegają ze wszech stron; wszystkie lornety skierowane są na biednego Edmunda, który, śród skowytu pinczera[272], przekleństw profesora, obelg starszej pani, szyderstwa panien — ucieka zawstydzony, gdy kilka kobiet śpieszy na pomoc Albertynie i pociera jej skronie wodą pachnącą.

Miłość

W tym momencie krytycznym Edmund zakochał się, sam nie wiedząc jak i przykre uczucie niezgrabności było mu jedyną przeszkodą, że nie poszukiwał panny po wszystkich krańcach miasta. Nie mógł jej sobie wyobrazić inaczej, jak z napuchniętym czołem i z gniewem na twarzy; ale tegoż wieczoru nikt by nie dostrzegł śladów tego zdarzenia. Co prawda Albertyna bardzo się zarumieniła i była wielce zmieszana na widok młodzieńca, ale gdy radca zapytał Edmunda o imię i stanowisko, panna z uśmiechem powiedziała, że rozpoznaje w nim świetnego artystę, którego rysunki i malowidła oglądała z głębokim wzruszeniem.

Można sobie wyobrazić żywe wrażenie, jakie te słowa wywarły na młodego malarza. W zachwycie chciał pannie złożyć tysiączne podziękowania, gdy nagle radca go zatrzymał i rzecze:

— A więc, mój drogi, gdzież to cygaro, któreś mi obiecał? — Po czym mówił dalej:

— A zatem jesteś malarzem i to dobrym malarzem, jak powiada moja córka, która się na tym zna doskonale. Raduje mnie to wielce; lubię malarstwo albo raczej sztukę, żeby powiedzieć jak moja córka Albertyna. Nie dam się oszukać: jestem znawcą, prawdziwym znawcą obrazów i nikomu się nie uda zwieść mię, abym wziął Iksa za Ygreka. Powiedz mi

[272] *pinczer* — rasa małego psa. [przypis edytorski]

szczerze, drogi artysto, pominąwszy wszelką niepotrzebną skromność, czy to nie ty jesteś owym zręcznym malarzem, którego obrazy co dzień, przechodząc, oglądam, a których świetne barwy codziennie podziwiam.

Edmund nie rozumiał dobrze, o jakich obrazach chciał mówić radca. Wreszcie, rozpytawszy się należycie, znalazł, że Melchior Voswinkel miał na oku po prostu tace lakowe, ekrany i inne tego rodzaju dzieła, które istotnie oglądał co rana z prawidłowym zachwytem, przechodząc obok wystawy bogatego magazynu Staubwassera. To właśnie uważał za doskonałą sztukę. Edmund nie bardzo czuł się pochlebiony podobnym komplementem i klął radcę, który mu przeszkadzał rozmawiać z Albertyną. W końcu ktoś ze znajomych zbliżył się do radcy i wdał się z nim w długą rozmowę, z czego Edmund skorzystał, by się przybliżyć do Albertyny, która bynajmniej z tego nie była niezadowolona.

Wszyscy, którzy znają Albertynę, wiedzą, że jest to wcielenie młodości, wdzięku i piękności; że się ubiera ze smakiem według ostatniej mody, że śpiewa w Akademii Muzycznej, że brała lekcje fortepianu od najlepszych nauczycieli, że naśladować umie piruety najpierwszej tancerki, że potrafi kopiować kwiaty z doskonałą umiejętnością, że jest z natury wesoła i pełna równowagi. Każdy też wie, że nosi przy sobie mały sztambuch[273] w safianowej okładce, ze złoconymi brzegami i że wypisuje w nim sobie najpiękniejsze myśli, jakie znaleźć można w dziełach Goethego, Jean-Paula[274] i innych wybitnych pisarzy, i na koniec powszechnie wiadomo, że nie robi nigdy błędów gramatycznych.

Albertyna, siedząc obok pełnego zapału malarza, doznała wzruszenia daleko żywszego, niż je odczuwała w towarzystwie zwykłym i głosem melodyjnym szeptała miłe słowa.

Wiatr wieczorny zaczął szumieć, unosząc na skrzydłach zapach kwiatów. W gęstym gaju słowiki wyśpiewywały swoje tęsknoty miłosne. Wówczas Albertyna zaczęła mówić wiersz z poezji Fouqué'go[275]:

Szelesty i szumy wiosny
Przez gajów płyną zagłusze:
Niby sidła, żar miłosny —
Pęta nam ciało i duszę.

Ośmielony ciemnością, Edmund ujął rękę Albertyny i przycisnął ją do serca, przy czym mówił dalej:

Gdym śpiewał, to, co tak rzewnie
Wieści to życie serdeczne:
Zda się w mą pierś wnikło śpiewnie
Miłowania światło wieczne.

Panna wyrwała mu rękę, ale po to tylko, by zdjąć rękawiczkę i dłoń obnażoną pozostawić szczęśliwemu Edmundowi, który już miał ją okryć pocałunkami, gdy naraz zbliżył się radca:

— Wieczór staje się chłodny; szkoda, że nie wziąłem płaszcza lub okrycia; owiń się szalem, moja Albertyno! Jest to szal turecki, kochany panie malarzu, za który zapłaciłem pięćdziesiąt dukatów[276]. Owiń się nim i wracajmy. Do widzenia, drogi przyjacielu!

Edmund, kierowany delikatnym taktem, w tej chwili wyjął pudełko i ofiarował radcy nowe cygaro.

— Dzięki, dzięki po tysiąc razy — zawołał Mechior — jesteś niezmiernie uprzejmy. Policja nie pozwala w ogrodzie palić w czasie przechadzki, toteż cygaro wyda mi się tym lepsze.

Gdy radca zbliżał się do latarni, by zapalić cygaro, Edmund nieśmiało zapytał Albertynę, czy pozwoli sobie towarzyszyć. Wzięła go za ramię i oboje poszli razem, a gdy radca ich dogonił, zdawałoby się, że przewidział, iż Edmund wraz z nimi pójdzie do miasta.

Ktokolwiek był młody i zakochany, albo jest jeszcze młody i zakochany — zrozu- Miłość

[273] *sztambuch* — rodzaj pamiętnika, do którego wpisują się znajomi. [przypis edytorski]

[274] *Jean-Paul* — właśc. Johann Paul Friedrich Richter (1763–1825), pisarz, prekursor niemieckiego romantyzmu. [przypis edytorski]

[275] *Fouqué, Friedrich* (1777–1843) — niemiecki pisarz epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

[276] *dukat* — złota moneta bita w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

mie, że Edmund, krocząc obok Albertyny, nie sądził, że jest w lesie, ale w najwyższych obłokach, koło jakiej istoty nadziemskiej.

Strój

Według Szekspirowskiej Rozalindy[277] oto z jakich cech można rozpoznać zakochanego: policzki obwisłe, oczy podsiniałe, umysł roztargniony, broda nieuczesana, podwiązki rozplątane, czapka na wywrót położona, rękawy niezapięte, trzewiki nie zasznurowane i rozpaczliwa niedbałość we wszystkich rzeczach.

Edmund nie objawiał tych wszystkich osobliwości, ale jak zakochany Orlando niszczył wszystkie drzewa, wypisując na ich korze imię Rozalindy, tak Edmund zmarnował niemało papieru, pergaminu, płótna, farb, aby opiewać swą ukochaną lichym wierszem i aby ją rysować i malować, nie dosięgając nigdy obrazu, jaki widział w imaginacji. Ponieważ przy tym nieustannie ciężko wzdychał, zdarzyło się, że stary złotnik w krótkim czasie odkrył tajemnicę swego młodego przyjaciela. Na pierwsze zapytanie, Edmund natychmiast otworzył przed nim swe serce.

— Jak to — zawołał — czyżbyś o tym myślał naprawdę? Nie wolno kochać cudzej narzeczonej. Albertyna jest prawie zaręczona z sekretarzem tajnym Tussmanem.

Na tę okropną wiadomość Edmund wpadł w gwałtowną rozpacz. Leonard spokojnie oczekiwał, póki się jego paroksyzm[278] nie skończy i pytał go, czy poważnie marzy o małżeństwie z Albertyną. Edmund zapewniał, że to jego najgorętsze życzenie i błagał starego przyjaciela, aby ten całej swej potęgi użył, by mu dopomóc i usunąć sekretarza.

Złotnik mu odrzecze, że za bardzo właściwe uważał, aby młody artysta był zakochany, co nie znaczy, aby myślał się żenić. Tak młody Sternbald[279] nigdy się nie mógł na to zdecydować. Ta uwaga uderzyła Edmunda, który chętnie odczytywał *Sternbalda* Tiecka i bardzo by pragnął być bohaterem tego romansu.

— A więc dobrze! Niech będzie, co chce — rzekł w końcu złotnik — oswobodzę cię od twego rywala, a ty wciśniesz się do domu radcy i postarasz się przybliżyć do Albertyny. Moje operacje mogą jednak się zacząć dopiero w czas zrównania dnia z nocą.

Widzieliśmy, w jaki sposób złotnik zabrał się do rzeczy, aby usunąć sekretarza tajnego.

Rozdział III

Ze wszystkiego, co wiesz, drogi czytelniku, o prywatnym sekretarzu kancelarii Tussmanie, możesz sobie wyobrazić tego człowieka i jego maniery. Dodam, co się tyczy jego postaci zewnętrznej, że był to człowiek małego wzrostu, łysy, przygarbiony nieco i po prostu śmieszny. Nosił surdut wycięty dawną modą, z połami[280] niepomiernej długości, nie mniej długą kamizelkę, szerokie spodnie, trzewiki skrzypiące jak buty robotnika, a ponieważ, zamiast kroczyć równym krokiem po ulicach, biegł w poskokach i w susach, poły surduta, wiatrem unoszone, latały jak skrzydła. Choć jego twarz była bardzo zabawna, poczciwy uśmiech, błądzący mu po ustach, wywoływał dla niego życzliwość i lubiono go w ogóle, pomimo jego pedantyzmu i niezgrabności. Jego namiętnością było czytanie: wychodząc z domu, zawsze miał kieszenie pełne książek; czytał wszędzie, gdzie się pokazał: na przechadzce, w kościele, w kawiarni; czytał bez wyboru wszystko, na co natrafił, aby tylko była mowa o dawnych czasach, bo nowych nie cierpiał. Tak jednego wieczoru na przykład czytał w kawiarni starą algebrę, nazajutrz regulamin kawalerii Fryderyka Wilhelma I[281], potem cudowne dzieło p. t. *Cycero wyobrażony w dziesięciu mowach, jako wielki gaduła i wielki blagier*, 1720. Tussman posiadał nadzwyczajną pamięć; notował zwykle wszystko, co go w książce uderzyło, potem odczytywał swe noty i nigdy ich nie zapominał. W ten sposób stał się polihistorem[282], encyklopedią żywą, którą przerzucał każdy, co potrzebował jakiejś informacji historycznej czy naukowej. Jeżeli się zdarzyło, że nie mógł dać natychmiast żądanej wiadomości, w tej chwili zaczynał poszukiwania po wszystkich bibliotekach, aż na koniec znalazł, o co mu chodziło i powracał z radością,

Książka

[277] *Rozalinda* — bohaterka szekspirowskiej komedii *Jak wam się podoba*. [przypis edytorski]

[278] *paroksyzm* — wybuch, napad. [przypis edytorski]

[279] *Sternbald, Franz* — bohater powieści niemieckiego pisarza okresu romantyzmu Johanna Ludwiga Tiecka. [przypis edytorski]

[280] *poła* — jedna z dwóch dolnych części rozpinanego ubrania, takiego jak np. marynarka. [przypis edytorski]

[281] *Fryderyk Wilhelm I* (1688–1740) — król prusko-branderburski, członek dynastii Hohenzollernów. [przypis edytorski]

[282] *polihistor* — uczony, człowiek posiadający wiedzę z wielu dziedzin. [przypis edytorski]

przynosząc odpowiedź. Rzecz szczególna, że pozornie zaabsorbowany czytaniem, słyszał wszystko, o czym mówiono dokoła niego. Często się wtrącał do rozmowy z jakąś rozsądną uwagą, a jeżeli ktoś powiedział jakie słowo dowcipne lub zabawne, wówczas, nie podnosząc oczu od książki, przyklaskiwał głośnym śmiechem.

Radca Voswinkel był w szkole mnichów szarych z sekretarzem i od owych czasów datowała ich ścisła przyjaźń. Albertyna rosła w oczach Tussmana, a gdy miała lat dwadzieścia, przyniósł jej piękny bukiet i pocałował ją w rękę z galanterią, jakiej byś nie oczekiwał od niego. Od tego dnia radca postanowił ożenić swego starego kolegę z Albertyną; miał nadzieję, że Tussman zadowoli się skromnym posagiem[283] i w osiemnastą rocznicę urodzin córki objawił sekretarzowi projekt, który dotychczas utrzymywał w tajemnicy. Ten był przerażony słowami starego kolegi: nie śmiał oddać się zuchwałej myśli, by zawrzeć małżeństwo, a zwłaszcza z młodą panną. Z wolna jednak przywykł do tej idei i poczuł, jak serce mu zapłonęło gorącą miłością w dniu, w którym Albertyna ofiarowała mu sakiewkę wyhaftowaną własnoręcznie. Oświadczył wtedy radcy, że postanowił się ożenić, a ponieważ ten ucałował go, tytułując swym zięciem, poczciwy Tussman zaczął się uważać za małżonka Albertyny, choć panna ani słowa o tym nie słyszała i nie miała najmniejszego przypuszczenia co do tych projektów.

Nazajutrz rano po owej nocy, kiedy sekretarza spotkała dziwna przygoda pod starą wieżą ratuszową i na placu Aleksandra, ten, blady i w bezładnych sukniach, przybył do swego starego przyjaciela. Radca był niemało przerażony na widok Tussmana, przybywającego tak wczesnym rankiem i postrzegając wyraz wstrząśnień moralnych, na jego fizjonomii[284] odbity, zawołał:

— Drogi sekretarzu, skąd przychodzisz? Co znaczy ta przerażona twarz i co się zdarzyło?

Tussman rzucił się w fotel i po kilku minutach ciężkiego wzdychania, zaczął mówić drżącym głosem:

— Przyjacielu, jak mnie widzisz z tym ubraniem i *Traktatem Mądrości Politycznej* w kieszeni, przybywam z ulicy Szpandawskiej, po której tłukłem się całą noc od wczoraj. Nie wróciłem do domu; nie widziałem swego łóżka; nie zamknąłem oka.

Wówczas Tussman zaczął opowiadać wszystko, co mu się nocy poprzedniej wydarzyło, począwszy od pierwszego spotkania z bajecznym złotnikiem, aż do chwili, w której uciekł z winiarni, przerażony wszystkim, co się tam działo.

— Mój drogi sekretarzu — rzekł radca — wbrew przyzwyczajeniu piłeś za dużo i miałeś sny dziwadlane!

— Jak to? — zawołał Tussman — więc ci się zdaje, że spałem, że roiłem? Czy myślisz, że nie wiem, co to jest sen, a co marzenie? Mogę ci rozwinąć teorię Nudowa co do snu — i dowieść, że można spać bez marzeń; dlatego Hamlet mówi: Spać, może marzyć! Co do widzeń sennych, to wiedziałbyś w tym przedmiocie tyleż, co ja, gdybyś był czytał *Somnium Scipionis*[285] oraz sławne dzieło Artemidora[286] o marzeniach i *Księgę snów* wydaną we Frankfurcie. Ale ty nie czytasz nic i zawsze wydajesz fałszywe sądy.

— No, no — rzekł radca — uspokój się; wierzę ci, że wpadłeś wczoraj w ręce jakichś szarlatanów[287], którzy sobie zadrwili z ciebie i zabawili się tobą, ale powiedz mi, dlaczego opuściwszy winiarnię, nie wróciłeś do domu raczej, zamiast włóczyć się całą noc po ulicach?

— Drogi radco! — zawołał sekretarz tajny — drogi towarzyszu ze szkoły mnichów szarych, nie obrażaj mej boleści obelżywym zwątpieniem; ale dowiedz się, że ta diabelska przygoda w najlepszy sposób rozwijała się dalej, kiedy byłem na ulicy. Podszedłszy do ratusza, ujrzałem wszystkie okna oświetlone, usłyszałem odgłos tańca i wesołą muzykę z towarzyszeniem bębna janczarskiego. Nie wiem, jak się to stało, że choć nie jestem wysokiego wzrostu, jednak stanąwszy na palcach, zdołałem rozróżnić widowisko, odbywające się wewnątrz budynku. Cóżem obaczył, Stwórco niebieski!? Córka twoja, panna

[283] *posag* — dobro materialne wnoszone przez żonę przy zawarciu małżeństwa. [przypis edytorski]
[284] *fizjonomia* — rysy twarzy, wygląd. [przypis edytorski]
[285] *Somnium Scipionis* (łac.) — *Sen Scypiona*, fragment szóstej księgi *De Re Publica* Cycerona, przedstawiający wizję zaświatów. [przypis edytorski]
[286] *Artemidor z Efezu* — gr. filozof z II w. p.n.e. [przypis edytorski]
[287] *szarlatan* — oszust. [przypis edytorski]

Albertyna, przybrana w świetny strój weselny tańczyła szalenie z jakimś młodzieńcem. Uderzam w okno i wołam: „Czcigodna panno Albertyno, co czynisz, o czym myślisz w tej godzinie?" W tej samej chwili jakaś istota ohydna wchodzi z ulicy Królewskiej, w biegu odrywa mi nogi od ciała i ucieka z wybuchami śmiechu. Ja, nieszczęsny sekretarz prywatny, upadłem w błoto i krzyczę: „Straże nocne, łucznicy policyjni, patrole przezacne — przybywajcie, przybywajcie na pomoc! Zatrzymajcie nędznika, co mi ukradł nogi!" Ale naraz wszystko pociemniało i zamilkło w Ratuszu, a mój głos przepada w powietrzu. Gdy zaś ja tonę cały w rozpaczy, widziadło ukazuje się powtórnie i nogi w twarz mi ciska. Powstaję i pędzę w ulicę Szpandawską. I otóż, gdy chcę klucz włożyć we drzwi swego domu, widzę samego siebie, tak, samego siebie przed sobą; patrzę na siebie tymi samymi wielkimi, czarnymi oczami, jakie mam pod rzęsą — cofam się ze zgrozą — i wpadam na człowieka, który mnie obejmuje mocną ręką. Z halabardy[288] w jego rękach, poznaję, że to strażnik nocny: „Ach, mój miły człowieku, mówię, uczyń mi tę przyjemność i przepędź tego łajdaka, sekretarza tajnego Tussmana, abym ja, prawdziwy, uczciwy Tussman, mógł wejść do swego mieszkania".

— Zdaje mi się, żeś dostał bzika — odpowiada mi ten człowiek głosem bezdźwięcznym; i poznaję straszliwego złotnika. Zgroza mnie ogarnęła i zimnym potem zrosiło się me czoło: „Mój szanowny profesorze — rzekłem mu drżąc — wybacz mi, jeżeli w ciemności wziąłem cię za stróża nocnego. Nazywaj mnie, jak chcesz; mów „panie Tussman" po prostu albo nawet „mój kochany"; traktuj mnie jako sługę, zniosę wszystko; tylko błagam cię, uwolnij mnie od tego czarnoksięstwa, które tej nocy rzuciłeś na mnie".

— Tussman — odparł mi ten złowrogi czarownik — unikniesz na zawsze tego rodzaju przypadków, jeżeli mi przysięgniesz natychmiast, że się wyrzekasz swego małżeństwa z Albertyną.

Możesz sobie wyobrazić, drogi radco, co za wrażenie wywołały we mnie te okropne słowa.

Zazdrość

— Szanowny profesorze — odparłem — do krwi ranisz mi serce. Walc jest to taniec nieprzyzwoity, a panna Albertyna, moja narzeczona, walcowała z jakimś nieznajomym młodzieńcem w sposób taki, że traciłem zmysły. A przecież nie mogę się jej wyrzec, nie, nie mogę!

Zaledwie wyrzekłem te słowa, gdy przeklęty złotnik uderzył mnie tak gwałtownie, że zacząłem się kręcić dokoła samego siebie. Pchany jakąś niezwalczoną siłą, bez wytchnienia tańczyłem walca w ulicy Szpandawskiej i trzymałem w ręku brudną miotłę, która mi twarz drapała, gdy psy niewidzialne szarpały mi grzbiet, a tysiące sekretarzy Tussmanów kręciło się dokoła mnie z miotłami w rękach. Na koniec upadłem bez przytomności. Gdy zaczynało świtać i gdym oczy otworzył, wyobraź sobie moje przerażenie, siedziałem na koniu statuy wielkiego elektora, z głową opartą o zimne piersi ze spiżu. Szczęściem, straż była uśpiona, tak że mogłem zejść niepostrzeżony, lecz bądź jak bądź, mogłem kark złamać. Uciekłem wtedy w stronę ulicy Szpandawskiej, a jakiś przestrach niewytłumaczony pociągnął mnie ku tobie.

— Nie sądzisz chyba, drogi sekretarzu — rzekł radca — abym mógł uwierzyć w twoje wszystkie szaleństwa. Czy kto słyszał o takich czarodziejskich sztukach w naszym, tak oświeconym mieście?

— A więc — widzisz, drogi przyjacielu, jaki popełniasz błąd, że nic nie czytasz. Gdybyś tylko czytał, jak ja, *Microchronicon Marchicum* Haftitiusa, rektora dwóch szkół w Berlinie i w Kolonii, to byś wiedział, że bywało tu i wiele innych rzeczy. Ostatecznie, skłonny jestem do wiary, że złotnik to diabeł we własnej osobie, który mnie prześladuje i dręczy.

— Proszę cię, drogi sekretarzu, oszczędź mi tych dziecinnych guślarstw; uspokój się i wyznaj, żeś pił nieco za wiele i że w stanie podchmielonym wlazłeś na konia wielkiego elektora.

Sekretarz, słysząc to podejrzenie, zaczął płakać i wszelkimi siłami starał się je rozproszyć.

Radca przybrał minę poważniejszą, a ponieważ jego przyjaciel nieustannie dowodził, że wszystko odbyło się tak właśnie, jak on to opowiedział, rzekł wreszcie:

[288] *halabarda* — broń drzewcowa, dziś służy jedynie jako broń reprezentacyjna. [przypis edytorski]

— Słuchaj, im bardziej rozmyślam nad tym, co mi tu opowiadasz o złotniku i starym Żydzie, z którymi całą noc przepędziłeś na pijaństwie, wbrew swoim trzeźwym i skromnym obyczajom, tym bardziej zdaje mi się pewnym, że ów Żyd to mój stary Manasse, a złotnik — to zapewne Leonard, który czasami bywa w Berlinie. Nie czytałem tyle książek, co ty, ale to nie jest konieczne, aby wiedzieć, że ci dwaj twoi nieznajomi, są to ludzie prości i poczciwi, którzy nie uprawiają żadnych sztuk czarnoksięskich. Dziwię się, jak ty, przy swojej znajomości prawa, zapominasz o tym, że wszelka operacja magiczna jest surowo zakazana i że tu w Berlinie rząd nie ścierpiałby żadnego czarownika. Słuchaj, kochany kolego, nie chcę przystać na podejrzenie, jakie budzi się we mnie, ale mimo woli przypuszczam, że się chcesz wycofać z małżeństwa z moją córką i wymyśliłeś sobie całą tę fantasmagorię[289], aby móc mi powiedzieć:

Czary, Prawo

— Drogi radco, musimy się rozłączyć, bo jeżeli się z twoją córką ożenię, to diabeł ukradnie mi nogi i grzbiet mi rozszarpie. Źle by było z twojej strony, gdybyś mnie chciał zwieść w ten sposób.

To nowe podejrzenie wyprowadziło sekretarza z równowagi. Ze łzami w oczach przysięgał, że kocha pannę Albertynę miłością nieskończoną; że jak Leander[290], jak Troilus[291] umarłby dla niej i przystałby na wszelkie męczeństwo, nie wyrzekając się nigdy swego uczucia.

Gdy Tussman powtarzał swe zaklęcia, uderzono we drzwi i stary Manasse wszedł do pokoju. Zaledwie Tussman go zobaczył, krzyknął:

— Ojcze niebieski! Toż to ów stary Żyd, co robił sztuki złota z czarnej rzodkwi. Drugi czarownik pewnie jest niedaleko.

Mówiąc te słowa, miał się ku drzwiom, aby uciec. Radca go zatrzymał i mówi:

— Obaczmyż, co on nam powie. — Po czym, zwracając się do Manassego, powtórzył mu opowiadanie Tussmana. Manasse w sposób szczególny uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nie wiem, czego ten pan sobie życzy; przyszedł wczoraj wraz ze złotnikiem Leonardem do winiarni, gdzie piłem spokojnie szklankę wina po ciężkiej pracy całodziennej; pił nad miarę tak, że nie mógł ustać na nogach i wyszedł chwiejąc się niepewnie.

Pijaństwo

— Widzisz, mój miły! — zawołał radca. — Mówiłem ci, że wszystkie te zdarzenia pochodzą z twego przeklętego pijaństwa, z którego musisz się poprawić, jeżeli chcesz poślubić moją córkę.

Biedny sekretarz, zniweczony tym zarzutem niezasłużonym, padł nieruchomo na fotel, zamknął oczy i szeptał jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— Oto, co się z nimi dzieje — rzekł radca — piją przez całą noc, a potem są bez siły i bez rozumu.

Pomimo wszelkich zapewnień Tussman musiał pozwolić, że mu głowę obwiązano ręcznikiem i że go dorożką odwieziono do domu.

— Cóż nowego? — zapytał radca starego Żyda.

Manasse przybrał minę uśmiechniętą i odparł, że radca ani przypuszcza, jakie szczęście go czeka.

Wobec nalegań radcy Żyd powiedział, że jego siostrzeniec Benjamin Dümmerl, młodzieniec piękny, posiadacz pół miliona, odznaczony przez dwór wiedeński tytułem barona dla usług, jakie mu oddał, wrócił świeżo z Włoch, że gorąco się zajął panną Albertyną i prosi o jej rękę.

Często widać młodego barona w teatrze, gdzie się ukazuje w pierwszej loży; jeszcze częściej bywa na koncertach. Każdy wie, że jest wysoki, chudy jak szczapa, że na żółtej twarzy ma włosy kędzierzawe i brodę czarną, że zawsze jest ubrany według najdziwaczniejszej mody krawców angielskich; mówi wielu językami akcentem niemieckim, rzępoli na skrzypcach, dudni na fortepianie, kuje nędzne wiersze, sądzi malarstwo bez smaku i znajomości, udaje dowcipnego i w głupocie swej wyrokuje o wszystkim; słowem, według opinii ludzi rozsądnych, jest to figura nie do wytrzymania. Nadto, pomimo wielkiej fortuny, myśli tylko o gromadzeniu pieniędzy i ci nawet, co zazwyczaj plackiem padają wobec bogatych, uciekają od niego.

[289] *fantasmagoria* — iluzja, złudzenie. [przypis edytorski]

[290] *Leander* (mit. gr.) — kochanek poświęconej bogom Hero, co noc przepływał dla niej cieśninę Hellespont, kierując się na zapalaną przez nią lampę; utonął pewnej burzliwej nocy, gdy lampa zgasła. [przypis edytorski]

[291] *Troilus* (mit. gr.) — książę Troi, syn Priama, zakochany w Kressydzie, symbol wierności. [przypis edytorski]

Radcę w pierwszej chwili olśniło pół miliona siostrzeńca Manassego; ale wnet przyszły mu na myśl rozmaite przeszkody, czyniące proponowany mu związek — niemożliwym.

— Mój drogi Manasse — rzekł — zapominasz, że twój szanowny siostrzeniec jest starej wiary[292] i że... Chrzest

— Ach, cóż to znaczy? — odparł Żyd. Mój siostrzeniec jest zakochany w córce pana radcy; chce ją uszczęśliwić a parę kropel wody nie przestraszy go. Pomyśl o tym interesie, panie radco; za parę dni przyjdę z moim baronkiem po odpowiedź ostateczną.

Manasse się oddalił.

Radca dalej rozważał. Ale pomimo chciwości i słabości charakteru nie mógł się zdecydować na małżeństwo swej córki z tym Żydem. W porywie lojalności postanowił dotrzymać słowa staremu koledze.

Rozdział IV

W jakiś czas po zaznajomieniu się z Edmundem w ogrodzie botanicznym, Albertyna zauważyła, że portret ojca zawieszony w jej pokoju był zupełnie niepodobny i namalowany bardzo nieosobliwie. Wykazała panu radcy, że w istocie był on daleko młodszy i przystojniejszy, niż go wyobraził malarz; ganiła ponury wyraz twarzy, przestarzały kostium, którym portrecista przybrał Melchiora; ganiła bukiet róż, trzymany w palcach, ozdobionych pierścieniami diamentowymi. Portret

Tak długo przemawiała, że radca w końcu sam znienawidził swój portret i nie rozumiał, jakim sposobem niezręczny artysta mógł do tego stopnia wykrzywić jego miłą osobę; im bardziej obserwował portret, tem bardziej się w nim budził wstręt do tej ordynarnej roboty. Wreszcie kazał go zdjąć i pomieścić na strychu.

Albertyna uważała, że portret na lepsze miejsce nie zasługuje; jednakże tak nawykła widzieć w swym pokoju twarz ojca, że ta naga ściana burzyła spokój jej serca. Nie było innego środka, jak raz jeszcze zamówić portret kochanego ojca i poprosić o to umiejętnego artystę, a nie masz teraz lepszego malarza, niż młody Edmund, który wykonał tyle dzieł znakomitych.

— Córko moja, córko — zawołał radca. — Ci młodzi artyści są tak pełni dumy i tak się cenią, że za najmniejszą pracę nie lękają się żądać sum niesłychanych. Sztuka, Pieniądz

Albertyna zapewniła, że Lehsen pracował raczej przez zamiłowanie, niż z konieczności i nie będzie zbyt wymagający. Słowem tak przekonała starego, że radca postanowił zwrócić się do młodego malarza.

Można sobie wyobrazić radość, z jaką Edmund przyjął zrobioną mu propozycję i jakiego doznał uczucia, gdy się dowiedział, że to Albertyna sama namówiła ojca, aby go wybrał dla tego portretu. Naturalna więc rzecz, że widząc niepokój radcy co do wymaganej ceny, Edmund zawołał, że nie chce żadnego wynagrodzenia, gdyż czuje się aż nadto szczęśliwy, że będzie mógł użyć swych pędzli do malowania człowieka tak wybitnego, jak pan radca Voswinkel.

— Wielki Boże — rzekł zdumiony radca — cóż to ja słyszę, drogi panie Edmundzie? Jak to, żadnego wynagrodzenia! Nawet fryderyksdora[293] za płótno i farby?

Edmund opowiedział z uśmiechem, że to drobnostka, o której nie ma potrzeby mówić.

— Ale — rzekł radca głosem słodkawym — pan może nie wie, że tu idzie o portret wielkości naturalnej?

— Nic to nie znaczy — odparł Edmund.

Na te słowa radca rzucił się w ramiona młodego malarza i ze łzami rozrzewnienia w oczach mówił:

— Ojcze Niebieski! Więc jeszcze są na tym złym świecie dusze tak szlachetne i tak podniosłe! Dajesz mi swoje cygara, potem robisz mój portret! Jesteś doskonałym młodzieńcem, albo, by rzec lepiej, jesteś człowiekiem podniosłym. W tobie żyje cnota i poczciwość niemiecka dawnych czasów, o czym mówią tradycje. Ale wierz mi, choć jestem

[292] *jest starej wiary* — wyznaje judaizm. [przypis edytorski]

[293] *fryderyksdor* (z fr. *le frédéric d'or*) — złota moneta pruska, będąca w obiegu w okresie 1741–1855. [przypis edytorski]

radcą i choć noszę się po francusku, potrafię ocenić szlachetność twego ducha i mogę się pokazać nie mniej szlachetnym jak ty, Edmundzie!

Zręczna Albertyna przewidziała, co się stanie. Jej zamiary się urzeczywistniły. Radca bez wytchnienia wysławiał młodzieńca i jego bezinteresowność. Mówił, że młodzi ludzie, a zwłaszcza malarze, mają w umyśle coś fantastycznego i romantycznego, z czego wynika, że tyle wartości przypisują kwiatom powiędłym, wstążkom noszonym przez młodą pannę lub jakiejś robótce, wykonanej ładnymi jej rączkami. Pozwolił Albertynie haftować dla Edmunda małą sakiewkę, do której miałaby dodać loczek swoich jasnych włosów; wystarczało to, aby uszczęśliwić młodego artystę, a radca zobowiązał się całą sprawę objaśnić sekretarzowi Tussmanowi.

Albertyna, która jeszcze nic nie wiedziała o projektach swego ojca, nie rozumiała, dlaczego ten mówił o Tussmanie i nie zwróciła na to uwagi.

Tegoż wieczora Edmund kazał przynieść do domu radcy stawidło[294] i farby, i nazajutrz zaczęto pierwsze posiedzenie.

Prosił radcę, aby ten uniósł się myślą w najszczęśliwszy moment swego życia, jak na przykład kiedy jego nieboszczka żona przysięgła mu wieczną miłość, albo kiedy przyszła na świat Albertyna, albo kiedy zobaczył naraz[295] przyjaciela, którego miał za utraconego...

— Stój! — zawołał radca. — Mniej więcej trzy miesiące temu otrzymałem list z Hamburga, donoszący mi, że wygrałem znaczną sumę na tamtejszej loterii. Z otwartym listem w ręku pobiegłem do swej córki: nigdy nie miałem słodszego momentu w życiu. Wybierzmy ten moment i aby to było jak najoczywistsze dla wszystkich, wezmę ten list i tak go trzymać będę w ręku, jak go trzymałem wówczas.

Edmund zmuszony był malować radcę z tym listem, na którym wyraźnie czytano: „Mam zaszczyt zawiadomić WPana, że... itd.".

Na małym stoliku, postawionym obok, radca położył kopertę, na której był napis:

Edmund miał nie zapomnieć w obrazie swoim odtworzyć tej koperty wraz ze stemplem pocztowym. Wymalował człowieczka tłuściutkiego, jowialnego[296], dobrze ubranego, który miał niejakie podobieństwo z radcą, tak, że czytając adres listu nie omyliłbyś się nigdy co do osoby, wystawionej[297] na tym portrecie.

Radca był zachwycony.

— Widać z tego — mówił — jak umiejętny artysta zręcznie uchwyci to, co w fizjonomii[298] jest najprzyjemniejszego i z portretu umie zrobić obraz historyczny.

Ilekroć teraz spoglądał na swe oblicze, przypominał sobie szczęśliwy dzień, w którym wygrał na loterii i przybierał uśmiechnięty wyraz na twarzy rozlany.

Zanim Albertyna wypowiedziała to życzenie, radca prosił artystę, aby namalował także portret córki. Edmund natychmiast zabrał się do roboty; ale ten portret nie postępował tak szybko i nie udawał się tak dobrze, jak portret ojca.

Edmund rysował i ścierał, rysował znowu, zabierał się do malowania, zmieniał postawę. Już to światło było zbyt błyszczące, już to zbyt ciemne, tak że radca wreszcie stracił cierpliwość i zaprzestał bywać na posiedzeniach.

Edmund przychodził pracować rano i wieczór, a jeżeli portret mało co posuwał się naprzód, to wzamian za to stosunki młodego malarza z Albertyną z dnia na dzień lepiej się utrwalały.

Pocałunek

Niewątpliwie, drogi czytelniku, doświadczyłeś sam na sobie, że kto jest zakochany, ten, aby więcej siły nadać swoim zaklęciom, przemówieniom i westchnieniom, musi brać za rękę tę, którą kocha, przyciskać ją do serca i całować. Można powiedzieć, że jakiś pierwiastek elektryczny pociąga usta ku ustom i że ten pierwiastek objawia się w słodkich ogniach pocałunku. Nie było też nic dziwnego, że Edmund dość często opuszczał swoje malowidło, aby użyć tego serdeczniejszego środka rozmowy.

Pewnego dnia był z Albertyną około okna i aby dać, jak powiedzieliśmy, więcej wagi swoim słowom, nieustannie zbliżał do ust rękę panny.

---

[294] *stawidło* — tu: sztaluga. [przypis edytorski]
[295] *naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]
[296] *jowialny* — pogodny, żartobliwy. [przypis edytorski]
[297] *wystawiony* — dziś: przedstawiony. [przypis edytorski]
[298] *fizjonomia* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

W tej samej godzinie i w tym samym momencie sekretarz Tussman przechodził koło domu radcy, niosąc w kieszeni *Mądrość polityczną* i inne książki w pergamin oprawne, a łączące przyjemność z pożytkiem.

Choć według zwyczaju posuwał się w skokach, gdyż zbliżała się godzina, o której miał być w biurze, zatrzymał się na chwilę i rzucił spojrzenie ku oknu swej narzeczonej.

Zobaczył wtedy, niby w obłoku, Edmunda i Albertynę: nie mógł jasno ich rozróżnić, ale czuł, że mu serce uderza, nie wiadomo dlaczego. Niepokój osobliwy wywołał w nim postanowienie niespodziane, aby wstąpić do radcy w godzinie niezwykłej i iść wprost do Albertyny.

W chwili, gdy wchodził do pokoju, Albertyna mówiła bardzo wyraźnie:

— Tak, Edmundzie, kochać cię będę wiecznie — wiecznie! — I wymawiając te słowa, przyciskała młodzieńca do łona, a snop iskier rozlewał się z pierwiastku elektrycznego, o którym była mowa.

Sekretarz prywatny machinalnie ruszył naprzód; stanął nieśmiały, nieruchomy — w środku pokoju — jakby uderzony katalepsją[299].

W upojeniu radości zakochani nie słyszeli głośnego skrzypienia butów sekretarza ani też zgrzytu drzwi, które się otwarły.

Naraz falsetem przemówił głos:

— Ależ panno Albertyno!

Kochankowie przerażeni rozłączyli się. Edmund pobiegł ku stawidłu, Albertyna zaś siadła na fotel, na którym miała siedzieć dla pozowania.

— Ależ, panno Albertyno — rzekł, tchu nabierając, radca — co ty robisz? Co ty sobie myślisz? Naprzód tańcujesz walca z młodzieńcem, którego nie mam zaszczytu znać, tańczysz o północy w Ratuszu w taki sposób, że ja tracę rozum; potem w jasny dzień znajduję cię u okna... O, sprawiedliwy Boże, jest-że to zachowanie uczciwe dla narzeczonej?

— Któż tu jest narzeczoną? — zawołała Albertyna. — O kim pan mówi, panie sekretarzu prywatny? Odpowiadaj.

— O, Stwórco nieba — rzekł z jękiem Tussman — pytasz mnie jeszcze, szlachetna panienko, o kim ja mówię? O kimże, jeżeli nie o pani? Czyliż nie jesteś moją tkliwą, czcigodną narzeczoną? Twój szanowny ojciec czyż mi nie obiecał tej pięknej rączki, tak białej i tak miłej do całowania?

— Panie sekretarzu — odparła rozdrażniona Albertyna — albo już pan pił w szynkowni[300], którą zbyt często odwiedzasz, o ile mam wierzyć ojcu, albo też jesteś ofiarą szczególnego obłędu. Niepodobna[301], by mój ojciec pomyślał nawet o tym, by ci ofiarować mą rękę.

— Droga panno Albertyno — odparł sekretarz — pomyśl sobie: znasz mnie od dawna, czyż nie byłem zawsze człowiekiem trzeźwym i rozważnym, i czy mógłbym naraz oddać się pijaństwu i szaleństwu? Droga panno, zamknę oczy, zamilczę o tym, co widziałem, zapomnę o wszystkim; ale pomyśl, że mi dałaś swe przyzwolenie dziś o północy w starym Ratuszu i chociaż tańczyłaś walca tej nocy z tym młodym człowiekiem, to jednak...

— Ależ panie — zawołała Albertyna — pan bredzi jak człowiek, który uciekł z domu obłąkanych! Idź sobie — boję się pana! Idź sobie, mówię, i daj mi pokój.

Oczy biednego Tussmana zapełniły się łzami.

— O, Boże sprawiedliwy! — szeptał — Widzieć się traktowanym w ten sposób przez swoją zachwycającą narzeczoną! Nie, ja nie odejdę! Zostanę, póki nie oddasz sprawiedliwości mojej nędznej osobie.

— Wynoś się pan! — zawołała głucho Albertyna, uchodząc na drugi koniec pokoju.

— Nie — odparł sekretarz. Podług mądrych przepisów Tomasiusa powinienem zostać i zostanę tu, dopóki...

Tu rzucił się w pościgu za Albertyną. Edmund, szalonym gniewem przejęty, suwał tymczasem pędzlami po swym płótnie. Wreszcie nie mógł wytrzymać:

---

[299] *katalepsja* — zesztywnienie mięśni, zaburzenie ruchu ciała. [przypis edytorski]

[300] *szynkownia* — daw. podrzędna restauracja. [przypis edytorski]

[301] *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

— Przeklęty szatanie! — zawołał i poskoczywszy ku Tussmanowi, dwa lub trzy razy pociągnął po jego twarzy pędzlem, przesyconym zielonymi kolorami, po czym otworzył drzwi i gwałtownym uderzeniem wyrzucił go za drzwi jak strzałę.

Radca wracał do siebie w chwili, kiedy jego stary kolega, tak poplamiony farbami, wpadł mu w ramiona.

— Co za twarz! — zawołał. — Co ci się stało?

Sekretarz, zdumiony jeszcze tylu zdarzeniami, opowiedział mu w przerywanych słowach, jak go potraktowała Albertyna i jak go obraził Edmund.

Radca, zasmucony i rozdrażniony, wziął go za rękę, wprowadził go z powrotem do pokoju Albertyny i zawołał do córki:

— Cóż to ja słyszę? Czego się dowiaduję? W takiż to sposób traktuje się narzeczonego?

— Narzeczonego!? — zawołała przerażona panna.

— A więc tak, twego narzeczonego — mówił dalej radca. — Nie wiem, dlaczego zdajesz się tak wzburzona sprawą, którą ja zdecydowałem od dawna. Mój stary przyjaciel jest twoim narzeczonym i za parę tygodni odprawimy wesoło twoje zaślubiny.

— Nigdy! — zawołała Albertyna. — Nigdy nie wyjdę za pana sekretarza tajnego! Jakże mogłabym kochać tego starca?

— Cóż ty mówisz o kochaniu, cóż ty mówisz o starcu? Tu jest sprawa nie miłości, ale małżeństwa. Co prawda, mój towarzysz nie jest już lekkim młodzianem, doszedł on, tak jak ja, wieku, który słusznie nazywa się najlepszym. To chłopiec uczciwy, skromny, wykształcony, miły, a przede wszystkim mój kolega.

— Nie! — rzekła Albertyna, łkając gwałtownie. Ja go nie znoszę, ja go nie cierpię, ja czuję wstręt do niego. O, mój Edmundzie!...

Mówiąc te słowa, panna, niemal zemdlona, upadła w ramiona Edmunda, który ją przycisnął do serca.

Radca przetarł sobie oczy, jakby spostrzegł jakieś zmory i zawołał:

— Czy to możliwe? Co ja widzę?

— Tak — rzekł sekretarz płaczliwie — panna Albertyna zdaje się bardzo mało troszczyć o mnie i przeciwnie objawia nader żywą skłonność do tego młodego malarza; nie waha się go całować, gdy mnie biedakowi odmawia tej ręki, na której bym chętnie pomieścił pierścień zaręczynowy.

Radca chciał wyrwać Albertynę z ramion Edmunda, ale ten zawołał, że nie puści jej nigdy, choćby miał za to życiem zapłacić.

— Dobrze — powiedział radca z goryczą — dobrze, mój paniczu, teraz wiem, skąd wypływała twoja bezinteresowność. Chciałeś się dostać do mego domu i uwieść moją córkę! Czy sądzisz, że mógłbym oddać swą córkę tak mizernemu nędzarzowi, bazgraczowi?

Rozdrażniony tymi obelgami Edmund porwał swoją podpórkę i podniósł do góry, gdy naraz zabrzmiał u drzwi potężny głos Leonarda:

— Zatrzymaj się, Edmundzie! Żadnych gwałtów! Voswinkel szaleje; oprzytomnieje niedługo.

Radca, przerażony tem nagłem zjawieniem, odpowiedział z kąta, w którym się ukrył:

— Nie rozumiem, czego pan tu sobie życzy!

Sekretarz na widok złotnika ukrył się za sofą i szeptał, pełny niepokoju:

— O, Boże niebieski! Czuwaj nad sobą, kochany radco! Nic nie mów, stary kolego! Wielki Boże, toż to profesor, to straszliwy inicjator balu na ulicy Szpandawskiej.

— Zbliż się, Tussman — rzeki złotnik ze śmiechem — zbliż się, niczego się nie lękaj. Dość jesteś ukarany za swe szaleństwo, że się chciałeś ożenić, bo przez całe życie zachowasz twarz na zielono!

— Wielki Boże! — krzyknął sekretarz, tracąc władzę nad sobą — przez całe życie twarz na zielono! Co o tym ludzie powiedzą? Co o tym powie Jego Ekscelencja pan minister? Czyż nie będzie sądził, że ja przez jakąś głupią próżność sam się tak umalowałem? Jestem człowiek zrujnowany! Utracę posadę, bo Państwo nie może trzymać sekretarza kancelarii tajnego z twarzą zieloną! O, jakże jestem nieszczęśliwy!

— Dalej, dalej! — odparł złotnik — Nie lamentujże tak srodze. Jest jeszcze ratunek, jeżeli się zgodzisz być rozsądnym i jeżeli się zrzekniesz idei poślubienia Albertyny.

— To być nie może... to być nie powinno — wykrzyknęli naraz sekretarz i radca.

Złotnik rzucił w obu płomiennym wzrokiem; już miał gniewem wybuchnąć, gdy naraz drzwi się otwarły i stary Manasse wszedł ze swym siostrzeńcem, baronem Benjaminem Dümmerlem. Baron poszedł wprost ku Albertynie, która go nigdy w życiu nie widziała i rzekł, biorąc ją za rękę:

— Oto jestem, panno Albertyno! Przychodzę sam rzucić się pani do nóg, to znaczy, porozumiejmy się, baron Dümmerl przed nikim do nóg nie upada, nawet przed Jego Cesarską Mością. Przychodzę prosić o pocałunek.

Co rzekłszy, podszedł ku niej blisko i pochylił głowę. W tej samej chwili odbyła się przemiana, która, z wyjątkiem złotnika, wywołała u wszystkich zdumienie:

Nos barona Benjamina wydłużył się naraz tak daleko, że omal nie uderzył w ścianę. Benjamin cofnął się o parę kroków i nos się zmniejszył; zbliżył się do Albertyny, znów nos stał się kolosalny — rzekłbyś ruch trombonu.

— Przeklęty czarownik! — zawołał Manasse, rzucając radcy sznur. Chwyć pan ten sznur, zwiąż nim złotnika, wyciągnij go na podwórze i wszystko się skończy!

Radca wziął sznur, ale zamiast go rzucić w złotnika, trafił w Żyda i szyję mu obwiązał i natychmiast obaj zaczęli unosić się w górę od podłogi do powały[302] i spuszczać się z powały na podłogę, gdy nos Benjamina rósł bezustannie, a Tussman śmiał się jak obłąkany.

— Teraz — rzekł Manasse zatrzymawszy się — teraz zabierzmy się do roboty. I przeszukawszy kieszeń, wyjął z niej wielką mysz, która się rzuciła na złotnika; ale ten ją uderzył złotą igłą i mysz zniknęła, wydając pisk żałosny.

Manasse podniósł pięść przeciw radcy i krzyknął w gniewie:

Przekleństwo

— Melchiorze, spisek zrobiłeś przeciw mnie wraz z tym nędznym czarownikiem, którego wciągnąłeś do swego domu. Ale będziesz przeklęty wraz z całym swoim potomstwem i będziecie wytępieni, jako pisklęta opuszczonego ptaka; trawą zarośnie twoja siedziba, a wszystkie twe przedsięwzięcia będą jako sen głodnego, któremu się roi, że się nasyca, a który się budzi, trawiony brakiem jadła. Dałes zamieszka w twoim domu i pochłonie twoje dobro. Obdartymi łachmanami przybrany, żebrać będziesz u progu synów tego ludu bożego, którymi gardzisz, a którzy cię odepchną jako psa chorego na nosaciznę. Przeklęty, przeklęty bądź, radco Melchiorze Voswinkel!

Rzekłszy te słowa, szybko opuścił izbę wraz ze swym siostrzeńcem.

Albertyna stała pełna trwogi, głowę oparłszy o łono Edmunda; złotnik się przybliżył do młodej pary i rzekł z uśmiechem:

— Niech was te szaleństwa nie wytrącają z równowagi. Wszystko będzie dobrze, odpowiadam wam za to; ale trzeba, abyście się rozłączyli, zanim radca i sekretarz oprzytomnieją z przerażenia. — I odszedł wraz z Edmundem.

Rozdział V

Radcę bardziej uderzyły klątwy Manassego niż czarnoksięskie sztuczki złotnika. Klątwa ta była istotnie okropna, gdyż zapowiadała radcy obecność Dałesa.

Nie wiem, drogi czytelniku, czy słyszałeś o tym, co Żydzi nazywają Dałes.

Żona pewnego biednego Żyda, tak mówi Talmud[303], znalazła raz na strychu swego domku człowieka zupełnie nagiego, wyschniętego jak szkielet bez ciała, który ją prosił, by udzieliła mu schronienia i posiłku. Kobieta z trwogą zeszła po drabinie i mówi do męża:

— Człowiek nagi i głodny wszedł do naszego domu i prosi, by mieć nad nim litość. Ale jakże karmić tego obcego, gdy my sami z takim trudem zarabiamy na swe nędzne życie?

— Pójdę na górę — rzekł mąż — i pomyślę o środkach, by się go pozbyć. „Po co — rzekł obcemu — przyszedłeś schronić się u mnie, który jestem biedny i pozbawiony możności karmienia ciebie? Wstań i idź do domu bogatego, gdzie znajdziesz obfitą żywność i wspaniałe uczty".

[302] *powała* — warstwa desek służąca za sufit. [przypis edytorski]

[303] *Talmud* — w judaizmie komentarz do *Tory* (tj. do pierwszych pięciu ksiąg *Biblii*). [przypis edytorski]

— Jak to — odparł nieznajomy — chcesz mnie wygnać z kryjówki, którą znalazłem? Widzisz, że jestem nagi; nie mógłbym tak wejść do domu bogatego. Każ mi zrobić odpowiednie ubranie, a ja cię opuszczę.

Lepiej, pomyślał Żyd, użyć tej odrobiny, jaka mi została, dla usunięcia stąd tego człowieka, niż go tu zatrzymać i widzieć, jak pożera wszystko, co zarabiam z takim trudem. Zabił ostatnie cielę, którym myślał długo jeszcze żywić siebie i żonę, i kupił dla nieznajomego ubranie. Ale gdy poszedł do niego z ową szatą, człowiek ten, rano jeszcze tak mały i wychudły, stał się wielki i mocny, i ubranie było dla niego za ciasne. Biedny Żyd wpadł w rozpacz na widok tej przemiany, a nieznajomy powiada:

— Wyrzecz się szalonej myśli, że mógłbyś mnie stąd wygnać, gdyż dowiedz się: jestem Dałes.

Biedny Żyd załamał ręce i zaczął wydawać okrzyki rozpaczy.

— Boże moich ojców — zawołał — jestem rózgą gniewu Twego ukarany. Jeżeli ty jesteś Dałes, to już nie odejdziesz i rosnąć będziesz póty, póki nie pożresz wszystkiego w moim domu.

Dałes — to nędza, która wszedłszy raz gdziekolwiek, już tego domu nie opuści i coraz bardziej się rozrasta.

Jeżeli radca bał się przekleństwa Manassego, lękał się też starego Leonarda, który miał tyle czarów na usługi i którego widok budził szczególną trwogę. Ponieważ nie mógł napaść na tych dwóch ludzi, cały jego gniew spadł na Edmunda, któremu przypisywał wszystko, co się stało. Albertyna jeszcze powiększyła jego irytację, oświadczając, że kocha młodego malarza nade wszystko i nie zgodzi się nigdy wyjść za mąż za pedanta Tussmana ani za nieznośnego barona.

Radca napisał do Edmunda list, w którym całą swoją żółć wytoczył i ostatecznie zakazał mu na zawsze przestępować próg swego domu.

Wieczorem Leonard, odwiedziwszy według zwyczaju młodego artystę, znalazł go w niezmiernej rozpaczy.

— I cóż teraz — wołał Edmund — cóż mi z twej pomocy, cóż mi z tego, żeś oddalił mych współzawodników? Twoje sztuki magiczne rzuciły przestrach wszędzie i postawiłeś mi na drodze przeszkody nie do przebycia. Z sercem rozdartym opuszczę kraj, pojadę do Rzymu.

Małżeństwo, Sztuka, Sława

— A więc — rzekł złotnik — działając w ten sposób uczynisz właśnie to, czego pragnąłeś. Przypomnij sobie, że gdyś mi po raz pierwszy mówił o swej miłości do Albertyny, powiedziałem ci, że według mnie młody artysta powinien być zakochany, ale nie natychmiast myśleć o małżeństwie. Przedstawiłem ci wtedy półżartem przykład młodego Sternbalda; jeżeli chcesz zostać godnym chwały malarzem, wyrzecz się wszelkiej myśli o małżeństwie. Jedź do ojczyzny sztuk, studiuj z zapałem pomniki — a wtedy osiągniesz talent rzeczywisty, wykonawszy dzieło, które ci zdoła tutaj wyrobić imię.

— Ach — odparł Edmund — jakież popełniłem szaleństwo, żem ci powierzył swe uczucia! Widzę, że ty, od którego czekałem skutecznej pomocy, że ty właśnie działasz przeciw mnie i masz przyjemność w burzeniu moich najsłodszych nadziei.

— Młodzieńcze — rzekł złotnik — pomiarkuj swe wyrażenia; bądź mniej gwałtowny i pomyśl, żeś za mało doświadczony, aby przeniknąć moje zamiary. Ale ja ci przebaczam przez szacunek dla twojej miłości.

— Gdybym miał możność zaślubienia Albertyny — odparł malarz — gdybym był z nią zaręczony, pojechałbym do Włoch; przepędziłbym tam rok jeden studiów i powróciłbym rozradowany do tej, którą kocham.

— Jak to, Edmundzie? — zawołał złotnik — Czyż to naprawdę twój projekt?

— Niewątpliwie — odpowiedział malarz. — Miłość, jaką czuję dla Albertyny, nie zagasiła we mnie zapału do sztuki.

— Czy możesz mi dać słowo — rzekł Leonard — że gdy przyrzeczoną ci będzie ręka Albertyny, natychmiast pojechałbyś do Italii?

— Tak, to jest moje postanowienie i wykonam je, co bądź się stanie.

— A zatem — rzekł złotnik wesoło — nabierz odwagi. To postanowienie zapewnia ci narzeczoną. Daję ci słowo, że za parę dni Albertyna będzie ci zaręczona. Jestem w możności to uczynić, nie wątp w to.

Radość i zapał błysły w oczach Edmunda i złotnik się oddalił, pozostawiając swego młodego przyjaciela w najrozkoszniejszych oczekiwaniach. —

W oddalonej części parku sekretarz kancelarii siedział pod wielkim drzewem, jak rycerz raniony, który opowiada swe cierpienia niewiernym podmuchom jesieni.

— O, Boże sprawiedliwy! — wołał — Nieszczęśliwy sekretarzu tajny, czymże to zasłużyłeś na obelgi, jakich doznałeś?

Czyż Tomasius nie mówi, że małżeństwo nie jest bynajmniej przeszkodą ku osiągnięciu mądrości? A przecież, odkąd zacząłeś myśleć o małżeństwie, utraciłeś prawie wszystką jasność swej inteligencji! Z czegóż wynika ten wstręt, jaki miła panna Albertyna odczuwa względem twej osoby, obdarzonej tak chwalebnymi zaletami? Czy jesteś politykiem, który żenić się nie powinien, czy też jurystą[304], który według zasad Kleobula uważa za swój obowiązek bić żonę, ilekroć ta jaki błąd popełni? O sprawiedliwe nieba, co za klęska! Czemu, drogi sekretarzu tajny, musisz być w wojnie otwartej przeciw czarnoksiężnikom, którzy twą zacną twarz biorą za płótno i mażą ci ją bezwstydnym pędzlem, nieprzyzwoicie i haniebnie! O, to straszliwe nieszczęście! Miałem jeszcze ufność w mego przyjaciela Strecciusa, wielkiego chemika; ale wszystkie jego wysiłki były bezużyteczne. Im bardziej twarz myję wodą, którą mam od niego, tym bardziej staję się zielony, choć ta zieloność zmienia ciągle ton i moja twarz kolejno wyobraża barwy wiosny, lata i jesieni. Tak, ten fatalny kolor doprowadzi mnie do zniszczenia i jeżeli mnie zima nie pobieli, to żywot mój skończy się! Oddaję się rozpaczy i rzucam się do sadzawki.

Tussman słusznie bardzo żalił się w ten sposób. Barwa jego twarzy nie była wcale zwykłym kolorem: był to rodzaj malowidła wciśniętego w skórę. We dnie nie miał odwagi wychodzić inaczej, jak wciskając kapelusz na czoło i zakrywając sobie twarz chustką; wieczorem pędził po ulicach galopem, gdyż lękał się naraz szyderstwa dzieci i spotkania jakiego urzędnika ze swego biura, w którym się nie pokazywał pod pozorem choroby.

Samobójstwo

Zdarza się często, że odczuwamy silniej nasze cierpienia w milczeniu nocy, niż wśród wrzawy dnia; a im gęstsze były chmury, im żałośniej wicher jesienny wzdychał w lesie, tym Tussman mocniej odczuwał ciężar swej nędzy. Straszliwa myśl, by położyć koniec swemu nieszczęsnemu żywotowi i rzucić się w sadzawkę, opanowała go z taką mocą, że ją uważał jako głos przeznaczeń.

— Tak — zawołał drżącym głosem, wstając z pod drzewa — tak, biedny sekretarzu tajny, oto koniec twój nadszedł, żaden Tomasius nic ci nie pomoże. Giń, dobry Tussmanie! Żegnaj, okrutna Albertyno! Nie zobaczysz już nigdy narzeczonego, któregoś odepchnęła tak bezlitośnie.

Samobójstwo, Książka

Rzucił się w stronę sadzawki, którą przy mdłym oświetleniu zmierzchu widział w pobliżu i zatrzymał się u brzegu. Myśl o bliskiej śmierci zapewne pomieszała mu rozsądek, gdyż zaczął śpiewać ten refren piosenki angielskiej: „Zielone są łąki, zielone są łąki!" Potem rzucił w wodę *Mądrość polityczną, Podręcznik dworski i Sztukę przedłużenia życia* Hufelanda. Zamierzał teraz iść śladem swoich ukochanych książek, gdy poczuł, że go zatrzymuje naraz jakieś mocne ramię.

W tej samej chwili usłyszał głos przeklętego złotnika, który mówił:

— Tussmanie, co robisz? Proszę cię, nie oddawaj się tak swemu szaleństwu!

Sekretarz starał się użyć wszystkich sił, aby się wyrwać z ramion złotnika; mówił mu:

— Panie profesorze, jestem w ostatniej rozpaczy i wszystkie moje wahania się kończą. Proszę cię, profesorze, przebacz nieszczęsnemu sekretarzowi prywatnemu, który zna wymagania światowe. Jestem zrozpaczony i powiem bez obwijania w bawełnę: chciałbym, aby diabeł cię porwał wraz z twymi wszystkimi czarodziejstwami.

Złotnik puścił sekretarza, który upadł bez duszy na wilgotny trawnik.

Sądząc, że już jest w wodzie, Tussman zawołał:

— O, wierna śmierci! O, zielona łąko! Żegnaj, panno Albertyno. Żegnaj, czcigodny radco! Nieszczęsny narzeczony jest pośród żab, które sławią Pana w dni letnie.

— Uważaj, Tussman — rzekł złotnik — tracisz rozum i jesteś w stanie godnym litości. Chciałeś mnie tylko co wysłać do piekła. Co byś rzekł, gdyby ci tu sam diabeł kark złamał?

[304] *jurysta* (daw.) — prawnik. [przypis edytorski]

Tussman jęczał, wzdychał, febra[305] trzęsła całym jego ciałem.

— Ale — mówił dalej złotnik — ja nie jestem zły i przebaczam ci twoje rozpaczne okrzyki. Wstań i idźmy stąd.

Złotnik pomógł sekretarzowi się podnieść, ten zaś mruczał:

— Jestem w twojej mocy, wielce szanowny profesorze. Z ciałem mym uczyń, co zechcesz, ale oszczędź moją duszę.

— Nie bredź — rzekł złotnik, biorąc sekretarza za ramię i poprowadził go ze sobą. Naraz się zatrzymał i rzecze:

— Jesteś cały zamoczony, pozwól, że ci przynajmniej twarz wytrę. — To mówiąc, pociągnął białą chustką po jego twarzy.

Ujrzawszy poprzez drzewa światła kawiarni Webera, Tussman z przerażeniem zawołał:

— W imię Boga, dokąd mnie prowadzisz? Przez litość, nie idźmy w tłum, nie mogę się pokazać; moja obecność wywołałaby skandal.

— Nie wiem, co znaczy twój wstręt do ludzi. Musisz koniecznie wypić szklankę ponczu, inaczej z zimna dostaniesz febry. Choć ze mną.

Na próżno sekretarz lamentował, mówiąc wciąż o swojej twarzy zielonej; złotnik żadnej uwagi nie zwracał na jego słowa i ciągnął go z siłą nieodpartą. Wchodząc do sali i spostrzegłszy parę osób przy stole, Tussman zakrył sobie twarz chustką.

— Po cóż ta przezorność? Masz uczciwe oblicze.

— Ach, Boże! — zawołał sekretarz — ty wiesz, mój czcigodny profesorze, jak to w gniewie — młody malarz pozielenił mi twarz.

— Co za szaleństwo! — odparł złotnik, ciągnąc z siłą sekretarza przed zwierciadło, w którem się odbijało światło lamp.

Tussman spojrzał w zwierciadło i wydał okrzyk niespodzianej radości.

Nie tylko okropna barwa zielona, którą go zachlapano, zniknęła, ale twarz Tusmana była pokryta kolorytem żywszym, tak, iż zdawał się odmłodzony. W uniesieniu Tussman podskoczył do góry i zawołał głosem rozrzewnionym:

— Co widzę, dostojny, doskonały profesorze! Tobie zawdzięczam tę szczęśliwość; teraz panna Albertyna, dla której chciałem się utopić w stawie, nie odmówi już mi ręki i za małżonka mię przyjmie. Tak, wyrwałeś mnie z okropnej rozpaczy. Jesteś moim zbawcą, moim dobroczyńcą...

— Nie zaprzeczę — odparł złotnik — że ja to ci starłem ten zielony kolor z twarzy i widzisz stąd, że nie jestem ci bynajmniej tak nieprzyjazny, jak, zdaje się, przypuszczałeś. Potępiam tylko szaloną myśl, jaką powziąłeś na skutek propozycji pana radcy, że chcesz zaślubić młodą pannę. Ale nie chcę bynajmniej burzyć twych projektów, chcę tylko radzić ci, abyś nie czynił żadnych starań kolo panny Albertyny, aż do przyszłej niedzieli w południe: wówczas dowiesz się reszty. Jeżelibyś próbował zobaczyć się z nią przedtem, to ci tak każę zatańczyć, że oszalejesz; zmienię cię w żabę, strącę cię na dno sadzawki parkowej, gdzie będziesz siedział do końca życia. Żegnaj. Pewna sprawa wzywa mnie do miasta; nie możesz iść za mną. Do widzenia.

Złotnik słusznie powiedział, że Tussman nie może iść za nim, gdyż oddalił się, jakby miał buty siedmiomilowe. Po chwili wpadł jak widmo do izby pana radcy i surowym głosem powiedział mu: „Dobry wieczór!" Radca, przerażony tym zjawieniem, próbował nabrać ducha i pytał złotnika, po co przybywa do niego tak późno, prosząc go, aby się zechciał wycofać i nie rozpoczynał znów swego kuglarstwa[306].

— Oto jacy są ludzie — odrzekł spokojnie Leonard — a zwłaszcza radcy! Odpychają tych właśnie, do których by powinni mieć jak najwięcej zaufania. Grozi ci, drogi przyjacielu, wielkie nieszczęście i śpieszę do ciebie wśród nocy, aby ci dać dobrą radę i odwrócić cios, który może cię złamać.

— O Boże! — zawołał radca wystraszony — czy mi chcesz donieść jeszcze o jakiem bankructwie w Hamburgu, w Bremie, w Londynie? Czyż jestem człowiek zrujnowany? O, nieszczęście!

— Nie — odparł złotnik — idzie tu o coś zupełnie innego. Nie chcesz oddać Edmundowi ręki Albertyny?

---

[305] *febra* (daw.) — gorączka. [przypis edytorski]

[306] *kuglarstwo* — żonglerka, magiczne sztuczki. [przypis edytorski]

— Jak to! — zawołał radca — Znów zaczynasz te głupie propozycje? Ja miałbym wydać córkę za jakiegoś żebraka bazgracza?

— A jednak — rzekł złotnik — bardzo dobrze odmalował i ciebie, i twoją córkę.

— Ach, ach! — odsarknął radca — to byłby ładny targ! Córka za dwie malowanki! Odesłałem mu te nędze.

— A więc, jeżeli mu nie dasz Albertyny, Edmund się zemści.

— Chciałbym też wiedzieć, jak ten cygan, ten smarkacz, mógłby się zemścić nad radcą komisyjnym Melchiorem Voswinklem?

— Powiem ci zaraz, szanowny panie radco. Edmund z lekka twój portret przemaluje. Zamiast uśmiechniętego wyrazu twarzy da ci rysy wykrzywione, minę ponurą, oczy przygasłe, wargi obwisłe. Narysuje mocniej zmarszczki na ustach i na czole, i nie zapomni licznych siwych włosów, które ukrywasz tak starannie. Zamiast miłego listu, który cię zawiadamia o wygranej na loterii, da ci do ręki ten, który otrzymałeś wczoraj, a który ci donosi o bankructwie domu Campbell i Sp. Na kopercie napisze: Chybionemu radcy Dworu i t. d....; albowiem przed sześciu miesiącami na próżno się starałeś o uzyskanie tego tytułu. Z twoich kieszeni dziurawych wylatywać będą dukaty, papiery skarbowe, symbol wszystkich strat, jakie cię dotknęły. Portret wystawiony będzie u handlarza obrazów w pobliżu Banku.

— Do tysiąca diabłów! — zawołał radca. — Niechże spróbuje czegoś podobnego. Sąd i policję zawezwę na pomoc.

— Ale — odparł złotnik z tym samym spokojem — w ciągu kwadransa pięćdziesiąt osób zobaczy ten portret, a w niedługim czasie opowiadać sobie o nim będą w najrozmaitszy sposób w całym mieście! Wszystkie śmieszności, wszystkie głupstwa, jakie ci przypisują, odtworzone będą w daleko żywszej barwie. Ktokolwiek cię napotka, śmiać się będzie z ciebie w oczy i co gorsza, mówić będą wciąż o twoich stratach z powodu bankructwa domu Campbell — i będzie to klęska dla twego kredytu.

— O Boże! — zawołał radca — nędznik jutro o samym świcie musi mi oddać płótno!

— A gdyby ci oddał, o czym wątpię, na cóż ci się to przyda? Wyryje cię, jak mówiłem, na płycie miedzianej, odbije w setkach egzemplarzy i roześle do wszystkich wielkich miast handlowych, do Hamburga, do Bremy, do Lubeki, do Londynu.

— Ach, dosyć, dosyć! — zawołał radca. — Powiedz temu człowiekowi, daj mu pięćdziesiąt, a nawet sto dukatów, aby się wyrzekł tej okropnej myśli.

— Ha, ha! — rzekł ze śmiechem złotnik. — Zapominasz, że Lehsen nie potrzebuje pieniędzy, że jego rodzice są zamożni i że ciotka od dawna zabezpieczyła mu fortunę, która wynosi osiemdziesiąt tysięcy dukatów.

— Jak to — zawołał zdumiony radca — osiemdziesiąt tysięcy dukatów?... Słuchaj, panie Leonardzie, mnie się zdaje, że moja Albertyna jest bardzo zakochana w młodym malarzu. Jestem dobrym człowiekiem, tkliwym ojcem rodziny, który nie umie się opierać łzom ani błaganiom; zresztą Edmund mi się podoba, jest to dzielny artysta, a ja jestem wielkim miłośnikiem sztuki. Ten kochany Edmund ma wielkie zalety... osimdziesiąt tysięcy dukatów!... Tak jest, Leonardzie, z dobroci serca oddaję swą córkę temu wybornemu chłopcu.

— Teraz — przemówił złotnik — muszę ci opowiedzieć zabawną historię. Wracam z parku. Koło wielkiego stawu spotkałem twego starego przyjaciela i kolegę, sekretarza Tussmana, który, zrozpaczony niechęcią Albertyny, chciał się rzucić w wodę. Z wielkim trudem odradziłem mu jego ohydny projekt, mówiąc, że ty ściśle dotrzymujesz słowa i że dzięki swej powadze rodzicielskiej namówisz Albertynę, aby jego rękę przyjęła. Jeżeli cofasz to postanowienie, jeżeli Albertynę wydajesz za Edmunda, biedny sekretarz na pewno popełni samobójstwo. Pomyśl, co za wrzawę wywoła taka rzecz. Każdy uważać cię będzie za zabójcę Tussmana i patrzyć będzie na ciebie z głęboką pogardą. Już cię nikt nie zaprosi na obiad, a kiedy wejdziesz do jakiej kawiarni, by się dowiedzieć, co słychać nowego, wyrzucą cię za drzwi. Więcej jeszcze, wiadomo, że sekretarz jest bardzo ceniony przez swoich naczelników; jego praca ma dobrą opinię we wszystkich biurach. Jeżeli ludzie uwierzą, że skutkiem twojej niesłowności, skutkiem twojej niestanowczości, doprowadziłeś tego nieszczęśliwca do samobójstwa, to nigdy w życiu już nie będziesz przyjęty nie tylko w domu radcy legacyjnego albo radcy finansowego, ale nawet u najmniejszego urzędnika. Żaden człowiek, z którym dotychczas prowadziłeś jakieś sprawy, nie będzie

się tobą zajmował. Od wysokich urzędników aż do najprostszych woźnych, wszyscy będą ci ubliżać i nikt nie zdejmie przed tobą kapelusza. Tytuł radcy komisyjnego będzie ci cofnięty; doznawać będziesz poniżenia za poniżeniem, kredyt twój upadnie do szczętu, twoje majętności będą ze wszech stron szturmowane i chylić się będziesz w dół coraz niżej a niżej, aż w końcu runiesz w nędzę i w hańbę.

— Dość, dość! — zawołał radca – męczysz mnie. Któżby uwierzył, że sekretarz w swoim wieku popełniłby takie szaleństwo? Ale to słuszna rzecz, co bądź się stanie, muszę słowa dotrzymać: inaczej byłbym człowiekiem zgubionym. Tak, to postanowione, sekretarz otrzyma rękę Albertyny.

— Ale zapominasz — rzekł złotnik — o prośbie barona Benjamina i o przekleństwie starego Manassego. Jeżeli wzgardzisz siostrzeńcem tego Żyda, masz w nim straszliwego wroga, wroga, który cię wciągnie we wszystkie swoje spekulacje, który się nie cofnie przed żadnym środkiem, co by ci odebrał kredyt, który korzystać będzie z każdej sposobności, aby ci szkodzić i który nie spocznie, póki cię nie zrujnuje, nie zniszczy, póki Dałes, którego wezwał, nie osiedli się rzeczywiście w twoim domu. Słowem, w jakikolwiek sposób rozporządziłbyś córką, zawsze wpadniesz w ciężkie położenie i oto dlaczego wydajesz mi się człowiekiem nieszczęśliwym i godnym pożałowania.

Radca biegał wzdłuż i wszerz po swoim pokoju, wołając:

— Jestem zgubiony, jestem zrujnowany! O, gdybym przynajmniej nie miał córki! Niech diabeł porwie ich wszystkich, Edmunda, Benjamina i sekretarza!

— No, no — rzekł złotnik — jest jeszcze droga ocalenia.

— Jaka? — zawołał radca, zatrzymując się nagle — Jaka? Podpisuję wszystko.

— Czy widziałeś w teatrze *Kupca weneckiego*[307]? W tej właśnie sztuce nasz aktor Devrient gra okrutnego Żyda, imieniem Shylok, który ma wielką chęć krajać żywe mięso kupieckie.

— Oczywiście, widziałem tę sztukę. Ale do czego to prowadzi?

— Jeżeli znasz *Kupca weneckiego*, musisz pamiętać, że jest tam pewna dziewica bogata, Porcja, której ręka została niejako puszczona w loterię rozporządzeniem testamentu jej ojca. Przynoszą trzy skrzynki i każdy z konkurentów ma jedną z nich wybrać i otworzyć. Ten, co wybiera skrzynkę, w której się mieści portret Porcji — staje się narzeczonym. Uczyń jak ojciec Porcji; powiedz trzem współzawodnikom, że ponieważ wszyscy trzej są ci jednakowo drodzy — powierzasz losom ich żądania. Ten otrzyma rękę Albertyny, który wybierze skrzynkę z portretem panny.

— Co za szczególny pomysł! — zawołał radca — a gdybym przystał, czy sądzisz, że by mi się to na co zdało i że nie wystawiłoby mię również na nienawiść tych, których los odtrąci?

— Pozwól, pozwól, panie radco. Przyrzekam ci uroczyście tak przysposobić skrzynki, że wszyscy będą zadowoleni. Ci, którzy nie dostaną portretu, znajdą, jak książę marokański i książę aragoński[308], w dwóch innych skrzyneczkach coś, co im się bardzo spodoba tak, że zapomną o małżeństwie z Albertyną. Więcej nawet, uważać cię będą za człowieka, któremu są winni głęboką wdzięczność.

— Czyż to możliwe? — zawołał radca.

— Nie tylko możliwe — odparł złotnik — ale pewne; daję ci słowo.

Radca już się nie wahał i postanowił działać zgodnie z planem Leonarda, i obaj się umówili, że w następną niedzielę sprawą będzie wykonana.

Złotnik zapowiedział, że sam przyniesie trzy skrzynki.

Rozdział VI

Smutek, Rozpacz

Albertyna była w rozpaczy, kiedy jej radca powiedział o nieszczęsnej loterii, którą postanowiono urządzić; ale bezużyteczne były wszystkie jej łzy i błagania. Była też wielce rozgniewana z powodu obojętności Edmunda; nie pokazywał się wcale i nie starał się rozmawiać z nią o swej miłości. W wigilię[309] niedzieli wyrocznej Albertyna siedziała wieczorem w swym pokoju. Oddana myślom o grożącym jej niebezpieczeństwie, pytała sama

[307] *Kupiec wenecki* — komedia Williama Shakespeare'a, powstała między 1596 a 1598. [przypis edytorski]
[308] *książę marokański i książę aragoński* — drugoplanowe postaci z *Kupca weneckiego*. [przypis edytorski]
[309] *w wigilię* — w przeddzień. [przypis edytorski]

siebie, czy nie lepiej byłoby uciec z domu ojcowskiego, niż być skazaną na poślubienie pedanta sekretarza lub ohydnego barona. Zaczęła tedy marzyć o tajemniczym złotniku i o jego czarodziejstwach, i oto w sercu jej przebudziła się nadzieja; gdyż pewnym jej się zdało, że Leonard nie opuści Edmunda w chwili krytycznej. Poczuła naraz żywe pragnienie rozmowy ze złotnikiem i w chwilę potem złotnik ukazał się przed nią. Powiedział jej głosem łagodnym i pełnym powagi:

Podstęp

— Drogie dziecko, zbądź się smutku i troski; dowiedz się, że Edmund, którego jak ci się zdaje, kochasz dzisiaj, jest pod moją opieką i że będę mu pomagał ze wszystkich sił. Dowiedz się, że ja to podsunąłem twemu ojcu myśl loterii, że ja to przygotowałem cudowne skrzynki i że nikt inny, tylko Edmund wybierze tę, w której znajduje się twój portret.

Albertyna wydała okrzyk radości. Złotnik mówił dalej:

— Mógłbym był znaleźć inny sposób uzyskania twej ręki dla Edmunda, ale rozgniewałbym mocno jego dwóch rywali.

Albertyna rozpłynęła się w podziękowaniach. Wzięła za rękę Leonarda, przycisnęła ją do serca i zapewniła go, że pomimo jego czarownictwa, patrzy na niego bez trwogi: po czym naiwnie go pytała, kim jest.

— Ach, drogie dziecko — rzekł złotnik z uśmiechem — byłoby mi bardzo trudno powiedzieć ci, kto jestem. Podobny jestem do wielu ludzi, którzy lepiej wiedzą, za kogo ich biorą, niż kim są rzeczywiście. Uważ, że wiele osób uznaje mnie za złotnika Leonarda, który w XVI w. żył w wielkiej estymie[310] na dworze elektora Jana Jerzego i który, ścigany zawiścią i nienawiścią, zniknął nie wiadomo jak. Zrozumiesz łatwo, ilem wycierpiał skutkiem tego przypuszczenia ze strony uczciwych mieszczan i negocjantów, którzy mnie traktują jako ducha fantastycznego i starają się moje życie uczynić możliwie najbardziej gorzkim. Chociaż zjawiam się wszędzie jak prawdziwy *Deus ex machina*[311], wielu ludzi nie może mnie znosić, ponieważ wątpią nawet o moim rzeczywistym istnieniu. Aby się ochronić od tych wszystkich niedowierzań, nie wyznałem nigdy, że jestem złotnikiem szwajcarskim Leonardem i bardzo wiele osób przystało na to, że jestem po prostu człowiekiem zręcznym i że magia naturalna daje mi wszystkie środki działania. Nabierz więc odwagi, drogie dziecię; jutro rano przystrój się w swą najpiękniejszą suknię, włosy upleć starannie w warkocze i czekaj spokojnie a cierpliwie na to, co ma nastąpić.

To rzekłszy, złotnik zaraz zniknął.

W niedzielę o godzinie oznaczonej przybył stary Manasse ze swoim zachwycającym siostrzeńcem, sekretarz prywatny oraz Edmund ze złotnikiem. Zalotnicy, nie wyłączając próżnego barona, byli zdumieni widokiem Albertyny, która im się nigdy nie wydała tak piękna. Przy tym bardziej niż wytworność sukni i fryzury, podnosił jej piękność promień miłości i nadziei, który lśnił w jej oczach i barwił jej jagody[312].

W napadzie szczodrobliwości radca kazał przygotować wspaniałą ucztę.

Gdy zaprosił Manassego do stołu, można było czytać w oczach Żyda tę odpowiedź Shyloka:

> Tak, wąchać zapach świniny; dotykać
> Zwierzęcia, w którym umieścił wasz prorok
> Nazaretański — złośliwą moc czarta —
> Mogę — by z wami gadać i handlować:
> Lecz jeść — pić — modlić się z wami — nie mogę!

Baron mniej na to zwracał uwagi. Jadł niepomiernie i gadał bez końca.

Radca, pozwoliwszy sobie na szczodrobliwość nadzwyczajną, bez miary rozlewał w kieliszki wino Porto, Maderę i nawet Malagę, przechowywaną w piwnicy od lat stu. Po śniadaniu zapowiedział konkurentom, w jaki sposób ma być zdecydowane małżeństwo jego córki. Ten będzie miał prawo zaślubić Albertynę, który wybierze skrzynkę z jej portretem wewnątrz.

---

[310] *estyma* (daw.) — poważanie, szacunek. [przypis edytorski]

[311] *Deus ex machina* (łac.) — bóg z maszyny (pojawiający się na scenie teatru, by radykalnie zmienić przebieg akcji dramatu), w przenośni: wybawiciel. [przypis edytorski]

[312] *jagody* — policzki. [przypis edytorski]

W południe salę otwarto i spostrzeżono stół pokryty pięknie haftowanym dywanem, a na nim trzy skrzynki.

Pierwsza była złota: na pokrywie był wieniec z dukatów, a w środku napis:

„Ten, co mnie wybierze, będzie miał szczęście według pragnienia swej duszy".

Druga skrzynka była srebrna; czytano na pokrywie te słowa w literach obcych:

„Ten, który mnie wybierze będzie miał więcej, niż się spodziewa".

Trzecia skrzynka była z cyzelowanej kości słoniowej i miała te słowa:

„Ten, który mnie wybierze, będzie miał szczęście, o jakim marzył".

Albertyna siadła za stołem na fotelu. Radca umieścił się koło niej. Manasse i złotnik cofnęli się w głąb sali.

Ponieważ los postanowił, że Tussman miał wybierać pierwszy, jego dwaj rywale wyszli do izby sąsiedniej.

Sekretarz zbliżył się do stołu, przyglądał się po kolei wszystkim napisom. Wkrótce go nęcić zaczęły najwięcej osobliwe litery na skrzynce srebrnej.

— Ojcze niebieski — zawołał z entuzjazmem — co za piękne pismo arabskie! I jak dobrze się łączy z tym łacińskim zdaniem: „Ten, który mnie wybierze, będzie miał więcej, niż się spodziewa". Czy spodziewałem się kiedy, że panna Albertyna zgodzi się oddać mi rękę? Czy raczej nie wyrzekłem się przeszłości? Czyż nie rzuciłem się do stawu? Dalej, oto moja pociecha, oto moje szczęście: wybieram skrzynkę srebrną.

Albertyna powstała, by podać sekretarzowi mały kluczyk, którym ten otworzył skrzynkę. Ale jakież było jego przerażenie, gdy zamiast obrazu Albertyny ujrzał tylko książkę, oprawną w pergamin, na którym znajdował się napis taki:

Chociażbyś popełnił błąd,
Wielką radość zyskasz stąd.
Dobrze wybrał tu twój sąd:
Ignorantiam[313] strącasz w kąt,
W *sapientiae*[314] wnikasz prąd.

— O, wielki Boże — zawołał Tussman — książka! A nawet nie książka — to biały papier. Żegnaj mi, wszystka nadziejo. O, nieszczęsny sekretarzu! Dalej, koniec twój nadszedł! Wracajmy do sadzawki.

Tussman chciał się oddalić. Leonard go zatrzymał i rzecze:

— Jesteś nierozsądny. Żaden skarb na świecie nie może mieć dla ciebie większej ceny, niż ten, który odnalazłeś. Napis już by ci powinien wyjaśnić tę prawdę. Pozwól mi, że ci tę książkę włożę do kieszeni.

Tussman posłuchał.

— Teraz — odparł złotnik — pomyśl o książce, którą chciałbyś mieć w tej chwili.

— Boże — zawołał sekretarz — toż w momencie szału rzuciłem w wodę książkę Tomasiusa.

— Weź książkę, którą masz w kieszeni i spojrzyj na nią.

Tussman wyjął książkę z kieszeni: był to *Traktat polityczny* Tomasiusa.

— Ach, drogi Tomasiusie! — zawołał sekretarz z zachwytem — otoś wyrwany żabom, których niczego byś nie nauczył.

— Cicho! — rzekł złotnik. — Włóż z powrotem książkę do kieszeni i pomyśl o jakim bądź innym dziele, któregoś na próżno szukał w niejednej bibliotece.

— Boże! — odparł Tussman — Gdy chciałem iść na operę, by się rozerwać, pragnąłem bardzo i zawsze na próżno mieć małą książkę, która w sposób alegoryczny mówi o muzykach i kompozytorach. Myślę tu o rzeczy p. t. *Wojna muzyczna Jana Beera albo opis spotkania dwóch bohaterek, Kompozycji i Harmonii, jak rozpoczęły walką wzajemną przeciw sobie i jak po krwawej bitwie zawarły przymierze.*

— Szukaj w kieszeni i spójrz! — powiada złotnik.

Sekretarz wydał okrzyk radości, gdy w swej tajemniczej książeczce ujrzał *Wojnę muzyczną* Jana Beera.

— A zatem — dodał Leonard — posiadając tę książkę, znalezioną w skrzynce, masz Książka, Czary

[313] *ignorantia* — (łac.) — niewiedza. [przypis edytorski]
[314] *sapientia* (łac.) — mądrość. [przypis edytorski]

najbogatszą, najkompletniejszą bibliotekę i możesz ją nosić ze sobą wszędzie, gdzie zechcesz; wystarczy ci bowiem mieć życzenie, a książka, którą znajdujesz w kieszeni, będzie właśnie tą, którą pragniesz czytać.

Nie zajmując się już ani Albertyną, ani radcą, sekretarz udał się w kąt salonu, usiadł w fotelu, włożył książkę do kieszeni, wyjął ją znowu i z blasku jego oczu widać było, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Nadeszła kolej barona. Kołysząc się ruszał do stołu, przez szkiełka zaczął oglądać skrzynki i po cichu czytał napisy. Skrzynka złota z wieńcem dukatów olśniła jego oczy:

„Ten, co wybierze mnie, będzie szczęśliwy, zgodnie z pragnieniami swej duszy".

— Dukaty — rzekł — oto moje szczęście, Albertyna zaś również jest tym, czego dusza moja pragnie. — Mówiąc te słowa, otworzył skrzynkę; znalazł w niej pilnik angielski i kartkę z napisem:

Wypełnione twe pragnienie!
W sercu twym niech upojenie
Drga, bo wszystko inne — niczym!
Naprzód z śmiałym idź obliczem:
Wszędy zyskasz powodzenie!

— Ach — zawołał Benjamin z gniewem — i na cóż mi ten pilnik? Pilnik to nie portret Albertyny. Biorę tę skrzynkę i ofiaruję ją pannie Albertynie, jako dar ślubny.

— Idziesz za daleko, panie — rzekł złotnik — uważaj się za szczęśliwego, że masz ten pilnik; z chwilą zaś, gdy go wypróbujesz, wyznasz, że jest to dar nadzwyczaj cenny. Czy masz przy sobie dukata karbowanego?

— Mam — rzekł baron tonem żałosnym — ale po cóż to wszystko?

— Obrzynaj go tym pilnikiem.

Benjamin wykonał tę robotę ze zręcznością, która dowodziła wielkiego doświadczenia, i w miarę jak obrzynał dukat, obrzeże stawało się piękniejszym i świetniejszym.

Manasse, który dotąd stal nieruchomy, rzucił się z okiem rozpłomienionym ku swemu siostrzanowi i zawołał z uniesieniem:

— Co widzę? To moja maszynka! Ten pilnik jest mój, mój! To narzędzie czarnoksięskie, za które swoją duszę sprzedałem diabłu trzysta lat temu.

Chciał wyrwać pilnik z rąk swego siostrzana, ale ten go odepchnął, mówiąc:

— Idź precz, stary szaleńcze! Ja ją znalazłem, należy do mnie!

I bronił pilnika, jak lwica broni swych małych, gdy Manasse, zgrzytając zębami, pieniąc się gniewem, rzucał na niego coraz okropniejsze przekleństwa. Wreszcie Benjamin, ująwszy silną ręką swego wuja, wyrzucił go za drzwi, po czym siadł przy małym stoliku obok sekretarza i zaczął gorliwie obrzynać dukaty.

— Otośmy na koniec wyzwoleni od tego okropnego człowieka, starego Manasse — rzeki złotnik. — Powiadają, że to drugi Ahaswer[315] i że błądzi po świecie od r. 1572. Wówczas sądzony był pod imieniem Lippolda i skazany jako winny czarnoksięstwa, ale diabeł go ocalił, wziąwszy od niego duszę. Wielu ludzi zapewnia, że widywali go w Berlinie pod rozmaitą postacią. Dzięki memu doświadczeniu, oto już on daleko od nas na zawsze.

Na koniec Edmund wziął skrzynkę z kości słoniowej i znalazł w niej piękny portret miniaturowy, oraz takie słowa, wierszem ułożone:

Znalazłeś szczęście swe — więc je oglądaj
W przecudnych oczach swej umiłowanej.
Co było — nigdy więcej nie powróci:
Takie jest świata wieczne przeznaczenie.
Rozkosz, w marzeniach sennych przeczuwaną,
Znajdziesz w kochanki swojej pocałunkach.

Edmund, idąc jak Bassanio[316] za radą poety, przycisnął Albertynę do serca, a radca patrzał zadowolony tym szczęśliwym rozwiązaniem wszystkich kłopotów, wywołanych

[315] *Ahaswer* — Żyd Wieczny Tułacz. [przypis edytorski]

[316] *Bassanio* — postać z *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare'a. [przypis edytorski]

małżeństwem córki. W tym czasie Benjamin dalej obrzynał dukaty, Tussman czytał swoją książkę; i ani jeden, ani drugi nie zajmowali się tym, co się dokoła nich dzieje. Radca zawiadomił ich, że młody malarz pozyskał rękę Albertyny. Obaj słuchali tej nowiny obojętnie. Każdy był zajęty losem, jaki mu wypadł i żaden z nich nie odczuł zazdrości. Po niejakim czasie pożegnali radcę, dziękując mu z zapałem za skarb, jaki za jego sprawą otrzymali.

Kilka tygodni minęło pełnych radości i zachwytu dla Edmunda i Albertyny. Złotnik przybył naraz, by wzburzyć szczęście młodej pary, przypominając Edmundowi, że mu uroczyście zapowiedział wyjazd do Włoch.

Mimo głębokiego żalu młody malarz musiał pożegnać ukochaną; czuł się gorąco porwany ku ojczyźnie sztuki, tak że postanowił natychmiast udać się w podróż.

Od roku Edmund jest w Rzymie i powiadają, że jego korespondencja z Albertyną staje się z dnia na dzień mniej częsta i mniej czuła. Zauważono też, że pewien przystojny i wysmukły referendarz[317], elegancko ubrany, często przechadza się po parku z panną Albertyną, przetańczywszy z nią całą zimę — i że radca przygląda mu się z miną bardzo zadowoloną. Referendarz przeszedł z odznaczeniem egzaminy, które mają mu służyć jako tytuł w jego karierze. Może poślubi Albertynę, skoro uzyska należyte stanowisko w świecie urzędniczym.

[317] *referendarz* — urzędnik koronny przyjmujący prośby i skargi ludności. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/powiesci-fantastyczne

Tekst opracowany na podstawie: E. T. A. Hoffmann, Powieści fantastyczne, T. II, red. Jan Lorentowicz, oprac. Antoni Lange, nakł. i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, Skł. gł. w Księgarni E. Wendego i S-ki, H. Altenberg, Warszawa [ca 1913]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Śląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BŚ.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Dorota Kowalska, Emilia Wysocka, Ewelina Ojdana, Hanna Gąssowska, Marta Niedziałkowska, Małgorzata Biernacka, Paweł Kozioł, Roksana Trojak.

ISBN 978-83-288-0308-4

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.